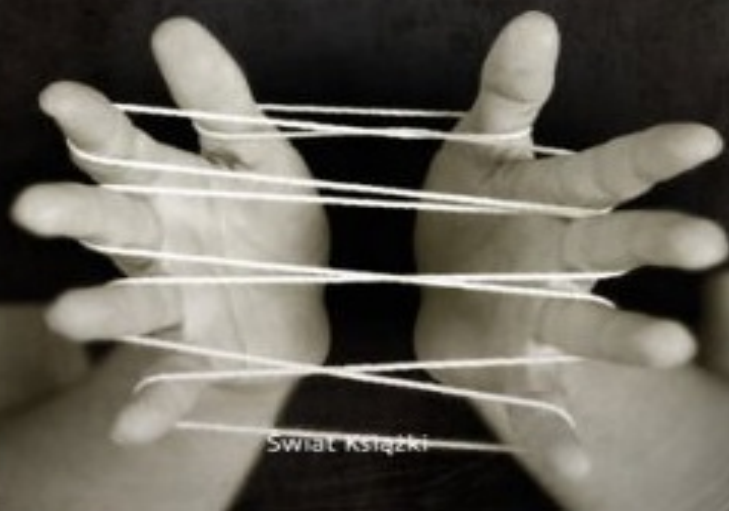


By zerwać toksyczny związek, zmieniło wszystko.
Prócz pamięci, która powraca.

LISA
UNGER
AMNEZJA



Świat Książki

By zerwać toksyczny związek, zmieniło wszystko.
Prócz pamięci, która powraca.

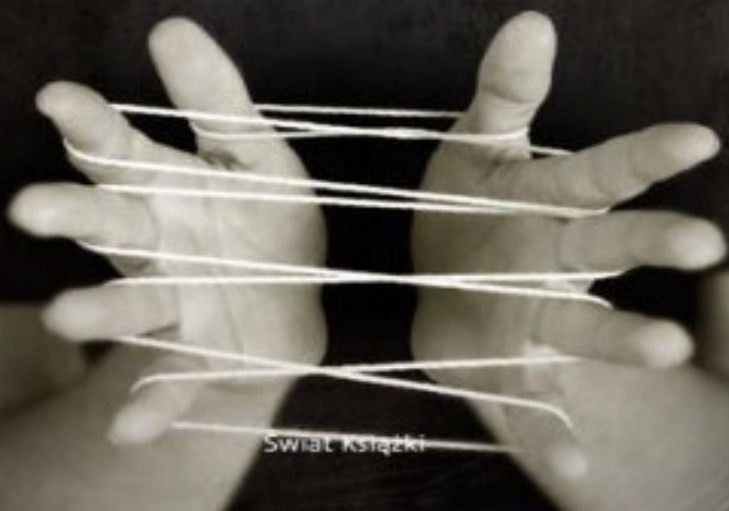
LISA
UNGER
AMNEZJA



Świat Książki

By zerwać toksyczny związek, zmieniło wszystko.
Prócz pamięci, która powraca.

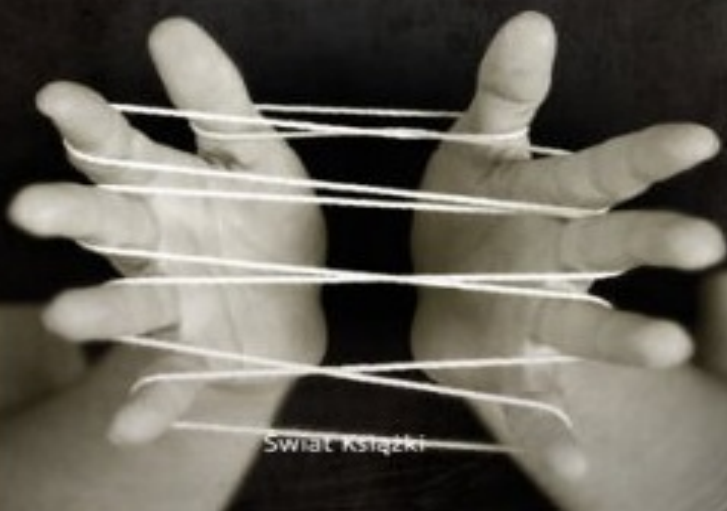
LISA
UNGER
AMNEZJA



Świat Książki

By zerwać toksyczny związek, zmieniło wszystko.
Prócz pamięci, która powraca.

LISA
UNGER
AMNEZJA



Świat Książki

Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
- [Wszystkie postaci...](#)
- [Dedykacja](#)
- [PROLOG](#)

- [**CZĘŚĆ PIERWSZA**](#)
 - [Rozdział 1](#)
 - [Rozdział 2](#)
 - [Rozdział 3](#)
 - [Rozdział 4](#)
 - [Rozdział 5](#)
 - [Rozdział 6](#)
 - [Rozdział 7](#)
 - [Rozdział 8](#)
 - [Rozdział 9](#)
 - [Rozdział 10](#)
 - [Rozdział 11](#)
 - [Rozdział 12](#)
 - [Rozdział 13](#)
 - [Rozdział 14](#)
 - [Rozdział 15](#)
 - [Rozdział 16](#)
 - [Rozdział 17](#)

- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)
- [Rozdział 23](#)
- [Rozdział 24](#)
- [Rozdział 25](#)
- [Rozdział 26](#)
- [Rozdział 27](#)
- [Rozdział 28](#)
- [Rozdział 29](#)
- [Rozdział 30](#)

- **[CZĘŚĆ DRUGA](#)**
 - [Rozdział 31](#)
 - [Rozdział 32](#)
 - [Rozdział 33](#)
 - [Rozdział 34](#)
 - [Rozdział 35](#)
 - [Rozdział 36](#)
 - [Rozdział 37](#)
 - [Rozdział 38](#)
 - [Rozdział 39](#)
 - [Rozdział 40](#)
 - [Rozdział 41](#)

- [Rozdział 42](#)
- [Rozdział 43](#)
- [Rozdział 44](#)
- [Rozdział 45](#)
- [Epilog](#)
- [OD AUTORKI](#)
- [PODZIĘKOWANIA](#)

LISA UNGER

AMNEZJA

Tytuł oryginału: BLACK OUT

Przełożyła: Beata Turska

 Świat Książki

2011

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

*Dla Ocean Rae, Sophie, Lucy, Zoe i Josie, mojej córki i córek kobiet,
które kocham i podziwiam...*

Kochajmy nasze córki dobrą miłością i chrońmy ich ducha.

*Pokażmy im ich siłę i moc i zachowajmy je takimi promiennymi i
pięknymi, jakimi były, kiedy przyszły na świat.*

PROLOG

Dzisiaj wydarzyło się coś interesującego. Umarłam. To straszne, powiedzą. Straszna tragedia, była taka młoda, miała przed sobą całe życie. W gazecie pojawi się artykuł o tym, że się doszczętnie wypaliłam, że za młodo umarłam. Na mój pogrzeb przyjdzie niewiele osób... kilkoro zapłakanych przyjaciół, sąsiadów pociągających nosem i znajomych. Będą pocieszać mojego biednego męża Graya. Może liczyć na ich pomoc w wychowaniu naszej córki, kiedy odeszłam. Smutna historia, powiedzą. Co jej przyszło do głowy?

Jednak po czasie ich smutek minie i życie wróci do normy, ja zaś stanę się wspomnieniem, trochę smutnym, bo tak szybko odeszłam, ale i wesołym, bo w końcu spędziliśmy razem wiele dobrych chwil - kiedy za dużo wypiliśmy, śmialiśmy się do łez i zajadaliśmy się stekami z grilla.

Ja też będę za nimi tęsknić, miło ich wspominać, ale inaczej. Moje życie wśród nich było zasłoną dymną, starannie wymyślonym kłamstwem. I chociaż niektórych znałam i kochałam, to tak naprawdę nikt z nich mnie nie poznał dobrze. Wiedzieli o mnie tylko tyle, ile im pokazałam, a i to było często wymyślone. Zapamiętam ich tak, jak się pamięta ulubiony film; piękne chwile i słowa, które powrócą, żeby mnie wzruszyć. Ale i tak będę wiedziała, że czas, który z nimi spędziłam, był fikcją, kruchą i nieistotną jak kartki powieści.

Stoję na dziobie liniowca, który przecina noc z zadziwiającą jak na siebie prędkością, wyrzuca z siebie wielkie szepcące słupy piany i pożera wysokie fale. Otacza mnie czarna woda. Twarz mam mokrą i czerwoną od wiatru, prawie odrętwiałą. Jeszcze tydzień temu bardzo bałam się wody, nawet bym nie pomyślała, żeby usiąść tak blisko niej, by poczuć ją na skórze. Teraz boję się tylu rzeczy, że musiałam

pokonać lęk przed wodą.

Mężczyzna przy sterze już dwa razy dawał mi znak, zapraszając mnie szerokim gestem do środka. Podnoszę dłoń, daję mu do zrozumienia, że wszystko ze mną w porządku. Tutaj odczuwam ból, a przecież chcę, żeby mnie bolało. Poza tym dziób statku znajduje się w najdalszym punkcie od życia, które zostawiłam. Chcę, żeby odległość się zwiększyła, zanim wrócę do siebie, żeby się przespać.

Na szyi czuję oddech mojego oprawcy. Dla niego nigdy nie stanę się wspomnieniem. Zawsze będę celem, będę na wyciągnięcie ręki. Jeśli mogę mieć zdanie w tej sprawie, tu właśnie zostanę. Ale znam jego głód, jego cierpliwość, jego nieustępliwość; gdy jego serce bije raz, moje w tym czasie bije dziesięć razy szybciej. Jestem taka zmęczona. W tym nieprzyjemnym chłodzie zadaję sobie pytanie, czy pościg skończy się dzisiaj, które z nas umrze, na zawsze, kiedy wszystko już się wreszcie skończy.

Stoję na dziobie, trzymam się balustrady. Przypominam sobie, że śmierć jest najprostszym wyjściem; mogę z niego skorzystać, kiedy będę chciała. Muszę się tylko pochylić, przełożyć ciało przez balustradę i spaść w otchłań. Ale nie zrobię tego, nie dzisiaj. Prawda, że kurczowo trzymamy się życia? Nawet ci najbardziej żałośni spośród nas, którzy prawie nie mają powodu, żeby oddychać, nadal się go trzymają z całych sił. Mimo to pocieszam się myślą, śmierć jest jakimś rozwiązaniem, użytecznym i zawsze w zasięgu ręki.

W końcu chłód i wiatr wygrywają ze mną. Wracając do swojej kabiny, widzę okrągłe, jasne oko reflektora z góry, pod nim małe czerwone i zielone światła nawigacyjne.

Samolot jest ciągle zbyt daleko, żebym mogła usłyszeć silnik. Dostrzegam jedynie biały punkcik podskakujący w czerni. Odwracam się, żeby ostrzec kapitana, ale zniknął za sterem. Zastanawiam się, czy go znaleźć i powiadomić, ale nie wiem, czy to ma sens. Po chwili

wahania dochodzę do wniosku, że będzie lepiej, jeśli się gdzieś ukryję. Skoro mnie znalazł, to nikt mi nie pomoże. Nagle czuję, że wcale mnie to nie dziwi, nie jestem ani trochę zdumiona, że mnie odnalazł.

Czekam.

W mojej piersi rozlega się znajome dudnienie, kiedy patrzę na wodę i dopada mnie moja mroczna pokusa. To by był ostateczny bunt, okraść go z jedynej rzeczy, której kiedykolwiek pragnął, ostateczny dowód na to, że moje życie należy tylko do mnie, do nikogo więcej. Ale mała okrągła twarzączka o piwnych oczach, otoczona burzą złotych loków i maleńkie czerwone usteczka przykuwają mnie do pokładu. Nie wie, że jej mama dziś umarła. Mam nadzieję, że nie będzie musiała mnie opłakiwać, dorastać złamana i skrzywdzona moim przedwczesnym odejściem. Dlatego muszę przeżyć. Żebym pewnego dnia, miejmy nadzieję, że wcześniej niż później, mogła do niej wrócić i powiedzieć jej, dlaczego tak ma na imię, wziąć ją w ramiona i być taką matką, jaką zawsze chciałam dla niej być.

Najpierw jednak muszę stoczyć walkę i ją wygrać. Nie wiem, ile jeszcze zostało we mnie woli walki, ale będę walczyć. Nie dla zdruzgotanej, wypalanej kobiety, jaką się stałam, lecz dla mojej córki Victory.

CZEŚĆ PIERWSZA

Pęknięta

HAMLET, III.I Piękna Ofelio, nimfo, czy w modlitwie
Wspominasz wszystkie moje grzechy?

Hamlet, III.I (przeł. J. Iwaszkiewicz)

Rozdział 1

Kiedy matka dała mi na imię Ofelia, to zapewne uważała się za znawczynię literatury. Nie miała pojęcia, że Ofelia była bohaterką dramatu. Pewnie nawet nie wiedziała, co to jest dramat, tak jak bogaci nie rozumieją tego, że są bogaci i nawet nie wiedzą, że jest inne życie. Uznała, że imię jest piękne, brzmi jak nazwa kwiatu, wiedziała, że pochodzi ze znanej historii (sztuki albo powieści, tego raczej nie wiedziała). I tak mam szczęście, bo myślała, czy mi nie dać na imię Lolita albo Gypsy Rose. Ofelia miała przynajmniej trochę godności.

Myślę o tym, pchając przed sobą wózek między półki z owocami i warzywami, mijając błyszczące zielone jabłka, świeże lodowe sałaty, duże lśniące pomarańcze i prężące się wściekle czerwone papryczki. Jowialny sprzedawca z działu mięsnego macha do mnie i posyła mi, jak pewnie sądzi, ujmujący uśmiech, aż czuję dreszcze.

- Witaj, słoneczko - woła. Albo: - Jak się masz, skarbie? - Zastanawiam się, dlaczego akurat mnie tak bardzo sobie upodobał. Nie należę do ludzi otwartych, nie prowokuję, nie mogę sobie pozwolić na przyjazne gesty. Co nie znaczy, że mogę sobie pozwolić na nieprzyjazne gesty. Zerkam na swe odbicie w metalowej ramie półki z mięsem, chcę się upewnić, że robię wrażenie powściągliwej i niedostępnej, ale bez przesady. Moje odbicie jest powykręcane i zniekształcone z powodu zadrapań i rys na metalu.

- Witaj, kochaniutka - mówi, machając do mnie wesoło ręką i lekko się kłania.

Posyłam mu chłodny uśmiech, robię lekki grymas kącikiem ust. Energicznie schodzi mi z drogi. Stałam się kobietą, która onieśmielałaby moją matkę. Najczęściej świeżo umyte i jeszcze mokre

blond włosy związuję gumką u nasady szyi. Lubię prostotę tego uczesania. Ubieram się zwyczajnie i bezpretensjonalnie - mam na sobie bawełniane spodnie do pół łydki, luźną bawełnianą bluzkę i narzuconą na nią prostą, granatową marynarkę. Nic wielkiego, poza tym, że buty i torebka kosztują więcej, niż matka zarobiłaby przez dwa miesiące. Nie usłoby to jej uwagi. Pewnie by się zdenerwowała, byłaby złośliwa i nieprzyjemna. Nie obchodzi mnie to. To jest po prostu fakt, najzwyczajniejszy pod słońcem.

Zazwyczaj takie są fakty, przynajmniej niektóre. Jednak to ją ciągle widzę w swoim odbiciu - jej brzoskwiniovą cerę, wysokie kości policzkowe, głębokie piwne oczy. Moja córka też jest do niej podobna.

- Annie? Hej, hej!

Znowu jestem w dziale warzyw i owoców, choć szczerze mówiąc, nie wiem, po co. Trzymam w ręku dojrziałą, błyszczącą nektarynkę. Zapewne wpatrywałam się w nią jak w kryształową kulę, starając się odgadnąć przyszłość. Podnoszę wzrok na moją sąsiadkę Elle Singer. Patrzy na mnie z rozbawieniem i troską jednocześnie. Nie mam pojęcia, jak długo próbowała zwrócić na siebie moją uwagę lub jak długo gapię się na nektarynkę. Jesteśmy więcej niż sąsiadkami, jesteśmy koleżankami. Wszyscy tutaj mówią na mnie Annie, nawet Gray, który wie o mnie wszystko.

- Bujalaś w obłokach? - pyta.

- Wybacz. - Uśmiecham się, kiwając energicznie głową.

-Odpłynęłam na chwilę.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Świetnie.

Kiwa głową i bierze kilka nektarynek.

- Gdzie Vicky?

Moje sąsiadki, nauczycielki, matki przyjaciółek mojej córki nazywają ją Vicky. Nie poprawiam ich, ale zawsze przechodzi mnie

dreszcz na dźwięk tego imienia. Nie tak ma na imię. Nazwałam ją Victory, bo to było dla mnie ważne, i mam nadzieję, że za jakiś czas będzie też ważne dla niej. To prawda, że byłam wtedy wyjątkowo pewna siebie. Ale Gray to rozumiał i akceptował mój wybór. Tamtego dnia oboje byliśmy pewni siebie. Cały czas staram się taka być, chociaż ostatnio z powodu, którego nie potrafię wytłumaczyć, moja pewność siebie słabnie.

- U macochy Graya. Uczy się z babcią pływać. - Wkładam owoce do przezroczystej plastikowej torby. Nektarynki mają słodki, świeży zapach. Są przejrzyste, omal nie popękały. Obok nas przechodzi staruszka, ciężko opierając się na aluminiowej lasce.

Z niewidzialnych głośników dobiega metaliczny trzask piosenki zespołu The Police Don't Stand so Close to Me.

- To miło. - Ella kiwa głową. - Wypijemy razem cappuccino?

Patrzę na zegarek, jakbym sprawdzała, czy zmieszczę spotkanie na kawę w wypełnionym grafiku, choć obie wiemy, że nie mam innych planów i że Victory jeszcze przez kilka godzin będzie pływała w basenie, jadła swój ulubiony obiad i bawiła się z chłopakami z sąsiedztwa. Chociaż są od niej starsi, to ona nimi rządzi, jakby była ich królową. A oni ją za to uwielbiają.

- Jasne - mówię. Ella się uśmiecha.

- Świetnie, spotkamy się na miejscu, kiedy już będziesz gotowa.

Ma na myśli kafejkę przy plaży, gdzie się zawsze spotykamy.

- Do zobaczenia.

Rusza z wózkiem. Bardzo ją lubię. Jest naturalna, prostoduszna, bardzo ciepła i otwarta, ufna i niezawodna, ja w porównaniu z nią jestem straszną, zimną suką.

Uśmiecham się i macham do niej. Serce mi wali jak oszalałe. Buntuje się na myśl o kolejnej kawie, przeholowałam już dziś z kofeiną. Chyba napiję się herbaty rumiankowej.

W drodze do kasy zauważam przy bufecie z ciepłymi daniami nadąsaną, posępną nastolatkę z matką. Dziewczyna jest tak chuda, że jej kości biodrowe wyraźnie odznaczają się pod dżinsami. Wilgotne usta pomalowała różowym błyszczkiem. Przy uchu trzyma komórkę i obgryza paznokieć prawego kciuka.

- Taylor, przestań - upominają matka, wyjmując dziewczynie rękę z ust. Mierzą się wzrokiem niczym członkinie rywalizujących gangów. Ciekawe, czyja i Victory też kiedyś stoczymy krwawą walkę związaną z dojrzwaniem. Raczej nie. Wątpię.

Zawsze się boję, że ominie mnie luksus toczenia sporów z córką nastolatką. Po wyjściu ze sklepu wkładam zakupy do bagażnika. Widzę, jak Ella wyjeżdża z parkingu, podnosząc do góry rękę, co oznacza pięć minut. Przed naszym spotkaniem zostawi zakupy w domu, tak jak ja, mieszkamy niedaleko. Nie musimy się wtedy martwić, że kurczak straci świeżość, lody się roztopią. To takie codzienne prowincjonalne troski, które lubię za to, że są banalne i dają mi względne poczucie bezpieczeństwa. Jednak zamykając bagażnik, czuję, że znowu coś się ze mną dzieje.

Tak jakby słońce schowało się za gęstą chmurą, a niebo nagle pociemniało, stało się grafitowe. Tyle że wcale tak nie jest. Jest jasny i chłodny, jak na tę porę roku, wiosenny dzień na Florydzie. Na parkingu jest pełno samochodów, roi się na nim od mam i niań z dziećmi w różnym wieku, uradowanych wielkanocną przerwą szkolną.

Dobiega mnie ich śmiech, odgłos mew, wdycham zapach soli z Zatoki Meksykańskiej. Jednak w środku dygoczę, a w żyłach płynie mi lodowaty, czarny atrament.

Wślizguję się do terenówki, zamykam drzwi na zamek, chwytam kierownicę i próbuję zapanować nad nerwami. Miewałam już ataki paniki. Nachodzą mnie od czasu do czasu, są intensywne, ale

krótkotrwałe, jak letnie burze w tych stronach.

Jednak w ciągu ostatnich kilku dni dopadają mnie z zadziwiającą ostrością. Gray uspokaja mnie, że to fałszywy alarm, ale dla mnie są one raczej systemem wczesnego ostrzegania. Dzisiejszy atak jest jeszcze silniejszy, mroczniejszy od tych, do których już przywykłam.

Jestem naprawdę przerażona, oblewam się potem, blednę. Oddycham nierówno i zerkam we wsteczne i boczne lusterka, jednak nic nadzwyczajnego nie widzę. Ten kontrast przyprawia mnie o zawrót głowy, prawie mnie złości ten jasny dzień, ludzie na parkingu, ich beztrioskie życie.

Po chwili wyjeżdżam z parkingu i roztrzęsiona staram się skoncentrować na drodze między sklepem a domem. Przejeżdżam przez bramkę do naszego osiedla, macham do ochroniarza i mijam absurdalnie luksusowe domy wtulone w kępy wysokich palm, ich wymyślne dachy i kolorowe skrzynki na listy w kształcie manatów, delfinów, flamingów, miniaturowych wersji domów. Na kamiennych podjazdach stoją najnowsze modele luksusowych aut.

Kiedy parkuję na podjeździe, widzę, że moja sąsiadka podlewa kwiaty i przyjaźnie podnosi rękę. Próbuję się do niej uśmiechnąć, podczas gdy pilotem otwieram wjazd do garażu. Chcąc uniknąć wymiany uprzejmości, zamykam za sobą drzwi i nie wysiadam z samochodu. Wyłączam silnik, ale jeszcze przez chwilę siedzę nieruchomo, czekając aż serce przestanie mi walić w piersiach. Jesteś bezpieczna, powtarzam sobie. Mój dom jest bezpieczny. Rozdygotanie mija, oddycham spokojniej. Naciskam guzik na tablicy rozdzielczej i słyszę sygnał.

- Zadzwoń do babci - mówię.

- Dzwonię do babci - odpowiada sztywno głos w telefonie. Victory go uwielbia, zawsze kiedy go słyszy, chichocze jak szalona.

Po sygnale słyszę spokojny męski głos.

- Halo.

- Tu Annie. - Głos mi drży. Zapada cisza, wiem, że on też słyszy to drżenie. Nic nie ujdzie jego uwagi.

- Witaj, Annie - odpowiada mój teść. Drew jest jak zawsze opanowany. Wyobrażam go sobie, jak siedzi przy dębowym biurku w swoim gabinecie, gdzie na ścianach wiszą stopnie i odznaczenia wojskowe, zdjęcia kumpli z oddziału specjalnego Fok, koszarne i ziarniste zdjęcia mężczyzn zbyt młodych i zbyt radosnych, żeby nosić broń. - Kąpią się w basenie.

- Wszystko w porządku? - Nienawidzę słów, które właśnie wypowiedziałam.

- U nas tak - odpowiada pewnie i solidnie.

Pociesza mnie jego pewność siebie i złoścę się na siebie, że odkryłam przed nim swoją słabość.

- A u ciebie w porządku? - pyta po chwili. Staram się nie słyszeć nuty pogardy w jego głosie.

- Tak - odpowiadam za szybko. Muszę powtórzyć „tak” wolniej i swobodniej, żeby zrównoważyć tamto „tak”.

- Tak. Wszystko w porządku. Nie przerywaj im. Przyjadę po Victory około drugiej.

Kończę rozmowę, zanim zdąży mi zadać jakieś pytanie, i rozkładam zakupy. Włączam w kuchni telewizor. Na ekranie pojawia się zdjęcie smutnej, mizernej blondynki. Pod zdjęciem widnieje napis: „Na środkowej Florydzie odnaleziono ciało kobiety, szóstej ofiary w ciągu ostatnich pięciu lat”. W tle niewyraźny męski głos z silnym florydzkim akcentem mówi o braku dowodów i o podobieństwach między morderstwami.

Szybko wyłączam telewizor; na pewno nie chcę teraz o tym słuchać. Pragnąc się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, trzymam się planu dnia. Spotykam się z Ellą na kawie, załatwiam parę spraw i jadę

po Victory do Drew i Vivian.

Kiedy wchodzę do ich domu i witam się z córką, jestem już prawie wolna od czarnych myśli. Jednak nie zapominam o nich. Prześladowają mnie. Śledzą, krok po kroku, niczym widmo.

- W porządku, kochanie? - pyta mnie Vivian, kiedy sadzam Victory na biodrze. (Nie noś jej, jest już za duża. Ciągłe ją traktujesz jak maluszka - powtarza Gray). Victory jest tak zmęczona, że opiera się o mnie całym ciężarem. Pachnie magiczną mieszanką kremu przeciwsłonecznego, chloru i szamponu dla dzieci.

Odwracam się w jej stronę, zmuszając się do uśmiechu.

- Fałszywy alarm - mówię. Wszyscy znamy ten eufemizm.

- Na pewno?

Vivian wygląda na zmęczoną, ma sine worki pod oczami. Patrzy na mnie z takim niepokojem i miłością, że najchętniej rozplakałabym się w jej ramionach. Nie po raz pierwszy. Za nią fale zatoki uderzają bez entuzjazmu o brzeg. Tył domu jest zbudowany ze szkła. Basen wygląda, jakby wpływał do oceanu, ale jest to tylko starannie skonstruowana iluzja.

Wszyscy w tej rodzinie potrafimy je tworzyć.

- Mamusia się martwi - szepce Victory w moją szyję. - Nie martw się.

Obejmuje mnie mocniej szczupłymi ramionkami. Ściskam ją z całych sił.

- Nie martwię się, kochanie. - Mam wyrzuty sumienia. - Jestem zmęczona.

Nie wierzy mi. Dzieci nie można oszukać, nawet nie warto próbować, bo odbiera im się pewność siebie w dalszych latach.

- Dzwoniłaś do Graya?

Vivian marszczy brew. Pachnie cytrynową werbeną. Kładzie mi dłoń na ramieniu i delikatnie głaszcze. Mam nadzieję, że mój uśmiech

wygląda na beztroski.

- Nie było takiej potrzeby.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem, ale już nic nie mówi, tylko całuje mnie i Victory w policzek i mocno przytula. Kiedy odjeżdżamy, widzę, jak Drew stoi przy oknie na górze.

Tego popołudnia, gdy Victory drzemie, siadam w pokoju i spoglądając na ocean, zastanawiam się, jak mam umrzeć.

Jest już późno, kiedy Gray wraca do domu, Victory dawno śpi na górze. Siedzę na skórzanej kanapie, której nie wybrałam i której właściwie nie lubię. Wysokie płomienie tańczą w kominku, kiedy Gray otwiera wejściowe drzwi. Widzę tylko jego długi cień w przedpokoju i przeszywa mnie myśl, że to mógłby być każdy. W świetle staje mój zmęczony mąż. Nie wie, że go obserwuję. Gdy mnie zauważa, uśmiecha się i wygląda na trochę mniej znużonego walką ze światem.

- Hej! - Podchodzę do niego.

- Hej! - Ściska mnie mocno, a ja wpadam w jego objęcia i przytulam go z całych sił.

Nie ma w nim nic miękkiego. Ma twarde jak z żelaza, pięknie wyrzeźbione mięśnie.

Dopłynęłam do portu. Dzisiejsze wzburzone morze powoli cichnie.

- Masz ochotę na drinka?

Odsuwam się od niego. Obejmuje mnie jeszcze przez chwilę, zaglądając mi w oczy, potem puszcza.

- Co pijesz? - pyta.

- Wódkę z lodem.

- Może być.

Podchodzę do barku, skąd w ciągu dnia jest widok na nasz tylny taras. W nocy widzę w szklanych drzwiach tylko własne odbicie, kiedy wrzucam lód do kwadratowej szklanki i wlewam do niej

lodowatą wódkę z zamrażalnika. Kolejna rzecz, której nie wybrałam, barek zaopatrzony w alkohol, którego prawie nie pijemy. Cały ten dom, niedorzecznie ekstrawagancki ślubny prezent od teścia, urządzony i wyposażony przez Vivian, ma w zasadzie niewiele wspólnego ze mną i Grayem. Nie sposób za niego okazać tyle wdzięczności, ile od nas oczekują, i nie narzekać na detale, które nam nie odpowiadają.

Czasami mam uczucie, jakbyśmy mieszkali w modelowym domu, w którym wszystko lśni i jest doskonale, ale niekoniecznie odpowiada naszym gustom.

Podchodzę do Graya i podaję mu drinka. Siadamy. Kładę nogi na jego kolana i chwytam szklankę ze stolika. Lód już dawno się rozpuścił, wódka zmieszana z wodą jest ciepła, ale wypijam, bo jestem zbyt leniwa, żeby nalać sobie kolejnego drinka.

Jedne szklane drzwi są otwarte i czuję powiew zimnego jak na tę porę roku morskiego powietrza, ogrzanego ogniem z kominka. Gray patrzy w tę stronę. Na pewno uważa, że drzwi powinny być zamknięte na klucz, ale milczy. Przyglądam się jego bliźnie w kształcie sierpa między prawym okiem i skronią. Uświadamiam sobie, że prawie już nie dostrzegam jego blizn. Początkowo nie ufałam mu właśnie przez te blizny, wydawał mi się twardy i odpychający. Zastanawiałam się, jaka to straszna agresja odcisnęła piętno na tym człowieku, zostawiła na nim tyle śladów. Ale już znam odpowiedź na to pytanie. Poznałam jego serce.

- Znowu dzieje się to samo - mówię, kiedy siedzimy przez chwilę, wpatrując się w płomienie. Słowa brzmią melodramatycznie, nawet zanim zdążę dodać: - Tym razem jest jeszcze gorzej.

Prawie nie reaguje, ale widzę, jak zaciska szczękę pod cieniem czarnego zarostu. Patrzy na płomienie, powoli zamyka i otwiera oczy, bierze głęboki oddech.

- Już to przerabialiśmy.

Kładzie mi dłoń na ramieniu, patrzy w oczy. W półmroku nie widzę ich koloru, ale wiem, że są stalowoszare. Są takie od dnia jego urodzin, dlatego ma na imię Gray.

- Nie żyje - mówi. - Od dawna.

Zawsze był dla mnie delikatny, bez względu na to, ile razy o tym mówiliśmy.

Podciągam nogi pod siebie i wsuwam się w jego ramiona.

- Skąd wiesz? - Pytałam już o to setki razy, tylko po to, żeby usłyszeć odpowiedź.

- Zabiłem go. - Zbliża twarz do mojej, chcąc mnie utwierdzić w tym, jak bardzo jest pewien swoich słów. - Widziałem, jak umiera.

Płaczę, bo wiem, że on nie ma żadnych wątpliwości. A ja tak bardzo chcę w jego słowa uwierzyć.

- Chcesz znowu brać leki?

Nie, nie chcę tego. Pochyliła się do przodu i odstawia szklanę na stół. Kiedy się do niego przytulam, obejmuje mnie i pozwala mi tak długo płakać, aż poczuję ulgę. Nie wiadomo, ile to potrwa. Ale zawsze jest bardzo cierpliwy.

Rozdział 2

Schodzę wąskimi rdzewiejącymi schodkami i szybko idę przez długi hol, przytrzymując się ścian. Światło jest przyćmione, migocze. Z trudem przypominam sobie numer kabiny - chyba 203. Poza kapitanem na pokładzie jest pięciu mężczyzn, ale żadnego z nich nie widzę.

Kiedy podchodzę do drzwi, szukam po omacku zamka i otwieram drzwi. Koja jest wtulona w najdalszy róg. W szufladzie pod nią ukryłam swoje rzeczy, klękam i wyciągam torbę, rozpinam zamek i grzebię, dopóki nie znajdę tego, czego szukam - pistoletu. Lśniący dziewięćmilimetrowy glock, czarny mat, chłodny w dotyku.

Sprawdzam magazynek, wyjmuję z torby jeszcze jeden i chowam do kieszeni płaszcza. Pistolet wkładam za pasek dżinsów. Ćwiczyłam wyciągnij i naciśnij milion razy, ramię będzie wiedziało, co robić, nawet jeśli mózg zostanie sparaliżowany.

Mięsień zapamięta.

Zastanawiam się, co będę mogła zrobić. Znowu na pierwsze miejsce wysuwa się samobójstwo, bo jest proste i ostateczne. Tuż za samobójstwem plasuje się agresja, która jest tylko drogą objazdową do pierwszej opcji. Trzecią opcją jest przyczaić się w ukryciu.

Pozwolę mu, żeby się przebił między ludźmi, którzy mają mnie chronić, i znalazł mnie na statku. Będę na niego czekać z pistoletem, kiedy się do mnie zbliży.

Dudnienie w piersi uspokaja się, nasłuchuję dźwięków, które będą znaczyć, że rozpoczęła się walka, ale ciągle jest cicho i z daleka słychać szum silnika. Nie boję się, chyba że strach stał się częścią mnie do tego stopnia, że ma smak spokoju.

Rozdział 3

Mój ojciec jest artystą tatuażu i patologicznym kłamcą. Mogę mieć absolutną pewność, że każde słowo, które wypowiada, jest kłamstwem. Nic nie może na to poradzić.

- Jak się masz, tato? - pytam.
- Świetnie. - Jest podekscytowany. - Pakuję się.
- Jak to? - pytam z niedowierzaniem.
- Udaję się w rejs po Morzu Śródziemnym, jutro. Albo:
- Mówiłem ci już, że służyłem w siłach specjalnych w marynarce?
- Naprawdę? - Ledwie go słucham. - Kiedy?
- Podczas wojny w Wietnamie.
- No, no. Opowiedz mi o tym.
- Nie mogę. To zbyt bolesne. Wolałbym zapomnieć.

Tak to wygląda. Już mi to nie przeszkadza, bo zazwyczaj nie okłamuje mnie w ważnych sprawach. Kłamie w dziwnych sprawach. To mi przypomina czkawkę, która robi od wewnątrz bąbelki, samoistnie, i której nic nie zatrzyma. Pozwalam mu na tę grę, bo chociaż kłamie na potęgę, jest w nim coś prawdziwego. Był beznadziejnym ojcem, ale kocha mnie i wiem, że zawsze mnie kochał.

Kiedy podchodzi do telefonu, słyszę gwar, odgłosy rozmowy w oddali, szum igły do tatuażu wydającej dźwięk podobny do bzyczenia kolibra. Jego sklep, Body Art, znajduje się na Great Jones Street w NoHo. Mimo, że jego dziupla ma może trochę więcej niż sto metrów kwadratowych, on jest w tym taki świetny, że przyjeżdżają do niego ludzie z całego świata. Gwiazdy rocka, top modelki, a nawet (jak wieść niesie) zbuntowani młodzi członkowie saudyjskiej rodziny królewskiej znaleźli się pod jego igłą. Wiele lat się tym przechwalał,

ale mu nie wierzyłam. W końcu wysłał mi artykuł o nim w „Village Voice” i okazało się, że mówił prawdę. No i co wy na to?

- Wszystko w porządku? - Zniża głos, kiedy mnie poznaje.

- Świetnie - mówię. - U nas świetnie.

Przez chwilę milczy i wiem, że wyczuwa kłamstwo w moim i głosie. Znamy się nie od dziś. Słucham, jak oddycha, zastanawia się, co odpowiedzieć. Pamiętam wiele takich chwil, kiedy zapadała ciężka cisza podczas naszych długodystansowych rozmów, podczas których ja rozpaczalam, a on nie umiał albo nie chciał mi pomóc.

Wreszcie mówię:

- Opowiedz mi o tym jeszcze raz, tato.

- Kochanie - słyszę po długiej chwili, kiedy wypuszcza powietrze. - Opuść już.

Myślałem, że już dawno zamknęłaś ten rozdział.

Wzdycham, przysłuchując się, jak w pokoju obok Victory rozmawia z lalką. - Jesteś taka śliczna - mówi do niej. - W środku i na zewnątrz. Zdolna i silna.

Powtarza moje słowa, które do niej mówię, i ta myśl wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

- Opie, jesteś tam?

Mój ojciec zawsze uważał, że mam głupie imię. Nazywa mnie O albo Opie, czasami po prostu Ope. Jakby te jego zdrobnienia nie były głupie. Myślę, że przezywał mnie tak, drażniąc się z matką. Lecz te głupie zdrobnienia przyłgnęły do mnie.

- Opowiedz, proszę. - Staram się, żeby nie wyczuł, jak bardzo się denerwuję.

Zamykam oczy i widzę jego twarz, ogorzałą i pooraną zmarszczkami od słońca, pod którym ciągle jeździł na swoim harleyu. Kiedy był młodszy, długie, czarne włosy sięgały mu do połowy pleców. Nigdy nie widziałam całej jego twarzy, zawsze ją ukrywał pod

czarną, gęstą brodą. Kiedy widziałam go po raz ostatni, jego włosy i broda zaczynały siwieć. Odkąd pamiętam, nosił dżinsy, koszulkę z krótkimi rękawami i buty motocyklowe.

Głos miał przepity i przepalony.

- Byliście dzieciakami, kiedy się oboje u mnie zjawiliście. - Wiem, że chcę, żeby od tego zaczął. - Od pierwszego wejrzenia nii się nie spodobał, miał jakieś dziwne spojrzenie - prycha ze złością. - Naprawdę mi się nie spodobało, że stroiłaś do niego te swoje minki.

Byłem zazdrosny. Wiedziałem, że wdepnęłaś w niezłe kłopoty. Ale zawiodłem cię, córeczko. Ciągłe tego żałuję.

Słucham go, przypominając sobie tamte chwile.

- Powinienem był wtedy się z nim rozprawić, na przykład wezwać policję. Jednak nie zrobiłem tego. Moją najgorszą wadą jako ojca było to, że zawsze starałem się być twoim kumplem.

Mój ojciec miał wiele „wad jako”, wśród nich najgorsze było okłamywanie i porzucenie mnie. Chęć, żeby być moim kumplem nie była najgorszą rzeczą, której powinien żałować, ale oszczędzę mu tej wiedzy.

- Pozwoliłem wam ukrywać się u mnie przez jakiś czas. Nie wiedziałem, że było aż tak źle. Słowo. Naprawdę.

Słyszę w oddali dźwięk syreny. Ktoś wchodzi do pokoju i chrząka, ojciec kładzie dłoń na słuchawce i mówi coś jakby: „Jeszcze chwilę, do jasnej cholery”.

- Nigdy nie zrobiłeś takiego tatuażu. Ani wcześniej, ani później. - Niecierpliwie się.

- Zgadza się - odpowiada szybko. - Zrobiłem skurczybykowi tatuaż. Jedyne w swoim rodzaju. Jego rysunek, moja robota.

- Nie do podrobienia - rzucam. Wzdycha z pogardą.

- Przez nikogo, kogo znam w branży. A znam wszystkich. Takie dzieło zamierzałem wykonać dla ciebie. Ale nigdy nie chciałaś.

To prawda. I tak życie jest wystarczająco ciężkie, pozostawia zbyt wiele blizn, po co z własnej woli kłaść ciało pod igłę? Przekłuwanie to kolejna rzecz, której uniknęłam.

Nie rozumiem ludzi, którzy znajdują przyjemność w bólu.

- Opowiedz mi o tatuażu.

Najpierw wzdycha, jakby żałował, że w ogóle dał się namówić na tę rozmowę.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Może dlatego chciałem go zrobić. Piękna rzecz.

Wzburzone morze, fale uderzające o wystającą skałę, jakby to były zęby rekina - mnóstwo linii, cieni, mnóstwo małych schowanych obrazków w twarzy dziewczyny, a nawet w jej cieniu. To była twoja twarz, Opie. Stąd wiem.

Nie musi mi opisywać tatuażu, wrył mi się w pamięć. Ciągle do mnie powraca w snach i na jawie.

- I kiedy pokazali ci zdjęcie, nie pomyliłeś się. Zapada cisza.

- Nie. Na sto procent. Nie ma takiej możliwości. - I za chwilę. - On nie żyje, Opie.

- Mam na imię Annie.

Wiem, że nienawidzi tego imienia jeszcze bardziej niż Ofe-lii. Jego zdaniem jest pospolite. Ale nie bardziej pospolite niż Teddy March. Wszyscy wołają na niego „Niedźwiedź”. A ja dałabym sobie uciąć prawą rękę, żeby tylko być zwyczajną.

- Nie żyje, Annie. Już nigdy cię nie skrzywdzi. Ciebie czy kogoś innego. Nie zabił cię wtedy. Walczyłaś i wygrałaś.

Podobają mi się jego słowa. Chcę wierzyć, że mówi prawdę. Może jest patologicznym kłamcą, ale jego zdrowy rozsądek zawsze mnie uspokaja.

- Szkoda twojego życia na niego - ciągnie. - Krzywdzisz siebie, Victory i męża.

Zapomnij o nim. Masz jedno życie.

Znajduję ukojenie w małych rytuałach. W ciągu ostatnich kilku lat, wiedząc to, co wiem, mogłam się dzięki nim uspokoić, odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Tym razem nic nie działa, nie wiem dlaczego. Jakbym widziała znaki, których nikt inny nie widzi, psa biegającego w kółko, bo drgania pod ziemią ostrzegają go o nadchodzącym trzęsieniu ziemi, chmarę wron siadających na trawniku. Powtarzam sobie, że to się nie dzieje naprawdę, że to się dzieje w mojej głowie. Może powinnam porozmawiać o tym z lekarzem.

Esperanza, nasza gosposia i niania w jednej osobie, wyjmuje naczynia ze zmywarki i odkłada na miejsce, jak zawsze szybko i sprawnie, talerze, miski i sztuce. Włączyła telewizor i znowu widzę na ekranie zdjęcie martwej kobiety. Jakby nic innego nie wydarzyło się na świecie. Patrę na ofiarę, na jej cienkie włosy, napięty obojczyk i zmęczone oczy. Coś w jej twarzy na tym szkolnym zdjęciu mówi, że może przeczuwała swój tragiczny koniec, to, że jej okaleczone ciało zostanie znalezione pod wodą. Na jej twarzy maluje się straszna rozpacz.

- Okropne, co? - Esperanza widzi, że patrzę na ekran. Puka się w skroń. - Ludzie są chorzy.

Kiwam głową. Straszne. Zgadza się z nią. Z trudem odrywam wzrok od telewizora i wychodzę z kuchni. Wchodząc po schodach, słyszę, jak Esperanza nuci jakąś melodię.

Na górze Victory bawi się wesoło w swoim pokoju. Dopiero za jakiś czas zatęskni za moim towarzystwem albo zechce, żebym się nią zajęła. Na razie pochłonała ją świat, który stworzyła z lalkami Claude i Isabel. Ze swoimi dzidziusiami, jak o nich mówi.

W swoim pokoju słyszę przez monitor, który jeszcze trzymam w jej sypialni, jak do nich szepcze. Jej oddech, kiedy śpi, jest dla mnie

najsłodsza kołysanką. Ciekawe, kiedy poprosi, żebym go zabrała z jej pokoju. Ile będzie miała lat, kiedy nie zechce, żebym słuchała, jak oddycha? Mamo, powie, zajmij się czymś, daj mi żyć.

Kiedy miałam szesnaście lat, przeprowadziłam się z mamą z komunalnego mieszkania na Manhattanie na Lower East Side do osiedla przyczep na Florydzie.

Mama chciała być bliżej mężczyzny, z którym się związała. Od kilku miesięcy wymieniali rozgrzane do czerwoności grube listy, pisane czerwonym atramentem i czasami prowadzili telefoniczne rozmowy na koszt abonenta, podczas których mama gruchała do słuchawki, trzymając ją tak blisko ust, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zaczęła ją ssać. Po ckliwych deklaracjach i płynących z głębi serca obietnicach mama wrzuciła nasze rzeczy na tył brązowego chevroleta, którego kupiliśmy za siedemset dolarów, i obie ruszyliśmy na południe, żeby rozpocząć nowe życie.

- Będzie nam tam o wiele lepiej - powiedziała bez cienia wątpliwości w głosie. - Na dłużej starczy nam pieniędzy. I tam jest tak pięknie.

Przez okno samochodu patrzyłam na Lower East Side i zastanawiałam się, czy jest miejsce piękniejsze od Nowego Jorku. Jasne, że potrafi być zimnym, niebezpiecznym i strasznym miastem, w którym ludzie są samotni w tłumie. Ale dzięki wspaniałej architekturze, ulicznemu zgiełkowi, energii milionów mieszkańców nie da się go pomylić z żadnym innym - tylko tu tak bije serce miasta. Jest jedyne na świecie.

Największe piękności w historii: Kleopatra, Mona Liza, Ava Gardner nie były piękne w tandetnym i tanim stylu, który dzisiaj uchodzi za wspaniały. Były piękne, bo były wyjątkowe, na zewnątrz i wewnątrz, miały cechy, które u kogoś innego mogłyby uchodzić za brzydkie. Jeśli nie wiesz, jak patrzeć na Nowy Jork, na jego ukryte

alejki, malutkie, efektowne, szlachetne boczne uliczki, na jego aureę figlar-ności, pulsujące nocne życie, to może cię onieśmielić, a nawet odrzucić od siebie zapachami i dźwiękami, możesz się zniechęcić, bo jest zbyt ostentacyjny, zbyt wyniosły. Twoja strata.

Miałam nadzieję, że ojciec tak łatwo mnie nie puści, kiedy mama zdecydowała o wyjeździe, jednak on wydawał się nawet z nią zgadzać, że przeprowadzka dobrze mi zrobi. Miałam w szkole kłopoty, byłam beczelna, spóźniałam się, wagarowałam.

Miasto było pokusą dla dziewczyny puszczonej samopas przez rodziców. W każdym razie moje potrzeby zawsze były na szarym końcu, kiedy rodzice podejmowali decyzje. Dla matki najważniejsza była atencja mężczyzny. Ojciec najbardziej ze wszystkiego na świecie kochał swoją sztukę. Gdzieś między tym wszystkim byłam ja, tak sądzę. Co nie znaczy, że mnie nie kochali.

- Nie martw się tym, mała. Stąd na Florydę jest niedaleko. Będziemy się odwiedzać - powiedział, kiedy płakałam przytulona do niego.

Mimo obietnic ani razu do mnie nie przyjechał. Zobaczyliśmy się dopiero prawie dwa lata później, kiedy uciekłam z domu. Wyprzedzam jednak fakty.

Wprowadziłyśmy się do przyczepy, a mama zaczęła pracować jako kelnerka kilka przecznic dalej, na szczęście, bo nasz chevrolet trzykrotnie się przegrzał w drodze na Florydę, aż w końcu wyzionął ducha, kiedy dojechałyśmy na miejsce.

- Nic się nie dzieje bez przyczyny - rzekła z typowym dla siebie infantylnym optymizmem, kiedy samochód prychnął i wreszcie padł. - Tu wszystko można załatwić bez samochodu. W razie potrzeby wezwiemy taksówkę. A do Franka będę jeździć autobusem.

Oszczędzimy na benzynie i ubezpieczeniu. -Jeśli był ktoś, kto miał mniej powodów, żeby liczyć na łut szczęścia, to nie chciałabym go

poznać. Nigdy jej się nic nie udało. I jeśli istniała jakaś przyczyna dla zdarzeń w jej życiu, to nie była ona dla mnie jasna.

Na przykład gość, dla którego się tam przeniosłyśmy, był w porządku, miał łagodny głos, miło mnie traktował podczas odwiedzin. Ale było jedno ale - skazany za gwałty i morderstwa oczekiwał na karę śmierci w stanowym więzieniu na Florydzie. Moja matka „poznała” go podczas kampanii pisania listów, zainicjowanej przez Kościół.

Kampania miała szerzyć słowo Pana wśród zbłąkanych dusz odsiadujących wyrok w celi śmierci, żeby ich „uratować”, nim zostaną ukarani na ziemi za złe czyny, które popełnili. Moja matka oczywiście trochę przesadziła z tym ratowaniem.

Nigdy nie zapomnę naszego pierwszego sierpnia, który tam spędziłyśmy. Nie miałam pojęcia, że może być aż tak gorąco; wilgoć oblepiała moją twarz niczym kawałek gazy, wpełzała i rozchodziła się po płucach. Całymi godzinami gwałtowne burze z błyskawicami rozświetlały niebo, a ulewa przeobraziła się w rzekę płynącą przed naszą przyczepą. W porównaniu z owadami palmetto karaluchy z Nowego Jorku płażały niewinnie niczym biedronki. Jedyne, co ratowało sytuację, to księżyc w pełni zawieszony nad rozkołysanymi palmami i zapach pomarańcz w powietrzu. Ale w rzeczywistości to miejsce było tragiczne i pełne grozy. Istne piekło. Nienawidziłam go i nienawidziłam mamy za to, że mnie tu przywiozła.

Floryda, gdzie teraz mieszkam z Grayem i Victorią, jest inna. Jest to Floryda zamożnych ludzi, lśniących kabrioletów, domów-pałaców, widoków na ocean i plaż z białym piaskiem, margarit i Jimmyego Buffeta. Jest to Floryda firmy klimatyzacyjnej Central Air i wyprasowanych sztywnych bawełnianych koszul do gry w golfa wkładanych do spodni khaki, dni spędzanych w country klubach i na dwudziestometrowych jachtach. Prawdę mówiąc, tej Florydy również nienawidzę. Za fałsz, tandetę, za nowobogactwo, za próżność

wypełnionych silikonem wyfiokowanych blond kobiet podobnych do lalki Barbie.

Tęsknię za betonem i gwarem ulicznym. Tęsknię za żółtymi taksówkami i stoiskami z hot dogami. Potrzebuję bezdomnych bez nóg przesuwających się na wózkach po wagonikach metra, potrzęsających hałaśliwie słoiczkami z bilonem.

Myślę o tym, siedząc na podłodze przy łóżku, sięgając pod materac. Wycięłam tam dużą dziurę i trzymam rzeczy, które nie spodobałyby się ani Grayowi, ani mojemu lekarzowi. Po prostu nie zrozumieliby tego. Szukam po omacku, jednak nie czuję nic pod palcami. Może Gray je znalazł, myślę w panice. Może zabrał, żeby sprawdzić, ile czasu minie, zanim znowu zacznę ich szukać. Z wielką ulgą wymacałam gładką, chłodną powierzchnię jednej z rzeczy.

- Mamusiu. - Z monitora dobiega mnie szept Victory. Słyszę ją, ona mnie nie, i wie o tym. - Mamusiu - mówi głośniej - przyjdź do mnie. Jakiś dziwny pan jest na naszej plaży.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy do niej biegnę. Wpadłam w panikę, mam wrażenie, że przedpokój się wydłużył i rozciągnął. Ale kiedy wpadam do jej pokoju, przerażona i bez tchu, nikogo na naszym terenie nie widzę. Przez okno dostrzegam jedynie zachmurzone czarno-szare niebo i grzywy fal.

Mieszkamy na skraju długiej plaży, tuż obok państwowego rezerwatu przyrody. W naszym sąsiedztwie jest pięć domków, z których trzy stoją puste przez większość roku. Właściciele spędzają w nich weekendy i zimę. Właściwie jesteśmy tutaj sami pośród wielkich niebieskich czapli i czapli śnieżnych, dzikich papug i składających jaja morskich żółwi. Gdyby nie zatoka i mewy, panowałyby tu wielka cisza. W sezonie ludzie spacerują po plaży, ale niewielu zagląda tutaj, bo wszystkie restauracje, bary i hotele są ponad kilometr stąd na południe.

- Gdzie, Victory?

Mówię za głośno. Znowu się bawi lalkami. Właśnie urządzają podwieczorek. Podnosi na mnie wzrok znad lalek, przygląda się badawczo mojej twarzy, nie rozumie mojego tonu. Udaję, że nie jestem przerażona, chyba nawet zdołałam ją oszukać. Podchodzi do okna i wzrusza ramionami.

- Poszedł sobie - rzuca od niechcienia, wraca do dzidziusiów i znów siada na podłodze.

- Co robił?

Wpatruję się w wysoką trawę, która odgradza naszą posesję od plaży. Nie dostrzegam żadnego ruchu, ale oczyma wyobraźni widzę, jak ktoś podchodzi pod nasz dom. Nie ujrzalybyśmy go, dopóki by się nie zbliżył do basenu. Ostatnio zaniedbaliśmy ochronę, dałam się zwieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. To był błąd.

- Patrzył - mówi. Serce mi zamiera.

- Patrzył na dom?

Spogląda na mnie i przechyla głowę.

- Nie, na ptaki. Patrzył na ptaki.

Udaje, że wlewa herbatę do kubeczków. Esperanza nadal nuci w kuchni. Na plaży nikogo nie ma. Słońce wychodzi zza chmur i maluje świat na złoty kolor. Zadzwonię do mojego psychiatry, mam tego dość.

Rozdział 4

Parę miesięcy po naszej przeprowadzce, kiedy wreszcie się trochę przyzwyczaiłam do nowej szkoły, matka zaczęła się dziwnie zachowywać. Typowe dla niej maniackalne zwyczaje nastrojów i doły zastąpiła równowaga, która była dla mnie dziwna, a nawet trochę przerażająca. Początkowo zmiany były niewielkie. Najpierw zauważyłam, że przestała się malować.

Była śliczną kobietą, o ładnej strukturze kości i długich jedwabistych, gęstych włosach. Jej rzęsy i brwi, tak jak włosy, były jasne, niewidoczne bez nałożenia tuszu i podkreślenia ołówkiem. Bez makijażu była nijaka, jakby zmęczona. Zawsze bardzo dbała o wygląd. „Uroda to potęga”, mawiała, chociaż ja akurat tego nie zauważyłam.

W niedzielę rano siedzieliśmy w kuchni. Jadłam płatki, oglądając kreskówki na małym czarno-białym ekranie telewizora, który stał na blacie, a mama szykowała się na popołudniową zmianę w jadłodajni. Przedpotopowy klimatyzator w oknie toczył bój z sierpniowym upałem i mimo jego starań, czułam kropelki potu na brwiach i ustach.

Zerknęłam na matkę, która, oparta o blat, z zawieszoną na ramieniu torbą, piła kawę z czerwonego kubka. Wpatrzona w niewidzialny punkt wydawała się nieobecna.

- Mamo, nie umalujesz się? - zapytałam, złośliwie naśladując jej swiergotliwy sposób mówienia.

- Nie - odrzekła apatycznie. - Już się nie będę malować.

- Dlaczego? - Malowanie jest ordynarne. Frank uważa, że wyglądam jak dziwka.

Usłyszawszy jej słowa, poczułam ucisk w żołądku, chociaż wtedy nie umiałam tego wytłumaczyć.

- Powiedział ci to? Kiwnęła głową.

- Powiedział, że nie może zasnąć, wiedząc, że chodzę umalowana, a mężczyźni przyglądają mi się pożądliwie, pragnąc mnie przelecieć za każdą cenę. Mówił, że powinnam pokazywać twarz taką, jak ją stworzył Pan Bóg. I ma rację.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Jednak nawet jako szesnastolatka, a właściwie siedemnastolatka, wiedziałam, że to było chore i że nie wiadomo, co z tym zrobić.

- Mamo - wykrztusiłam - przecież to jakaś bzdura.

- Uważaj na swoje słowa, Ofelio - warknęła, kierując na mnie rozzłoszczony wzrok.

- Nie tak cię wychowałam. Kiedy Frank wróci do domu, nie będziesz mogła tak mówić.

Po chwili oderwała ode mnie spojrzenie i wyjrzała przez okno, jakby kogoś oczekiwała.

- Mamo, Frank siedzi w celi śmierci - powiedziałam spokojnie. - Nie wróci do domu.

Odwróciła się i rzuciła ostro:

- Nie mów tak.

- Przecież to prawda. Dobrze wiesz.

- Nie masz o tym pojęcia - podniosła głos. - Są nowe dowody na to, że nie mógł popełnić przestępstw, o które został oskarżony. Jest niewinny. Bóg nie pozwoli, żeby niewinny człowiek umarł za nie swoje zbrodnie.

Jej głos przeszedł w pisk, a w oczach zakręciły się łzy. Walnęła pustym kubkiem o blat i wyszła bez słowa. Rozmawiałam o tym setki razy z psychiatrą. O tym pierwszym razie, kiedy zrozumiałam, że coś z nią nie tak, że naprawdę coś złego się z nią dzieje.

- Jak się potem czułaś, kiedy wyszła?

- Było mi niedobrze - odpowiadam. - Wystraszyłam się.

- Czego?

- Wydała mi się... inna. I nie chciałam, żeby Frank „wrócił do domu”. Myślałam, że będzie z nim tylko przez jakiś czas, że ich związek się rozpadnie, jak wszystkie inne, i wrócimy do Nowego Jorku.

- Bałaś się go? Idiotyczne pytanie.

- Był skazany za gwałt i morderstwa - mówię powoli. Lekarz grzecznie kiwa głową w milczeniu, czekając, co jeszcze powiem. Kiedy przerywam, mówi:

- Twoja matka uważała, że jest niewinny. Czy to było zupełnie niemożliwe? Wielu ludzi zostaje skazanych za przestępstwa, których nie popełnili. - Jest adwokatem diabła, chce, żebym broniła swojego stanowiska. Bardziej mnie to denerwuje, niż mi pomaga.

- Zgoda, uważała, że jest niewinny - mówię. Pamiętam te żenujące odwiedziny, kiedy kładli swoje dłonie na rozdzielającej ich szybie, dopóki strażnik nie warknął, żeby przestali. Pamiętam jego spojrzenie, kiedy pytał mnie o szkołę. Było w nim coś takiego, że chciałam uciec stamtąd z wyciem. - Miał martwy wzrok - mówię. - Nawet kiedy się uśmiechał, czegoś... brakowało. I te zmiany w matce. Jeśli miał na nią taki wpływ, siedząc w więzieniu, to co by było, gdyby z nami zamieszkał?

Lekarz milczy przez chwilę, wreszcie pyta:

- Co, twoim zdaniem, mogłaś wtedy zrobić, żeby zmienić bieg wydarzeń?

W tym sęk. Tu wszystko się kończy i zaczyna. Od tego poranka w przyczepie z matką. Jestem przekonana, że to był ostatni moment, kiedy sprawy mogły się potoczyć inaczej. Gdybym za nią pobiegła i zmusiła ją, żeby mi powiedziała, co zamierza. Gdybym się jej przyznała, jak bardzo jest mi źle, jaka jestem przerażona, że Frank jest winny i że nigdy, przenigdy nie powinien z nami zamieszkać, może by ranie posłuchała. Mówię o tym wszystkim psychiatrze.

- Naprawdę myślisz, że by cię posłuchała?
- Pewnie nigdy się nie dowiem.

Pozwala moim słowom zawisnąć w próżni. Oboje słyszeliśmy je już ze sto razy.

Mimo to nie jest mi ani trochę łatwiej.

- I co wtedy zrobiłaś?

- Zjadłam płatki, obejrzałam telewizję. Powiedziałam sobie-że jest stuknięta, że jest idiotką. I wyrzuciłam te myśli z głowy.

- Dobrze ci to wychodzi.

- Wyrzucanie myśli z głowy? Owszem.

Nie podoba mi się jego gabinet. Aksamitna kanapa jest miękka, ale tandetna. Raczej mnie odpycha, żebym sobie stąd poszła, niż zaprasza, żebym na niej usiadła. Jest tu zbyt chłodno, jak w lodówce, tak jak w innych mroźnych wnętrzach na Florydzie.

Koniuszek mojego nosa jest zimny, chociaż na zewnątrz panuje upał i słońce odbija się od ciepłych zielonych wód Intracoastal Waterway. Nie leżę na kozetce, tylko siedzę po turecku w kącie; podczas pierwszej wizyty powiedział mi, że mogę się wyciągnąć, jeśli tak będzie mi wygodniej. Odmówiłam. Siedzi naprzeciwko mnie, na obszernym krześle, które z łatwością wypełnia, na niskim stoliku między nami leżą albumy o sztuce: Picasso, Rembrandt, Georgia O'Keefe. Przestrzeń udaje dzienny pokój, a nie gabinet. Wszystko tu trąci fałszem - stół, półki na książki, biurko wykonane z taniego forniru, takie, jakie przychodzi w częściach zapakowane w pudłach, z torbą ze śrubami i ulotką z nieczytelną instrukcją.

Pokój wydaje się chwilowy, przemijający, przelotny i nie daje ukojenia. Wolałabym, żeby meble były dębowe, ciężkie i wystawne. Za oknem powinien być jesienny, wietrzny dzień jak w Nowej Anglii, z liśćmi zmieniającymi kolor, może z zapowiedzią śniegu. Psychiatra powinien mieć na sobie sweter. Brązowy.

Nie robi notatek, nigdy nie nagrywa naszych spotkań. Nalegałam, żeby tego nie robił. Nie chcę, żeby gdziekolwiek był zapis moich myśli. Zgodził się, powiedział, że najważniejsze jest, żebym się odprężyła. Ale zawsze się zastanawiałam, czy spisuje naprędce moje myśli po sesji. Świetnie pamięta, o czym ostatnio mówiliśmy.

Wiele rzeczy mu powiedziałam, ale i wiele sekretów zachowałam dla siebie. Chodzę do niego od roku raz na jakiś czas, od kiedy poleciła mi go Vivian. (To przyjaciel Marthy - powiedziała. - Marthy? - O, pamiętasz Marthę? Zorganizowała wieczór dobroczynny.

Nieważne. Słyszałam, że jest świetny). Podczas sesji odkrywam prawdę o moich uczuciach, ale zmieniam imiona bohaterów mojej bajki. Wielu rzeczy się o mnie nie dowie.

- Annie - mówi teraz - dlaczego do tego wracamy? Mocno trę oczy, jakbym chciała wymazać napięcie.

- Czuję jego obecność.

Podnoszę na niego wzrok i widzę jego dobre, ciepłe oczy. Podoba mi się, chociaż nie ma na sobie brązowego swetra, jest starszym siwym mężczyzną o twarzy tak opalonej i pooranej zmarszczkami, że przypomina rękawicę bejsbolową starego łapacza. Ale jest mu z tym do twarzy. Jest ubrany w bawełniane spodnie, lekką płócienną koszulę i płócienne sandały. Nie wygląda na psychiatrę, raczej na ulubionego wujka lub sympatycznego sąsiada, z którym chętnie zamienię kilka słów przy skrzynce na listy.

- Nie czujesz jej - mówi łagodnie, lecz stanowczo. - Tak uważasz, ale to nie to.

Uważnie dobieraj słowa, kiedy ze sobą rozmawiasz. Nazywaj rzeczy po imieniu. Epizod, atak paniki, jakkolwiek. Nie wyobrażaj sobie, że masz jakieś genialne przeczucie, że martwy człowiek wrócił po ciebie.

Kiwam głową. Wiem, że ma rację.

- Dlaczego to takie trudne? - mówię. - Wydaje się takie realne. O

wiele gorsze niż kiedyś.

- Jaki mamy dzisiaj dzień? - pyta.

Zastanawiam się i odpowiadam. Wiem, do czego zmierza, i poruszam przecząco głową.

- Nie o to chodzi.

- Na pewno?

Nie odpowiadam, ponieważ oczywiście nie jestem pewna ani tego, ani niczego innego.

Może ma rację.

- Nie pamiętam.

- Część ciebie pamięta. Chociaż świadomie wypierasz pamięć o pewnych zdarzeniach, to ona żyje w tobie. Chce, żebyś ją uznała, przyjęła i uwolniła. Przy nadarzającej się okazji wyjdzie na powierzchnię. Gdy będziesz dość silna, żeby się z nią zmierzyć, myślę, że powróci cała. Jesteś silniejsza niż wtedy, kiedy cię poznałem, Annie. Może nadszedł czas, żeby stawić czoło demonom. Może właśnie dlatego twoje uczucia są aż tak intensywne.

Patrząc na niego, gotowa jestem uwierzyć, że mogę to zrobić, zajrzeć w mroczne miejsca, które są we mnie, zmierzyć się z nimi i pokonać wszystko, cokolwiek jeszcze we mnie tkwi.

- On nie żyje. Jednak dopóki się nie uporasz ze wspomnieniami jego czynów, nadal będzie w tobie żył. Nigdy się nie uwolniesz.

Mówi to, co mój ojciec i Gray. Logicznie rzecz biorąc, wiem, że mają rację. Jednak moje serce i krew czują coś innego, są czujne, jak gazy w parku Serengeti, jak polna mysz w lesie. Jestem jego łupem. Znam swoje miejsce w łańcuchu pokarmowym i muszę już na zawsze być wyczulona na zapach i cień.

Rozdział 5

Kulę się w kabinie; ukryję się w kącie przy drzwiach, kiedy otworzą się na oścież. Mam wolniejszy oddech, nogi mnie bołą w tej pozycji, w której jestem, od nie wiem jak dawna. Słyszę tylko dudnienie silnika. Zastanawiam się, czy aby na pewno wszystko jest w porządku. Możliwe, że tam nawet nie ma drugiego statku, mówię do siebie. Może to noc płata mi figle, moja paranoiczna wyobraźnia, kombinacja tych dwóch czynników. Już zaczynam się godzić z taką możliwością, kiedy ktoś puka do drzwi. Tak mnie to wystraszyło, że odchyłam gwałtownie głowę i uderzam się w ścianę.

- Annie - słyszę stłumiony męski głos. - Jesteś tam?

Rozpoznaję australijski akcent, to głos jednego z mężczyzn wynajętych, żeby mi pomóc.

Otwieram drzwi. Natychmiast spogląda na pistolet przy moim boku. Kiwa głową z aprobatą.

- Za nami jest drugi statek - informuje mnie. Ma przenikliwe, jasne oczy, umięśnione ciało. Nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa. Wszyscy mają ciężkie, twarde imiona, które przypominają pięść przyłożoną do szczęki. Dax, chyba tak się jej przedstawił. Tak, na pewno Dax. - Może to statek rybacki, kłusownicy, a nawet piraci. Pozdrowiliśmy ich, ale nie odpowiedzieli. Wzrokiem bada pokój. Podchodzi i sprawdza zamek na luku, iluminator, otwór strzelniczy, wydaje się zadowolony, że pokój jest bezpieczny. Taki już jest. Wszyscy ci mężczyźni tutaj tacy są, sprawdzają granice umocnień, analizują słabości. To mi się w nich podoba.

- Tylko zgaś światło i zamknij drzwi. Przyjdę po ciebie, kiedy się upewnię, że jest bezpiecznie.

- Okej.

Chcę być taka jak on, twarda i opanowana. Wychodząc, patrzy na mnie ze współczuciem, a ja zamykam za nim drzwi. Wydają się tak liche, jakby były z kartonu.

Gaszę światło i ponownie kulę się w sobie.

Następnego dnia po spotkaniu z psychiatrą czuję się lepiej. Może z powodu środka nasennego, który wczoraj wieczorem wzięłam na prośbę Graya. Siedzimy we dwójkę w kuchni zalanej słońcem, pijemy kawę, moje złe przeczucia się ulotniły.

- Lepiej się czujesz po spotkaniu z Brownem? - pyta Gray. Czuję się zniechęcona, kiedy Gray o nim wspomina. Bardzo się staram oddzielać te dwie części mnie. Tu jestem Annie, mam męża Graya i córkę Victory. Tam jestem chorą psychicznie pacjentką, którą prześladowają traumy z przeszłości. Nie chcę, żeby te dwie części się ze sobą stykały.

- Tak, lepiej - zbywam go tonem z gatunku „nic mi nie jest.” - Wini za to porę roku.

Gray kładzie mi dłoń na ramieniu. Wyjeżdża na kilka dni. Nie wiem, dokąd jedzie i kiedy wróci, to część naszego wspólnego życia.

- Vivian może się tu przenieść. Albo wy do niej - mówi. Nie chce, żebym dostrzegła niepokój w jego głosie i wzroku.

- Nie, nie - odpowiadam beztrósco. - To naprawdę nie jest konieczne. Zadzwońię do niej, jeśli będę jej potrzebować.

Kocham Vivian, macochę Graya. Ale nie znoszę, jak na mnie czasami patrzy, jakbym była cenną błyskotką w rękach dziecka, która zaraz spadnie na ziemię i rozbije się na tysiąc kawałków. Może myśli, że jestem złą matką, martwi się o Victory. Wolę jednak nie zadawać pytań, na które nie chcę usłyszeć odpowiedzi.

Przez chwilę gawędzimy o codziennych sprawach: o tym, że ogrodnik jest okropny i strasznie zapuścił trawnik, ale jest bardzo miłym człowiekiem i nie mamy serca go wyrzucić; o tym że rury

wydają dziwne dźwięki, kiedy puszcza gorącą wodę; że trzeba wezwać hydraulika, że nowa pani z przedszkola Victory jest bardzo miła.

Potem Gray wstaje, bierze mnie w ramiona i mocno przytula. Ściskam go z całych sił i całuję w usta. Nie mówię: „Uważaj na siebie”. Nie mówię: „Zadzwoń, kiedy będziesz mógł”. Mówię po prostu: „Kocham cię. Do zobaczenia wkrótce”. Gray wychodzi.

- Naprawdę nie muszę dzisiaj iść do przedszkola, mamusiu - dobiega mnie z tylnego siedzenia samochodu głos Victory. Jedziemy drogą wzdłuż oceanu. Przedszkole znajduje się dziesięć minut od nas w starym kolonialnym domu przerobionym na kreatywne przedszkole, gdzie mali szczęściarze malują i rzeźbią w glinie, uczą się alfabetu i cyferek.

- Naprawdę? - pytam.

- Tak - mówi po prostu. Patrzy na mnie w lusterku wstecznym, tym niewinnym, pełnym oddania wzrokiem. - Może będziesz mnie dzisiaj potrzebować.

Serce mi się kraje na dźwięk jej słów. Jestem niedobłą matką. Moja czteroletnia córeczka wyczuła mój niepokój i zastanawia się, czy może mnie zostawić samą.

- Dlaczego?

Widzę w lusterku, jak wzrusza ramionami. Dotyka paluszkami wargi na różowym plecaczku.

- Nie wiem - mówi powoli w ten swój słodki sposób. -Esperanza mi mówiła, że upiecze ciasteczka. Może mnie potrzebować.

- Aha - odpowiadam z ulgą. - I pewnie myślisz, że jej nie pomogę.

- No, jak czasami pomagasz, to spody są przypalone. I wtedy są niesmaczne.

Okropnie gotuję i wszyscy o tym wiedzą.

- W takim razie poczekamy, aż wrócisz i wtedy jej pomożesz.

Spogląda w lusterko, uśmiecha się i energicznie kiwa główką.

- Dobrze - mówi - bardzo dobrze.

Załatwione. Wyjmuję ją z samochodu i przez chwilę rozmawiam z innymi mamami na ganku przed przedszkolem. Zanim wsiądę do samochodu, widzę przez okno, jak Victory wkłada czerwony fartuszek i zasiada do malowania palcami. Czuję w sercu znajomy skurcz, zawsze tak się czuję, kiedy gdzieś ją zostawiam, nawet w miejscu tak bezpiecznym i radosnym jak to małe przedszkole.

Po powrocie do domu odkrywam, że nie ma Esperanzy Pewnie coś załatwia lub pobiegła do sklepu po to, czego wczoraj zapomniałam kupić. Zawsze o czymś zapomnę, nawet jeśli biorę ze sobą listę. Czuję zapach jej mistrzowskiej potrawy chi-li dochodzącej na wolnym ogniu. Może poszła do meksykańskiego sklepu spożywczego w centrum po świeże tortille. Moczę usta w porannej kawie i wchodzę na drugie piętro. Na drzwiach gabinetu Graya wbijam kod nad gałką i wślizguję się do środka.

W pokoju panuje półmrok, kolonialne okiennice są zamknięte. Widać tu królestwo mężczyzny, wszystko jest w skórze i w dębie, półki na książki pną się do góry, w rogu na stoliku stoi wielki globus, a w zamkniętej szafce na ścianie wisi samurajski miecz. Przez chwilę patrzę na niego i myślę, jak bardzo ta wisząca broń na ścianie - tak jakby była jakimś trofeum -nie pasuje do Graya. To kolejny dowód na pretensjonalność Drew. Jedyne, co w tym pokoju naprawdę należy do Graya, to zdjęcia moje i Victory na biurku.

Siadam na obszernym skórzanym krześle za biurkiem i włączam komputer. Wpatruję się w wielki ekran, który wygrywa elektroniczne piosenki i wyświetla obrazki. Kiedy jest gotowy, wpisuję hasło i otwieram Internet.

Mój lekarz poprosił mnie, żebym spróbowała sobie przypomnieć wątki, które pozamykałam, żebym zbadała te puste, otwarte

przestrzenie, które definiują moją przeszłość. Zdecydowałam się go posłuchać, jak już dokonam tej ostatniej rzeczy, zrealizuję ten ostatni pomysł, żeby się upewnić, że wszystko gra.

Wpisuję jego nazwisko do szybkiej wyszukiwarki i przez następne dwie godziny czytam o jego zbrodniach, pościgu jego śladami i wreszcie o jego śmierci. Następnie otwieram akta Graya dotyczące tej sprawy, czytam notatki, które robił podczas dwuletniego dochodzenia toczącego się w pięciu stanach. Wbijam wzrok w zdjęcia z miejsc zbrodni, wchłaniam widok krwi, całą grozę. Kiedy kończę, odczuwam wielką ulgę. Przenoszę się na skórzaną kanapę, zamykam oczy i próbuję się odprężyć, oddychając głęboko. Ale im bardziej próbuję przywołać wspomnienia, tym szybciej mi umykają. Taka jestem tym wszystkim sfrustrowana i rozzłoszczona, że idę pobiegać.

Biegąc plażą, mijam domki zimowe. Wyglądają bardziej na dobrze wyposażone pensjonaty niż na prywatne domki. Niebo zmienia kolor z pastelowoniebieskiego na szary, w oddali słyszę łoskot zbliżającej się burzy. Wyniosłe, strzeliste cumulusy przypominają miękkie góry bieli i czerni na tle srebrnego nieba, są groźne i piękne jednocześnie. Biegnę najszybciej, jak potrafię. Chcę poczuć ból i wyczerpanie.

Padnę, gdy skończę i rozboli mnie głowa z wysiłku.

Kiedy minę ostatni domek, znajdę się w rezerwacie przyrody. Przedemną roztacza się pusta plaża, na wschód widzę owies morski, wysoką rozkołysaną trawę i rozmaite odmiany wysokich palm. Co kilka kroków niskie znaki ostrzegają turystów, żeby trzymali się linii wody i nie wchodzili w trawę, ponieważ na tym chronionym kawałku ziemi lęgą się ptaki i żółwie. Trudno uwierzyć, że istnieje takie bezludne i prywatne miejsce na Florydzie, która zamieniła się w wielki plac budowy, gdzie na horyzoncie apartamentowce strzelają w górę, jakby wyskakiwały prosto z ziemi w pełnym kształcie. Lokalni

mieszkańcy żartują, że ptakiem, który reprezentuje ten stan, jest żuraw budowlany. Bardzo sobie cenię tę ciszę i pustkę, w której mieszkamy, i zastanawiam się, jak długo to jeszcze potrwa. Na cyplu odwracam się wyczerpana i bez tchu, nieco zwalniam, chcę równo rozłożyć siły, żeby dobiec do domu.

Zatoka jest raczej spokojna, a ciepłe anemiczne fale mogą rozczarować przyzwyczajonych do szalejących fal Atlantyku. Ale dzisiejsza fala jest wysoka i mocna, woda wygląda jak upiorny i wzburzony stop miedzi, cyny i cynku.

Niebo jest coraz ciemniejsze i martwię się, czy zdążę do domu przed burzą. To nierozsądne być jedynym obiektem na plaży, kiedy mogą uderzyć pioruny. Jest o wiele za wcześnie i o wiele za chłodno na taką pogodę, myślę. Zwiększam tempo, chociaż moje ciało się przeciwko temu buntuje.

Wzmaga się wiatr, a ja dostrzegam coś na piasku, coś, czego raczej nie było, kiedy biegłam w drugą stronę. Jest jeszcze daleko ode mnie, wygląda jak duża, bezkształtna czarna masa, do połowy zanurzona w wodzie. Może to torba na śmieci. Albo bryła wodorostów. Zdechły tarpon albo granik, obie są dużymi szarymi rybami. Jakiś głos mi podpowiada, żebym zwolniła, trzymała się od tego z daleka. Ale nie ma innej drogi do domu, grzmoty są coraz głośniejsze, niebo rozświetlają błyskawice. Pędzę przed siebie.

Trawa i owies rozpoczęły swój taniec i szeptanie na wietrze. A masa przede mną się poruszyła. Może z powodu wiatru, ale nie jestem pewna. Pomimo szalejącej burzy zwalniam tempo.

Poruszam się powoli, starając się obejść to coś szerokim łukiem. Nie zatrzymuję się, żeby sprawdzić, co to jest, jakby to zrobiła Victory, która upiera się, żeby każdą rzecz przyniesioną przez przyływ wrzucić z powrotem do morza, albo szłocha niepokieszona w moich ramionach, jeśli czegoś nie uda nam się uratować. Na mnie te rzeczy

nie robią już takiego wrażenia. Wszyscy jesteśmy wyrzuceni na brzeg, miotani na wszystkie strony świata, w poszukiwaniu drogi do domu. „Każdy jest kowalem własnego losu”. Tak obecnie brzmi moje motto.

Serce skacze mi do gardła, kiedy podbiegam bliżej i widzę, że ta masa to człowiek odwrócony do mnie plecami. Ma czarne przemoczone ubranie, jest cały w wodorostach.

Jego trupio bladą dłoń przysypał piasek. Zatrzymuję się i rozglądam po plaży. Wokół mnie nie ma żywej duszy. Niebo jest prawie czarne, pioruny dudnią coraz głośniejsze. Powinnam biec dalej, wiem o tym. Ruszyć do telefonu, zadzwonić po pomoc, a jednak zwalniam krok do spacerowego i zbliżam się do mężczyzny.

Przypominam sobie, że widziałam go w oddali, jak szedł. Albo może wiatr wydał jego ubranie. A jeśli, myślę, on żyje, to może go uratuję.

- Halo - mówię do niego głośno, choć pewnie jest martwy, wyrzucony przez morze na brzeg. Nie czuję strachu, który powinnam odczuwać, tylko tę nieznośną ciekawość. - Czy wszystko w porządku?

I wtedy słyszę jęk, niski i straszny. Biały, cienki piorun przeszywa niebo o kilka kilometrów stąd. Nie zastanawiając się, podchodzę do niego i kładę dłoń na jego zimnym, mokrym ramieniu. Odwracam go w moją stronę i wtedy widzę jego twarz, twarz, którą widzę zawsze i wszędzie, białą i straszłą, z wyżłobioną dziurą w policzku, z otwartymi ustami i oczami nieruchomo wpatrzonymi we mnie.

Z głębi jego piersi dobywa się pomruk:

- Należysz do mnie.

Rozdział 6

Budzę się na kanapie, za oknem szaleje popołudniowa burza, deszcz wściekle zacina.

Pierś mi faluje, oblewa mnie pot.

- Proszę pani.

To Esperanza puka do drzwi. Wstaję, żeby jej otworzyć. Cofa się i spuszcza wzrok, jakby była zmieszana. Młodo wygląda jak na swoje czterdzieści kilka lat, ma szeroką, ładną twarz w kolorze kawy z mlekiem i brązowe oczy, w których mężczyźni chcieliby utonąć. Spogląda na mnie z niepokojem, już była świadkiem moich przebudzeń z takich koszmarów. To ja powinnam być zmieszana. Pewnie głośno krzyknęłam i dlatego podeszła do drzwi. Nie wiem i nie pytam. Obie udajemy, że nic się nie stało.

- Za pół godziny ma pani odebrać Victory - mówi cicho.

Kiwam głową i spoglądam na zegarek. Opieram się pokusie, żeby ją ofuknąć i zapytać, czy nie sądzi, że wiem o tym, że mam odebrać córkę? Kocha Victory i opiekuje się nami, Podczas gdy ja drzemię na kanapie. Właściwie to powinnam jej być wdzięczna.

- Dziękuję, Esperanzo.

Rozdział 7

To nie do wiary, ale przysnęłam w skurczonej pozycji. Jestem aż tak bardzo wyczerpana. Nie wiem, ile czasu minęło, od kiedy Dax przyszedł powiedzieć mi o drugim statku. Może minęły minuty, może godziny. Przez iluminator widzę, że słońce jeszcze nie wzeszło, nic nie zapowiada nawet, że niebo rozjaśni poranny brzask.

Czuję okropne mrowienie w stopach i nogach od zbyt długiego przeciążenia, wstaję z bólem i rozciągam się. Kiedy robię kółka w tej dziupli, żeby krew dopłynęła do rąk i nóg, ogarnia mnie dziwne uczucie, że coś tu nie gra. Jeszcze przez chwilę chodzę niespokojnie po kabinie, gdy wreszcie dociera do mnie, że nie słyszę pracy silnika.

Statek znieruchomiał.

Nie wiem, co to znaczy, ale czuję się jak lis schwyty w pułapkę, kabina stała się moją pułapką. Kiedy mnie znajdzie, nie będę miała gdzie się ukryć. Tak jakby był choreografem, wyreżyserował ten wyrafinowany taniec, który tańczymy od wielu lat.

Ale po raz pierwszy od naszego poznania nie pozwolę, żeby mnie prowadził, kazał mi się kręcić w koło i na koniec złożyć głęboki ukłon. Dzisiaj ja prowadzę.

Przez szparkę w drzwiach zerkam na pusty korytarz. Wtedy gaśnie światło, jest ciemno jak w studni. Nie ma nawet punkcika światła, więc na oślep wyciągam pistolet, wychodzę na korytarz i opierając się o ścianę, sunę w kierunku schodów prowadzących na pokład.

Rozdział 8

Po wczesnej i bardzo zdrowej kolacji złożonej z paluszków rybnych, makaronu i sera oraz brokułów na osobnym talerzyku, których nikt nie tknął, Esperanza, Victory i ja pieczemy ciasteczka z kawałkami czekolady. A raczej to Esperanza i Victory pieką ciasteczka, a ja wpatruję się w nie z napięciem, siedząc na stołku, który oddziela kuchnię od pokoju gościnnego. Ciągłe mnie raduje widok Victory, gdy tak się krząta, wykonując różne czynności, na przykład trzyma ręczny mikser, stojąc na stołku. Jest już małą osobką i aż trudno mi sobie wyobrazić, że wyszła z mojego ciała.

- Chyba trzeba jeszcze dodać zapachu waniliowego - mówię, chcąc być pomocna.

- Och, mamusiu - wzdycha Victory.

Uśmiecham się, popijając rumianek. Po przeżyciach ostatnich dni postanowiłam zerwać z kofeiną. Zdecydowanie nie potrzebuję dodatkowych podniet.

Słońce zachodzi, malując horyzont na różowo-purpurowo. Odepchnęłam od siebie mój koszmar jak mogłam najdalej i skupiam się na spędzaniu czasu z córką. Kiedy ciasteczka są gotowe, jemy je we trójkę przy basenie. Rozpaliłam kominek i pomagamy Esperanzie w angielskim, dopóki słońce zupełnie nie zajdzie. Gdy robi się już zbyt chłodno, wchodzimy do środka.

- Kiedy wróci tatuś? - pyta Victory, gdy idziemy do łazienki na kąpiel.

- Wkrótce - odpowiadam.

- Kiedy wkrótce? - Nie jest zadowolona z mojej odpowiedzi.

- Wkrótce - powtarzam, kładąc dłoń na jej głowce.

Kiwa głową ze smutkiem. Źle mi z tym, żałuję, że nie mogę jej nic

więcej powiedzieć.

Ale prawda jest taka, że sama nie znam odpowiedzi na to pytanie, a nawet gdybym ją знаła, to i tak nie mogłabym jej powiedzieć, dokąd wyjeżdża tata.

Kiedy już namydlona bawi się w wodzie zabawkami, przestaje mnie zarzucać pytaniami i całkowicie zapomina o biednym Grayu. Pochłania ją dramatyczna historia Pana Kaczki i Pana Żaby, którzy gorąco sprzeczzają się o to, który z nich jest szybszy. Kibicuję Panu Żabie, kiedy nadchodzi Esperanza.

- Telefon do pani. - Podchodzi do wanny.

- Kto dzwoni?

Wzrusza ramionami z zakłopotaniem. Szuka angielskiego słowa, wreszcie się poddaje: No se. Pero pienso que se impor-tante.

- Nie wie, ale myśli, że to ważne - tłumaczy Victory, moja mała lingwistka.

Kiwam głową i idę do telefonu. Serce mi wali, kiedy przechodzę przez przedpokój do sypialni. Zawsze się boję, kiedy dzwoni telefon, a Graya nie ma w domu. Ciągle czekam na ten telefon. Powtarzam sobie, że gdyby naprawdę było źle, to przy-szliby osobiście.

- Halo.

- Annie - słyszę głos ojca.

Jest spięty, spieszy się. Nie powinien do mnie dzwonić. Ani ja do niego. Jednak raz na jakiś czas, tak jak ostatnio, nie mogłam sobie tego odmówić. Ostatnimi laty staliśmy się trochę nieostrożni. Możliwe, że stałam się zbyt pewna siebie.

- Skąd dzwonisz? - Od kolegi.

- Co się stało?

- Ktoś dzisiaj pytał o Ofelię. Przyszedł do zakładu, mówił, że jest policjantem. Ale nie wierzę mu. To jakiś łysy mięśniak, popisujący się dużym pistoletem w kaburze.

- Okej. - To nie będzie łatwe. Z tym mam największy kłopot. Nie wiem, czy mówi prawdę, czy zmyśla. - Mówię poważnie. - I po chwili:
- Nie zmyślam.

- Co mu powiedziałaś?

- Że moja córka nie żyje od przeszło pięciu lat.

- Okej. - Chyba tylko to słowo jestem w stanie wykrztusić. Czuję napięcie w ciele, zbyt mocno zaciskam dłoń na słuchawce.

- Nie uwierzył mi. Nie tylko próbował coś wyniuchać, ale coś wiedział. Był miły, mówił, że czeka duża nagroda za informację na twój temat. Wściekłem się, krzychałem, że nie żyjesz i jak on w ogóle ma czelność tak szydzić ze starego człowieka. Szybko się zmył.

- Ale nie był gliniarzem?

- Na sto procent. Ich zawsze można rozpoznać, nawet tych brudnych. Myślą, że mają prawo po swojej stronie. Ten gość był za brudny nawet jak na brudnego glinę.

- Okej - powtarzam znowu, żeby nie powiedzieć za dużo.

- Uważaj na siebie - mówi i odkłada słuchawkę.

Siedzę przez chwilę ze słuchawką w dłoni. Nie bardzo wiem, co o tym wszystkim myśleć. Ofelia od dawna nie żyje. Po tak długim czasie uwierzyłam, że wszyscy o niej zapomnieli, poza mną. Odkładam słuchawkę, następnie ją podnoszę i wystukuję dobrze mi znany numer.

- Halo? Drew przy telefonie.

- Możesz wpaść? Tu Annie.

- Jasne - mówi po chwili wahania. - Coś się stało?

- Nie wiem.

Drew zawsze patrzy na mnie, jakbym była natrętnym akwizytorem proszącym o datek na organizację charytatywną, w której sens nie wierzy. Nie podoba mi się kobieta, której odbicie dostrzegam w jego spojrzeniu. Jest niewiele warta, niegodna zaufania. Ale to może tylko

moja projekcja, jak mi powiedział lekarz.

Siada przy stole w jadalni z butelką corony, która prawie całkowicie znika w jego dużej, ciężkiej dłoni. Mocno marszczy Drew, kiedy przekazuję mu wieści od ojca.

Drew jest masywniejszą, twardszą wersją Graya. Ma takie same oczy koloru burzy, ale pozbawione tej mądrości i dobroci, jakie mieszkają w oczach jego syna.

- Może tylko ktoś coś węszył. - Wzrusza ramionami. Pociąga długi łyk piwa i ciężko stawia butelkę na stoliku. - Niestety, jakby się tak zastanowić, to trudno obronić okoliczności śmierci Ofelii. Nigdy nie sądziliśmy, że ktoś się tą sprawą zainteresuje.

Podsłakuję, kiedy wypowiada to imię. Nie podoba mi się, jak brzmi w jego ustach, jak odbija się od ścian tego domu.

- Może jest ktoś, kto o niej nie zapomniał - ciągnie, kiedy nie odpowiadam. Przygląda mi się badawczo, a ja opieram się pokusie, żeby uciec od niego wzrokiem. W pokoju Esperanzy szumi cicho telewizor, pewnie ogląda jakąś telenowelę. Dobia do mnie staccato języka hiszpańskiego i dźwięki melodramatycznej muzyki (Ay, Dios!); Esperanza będzie z pasją opowiadać o bohaterce. („Ależ ona niedobra!“). Za oknem wichura wygina palmy, szeleści liśćmi. Żałuję, że do niego zadzwoniłam.

- Zlecę komuś, żeby się tym zajął - odpowiada wreszcie. Uświadamiam sobie, że tak naprawdę nie uczestniczyłam w tej rozmowie, chociaż chyba tego nawet nie zauważył.

- Dziękuję - odpowiadam.

- Tymczasem - wysusza ostatnią kroplę piwa - trzeba tu wzmocnić ochronę, włącz alarm, zamknij okna i drzwi. Nie dzwoń więcej do ojca Ofelii lub kogokolwiek z twojej przeszłości. To było nieroztropne. Może właśnie dlatego, że zadzwoniłaś do niego w zeszłym tygodniu, ktoś cię zaczął szukać.

- Okej - mówię ze skruchą. Wiem, że ma rację. Zbiera się do wyjścia.

- Wiesz coś o Grayu? - pytam.

- Brak wiadomości to dobra wiadomość - mówi i klepie mnie po ramieniu, co w jego wypadku jest niecodziennym gestem. Może nasze stosunki ulegną poprawie?

Tego dnia, kiedy zjawił się u nas syn Franka, szalała burza. Jakżeby inaczej? To była jedna z tych burz, które nadchodzą od wybrzeża i błękitny dzień w sekundę zmienia się na czarny, jakby ktoś zasunął zasłony. Narasta wiatr i wykręca liście na drugą stronę.

Ciśnienie gwałtownie spada, a niebo zaczyna huczeć. Byłyśmy same z mamą.

Pracowała na rannej zmianie, a ja byłam tylko pół dnia w szkole, bo nauczyciele zwołali radę pedagogiczną. Siedziałyśmy na jej łóżku, jadłyśmy kanapki z mortadela i oglądałyśmy program As the World Turns na malutkim czarno-białym telewizorku, który zabrałyśmy z kuchni. Robiłyśmy tak, odkąd pamiętam, a pewnie i wcześniej oglądałam z nią opery mydlane. Nawet teraz, kiedy ogarniają mnie wyrzuty sumienia, włączam czasami telewizor w ciągu dnia i na moment zapominam o całym świecie, przypominając sobie bliskość mamy, zapach jej perfum, jej delikatną białą dłoń. Pierwsza usłyszałam pukanie do drzwi.

- Ktoś puka?

- Hmm - rzekła z roztargnieniem, ze wzrokiem przyklejonym do ekranu. - Chyba nie.

Znowu usłyszałam pukanie.

- Chyba jednak tak.

- No to sprawdź. - Poklepała mnie po pupie. - Od rana jestem na nogach.

Podeszłam do drzwi i wyjrzałam przez okienko. Stał tam, a liście

tańczyły wokół niego na deszczu, włosy potargał mu wiatr. Miał dużą torbę przewieszoną przez ramię, był w znoszonej błękitnej bluzie włożonej na koszulkę i w dżinsach. Coś w jego twarzy, w całej jego postawie spowodowało, że serce podeszło mi do gardła.

Nigdy jeszcze nie widziałam kogoś tak pięknego, o tak gładkich i tak doskonałych rysach twarzy, jakby zostały wydmuchane ze szkła. Podniósł rękę, żeby ponownie zapukać, ale dostrzegł moją twarz w oknie.

- Frank powiedział mi, żeby tu przyszedł - starał się przekrzyczeć szum wiatru.

Jego ciemne oczy były prawie czarne, włosy były tak samo atramentowoczarne i kontrastowały z jego białą skórą.

- Dlaczego? - zapytałam.

Coś mnie w nim przerażało. Takie jest prawdziwe piękno, przerażające i hipnotyzujące.

Nie chciałam, żeby tu wchodził.

Chciałam się oprzeć całym ciężarem ciała na drzwiach i zaprzeć je przed nim.

- Mam się zobaczyć z Carlą.

Poprawił ciężką torbę na ramieniu. Jego dłoń wyglądała jak kamień, była duża i okrągła, z szerokimi, krągłymi palcami. Spojrzałam na niego, uważnie przyglądając się cienkiej linii ust i kwadratowej szczęce.

Trudno powiedzieć, ile miał lat.

- Z moją matką - odparłam. Spojrzał na swoje stopy, potem na mnie.

- Nie mam dokąd pójść. Mama stanęła za mną.

- Wpuść go - rzekła, ale nie otworzyła drzwi.

- Kto to?

- Syn Franka. - Spojrzała na mnie zmieszana, a potem popatrzyła

na niego.

- Wiedziałaś, że do nas przyjdzie?

- Wiedziałam, że może do nas przyjdzie. - Zwróciła twarz w moją stronę, nie odwracając od niego wzroku, jakby coś ją do niego przykuwało.

- I? - Poczułam ucisk w żołądku. - Może zostanie tu przez jakiś czas. - Gdzie? - zapytałam. - Tu nie ma miejsca. Ruchem głowy wskazała na kanapę. Była mała i brudna, niewygodna nawet do siedzenia, a co dopiero do spania.

- Tam. Tylko przez kilka nocy. Nie martw się. Nie oddam mu twojego pokoju.

- Hej tam? - zawołał chłopak, moknąc na deszczu. - Strasznie leje.

- I co sądzisz? - zapytała matka.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego przez okno. Już wtedy czułam, że nie powinnam mu otwierać, jednak to zrobiłam. Wszedł do nas razem z burzą, krople lały się z niego na podłogę, pachniał deszczem. Był wysoki, wyższy niż się wydawał, kiedy stał na zewnątrz.

Prawie musiał się schylić, żeby wejść przez próg drzwi.

Zrzucił na podłogę torbę, która wylądowała na niej z ciężkim łoskotem. Mama zrobiła mu kanapkę z mortadela, potem drugą. Patrzyłam, jak je, pochłania, jakby nie jadł od wielu dni. Miał masywną szyję i szerokie, mocno umięśnione ramiona. Jedną ręką obejmował talerz, od czasu do czasu zerkając w górę, jakby się bał, że ktoś przyjdzie i zabierze mu jedzenie.

- Za sześć miesięcy będę pełnoletni - poinformował nas, jakby nam dawał do zrozumienia, że okres dzieciństwa był dla niego niewolą. Ale nie wyglądał na chłopca, jak go nazwała moja matka. Zaczynając osiemnasty rok życia, był bardziej mężczyzną niż chłopakiem. Było w nim coś zwierzęcego, coś nienasyconego, przebiegłego.

Stałam nadąsana w kącie, rozzłoszczona, i obserwowałam go ze

skrywanym zainteresowaniem. Niedobrze mi się robiło na widok tępej twarzy matki, gotowej spełnić każdą jego zachciankę. Typowe dla niej zachowanie wobec mężczyzn.

- Potem wstąpię do piechoty morskiej - powiedział. - Nikt mi wtedy nie podskoczy.

- Do piechoty. - Matka rozplątywała się z zachwytem, nawijając kosmyk włosów na palec.

- Frank nic mi nie mówił.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - zapytałam, nie kryjąc irytacji.

Wzruszył ramionami i spojrzał na matkę z miną winowajcy. Jak on się zgrywał! Nie widziała tego?

Poklepała go po ramieniu, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie nad jego głową.

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz, Martin.

- Jestem Marlowe - rzucił ze złością. Przez moment dostrzegłam w nim brzydotę, jakby pies obnażył kły. Potem złagodniał i uśmiechnął się do niej słodko. - Proszę, mów do mnie Marlowe.

- Oczywiście, kotku - powiedziała, znowu go poklepując. - Marlowe. Chcesz jeszcze coś zjeść?

- Poproszę - powiedział, a następnie spojrzał na mnie. Moje wspomnienie o Marlowie jest w dziwnym odcieniu sepii. Pamiętam detale, na których musiałam się potwornie skupić, skórki wokół jego paznokci, postrzępione od wiecznego obgryzania, wystającą metkę koszuli. Pamiętam dramatyczne okrzyki telenoweli, nastawionej na cały regulator w sąsiednim pokoju. Ale mam wrażenie, jakby te wspomnienia rozgrywały się na ekranie telewizji, jakby wszystko działo się za grubym szkłem, jakbym nie uczestniczyła w tych wydarzeniach, a raczej obserwowowała w bezradnym milczeniu rozwój sytuacji. To była jedna z tych chwil, którą bez końca rozkładałam z psychiatrą na czynniki pierwsze. Może gdybym coś zrobiła, finał tej

historii byłby inny.

- Spróbuj sobie przypomnieć - mówi Brown - byłeś dzieckiem, twoja matka była dorosła. Nie miałaś siły przebicia, nie miałaś nad nią żadnej władzy, to ona zaprosiła ich, swojego faceta i jego syna, do waszego życia.

- Ale to ja mu otworzyłam drzwi.

- Gdybyś tego nie zrobiła i tak by go wpuściła.

Miał rację. Matka nie była bystrą, inteligentną kobietą, nie miała instynktu. Żyła w swoim ciasnym świecie. Nie potrafiła przewidzieć, czym się dla nas skończy obecność Marlowea.

Rozdział 9

Następnego wieczoru zmuszam się, żeby pójść do Elli na przyjęcie. Mimo że bardzo się staram zrobić na gościach wrażenie mało towarzyskiej, starsza kobieta w bieli sunie w moją stronę i pyta, czym się zajmuję. Wygląda, jakby ktoś ją pokrył politurą, wszystko w niej jest sztywne i nieruchome, uczesanie na pazia i mięśnie twarzy. Jest tak chuda, że cienkie kości prześwitują w przegubie dłoni.

- Jestem gospodynią domową i matką - mówię bez skrępowania, które często słyszę w głosie kobiet, kiedy o tym opowiadają. Pomijam jednak fakt, że jestem gospodynią domową, która nie gotuje i nie sprząta. I że moja córka spędza większość dnia w przedszkolu. Moje życie składa się z długich godzin wolnego czasu, podczas których czekam, aż Victory skończy liczne zajęcia w swoim mocno napiętym grafiku. To niebezpieczne dla takiej osoby jak ja, powinnam naprawdę pomyśleć o jakiejś pracy.

Matka, kiedy jeszcze zajmowała się krzewieniem wiary, mawiała, że diabeł czyha na tego, kto ma ręce do niczego. Tyle że w moim wypadku chodzi bardziej o głowę.

- Fantastycznie. - Kobieta w bieli uśmiecha się szczerze bądź fałszywie, trudno powiedzieć. - To najważniejsze zajęcie pod słońcem.

Jest idealnie zrobiona, różowe paznokcie mają kwadratowe zakończenia, lśniące błyszczkiem usta są obrysowane kredką, a wyregulowane brwi tworzą wysokie łuki.

Na palcu lśni wielki diament. Ubrana jest w zwiewną lnianą spódnicę i bluzeczkę, na nogach ma skórzane japonki. Bardzo się napracowała, żeby osiągnąć efekt luzu.

Rozmowa się nie klei, głównie dlatego, że milczę, więc odchodzi, podnosząc do góry szklankę i bąkając na odchodnym jakąś wymówkę.

Przyszłam na przyjęcie, bo obiecałam Grayowi, gdy prosił mnie, żebym „wyszła z domu i pobyła wśród ludzi, a nie tylko z Victory”, ale wolałabym być w domu z nią i Esperaną i po raz setny oglądać Iniemamocnych na DVD.

Opieram się o ogrodzenie, które otacza teren wokół basenu, i wpatruję się w czarną przestrzeń, kończącą się na zatoce. Nie widzę morza z powodu wyszukanego oświetlenia i roślin pięknie zasadzonych na terenie posiadłości, ale słyszę je i czuję zapach soli w wilgotnym powietrzu. W głowie kotłują mi się myśli, których nie chcę mieć - moja czarna dziura, patch, koszmar senny, Gray, człowiek szukający Ofelii.

Nie powinnam tu być. Nawet w swoich najlepszych chwilach nie nadaję się na przyjęcia. Z trudem znoszę to, co dla innych jest rozrywką.

Mój wzrok przykuwa dziewczyna, stojąca nieopodal. Tak jak ja opiera się o ogrodzenie i zatopiona w myślach, wpatruje się w czarną otchłań nocy. Musiała poczuć mój wzrok na sobie, bo odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Nie mam pojęcia, gdzie ją wcześniej widziałam. Nagle bardzo chcę sobie przypomnieć, kim ona jest; serce zaczyna mi szybciej bić z powodu tego nagłego pragnienia. Jest śliczna i zdecydowanie za chuda, ma na sobie džinsy i koszulkę, stare zniszczone adidas. Nie pasuje do gości Elli, jest za młoda i zbyt uboga. Może jest nową pomocą domową, na którą Ella narzekała. Przyglądamy się sobie, nie odrywamy od siebie wzroku. Wreszcie się uśmiecha, ale nie jest to serdeczny uśmiech: to mieszanina złej woli, niechęci i litości. Żołądek skacze mi do gardła. Odwracam od niej wzrok.

- Towarzyska to ty nie jesteś. - Ella staje za mną. Podskakuję, a ona śmieje się zdziwiona. - Napij się jeszcze. - Klepie mnie po ramieniu. - Jesteś zbyt spięta.

Kim jest ta dziewczyna? - Znowu spoglądam w stronę nieznajomej. Zniknęła.

- Która? - Ella podąża za moim wzrokiem. Szukam jej wśród eleganckich gości Elli.

- Miała na sobie dzinsy i koszulkę. Ładna, młoda, trochę za chuda. - Nadal jej szukam, rozpaczliwie chcąc ją odnaleźć.

- Jeśli tu jest, to musimy ją wyrzucić - mówi Ella, udając zazdrość.

- Twoja nowa gosposia? - pytam z nadzieją.

- Ma dzisiaj wolne.

Czuję, że Ella jest już bardziej zaniepokojona niż zadowolona.

- Wszystko w porządku? - pyta po chwili.

- Tak. - Udaję beztroskę. - Wydawało mi się, że skądś ją znam.

Znowu gładzi mnie po plecach i odwzajemnia uśmiech.

- Kiedy wraca Gray? Bez niego jesteś kompletnie zagubiona.

- Pod koniec przyszłego tygodnia. - Nie mówię dokładnie kiedy.

- Nigdy nie sądziłam, że ludzie pracujący w ubezpieczeniach muszą tyle podróżować - mówi.

Wracam do rozmowy i wsłuchuję się w oznaki powątpiewania w jej głosie. Ale, jak zwykle, mówi z lekką zadumą, szeroko otwierając oczy.

- Ocena ryzyka klienta, dochodzenia w sprawie wysokich odszkodowań. - Wzruszam ramionami, mając nadzieję, że to wszystko tłumaczy.

Ella kiwa głową.

- Jeśli nawet, to co z tego? - odpowiada. - Zbyt często zostawia cię samą.

Nie patrzy na mnie. Wpatruje się w noc. Nie jestem pewna, czy to tylko miła pogawędka.

- I kto to mówi? - Uśmiecham się. - Wyjeżdżasz tak samo często jak on.

- To prawda. Ale moje wyjazdy są ważne - odpowiada. - Zakupy w Nowym Jorku, detoks w Canzon Ranch, opalanie na Fidżi.

- Hmm - mówię, a ona się śmieje.

- Dokąd tym razem pojechał?

- Do Cleveland - odpowiadam.

- Sama widzisz. Co takiego ważnego może być w Cleveland?

Obie się śmiejemy. Ciekawe, czyby się śmiała, gdyby wiedziała, z jaką łatwością potrafię kłamać.

- Mogę ci jeszcze coś nalać? - Pokazuje na kieliszek, po tym jak obie wpatrywałyśmy się przez chwilę w dal. - Dobrze ci zrobi.

- Nie, dziękuję - mówię. - Wyjdę po cichu i przejdę się plażą do domu.

Ella wie, że nie ma sensu mnie zatrzymywać, proponować kolejnego drinka. Ma rację.

Bez Graya czuję się zagubiona na takich spotkaniach. Nie wiem, jak zorganizować piątkowe party, jak uciąć sobie niewinną pogawędkę z sąsiadami i nieznajomymi, jak udzielać się towarzysko, mieszać się w tłumie, jak robić to, co się robi na takich spotkaniach. Za dużo mam w głowie, żebym mogła się tego nauczyć.

Wiem, że nie powinnam, a i Drew nie pochwaliby tego, po tym jak nalegał, żebym „wzmocniła ochronę”, jednak po pożegnaniu z Ellą wymykam się tylną bramą i idę kamienną ścieżką, przy której rosną rzędy palm. Światło lamp prowadzi mnie na plażę. Po raz ostatni przyglądam się gościom, ale nie dostrzegam dziewczyny.

Marlowe spał na kanapie, z której zwisały mu nogi, a jego oddech wypełniał cały pokój. Utknął u nas nie tylko na kilka dni, jak mi obiecała matka, ale na całe tygodnie, nie mając zamiaru się wyprowadzić. Nienawidziłam go w takim samym stopniu, w jakim byłam nim zafascynowana. Nie chodził do szkoły, wyleciał i jak twierdził, zdał małą maturę. Całe dni coś pisał i rysował w

zniszczonych zeszytach.

Jednak zawsze miał pieniądze, kupował jedzenie i drobne upominki dla mamy. Kiedy kilka razy przygotował ciepłą kolację, matka kompletnie oszalała na jego punkcie.

Zachwycała się jego kotletami i ryżem, jakby co najmniej był kucharzem z własnym programem w telewizji, rozpływała się nad tym, jaki jest uczuciowy i uprzejmy.

Nigdy mnie nie pochwaliła, kiedy robiłam kolacje pięć razy w tygodniu (w pozostałe dwa dni jadłyśmy pizzę albo kanapki z mortadela) od nie pamiętam jak dawna.

Denerwowała mnie i wykrzyczałam jej swoją złość.

- Jesteś po prostu zazdrosna. - Poklepała mnie po ramieniu. - Jest słodki. Mamy tylko jego. Postaraj się być miła.

Mój Boże, ale była żalosna. Zrobiłaby wszystko dla mężczyzny, nawet dla nastolatka, który by ją obdarzył najmniejszym okrucieństwem uwagi. A moim zdaniem nie było w nim nic słodkiego. Udawał przed nią, przede mną nawet się nie starał. Obrzucał mnie jedynie ukradkowymi spojrzeniami, pełnymi groźby albo pragnień, trudno powiedzieć. Ale z powodu tych jego spojrzeń nie mogłam zasnąć, myślałam o nim, wsłuchując się w jego oddech, kiedy spał na kanapie.

Ciągle byłam niespokojna, martwiłam się o matkę, bałam się mordercy, który może się do nas wprowadzi, nienawidziłam jego syna, wylegującego się na naszej kanapie, i owszem, w skrytości ducha, fascynował mnie.

Rozbudził coś we mnie, coś wspaniałego i nieznanego. Kiedy był przy mnie, stawałam się drewniana, sparaliżowana, niezgrabna, wybuchałam śmiechem w nieodpowiednich chwilach. Nienawidziłam siebie za to, nie umiałam sobie poradzić ze sobą, kiedy był w pokoju. Jego półuśmieszek mówił mi, że dobrze wie, co

się ze mną dzieje.

W przyczepie słyhać było dźwięki nocy, żaby kumkały głośniejsze od włączonych telewizorów i muzyki rockowej, od wrzeszczących i kłócących się sąsiadów, którzy później z trudem wtaczali się do swoich przyczep, pijani i hałaśliwi, głośno trzaskając drzwiami. Czasami w nocy leżałam, nasłuchując, myśląc o tym, za jakie grzechy znalazłam się na tym wygnaniu. Dobrze wiedziałam, że jestem inna od tych biednych, rozgoryczonych ludzi, którzy wiedli takie brzydkie życie. Ale ta wiedza nie wystarczała, żeby mnie stamtąd wyrwać.

- Zabierz mnie stąd, tato - błagałam ojca podczas naszej cotygodniowej rozmowy telefonicznej. Była niedzielna noc, matka zostawała do późna w pracy. Ze słuchawką przy uchu siedziałam tyłem do Marlowea, którego obecność w przyczepie wydawała się tak wieczna i nieprzyjemna, jak obecność karaluchów. Zawsze był obecny.

Obserwował. Nasłuchiwał.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Opie - uspokajał mnie ojciec. - Wszystko się ułoży.

Zobaczysz.

- Dobrze - odpowiadałam żałośnie, wierząc, że ma w zanadrzu genialny plan uratowania mnie, o którym nie mógł powiedzieć przez telefon.

Jeszcze byłam na tyle młoda i naiwna, żeby mieć nadzieję, że się pojawi pewnego dnia i zażąda powierzenia mu opieki nade mną. Jeszcze wtedy nie rozumiałam, że chociaż mnie kochał, to tak naprawdę nie nadawał się na ojca. Nie miał w sobie tej siły bezinteresowności, jaką mają prawdziwi rodzice. Żadne z nich nie nadawało się na rodzica. Ale przynajmniej matka chciała, żebym z nią była, chociaż trochę.

Po rozmowie z ojcem poszłam do swojego pokoju wypłakać się w

poduszkę.

- Przecież wiesz, że po ciebie nie przyjedzie. Odwróciłam się, zaskoczona i zakłopotana i zobaczyłam Marlowea stojącego w wąskim przejściu. Opierał się o framugę, z rękoma w kieszeni wyblakłych, brudnych dżinsów. Nie uśmiechał się, miał spuszczonego wzrok.

- Naprawdę mi przykro. - Wpatrywał się w swoje stopy. -Widzę, że się tego kurczowo trzymasz. Ale on nie przyjedzie.

Miał niski, gardłowy głos. Jego dziwny akcent nie był całkiem południowy. Pochodzi z Florydy, powiedziała mi matka, cała ich rodzina urodziła się i wychowała w tym gorącym, nieszczęsnym bagiennym, podmokłym stanie.

- Zamknij się - powiedziałam. - Co ty w ogóle możesz wiedzieć?

Głos mi drżał, jego słowa uderzyły mnie z całej siły w splot słoneczny, a ból, który rozszedł się po ciele, pozbawił mnie tchu. W głębi serca bałam się, że ma rację i nienawidziłam go za to.

- Gdyby miał po ciebie przyjechać, już dawno by to zrobił. Przecież ma kasę. I czas.

Odkąd tu jestem, nie zadzwonił do ciebie ani razu. To ty do niego dzwonicz. Od jak dawna czekasz na jego przyjazd?

- Zamknij się! - Słowa wyrwały się ze mnie we wściekłym wrzasku, w eksplozji furii.

Poderwałam się, i odepchnąwszy go, wybiegłam z przyczepy w noc. Biegłam z płaczem, potykając się, aż poczułam ból po lewej stronie. Zatrzymałam się przy starym fikusie, który rósł na końcu parku. Położyłam dłoń na jego chropowatej korze i odpoczywałam, łapiąc oddech. Szeroki okap drzewa użyczył mi schronienia. Dywan z opadłych i gnijących liści był mokry i śmierdział. Z tyłu las roił się od palm i paproci, cyprysów i świerków, które rosły przy strumieniu. Wiedziałam, że wśród drzew czają się węże i szczury, najohydniejsze odmiany owadów i pajaków. Miałam ochotę tam wejść i dać się

pożreć. Ta Floryda, jak jej większa część, wydawała się dzika i nieujarzmiona, jakby czekała, żebyśmy choć na chwilę przestali się poruszać, karczować, kopać, pielęgnować i przycinać, żeby jej bujna roślinność mogła pochłonąć całą naszą głupią architekturę i zająć należne jej miejsce. Upadłam na ziemię między grubymi korzeniami drzewa i łkałam, opierając twarz o konar, nie bacząc na wilgoć, która wniknęła w moje dzinsy, i na komary, które żywiły się moją krwią.

- Płacz ci nie pomoże wyrwać się z tego zadupia. Śledził mnie.

- Jeśli chcesz się stąd wydostać, wyrwać z tego życia - mówił, pokazując ręką parking z przyczepami z tyłu za nim - musisz sama to zrobić.

Spojrzałam na niego i otarłam łzy rękawem koszuli. Podszedł bliżej, stanął tuż przede mną, nasze nogi prawie się dotykały. Podał mi rękę.

Figowiec dusiciel, gatunek typowy dla Florydy, rozpoczyna swoje życie jako epifit, roślina, która rośnie na innej żywej roślinie. Jej nasiona zadomawiają się w pęknięciach i szczelinach w konarze i na pniu drzewa. Początkowo dusiciel rośnie powoli i stopniowo wnika niczym zdrajca w cały jego system. Z biegiem czasu obrasta i otacza konar drzewa, zmuszając je do rywalizacji o światło, powietrze i wodę. Wreszcie drzewo umiera. Jednak dusiciel nie umiera wraz z nim. Zdażył już zapuścić korzenie, wypuścić gałęzie, zbudować zawiłą konstrukcję wokół wydrążonej i uschniętej skorupy. Podałam mu rękę, pozwoliłam naszym dłoniom się spleść i pozwoliłam, żeby podniósł mnie z wilgotnej ziemi.

Wracam od Elli plaża. Niedaleko przed sobą, jakieś sto metrów, widzę światła domu. W pokoju Victory właśnie zgasła lampa. Uśmiecham się do siebie i zastanawiam się, jak Esperanzy udaje się namówić małą, żeby poszła spać bez protestów. Ja najczęściej kładę się na podłodze w jej pokoju i gwarzę sobie z nią cicho, podczas gdy

kolorowe rybki w wirującej lampce pływają po suficie i ścianach.

- Zmęczona jesteś? - pytam.

- Nie, mamusiu - odpowiada i zasypia po kilku minutach. Kłopot w tym, że uwielbiam te chwile. Nie przeszkadza mi, że jestem z nią, dopóki nie zaśnie. I ona o tym wie. Bujałam ją i niańczyłam od urodzenia. Radzą, żeby tego nie robić, w przeciwnym razie będziemy musieli to robić dłużej, niż chcemy, ponieważ dziecko nigdy nie nauczy się pocieszać samo siebie.

Myślę, że pewnego dnia zatęsknię za tymi chwilami. I też myślę, że jeśli żał nam pół godziny, żeby pobyć z dzieckiem, dopóki nie zaśnie, jeśli uważamy, że mu lepiej, kiedy płacze samotnie w łóżeczku, bo musi zrozumieć, kto tu rządzi, to może nie powinniśmy mieć dzieci. Myślę o tym, kiedy nagle słyszę swoje imię.

- Ofelio.

Zatrzymuję się zaskoczona, odwracam się i widzę pustą plażę. To słowo, moje imię, przeszywa mi ciało. Przeszukuję wzrokiem plażę. Trawy szeleszczą delikatnie na wietrze, tak jak w moim śnie. Serce skacze mi do gardła. Głos był niski i męski, brzmiał bardziej jak pomruk. Oddycham głęboko i zaczynam powoli biec.

- Ofelio. - Zatrzymuję się i odwracam. Poza ojcem, z którym niedawno rozmawiałam przez telefon, nikt tak mnie od wielu lat nie nazywał. Nawet Drew używał tego imienia jakby z dystansem, jakby mówił o kimś, kogo od dawna nie ma. Nikt nie ma prawa znać tego imienia.

I wtedy widzę wysokiego, masywnego mężczyznę, który podnosi się z trawy. Nie dostrzegam szczegółów, twarzy, koloru marynarki, jest czarnym cieniem wyłaniającym się spośród innych czarnych cieni jak słup dymu. Stoimy przez chwilę bez ruchu. Cały świat nagle zbrzydł, zaczął się zataczać.

Próbuję podejść racjonalnie do tego, co się dzieje. Czy to się dzieje

naprawdę? Czy znowu śnię? Czy jest to przestrzeń pomiędzy tym, co realne i tym, co wyobrażone?

Przemyślę to później, a tymczasem ruszam pędem do domu. Nawet się nie oglądam, żeby sprawdzić, czy biegnie za mną. Chcę tylko dobiec do domu, do Victory.

Płuca mi pękają, kiedy wbiegam drewnianą alejką prowadzącą do domu i wpadam przez tylną bramę. Zatrzymuję się na chwilę i widzę, że czarny kształt, milczący i efemeryczny cień, choć jest jeszcze daleko, powoli się zbliża. Nie spieszy się.

- Ofelio. - Moje imię niesie wiatr. Nie wiem, skąd do mnie dochodzi. Szukam kluczy od tylnych drzwi, adrenalina powoduje, że mam niezdarne palce. Oglądam się za siebie, ale go nie widzę. Kiedy wreszcie otwieram drzwi, zatraskuję je od środka, zamykam na klucz i drżącymi rękoma włączam alarm. Myślę, żeby spuścić rolety, ale nadchodzi Esperanza i odwracam się, żeby na nią spojrzeć.

- Pani Annie? Co się stało? - Na jej twarzy maluje się niepokój, pewnie słyszała trzaśnięcie drzwi. Owija pidżamę szlafrokiem, zerka na mnie, następnie spogląda przez szybę w drzwiach.

- Ktoś tam był. Na plaży - szepcą wściekle.

Wyłączam światło i wyglądam na zewnątrz, wpatrując się w ciemność. Esperanza patrzy na mnie z litością i strachem.

- Pani Annie - mówi ostrożnie - jest pani pewna?

- Tak - odpowiadam, chociaż teraz, kiedy dotarłam bezpiecznie do domu, wcale nie jestem pewna. Wszystko znika, jakby się wcale nie wydarzyło. Tak naprawdę to nie mogę być Pewna. Miałam zbyt dużo złych przeżyć z samą sobą.

Znowu wygląda przez okno. Nagle robi wielkie oczy, odsuwa się od drzwi i odwraca się do mnie z niedowierzaniem.

- Ktoś tam stoi.

Na końcu alejki widzę postać. Stoi tam, jak gdyby nigdy nic.

okropna fala strachu stacza we mnie bitwę z dziwną ulgą, że to nie moja głowa znowu ze mnie szydzi.

- Czy wszystko jest pozamykane? - pytam ją.

Nagle panuję nad sobą, wiem, co mam robić. Można uchronić się przed ziemskim zagrożeniem pod warunkiem, że drzwi są zamknięte, a alarm włączony... przynajmniej przez jakiś czas.

Energicznie kiwa głową, nie spuszczać wzroku z postaci.

- Jesteś pewna?

Znowu kiwa głową. I dodaje:

- Jeszcze raz obejdę dom.

Odbiega, a ja słyszę, jak szarpie klamki i sprawdza okna. Przechodzę do kuchni, ciągle wpatrując się w postać, sięgam po telefon i wystukuję numer do Drew, a serce wali mi w uszach jak włączony silnik. Mówię mu, co się stało.

- Jest tam teraz? - pyta poruszony.

- Tak. Esperanza też go widziała. - Czuję, że to podnosi moją wiarygodność w jego oczach.

- Nie zawiadamiaj policji. Zaraz u ciebie będę. - Odkłada słuchawkę.

Stoję i obserwuję nieznanego, kiedy odkładam słuchawkę. Nadchodzi Esperanza z komórką w dłoni.

- Zadzwoiłam po policję.

Zamartłam. Chcę jej powiedzieć, że niepotrzebnie, ale nie robię tego. To by było podejrzané, będę musiała tę sprawę jakoś rozegrać.

Patrzę na naszego gościa. Nie porusza się. Jest spokojnym drapieżnikiem tak pewnym swojej ofiary, że nie musi wpadać w szal. Kiedy w oddali rozlega się syrena, zapada się w czerń nocy, z której się wyłonił. Znika.

Dzisiaj mija piąta rocznica jego rzekomej śmierci. Lekarz ma rację; chociaż nie pamiętam, co się stało tamtej nocy, wspomnienie leży

uśpione w mojej pamięci i regularnie zmartwychwstaje, kiedy nadarza się okazja. Potworny lęk i straszne pragnienie żyją we mnie. Już mi się coś takiego kiedyś zdarzyło. Ale nie aż tak.

Ludzie z depresją kliniczną i chorzy umysłowo wykonują mały taniec, na dwa pas, z lekarstwami. Muszę je brać, nie muszę ich brać; muszę... nie muszę. Cza, cza, cza.

Bierzesz je przez jakiś czas, dopóki nie ustabilizują się substancje chemiczne w mózgu, potem czytasz artykuł o tym, jak niebezpiecznie jest długo brać lek, albo myślisz nagle, że nie miałaś siły wyjść z łóżka przez trzy tygodnie tylko dlatego, że zabrakło ci dyscypliny.

Przekonujesz siebie, że nie jesteś aż taka twórcza, wydajna, bystra jak wtedy, kiedy ich nie bierzesz. A więc zapomnisz o nich raz czy dwa. I za chwilę nie bierzesz ich wcale.

Znowu.

Oczywiście są tacy, którzy nie muszą brać leków przez długi czas. Może brali je, żeby przejść przez trudne chwile w życiu, przetrwać śmierć ukochanej osoby, rozwód, załamanie nerwowe. Może jakiś nieodpowiedzialny lekarz zalecił im leki antydepresyjne, bo mieli złe samopoczucie, a lepiej by było, gdyby przyjrzeni się własnemu życiu. Jeśli tacy ludzie decydują się nie brać leków, które im przepisano, to nic złego się nie stanie.

Nie wiem, do której kategorii należę. Ale wiem, że gdyby Esperanza nie zobaczyła tego człowieka, którego ja widziałam, nie miałabym żadnej pewności, czy istniał naprawdę.

Miałam okresy, kiedy z powodu nagromadzenia dotkliwych traumatycznych zdarzeń odrywałam się od rzeczywistości i zniktałam, dosłownie i w przenośni. Lekarze stawiali różne diagnozy co do tych „epizodów”, jedni nazywali je fugami, inni pauzami psychotycznymi. Zdaniem jednego lekarza cierpię na depresję dwubiegunową. Żadna z diagnoz nie zgadzała się z poprzednią ani nie odpowiadała w pełni

naturze moich epizodów, i tak naprawdę nie wiem, co mi jest - z klinicznego punktu widzenia.

Miewałam sny, które wydawały się jawą, i doświadczałam rzeczywistości, która mogła być snem. Jechałam w nieznane autobusami, siadywałam na ławkach w obcych miastach, nie wiedząc, jak się tam znalazłam. Zgubiłam ogromne kawałki swojego życia, a w pamięci mam wielkie, ziejące dziury, które pochłonęły miesiące, a nawet lata. Takie epizody nie zdarzyły mi się od narodzin Victory, ale wiem, że czekają na mnie na peryferiach mojego życia, niczym sępy krążące nad rannym kojotem na pustyni.

Patrzę, jak policjanci chodzą po plaży, świecąc latarkami, w poszukiwaniu mężczyzny, który śledził mnie do samego domu, lub choćby jego śladów. Siedzę na kanapie z Victory na kolanach. Prawie usnęła, zwinięta w kłębek, po tym, jak ją obudziły syreny i ludzie dzwoniący do drzwi, teraz ssie uszko pluszowego pieska.

Przytulam ją mocno, moją jedyną kotwicę na tym świecie. Ella siedzi na drugiej kanapie, nerwowo obgryzając skórkę od kciuka.

- Niewiarygodne - mówi z roztargnieniem. Patrzy na mnie. - Jesteś taka opanowana.

Po telefonie Esperanzy zawitały do nas trzy jazgoczące wozy policyjne i kilku tajniaków, wzbudzając zainteresowanie sąsiadów. Mieszkamy w spokojnym nadmorskim miasteczku, gdzie niewiele się dzieje; teraz wszyscy zostali poderwani na nogi. Mąż Elli został w domu z ostatnimi gośćmi, więc Ella przyszła sama, żeby nam towarzyszyć.

- To pewnie nic takiego - mówię beztrąsko. - Jakiś włóczęga.

Drew siedzi przy oknie i spogląda na mnie. Widzę, że jest spięty, trzyma się kurczowo krzesła. Vivian stoi za nim, patrzy z niepokojem w ciemną noc.

- Prosiłem cię, żebyś nie wzywała tych cholernych gliniarzy -

szepnął ze złością Drew tuż po przyjściu. Objął mnie, żeby ludzie w pokoju pomyśleli, że się witamy.

Poczułam od niego za pach cygara. - Co ci przyszło do głowy?

- To Esperanza po nich zadzwoniła. Westchnął pogardliwie.

- Mówiłem wam, żebyście zatrudnili kogoś, kto tu jest nielegalnie. Oni nie dzwonią na policję.

Puścił mnie, patrząc na mnie z niezadowoleniem, co mi przypomniało, jak bardzo go nie lubię. Drew jest zimny jak lód, odległy jak Mount Everest i równie niedostępny.

Jeśli nawet bym do niego dotarła, to natychmiast chciałabym uciec.

- Annie - Ella patrzy na mnie z powagą. - Ktoś cię śledził. To coś znaczy.

Jeden tajniak wchodzi przez otwarte drzwi od strony basenu. Już im mówiłam, że nie potrafię zidentyfikować mężczyzny, że nie zauważyłam wcześniej, żeby ktoś mnie śledził, nie mam kochanka, byłego chłopaka i nikt nigdy za mną nie łąził. Mam oczywiście własną historię, ale nie mogę się z nikim nią podzielić.

- Tak naprawdę, pani Powers, niewiele możemy pomóc. Policjant zamyka za sobą drzwi. Z jakiegoś powodu czuję do niego sympatię. Jest spokojny, wydaje się dobrym obserwatorem, który nie działa pochopnie.

- Widzę ślady, które prowadzą od plaży, mniejsze do głównych drzwi, większe zatrzymują się przy wejściu na posesję. Formalnie rzecz biorąc, osobnik, który panią śledził, nie postawił nogi na pani ziemi. A nawet gdyby to zrobił, nie robilibyśmy odcisków i nie szukali producentów kozaków, kaloszy, chyba że...

- Chyba żeby mnie zabił - mówię, czując na sobie wzrok Drew. Ale by się wtedy ucieszył!

Gliniarz chrząka, gładząc opaloną dłoń przyprószoną siwizną

włosy.

- Zgadza się. Prawdę mówiąc, nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie seria włamań w ostatnich kilku tygodniach. W takich sytuacjach umundurowany policjant sporządza raport.

- Po prostu świetnie - mówi Ella. - Rewelacja. - Uważa, że ma prawo tak mówić, rozpieszczeni, zamożni ludzie tak się właśnie zachowują, ale nie robi tego w nieładny sposób. Tylko w naiwny. - Jak ma zasnąć?

Patrzę na nią. Mam ochotę jej powiedzieć, że nie sypiam od wielu lat.

- Ten dom ma dobry system antywłamaniowy - mówi policjant. - Niech pani pozamyka drzwi i kupi psa.

- Psa? - pyta Ella. - I to ma być pańska rada? Patrzę na gliniarza przepraszająco.

Drew milczy. Vivian podchodzi do mnie, siada i kładzie rękę na mojej nodze. Zastanawiam się, czy mnie nie ocenia i czy mnie akceptuje. Dostrzegam jedynie współczucie i troskę. cień czegoś, czego nie potrafię nazwać.

- Pani Powers - mówi gliniarz. Wszyscy na mnie patrzą. Zapytał mnie o coś, ale nie usłyszałam go, zatopiona w myślach. - Jest pani pewna?

- Przepraszam... - Pocieram grzbiet nosa. - Pewna czego?

- Że nie wie pani, kto mógłby panią śledzić. - Oczywiście, że jestem pewna.

Widzę, że mi nie wierzy. Wpadł na trop, zerka na Drew, potem na mnie. Czuję, jak sztywnieją mi ramiona od napięcia wyczuwalnego w pokoju. - Dobrze. - Ella się podnosi.

- Powiedziała, że jest pewna. Jeśli nic więcej nie może pan zrobić, to proszę już iść i pozwolić jej odpocząć. Spoglądam na Victory, która mimo toczącej się rozmowy zasnęła w moich ramionach. Wsłuchuję się w jej głęboki, miarowy oddech.

Gliniarz kładzie na stole wizytówkę i rzuca jeszcze jedno spojrzenie na Drew.

- Gdyby pani czegoś potrzebowała w nocy, proszę zadzwonić. Jestem na służbie.

- Dziękuję - mówię. - Bardzo mi pan pomógł. Naprawdę. Patrzy na mnie niepewnie.

Nie chciałam, żeby to brzmiało sarkastycznie.

Po wyjściu policjantów kładę córkę do łóżka i namawiam Elle, żeby wróciła do siebie.

- Dzwoniłaś do Graya? - pyta mnie, kiedy czekamy na ganku na jej męża.

- Tak - kłamię.

- Przyjedzie?

- Postara się. Nie podoba się jej moja odpowiedź, ale zachowuje uwagi dla siebie.

Bierze mnie w ramiona i mocno ściska.

- Dzwon, jeśli coś się zdarzy. Proszę cię. Cokolwiek.

- Dobrze - obiecuję.

Patrzę, jak sunie po schodach, kiedy podjeżdża jej mąż, który macha mi ręką na powitanie, ale nie wysiada z samochodu, zawsze zachowuje dystans i dziwnie na mnie patrzy. Chyba nie przepada za mną, nie wiem dlaczego. Może czuje, że ja też trzymam się na uboczu. Może dlatego nie można mi ufać. Mimo że usiłuję się nie wyróżniać, nie udaje mi się to.

Nie mogę namówić Drew, żeby wrócił do siebie. Vivian jedzie sama, on będzie spał do rana na kanapie. Nie martwi się o mnie, tylko o Victory. Jestem pewna, że wzięliby ją do siebie, gdybym się zgodziła.

- To nie jest konieczne, Drew. - Mogłabym równie dobrze rozmawiać ze ścianą.

- Chce zostać - mówi Vivian, zakładając torbę na ramię. -Chce się na coś przydać.

Chyba że Victory, ty i Esperanza pojedziecie do nas?

- Nie. Nic nam nie będzie. Ściska mnie.

- Nie złość się na niego - szepce. - Zależy mu na tobie, chociaż tego nie okazuje.

Bardziej, niż myślisz.

Kiwam głową i zastanawiam się, po co mi taka troska. Vivian wychodzi, a ja stoję przez chwilę przy drzwiach z ręką na klamce. Czuję na sobie jego wzrok.

- To może być burza w szklance wody.

Odwracam się w jego stronę, lecz w ciemności widzę tylko niewyraźną sylwetkę w ciemności, nie widzę rysów twarzy.

- Czy to był on? - pytam go.

Dom westchnął, gdy włączył się klimatyzator, czuję na szyi zimny oddech.

Drew krzyżuje ręce na piersiach.

- Nie żyje. Przecież wiesz.

- Więc kto to był? Skąd zna moje imię?

- Ktoś się brzydko tobą bawi. Dowiemy się kto. Nie martw się.

Jego słowa są życzliwe, w przeciwieństwie do tonu głosu. Nie podchodzi bliżej, stoi w mroku.

- Okej - odpowiadam

- Spróbuj zasnąć.

Klękam w pokoju zanurzonej w półmroku i sięgam do dziury między sprężynami materaca. Szukam po omacku, aż znajduję to, czego szukam, małe aksamitne pudełko.

Otwieram je i widzę złoty naszyjnik w kształcie połówki serca.

Są tam też inne, bardziej przydatne rzeczy: dziewięćmilimetrowy glock i zapas amunicji, kanadyjski paszport z moim zdjęciem,

wystawiony na obce nazwisko, dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce w czterech schludnych plikach po pięć tysięcy każdy. Jest jeszcze czarny notes z ważnymi informacjami, z numerem konta i PIN-em do konta bankowego, na którym mam trochę pieniędzy, nazwiskiem i informacjami o człowieku, który dawno temu obiecał, że pomoże mi zniknąć na zawsze, jeśli to będzie konieczne.

Rozdział 10

Jeszcze było ciemno, kiedy usłyszałam, jak Gray otwiera drzwi wejściowe. Czuwałam całą noc, obserwowałam przez okno plażę, czekając, aż osobnik znowu podniesie się z trawy. Ale nie, nic takiego się nie stało. Jakaś para kąpała się nocą w oceanie, potem kochała się i spacerowała po plaży, mocno do siebie przytulona. Ktoś, młody mężczyzna albo kobieta o chłopięcej figurze, biegał o czwartej rano.

Patrzyłam, jak sady susy koło naszego domu i wraca po dwudziestu minutach. Pewnie powinnam poczuć zadowolenie, ulgę. Ale te zwyczajne zdarzenia trochę mnie rozczarowują. Słyszę, jak rozmawiają. Już sobie wyobrażam, jak Drew opowiada o zajściach z poprzedniej nocy, protekcyjnym tonem, z lekko pobłażliwym wzrokiem. Potem Gray biegnie po schodach, przeskakując po dwa schodki. Zatrzymuje się i cicho otwiera drzwi, bo myśli, że jeszcze śpię.

- Co się stało? - pyta, kiedy widzi mnie na krześle.

Na jego widok czuję ulgę i złość jednocześnie. Coś w jego twarzy, może z powodu poprzedniej nocy i wydarzeń lub tej tragicznej rocznicy, która, tak się składa, jest również rocznicą naszego poznania, przypomina mi, kiedy zobaczyłam go po raz Pierwszy.

- Wrócił po mnie - mówię.

Nie wiem, czy sama wierzę w to, co mówię, sprawdzam, jak brzmią słowa, kiedy je głośno wypowiadam. Gray wchodzi do sypialni. Z dołu dobiega odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Drew zapala na podjeździe samochód i odjeżdża.

- Annie - mówi Gray cicho.

- Teraz jest inaczej. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Inaczej.

Siada na łóżku. Pod jego prawym oknem rozlał się purpurowy

siniec. Dolna warga jest pęknięta i opuchnięta. Ma już wystarczająco dużo blizn. Jego ciało jest polem minowym rannych i połamanym miejsc, pociętych i popękanych, które się nie zagoiły. W tym sensie pasujemy do siebie, mimo że moja skóra nie ma skaz. To moja psychika jest polem minowym.

Opowiadam mu o tym, co się wydarzyło na plaży. Słucha, nie spuszczając ze mnie wzroku; nie wiem, co myśli. Uderza nogą w takt mojej opowieści, zawsze tak robi, kiedy się denerwuje lub kiedy stara się rozwiązać problem. Gdy kończę, milczy przez chwilę, jakby szukał odpowiednich słów. Zadaje mi kilka pytań: Czy widziałam jego twarz? Co miał na sobie? Czy wiał silny wiatr?

- Czy Drew ci powiedział, że dzwonił ojciec? - pytam go, kiedy wstaje i podchodzi do balkonowych drzwi. Patrzy na bezchmurne niebo i plażę zalaną delikatnym, przezroczystym, srebrzystym światłem księżyca.

Kiwa głową.

- Może to cię tak wystraszyło. Może dlatego teraz jest inaczej.

Wyciąga do mnie dłoń, podchodzę do drzwi balkonu. Pokazuje na okno.

- Spójrz, ile tam jest światła. Przyjrzyj się tej parze. Młoda kobieta w dzinsach i swetrze trzyma za rękę wysokiego, szczupłego mężczyznę. Idą powoli, wymachując rękoma.

- Przy takim świetle musiałybyś coś zobaczyć, coś charakterystycznego.

- Tam ktoś był - odpowiadam szybko. - Esperanza go widziała. Policja znalazła jego ślady.

- Nie wątpię, że ktoś był. Ale to nie Marlowe. Odwraca się i dotyka mojej twarzy.

- Może zobaczyłaś kogoś, kto cię tak przestraszył, że twoja głowa i mózg dopowiedziały resztę?

- Nie - odpowiadam natychmiast. I dodaję: - Nazwał mnie Ofelią.

Odchodzi i kładzie się na łóżku, głośno oddychając. Obserwuję go stojąc w drzwiach.

Nie jest przystojny w klasycznym znaczeniu tego słowa. Jednak coś w jego postawie, w tym jak się nosi, powoduje, że kobiety o tym zapominają. Jest ode mnie starszy o dwanaście lat. Otacza go skorupa milczenia, tak nieprzeniknionej, że nie wiem, czy mam ochotę ją rozbić. Nie było żadnego powodu, żebym się w nim zakochała. Wręcz przeciwnie, nasze pierwsze spotkanie nie wróżyło udanego związku. Gray zakuł mnie w kajdanki i wrzucił na tył samochodu. Nie miał pomysłu, co ze mną zrobić, a nie mógł mnie tak zostawić, przynajmniej tak potem powiedział. Byłam w opłakanym stanie, prawie zagłodzona na śmierć, na wpół oszalała ze strachu i rozpacz. Może inni w jego sytuacji by mnie zostawili, żebym sama sobie radziła. Mógłby mnie zawieźć na policję lub do szpitala.

Ale postąpił inaczej.

- Pokochałem cię jeszcze wcześniej, niż zdałem sobie z tego sprawę.

- To dlaczego założyłeś mi wtedy kajdanki?

- Kochałem cię, ale ci nie ufałem. Trudno ufać skatowanemu psu. Dopóki on nie zaufa tobie.

- To porównanie niezbyt mi pochlebia. - Chociaż pewnie zachowywałam się wtedy jak skatowany pies, który nie odróżnia dłoni, która go bije, od tej, która go pieści.

Dotknął mnie tak, jak tylko on potrafił, żeby złagodzić ostre słowa, delikatnie gładząc po głowie, zarysie szczęki i po policzku.

- Wybacz mi.

Nie było żadnego powodu, żebyśmy kiedykolwiek byli razem i wiele powodów, żeby już się nigdy nie spotkać, po tym, jak mi pomógł i spowodował, że Ofelia na zawsze zniknęła. Zakochałam się w nim,

ponieważ był jedynym szlachetnym człowiekiem, którego poznałam. Był pierwszym bezpiecznym schronieniem, jakie znalazłam w życiu. Codziennie przychodził, żeby pobyć ze mną, nawet gdy nie byłam w stanie mówić albo nie chciałam, nawet wtedy, kiedy się denerwowałam i wyrzucałam go za drzwi. Zawsze wracał.

Próbuję to sobie przypomnieć, patrząc, jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada. Siadam na krześle. Po chwili zastanawiam się, czy zasnął. Czasami jest tak wyczerpany po powrocie, że zasypia podczas sprzeczki lub kiedy się kochamy.

Staram się nie złościć na niego z tego powodu.

- Annie - wzdycha wreszcie. Wstaje, podchodzi do mnie, klęka. Całuje moją dłoń. - Cokolwiek się tu zdarzyło, przysięgam ci, że Marlowe nie żyje.

Podczas bezsennej nocy upewniłam się ponad wszelką wątpliwość, że Marlowe wtedy nie umarł i że Gray mnie okłamywał przez te wszystkie lata. Wpadłam na przynajmniej pięć sposobów, dzięki którym mógł przeżyć. Chora wyobraźnia oplotła mnie swoją pajęczyną i nabrałam całkowitej pewności, że tak było. Ale teraz, kiedy Gray sprowadza mnie na ziemię, myślę, że to mój umysł znowu płata figle. Może Drew ma rację. Ktoś poznał moją tajemnicę i chce się do mnie dobrać. Albo, jak sądzi Gray, na plaży znalazł się ktoś przypadkowy, a całą resztę sobie uroiłam.

- Już dobrze? - pyta, kiedy milczę.

Dotykam dłonią jego twarzy, delikatnie gładzę ranę pod okiem, przejeżdżam palcem pękniętą wargę. Ma wokół ust głębokie bruzdy, które nie dodają mu lat, raczej twardości i mądrości. Kocham go. Szczerze. Naprawdę. I wiem, że on mnie kocha. Dostrzegam to w burzliwym bezkresie jego oczu. Moja pierwsza bezpieczna przystań.

- Nazwał mnie Ofelią - powtarzam.

- Jesteś pewna?

Teraz już nie. Byłam zatopiona w myślach. Rzeczywiście wiał silny wiatr. Może powinnam wrócić do leków i przetrzymać ponurą apatyczną mgłę, która spowija moje życie, ten umysłowy letarg. Przynajmniej wiem, co jest rzeczywiste. A to już coś.

- Nie wiem - odpowiadam.

- Dowiemy się, co się dzieje - mówi. - Kto odwiedził twojego ojca i kto był na plaży.

- Klepie materac. - Tylko nie rób nic głupiego.

Udaję, że nie wiem, o co mu chodzi.

- Myślisz, że nie wiem, co trzymasz pod łóżkiem? Chyba się spalę ze wstydu. Nie odpowiadam.

- Wiem, że dzięki temu czujesz się bezpieczniej. Rozumiem. Ale nie rób nic pochopnie.

Ześlizguję się na podłogę obok niego i dam mu się objąć. Chcę zapamiętać na zawsze, jak to jest być w jego ramionach. Nie chcę tego zapomnieć, kiedy mnie tu nie będzie.

Rozdział 11

- Już ja dobrze wiem, co wam chodzi po głowie - syknęła matka. Dopadła mnie w łazience, stanęła za mną i wyszeptała do ucha: - Widzę, jak na siebie patrzycie.

Pluła jadem z zazdrości. Już nieraz ją taką widziałam.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Z uwagą oglądałam zęby w lustrze nad umywalką, unikając jej wzroku. Złapała mnie za ramię i przyciągnęła do siebie.

- To jest praktycznie kazirodztwo - rzekła. Poczułam w uchu jej gorący oddech.

- Będzie twoim przyrodnim bratem.

Ona i Frank planowali wziąć ślub w więzieniu. Ohyda. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze. Tak mnie ścisnęła za ramię, że w oczach zakręciły mi się łzy. Ale raczej wolałabym żeby mi wyrwała rękę niż zobaczyła, że płaczę. Mrugałam szybko powiekami i odwróciłam od niej twarz.

- Nie wiem, o czym mówisz - powtórzyłam.

Na miejscu oczu miała dwie czarne wściekłe kropki. Kiedy wpadała w furję, jej śliczna buzia wykrzywiała się w brzydkim grymasie, odsłaniającym pożółkłe zęby i zmarszczone brwi. Poczułam od niej zapach kawy i bielinkę na kelnerskim far-tuszku.

- Nie pozwolę, żeby moja córka zachowywała się jak dziwka.

Nawet wtedy miała gdzieś moją cnotę i moralność. Nie martwiła się, że jej szesnastoletnia córka zadaje się z wyraźnie zaburzonym osobnikiem. Po prostu nie mogła znieść, że ktoś zwraca na mnie większą uwagę niż na nią. Poczula się stara.

Moja twarz była pozbawiona wyrazu, byłam bezwładna w jej uścisku, podczas gdy ona wykrzykiwała jakieś cytaty z Biblii Nigdy ich

dobrze nie pamiętała, zazwyczaj coś pomyliła, co głupio brzmiało. Kiedy nie reagowałam na jej słowa i zrozumiała, że nie wzbudzi we mnie żadnej reakcji, puściła mnie z obrzydzeniem i wymaszerowała z łazienki.

- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, moja panno - rzuciła jeszcze głośno.

Słyszałam, jak hałasuje i tłucze się po przyczepie, wreszcie wychodzi. Szczęknięły drzwi, które były za słabe, żeby wydać jakikolwiek poważny dźwięk. Byłam wystarczająco dojrzała dla niego, było we mnie tyle miejsc do zapisania, to był cud, że nie zniknęłam całkowicie.

- Jest zazdrosna, Ofelio.

Marlowe stanął za mną. Lubiłam, jak wymawia moje imię. Miałam zmienne zdanie na temat mojego imienia, nienawidziłam go, uwielbiałam je, znowu nienawidziłam, gdy omawialiśmy Hamleta na lekcjach literatury angielskiej. Kiedy Marlowe je wymawiał, nabierało nowej jakości, oł - fiill - ja. „Oł” było krótkie i ostre i mówił je, jakby je pieścił językiem. Ostatnia sylaba była miękka i bezdźwięczna, matowa jak oddech.

Zobaczyłam w lustrze obok mojej twarzy jego twarz. Pogładził mnie po ramieniu, a potem wziął w objęcia. Ukryłam przed nim oczy. Nigdy nie chciałam, żeby ktoś widział, jak płaczę. Nie znosiłam własnej słabości.

- Nienawidzę jej - rzekłam. Naprawdę tak myślałam, tak jak każda nastolatka, która myśli, że nienawidzi swojej matki.

Kiedy odsłoniłam oczy, on nadal przyglądał mi się w lustrze, z tym swoim przyklejonym krzywym uśmiechem. Widziałam, że cieszy go moja złość na nią i to koiło mój ból.

- Chciałabym, żeby umarła - powiedziałam, chociaż słowa obrzmiały wymuszenie i niezręcznie. Ale gdy zobaczyłam, że jeszcze

szerzej się uśmiecha, ogrzałam się w promieniach jego przychylności.

Kiedy złość wieku dojrzewania mieści się w granicach reguł i zasad, kiedy panują nad nią silni i obecni rodzice, którzy gwarantują bezpieczeństwo, to choć rozżarza się do czerwoności, równie szybko gaśnie. Ale gdy wyrwie się spod kontroli, wszystko obróci w proch.

Kilka dni po kazaniu, które matka wygłosiła w łazience, musiałam jej towarzyszyć podczas zakupów sukni ślubnej. Pojechałyśmy autobusem do sklepów przy autostradzie i przeglądałyśmy wieszaki z używaną odzieżą o różnym stopniu zużycia, od sukni poplamionej czerwonym winem po suknię z wyrwaną halką. Mama była słodka i szczęśliwa, podniecona w typowym dla siebie stylu małej dziewczynki. Jeśli pamiętała, że zaledwie kilka dni temu nazwała mnie dziwką i oskarżyła o to, że sypiam z moim przyszłym przyrodnym bratem, to nie dała tego po sobie poznać. Tego dnia zamierzała być szczęśliwa; nie chciała myśleć o mnie.

- Co myślisz o tej? O, popatrz! Frankowi na pewno bardzo by się spodobała.

Siedziałam w obskurnej przebieralni i patrzyłam, jak się stroi i kręci przed lustrem, zatracając się w iluzji przyszłego życia. Widać było po niej, że życie jej nie rozpieszczęło, ale ciągle była piękna. Włosy straciły wiele ze swojego estrogenicznego blasku, skóra zrobiła się cienka jak papier, tworzyła bruzdy wokół oczu i ust, ale było w niej prawdziwe piękno, a nie uroda, która przemija z wiekiem.

Kiedy tamtego dnia jej się przyglądałam, pomyślałam, że mogła mieć każdego mężczyznę, a tymczasem była sobą, żalospną desperatką w używanej sukni ślubnej, szykującej się do ślubu ze skazańcem. Tak jakby przed jej narodzinami Bóg zawiesił na niej tabliczkę z napisem KOPNIJ MNIE. I każda osoba i okoliczność, z którymi się zetknęła, sumiennie się z tego wywiązywały.

- Musisz tak na mnie patrzeć?

Tym pytaniem wyrwała mnie z zamyślenia i zobaczyłam siebie w lustrze, zgarbioną i posepną, patrzącą na nią ponurym wzrokiem.

- Mamo - wyprostowałam się na krześle. - Naprawdę chcesz to zrobić?

Podeszła i usiadła na krześle obok. Potarła dłonią czoło.

- Czy chociaż raz nie możesz się ucieszyć moim szczęściem? - - szepnęła. - Nie rozumiesz, że chcę tylko, żebyśmy miały normalne życie? Czy nie zasługujemy na to?

Sięgnęła do torebki po papierową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu, wycierając łzy, których nie dostrzegłam.

- Mamo - powiedziałam. Była taka zmęczona i smutna.

- Proszę cię. - Upuściła chusteczkę na kolana i chwyciła mnie za rękę. - Proszę.

Kocham go.

Kochała go. Jakie to smutne. Frank Edward Geary, osadzony w celi śmierci, ukochany mojej matki, został skazany za gwałt i zamordowanie trzech kobiet na środkowej Florydzie między marcem 1979 i sierpniem 1981 roku. Był również podejrzany o zamordowanie kilku innych, tylko brakowało dowodów, które by go powiązały ponad wszelką wątpliwość z tamtymi zbrodniami. Jego ofiarami były śliczne filigranowe blondynki o pięknych rysach.

Miały w sobie kruchość; jakby się im dokładniej przyjrzeć, to można by zauważyć drżenie jak u psów chihuahua. Były uderzająco podobne do mojej matki.

- Co jej powiedziałaś? - Mój psychiatra nalega, żebym mu odpowiedziała, chociaż już o tym rozmawialiśmy. To była kolejna chwila złapana w pętlę w mojej głowie.

Punkt orientacyjny w drodze do punktu, z którego nie ma już powrotu.

- Powiedziałam, że cieszę się jej szczęściem. Że postaram się być

większą optymistką.

- Ale nie czułaś się tak.

- Nie - odrzekłam bezbarwnym głosem. - Nie czułam się tak.

- Więc dlaczego jej to powiedziałaś?

- Nie wiem.

Spojrzał na swoje dłonie. Nie akceptował takich odpowiedzi w swoim gabinecie.

„Nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać”, albo: „Muszę się jeszcze nad tym zastanowić”, tak, to było okej. Ale: „Nie wiem” było wymówka, próbą wykręcenia się od odpowiedzi.

Dodałam więc po chwili:

- Naprawdę pragnęłam, żeby była szczęśliwa. I nie chciałam, żeby wykrzykiwała o nowych dowodach, które doprowadzą do jego uwolnienia. Że Bóg nie pozwoli na to, żeby niewinny człowiek umierał za zbrodnie, których nie popełnił. Nie chciałam słuchać o jej modlitwach i o prywatnym detektywie, którego opłacała, gdy my jadłyśmy kanapki z mortadela i resztki, które po kryjomu wynosiła z restauracji.

Chyba przez to jedno popołudnie chciałam odwiedzić ten świat fantazji, w którym żyła.

Chryste! Może rzeczywiście chciałam, żeby była szczęśliwa.

Nie odpowiedział od razu, pozwolił słowom przepłynąć przez pokój i powrócić do moich uszu.

- Dobrze, Annie - powiedział. - Naprawdę.

Budzę się z tymi słowami w uszach. Ostatnio śnią mi się nasze sesje, dziwna mieszanka przeszłych zdarzeń i fragmenty rozmów, które z nim toczę. Trudno powiedzieć dlaczego. Pewnie by powiedział, że moja podświadomość pracuje po godzinach. Gray śpi twardym snem obok mnie. Nie obudzi się przed południem, jest wyczerpany. Trudno powiedzieć, kiedy ostatni raz spał w łóżku, czy w ogóle spał.

Wkładam dzinsy i bluzę i przemykam się przez korytarz. Chociaż nie słyszę żadnego dźwięku, wiem, że Victory nie śpi. Zawsze rano czeka na nasz wspólny czas.

Zazwyczaj idziemy na plażę. Zaczęłyśmy, kiedy tylko nauczyła się chodzić i kiedy jej pozwoliłam dreptać na nóżkach tak daleko i tak szybko, jak umiała. Pozwoliłam jej uciekać ode mnie, żeby poczuła smak wolności. Na bezpiecznej plaży. Nigdy nie traciłam jej z pola widzenia, każdy jej upadek był miękki i mogła zatrzymać dla siebie wszystko, co znalazła.

Parapety i półki w jej pokoju były ozdobione jej skarbami: osuszonymi! kawałkami koralu, wyrzuconymi na brzeg kawałkami szkła i kamieniami w kolorze lodów. Dzisiaj zaczyna deszcz i po wczorajszej nocy plaża nie wydaje się już tak bezpieczna. Stąпам cicho i ukradkiem wślizguję się do jej pokoju. Widzę czubek głowy i delikatne unoszenie się opadanie kołderki. Chcę na niby sprawdzić, czy jeszcze śpi. Ale kiedy podchodzę bliżej, odkrywa kołdrę i skacze do góry.

- Uuu - krzyczy, bardzo z siebie zadowolona.

Udaję zdumienie, potem chwytam ją w ramiona i pokrywam pocałunkami.

- Cii - mówię, kiedy nie przestaje chichotać, gdy ją łaskoczę. - Tatuś śpi.

- Wrócił? - Wyrywa się z moich ramion i pędzi jak szalona przez korytarz. Zawsze mnie porzuci dla Graya. To on jest gwiazdą. Ja odrabiam codzienną pańszczyznę, myję ją, kiedy zwymiotuje, przypalam ciasteczka, rozczesuję splątane włosy. A on jest beczką śmiechu, szaleje z nią, bawi się w chowanego, nosi na rękach, czyta tę samą bajkę setny raz. Nie zdążam jej dogonić, Victory ląduje w naszym łóżku, a Gray wydaje z siebie jęk, kiedy wskakuje mu na piersi, a następnie znika pod kołdrą, piszcząc z uciechy.

Po kilku minutach zadawania miłosnych tortur biednemu wyczerpanemu Grayowi, Victory pozwala mu jeszcze pospać i schodzi ze mną na śniadanie. Tylko gofry ją dzisiaj zadowolą. Siadamy razem przy stole i jemy je z masłem orzechowym i dżemem. Przestało padać, spod gęstej szarej chmury wygląda rześkie błękitne niebo.

Hula wiatr. Spoglądam na miejsce, w którym jeszcze wczoraj stał mój gość, i nieuważnie słucham, jak Victory opowiada o dziewczynce, która nie chciała się z nią podzielić czerwoną farbą, kiedy malowały palcami, i o chłopcu, który nie chciał przyjść do przedszkola bez swojego kocyka. Wygląda na to, że zajścia z ostatniej nocy nie pozostawiły na niej żadnego śladu.

Opatulamy się ciepło i wychodzimy z domu. Kiedy wychodzi złote słońce, plaża znowu jest nasza. Victory dochodzi do końca alejki i biegnie w stronę oceanu, pewna, że pobiegnę za nią. Coś jednak migocze w piasku, przyciąga moją uwagę. Schylam się. Podnoszę złoty naszyjnik z połówką serca.

Widziałam, że dziewczęta w szkole, te o jedwabistych włosach i bujnych ciałach, te których chłopcy jeździli błyszczącymi, sportowymi samochodami, odprowadzali je do klasy i kupowali róże na walentynki, nosiły takie naszyjniki. Teraz widzę, jakie były tanie, tandetne, jakie pospolite. Ale wtedy czułam ukłucie, widząc je na szczupłych szyjach dziewcząt, ukłucie jakby zazdrości, chociaż wcale nie byłam zazdrosna. Raczej smutno rozważałam, jak to jest być częścią całości, adorowaną jako ta druga połowa, nie napraszając się i nie dokonując cudów, żeby ktoś nas dostrzegł. To był raczej ból, świadomość pustki we mnie.

Po tamtej nocy pod figowcem dusicielem zakochałam się bez pamięci w Marlowie, tak jak może się to nam zdarzyć jeden raz w życiu. Płonęłam takim płomieniem miłości, że samej siebie nie poznawałam. Teraz się wstydzę tego, że tak bardzo go pokochałam.

Wstydzę się też tego, jak wyraźnie moją miłość zapamiętałam. Nawet teraz, kiedy spada ciśnienie przed burzą z piorunami i niebo czernieje, przypominam sobie to lato, kiedy pojawił się w moim życiu, gdy każdego popołudnia lało jak z cebra. Pamiętam, co to znaczyło kochać bezgranicznie, bez powodu. Gdy jesteśmy dorośli, uczymy się, żeby tak nie kochać. Ale gdy jest się młodym, nie umie się nie kochać bez pamięci. To uczucie jest takie słodkie, że nawet się nie zastanawiamy, co z tego wyniknie.

Czasami nie pamiętam, co jadłam wczoraj, lecz tamten czas z Marlowe'em żyje w komórkach mojego ciała, chociaż starałam się o tym zapomnieć z powodu strasznych rzeczy, które się później wydarzyły. Bardzo dużo zapomniałam, ale nie to. I pamiętam, że na jakimś poziomie rozumienia, nawet w najgorszych chwilach wiedziałam, że to nie będzie trwało wiecznie, tak jak burza, która wywołuje niebezpieczny huragan, momentalnie zamienia ulice w rwące potoki, ale może przetrwać tylko przez krótki czas.

Chłonełam każdą chwilę, jak ktoś, kto za moment oślepie, absorbowałam kolor, najmniejsze szczegóły, zapach mydła Ivory i węgla na grill, dotyk ostrego zarostu, kiedy mnie całował. Wycie wiatru, cienkie ściany przyczepy, krople deszczu uderzające o dach i to, jacy czuliśmy się bezpieczni wewnątrz, kiedy mama była w pracy albo w odwiedzinach u Franka. Pamiętam swoje siedemnaste urodziny. Przed wyjściem do pracy matka usmażyła naleśniki i postawiła świeczkę na moich prezentach. Razem z Marloweem odśpiewali mi sto lat. Dostałam od niej koszulkę, która mi się spodobała, jak byliśmy w sklepie u Macy'ego, i małą różową, świecąca kosmetyczkę, w której był lakier do paznokci, szminka, piętnaście dolarów i kartka, na której było napisane „Mojej pięknej córce”.

Na kartce była chyba jakaś księżniczka z bajki. Tego dnia była

słodką, kochającą matką. Pamiętam, że aż w głowie mi się kręciło od jej serdeczności. Zanim poszła do pracy po śniadaniu, uściskała mnie, ucałowała i obiecała pizzę na kolację i tort z prawdziwego zdarzenia.

- Masz jakieś życzenie? - zapytał Marlo we, kiedy wyszła, a ja zaczęłam sprzątać ze stołu.

Jego pytanie i poważny ton kazały mi się mieć na baczności. Miewał dziwne, brzydkie huśtawki nastrojów, których nauczyłam się bać. Nie żeby mnie kiedyś skrzywdził, ale odpływał dokądś, a ja nie mogłam za nim nadążyć. Wzrok miał pusty, ciało zwiotczałe.

Mógł tak zniknąć na wiele godzin, aby potem wrócić, jakby się budził z drzemki. Byłam zbyt naiwna, żeby wiedzieć, że to nie jest normalne. W każdym razie tak to sobie teraz tłumaczę.

- Pragnę być z tobą.

Wiedziałam, że takiej oczekuje ode mnie odpowiedzi. Pamiętam, że o tej porze dnia słońce miało złoty kolor. Dzięki temu nasza przyczepa wydawała się mniej obskurna niż zazwyczaj.

- Na zawsze?

Wyciągnął do mnie dłoń. Chwyciłam ją, a on posadził mnie na swoich kolanach.

Przytulił mnie mocno i ukrył twarz w mojej szyi. Objęłam go.

- Na zawsze - wyszeptałam mu do ucha, wdychając jego zapach. Ale rozumiałam to tak jak nastolatka, która wierzy w bajki.

Wypuścił mnie z objęć i wyjął z kieszeni małe, czarne pudełko. Chwyciłam je, piszcząc z zachwytu, co wzbudziło w nim śmiech. Kiedy je otworzyłam, ujrzałam mieniącą się połówkę serca. Odsłonił kołnierz koszuli i ujrzałam na jego szyi drugą.

- Należysz do mnie - powiedział, zakładając mi wisiorek.

Poczułam się dziwnie, jakby mnie przeszył powiew mroźnego powietrza. Jednak kiedy się odwróciłam, żeby na niego spojrzeć, uśmiechał się. Nikt nigdy tak do mnie nie mówił.

To było jak narkotyk, ciągle mi było mało.

Powiedziałam o tym psychiatrze. Nikomu innemu się nie przyznałam, wstydziłam się mojej miłości, tego, że mu na tyle pozwoliłam, pragnąc go zatrzymać. Tak jak moja matka.

Gorzej.

Słowa lekarza miały mnie pocieszyć.

- Nie to, co o kimś myślimy sprawia, że ich kochamy, lecz to, co dzięki nim myślimy o sobie samych. Po raz pierwszy w życiu znalazłaś się w centrum uwagi. Stałaś się najważniejszym obiektem jego miłości. Nie czekałaś na okrucieństwo prawdy, który by rozbłysnął wśród kłamstw twojego ojca, lub na to, żeby twoja matka przedłożyła twoje dobro nad swoje pragnienie bycia z mężczyzną. Wreszcie chodziło o ciebie.

Przynajmniej dzięki niemu tak się czułaś.

Brzmiało prawdopodobnie, ale pomyślałam, że to stereotypowe patrzenie na miłość. Nie ma w niej czegoś więcej? Czy nie ma w niej czegoś więcej ponad to, że dwoje ludzi chce się w sobie nawzajem przejrzeć? Zapytałam go o to.

- W zdrowym związku jest o wiele więcej. Wsparcie, szacunek, pociąg fizyczny do drugiej osoby, namiętność. Jest podziw dla partnera, jego charakteru, cech. - I zapytał: - Za co go kochałaś? Opowiedz mi.

Lecz kiedy o nim myślałam, był tylko widmem wymykającym się do mrocznych zakątków mojej pamięci. Dorosła kobieta, która go przeżyła, zapomniała, co pokochała w nim dziewczyna, którą kiedyś była.

W mojej dłoni lśni tani naszyjnik. Przypominam sobie, jaka się czułam kochana, pierwszy raz, przez jedną chwilę, kiedy mi dał tę tandetną błyskotkę. I słyszę echo głosu, który usłyszałam zeszłej nocy na plaży:

„Kiedy przyjdzie czas, odnajdę cię i będziesz na mnie czekać. To nasza karma, nasza więź. Zostawię gdzieś dla ciebie naszyjnik, żebyś go znalazła”.

Nie pamiętam, kiedy i w jakich okolicznościach Marlowe wypowiedział te słowa, ale ciągle brzmią mi w uszach, zagłuszając szum fal.

- Co się stało, mamusiu?

Victory wraca i rzuca mi niepewne, zatroskane spojrzenie. Błądę gdzieś daleko; wkładam naszyjnik do kieszeni.

- Nic takiego, kochanie. - Kładę rękę na jej główce.

- Wyglądasz, jakbyś się przestraszyła - mówi moja mała dziewczynka, jej złote włoski tańczą na wietrze.

- Nie. - Zmuszam się do uśmiechu. - Pościgamy się?

Z krzykiem rzuca się do biegu. Gonię ją aż do brzegu i pozwalam wygrać. Chwytam ją i robię karuzelę, przyciągam do siebie, mocno ściskam i wreszcie puszczam.

Znowu ucieka. Przez cały czas udaję, że nie wiem, iż mój czas się skończył.

Rozdział 12

Kiedy, przytrzymując się ściany, idę przez hol, myślę o Victory. Jest moją tarczą i bronią. Wszystko robiłam i robię dla jej bezpieczeństwa i żeby do niej wrócić.

Zmuszam się do oddychania, kiedy szaleje we mnie adrenalina. Lęk nigdy nie był moim sprzymierzeńcem. Kiedy się boję, staję się niezdarna i rozkojarzona.

Popełniłam wiele błędów z tego powodu, że się bałam.

Statek wychodzi w morze przy wyłączonym silniku i żołądek skacze mi do gardła. Zatrzymuję się na dole schodów, które prowadzą na pokład. Słyszę, jak wiatr i fale uderzają o bok statku. Wyteżam słuch, żeby usłyszeć jakieś głosy, ale nic do mnie nie dociera, tylko mój własny urywany i przyspieszony oddech. Wchodzę po schodach, opierając się plecami o ścianę. Ręce mi się pocą, boję się, że upuszczę pistolet. Ściskam go z całych sił, gdy wychodzę na pokład. Uderza mnie chłód i woń soli. Morze jest czarną matnią. Pokład jest pusty od dziobu po ster, światło na mostku zgasło, tak jak inne światła.

Nagle ogarnia mnie paraliż. Nie mogę wrócić do kabiny, ale nie chcę zostać na pokładzie. Nie wiem, co robić. Zamykam na chwilę oczy i zmuszam się, żeby zachować spokój, miarowo oddychać. Woda przywołuje mnie do siebie. Czuję, jak mnie przyciąga.

Rozdział 13

Detektyw Harrison był niepozornym mężczyzną. Przynajmniej tak mi się wydawało na pierwszy rzut oka. Przeciętniak, na którego nie zwrócimy uwagi, mijając go w sklepie spożywczym, o średnim wzroście, średniej budowie ciała, o znośnym wyglądzie. Przytrzyma dla nas drzwi, podziękujemy mu i od razu o nim zapomnimy.

Ale kiedy patrzę na niego z okna na piętrze, jak zbliża się do mojego domu, serce gwałtownie przyspiesza. Złoty naszyjnik w kieszeni parzy mnie w udo. Schodzę przywitać się z nim, zanim Esperanza dobiegnie do drzwi i go wpuści. Pamiętam jego twarz, wydawał się miły, uprzejmy i niepodstępny. Spodobał mi się. Ale kiedy otwieram drzwi, widzę w nim coś, co mi się nie podoba - podejrzliwość. Dzisiaj jest wilkiem przy moich drzwiach.

- Witam, detektywie. - Prezentuję swój najlepszy sztuczny uśmiech.
- Sprawdza pan, co u nas? - Stoję w progu, uważając, żeby nie wykonać żadnego powitalnego gestu.

On także się uśmiecha, mrużąc oczy. Dostrzegam parę szczegółów, starego timeksa na elastycznej metalowej obrączce, zapach cebuli, paznokcie obgryzione do żywego.

- Nic się nie działo po naszym wyjściu?
- Nic. - Uśmiecham się i macham swobodnie ręką. - Chyba Esperanza niepotrzebnie was zawiadomiła.

Zamyślony kiwa powoli głową, wypatrując czegoś w domu.

- Pani też wyglądała, jakby świeowała ze strachu - odpowiada.

Świeowała ze strachu. Uderza mnie to nietypowe określenie, nieprofesjonalne i pozbawione szacunku.

- Przez chwilę - odpowiadam. - Za dnia, szczerze mówiąc, wszystko wydaje mi się idiotyczne. Jestem trochę zażenowana całą sprawą,

tym, że się tu zjawiliście. Prawie żałuję, że nie zdarzyło się naprawdę coś, co zasługiwało na waszą szarżę kawalerii. -

Za dużo mówię.

- Od tego jesteśmy - odpowiada. Zapada niezręczna cisza.

- Zastanawiam się jednak - ciągnie - czy mógłbym pani zadać kilka pytań?

- Na jaki temat?

- Mogę wejść?

Trzymam się kurczowo drzwi, krew napływa mi do uszu.

- Nie bardzo wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać. Powiedziałam panu wszystko, co się wczoraj wydarzyło.

- To potrwa tylko chwilę, pani Powers.

Przyjazny i swobodny ton zamienił na bardziej poważny. Przestał potakiwać głową i utkwiał we mnie wzrok. Przesuwam się i go wpuszczam, chociaż wiem, że to błąd. Ale nie chcę, żeby myślał, że coś przed nim ukrywam. Znowu zmuszam się do uśmiechu i proponuję szklankę wody, lecz odmawia. Kiedy go prowadzę do pokoju gościnnego, rozgląda się, jakby przeprowadzał u mnie inwentaryzację.

- Przepraszam, że pytam, czym się państwo zajmujecie? -Siada wygodnie na kanapie.

Wszystko, co mi się w nim wczoraj podobało, znika. Nie widzę ani dobroci, ani empatii. Mruży badawczo oczy. Pojawia się nieprzyjemne zadowolenie z siebie. Chyba popełniam błąd, kłamiąc, ale brnę dalej. Siła przyzwyczajenia.

- Zajmuję się dzieckiem, Gray pracuje w ubezpieczeniach, jest detektywem.

Podnosi do góry kąciki ust.

- Ale to nieprawda, Annie? Mogę tak panią nazywać? Milczę, nie spuszczaając z niego wzroku.

- Twój mąż i teść są właścicielami firmy, Powers and Powers. Zgadza się?

Wzruszam ramionami.

- W interesie naszego bezpieczeństwa jest, żeby nikt o tym nie wiedział.

- Rozumiem. Ostrożność w biznesie nie zawadzi.

- Co to właściwie ma do rzeczy? - pytam. Stoję przy łukowym wejściu do pokoju gościnnego, oparta o ścianę.

- To może mieć jakieś znaczenie. Wizyta intruza mogła mieć związek z pracą męża.

- Wyjmuje notes i przerzuca kartki. - Mówią o sobie, że są konsultantami do spraw bezpieczeństwa, ale to chyba nie wyczerpuje wszystkiego, czym się zajmują.

- Prowadzimy prywatną firmę militarną.

Gray wchodzi do pokoju. Dopiero wstał, ale nie widać tego po nim. Jest skupiony, uważny, w stanie pełnej gotowości. Detektyw jest wyraźnie zaskoczony jego obecnością, chyba sądził, że jestem sama. Zrywa się i podaje mu rękę.

- Detektyw Ray Harrison - przedstawia się. - To ja wczoraj odpowiedziałem na wezwanie na numer 911.

Gray pochyla się w jego stronę i przez krótką chwilę mocno ścisną mu dłoń.

- Dziękuję, że pan się wszystkim zajął - odpowiada chłodno, stanowczym tonem.

Obrzuca go twardym i nieustępliwym spojrzeniem, przed którym detektyw nieznacznie się cofa. Widzę, że omija go wzrokiem, gapiąc się na ścianę. Zapada niezręczna cisza, Gray krzyżuje ręce, nie zadaje pytań, niczego nie tłumaczy, raczej marszczy z niezadowolenia brwi, oceniając Harrisona.

Wreszcie detektyw chrząka.

- Kiedy się dowiedziałem, czym zajmuje się pańska firma, pomyślałem, że może to mieć związek z mężczyzną, który śledził pańską żonę.

Spogląda na drzwi. Nie usiadł ponownie i stoi z rękoma w kieszeniach. Jakby się bujał, pięta palce, palce pięta. Uśmiechnięty kot z Cheshire dawno zniknął. Ale tchórz, myślę sobie. Łobuz, który znęca się nad chudzielcem na placu zabaw, a potem rozkłada dłonie i otwiera szeroko oczy, udając niewiniątko, kiedy zbliża się nauczyciel.

- Bardzo w to wątpię. - Gray uśmiecha się cierpliwie. -Większość zleceń wykonuję za granicą. I gdyby, choć to bardzo mało prawdopodobne, ktoś chciał prowadzić przeciwko mnie wendetę, to niech mi pan wierzy, musielibyśmy się martwić grubo większymi rzeczami niż intruzem, który się zaczął w pobliżu naszego domu.

Obaj biorą udział w walce na miny, dopóki detektyw nie odwróci wzroku i nie spojrzy na mnie.

- Tylko tak sobie pomyślałem. - Ma o wiele więcej rzeczy do powiedzenia, ale zostawia je na później. - Proszę mi wybaczyć, że zakłóciłem spokój.

Idzie do wyjścia, Gray podąża za nim.

- Jeszcze jedno - mówi, kiedy Gray otwiera drzwi. - Zwróciło moją uwagę, że pani Powers urodziła się w Kentucky. Mógłbym jednak przysiąc, że ma nowojorski akcent.

Zwróciło jego uwagę? Zastanawiam się. Czy mnie sprawdził po wyjściu stąd wczoraj w nocy, przejrzał historię prowadzenia samochodu lub coś jeszcze?

- Urodziłam się w Kentucky, ale jako dziecko przeprowadziłam się z rodzicami do Nowego Jorku.

Kentucky, stan, w którym panuje liberalna polityka ujawniania aktów urodzeń. Wystarczy się tylko trochę postarać, żeby zdobyć informacje, datę urodzin, nazwisko panięńskie matki i jesteśmy w

drodze do zupełnie nowego życia. Jeśli nie przestanie mi zadawać pytań i sprawdzać odpowiedzi, to przejrzy mnie na wylot. Jednak tylko długo mi się przygląda, uśmiechając się półgębkiem.

- Będziemy państwa informować, jeśli przydarzą się ewentualne włamania w sąsiedztwie i jeśli się czegoś więcej dowiemy o mężczyźnie, który śledził panią zeszłej nocy - mówi, schodząc po schodach. - Miłego dnia.

Machamy mu na pożegnanie. Gray mocno ściska mnie za rękę. Spoglądam na niego, podczas gdy on odprowadza wzrokiem samochód detektywa.

Kiedy Harrison zaczął podejrzewać, że nie jestem tą osobą, za którą się podaję, sam siedział po uszy w kłopotach. Nie był całkiem zdemoralizowany. Nie był też zupełnie uczciwy. Dokonał złych wyborów, zszedł ze ścieżki prawa i był bliski stoczenia się na samo dno. Trudno było na to wpaść, gdy się na niego patrzyło. Jeździł dość nowym modelem forda explorera, zawsze terminowo płacił raty za dom, nigdy nie chodził na zwolnienie lekarskie. Ale miał długi. Ogromne. Właściwie tonął w nich po uszy. Chodził spać, a rano budził się z tą samą myślą, ostatnio przestał patrzeć żonie w oczy. Zaczął chorować, miał wrzód i wymiotował krwią. I nie mógł się do nikogo zwrócić o pomoc w tej akurat sprawie, bo przecież nie zalegał z pieniędzmi w Citibanku. Był hazardzistą.

Kłopot w tym, że często przegrywał ogromne sumy.

Dzień przed telefonem Esperanzy pod numer 911 człowiek, któremu wisiał kasę, wysłał mu zdjęcie jego żony, jak zapina w foteliku ich dziewięciomiesięczną córeczkę pod centrum handlowym. Na odwrocie zdjęcia wierzyciel nabazgrał:

„Gdzie jest, do cholery, moja kasa!”.

Miał takie kłopoty, kiedy naszły go wątpliwości i nabrał niejasnych przeczuc, że coś przed nim ukrywam. Zaczął węszyć, niespecjalnie się

zresztą wysilając. Moje całkowicie czyste konto i nieistniejąca historia kredytowa zapaliła w nim pierwszą lampkę alarmową.

Drugą lampką było moje prawo jazdy wydane zaledwie pięć lat temu. I do tego akt urodzenia z Kentucky, choć nie miał wątpliwości, że mówię z nowojorskim akcentem.

Harrison dostrzegał materialną wartość rzeczy; nasz dom na plaży, pierścionek na moim palcu, najwyraźniej jakąś tajemnicę. Po wstępnej kalkulacji zdecydował się zaryzykować, jak to miał we krwi. Jeszcze tego wszystkiego o nim nie wiem, kiedy odprowadzamy go z Grayem wzrokiem.

Jego wizyta to kolejna zła wróżba.

Rozdział 14

Chcę sobie przypomnieć, jak wyglądał Marlowe, dawno temu, kiedy byliśmy młodzi, ale nie potrafię przywołać jego obrazu. Pamięć wije się i znika, skręca, dostrzegam bladość jego skóry, czerń oczu, kwadrat dłoni, ale cały obraz jest mglisty i zmienny, jakbym go widziała pod wodą.

Straciłam go. Częściowo z powodu moich skażonych wspomnień. Wiele z nich ukryłam w czarnej skrzynce. Ale częściowo ma to związek z nim samym. Ponieważ, jak wszyscy manipulanci, Marlowe był kameleonem. Stawał się kimś na potrzebę chwili - aby móc mnie kontrolować, był kochający albo daleki, dobry albo okrutny.

Może nawet nigdy nie poznałam prawdziwego Marlowe'a. Może mój psychiatra miał rację, kiedy rozmawiał ze mną o miłości, przynajmniej o pewnej jej odmianie.

Początkowo Marlowe niewiele mi opowiadał o ojcu. Zmieniał temat, kiedy go wspomniałam, albo mówił o nim zdawkowo w czasie przeszłym, jakby chodziło o dalekiego krewnego, którego pamiętał z dzieciństwa. Czasami rzucał od niechcienia:

„Tata lubił zapach kwitnących drzew pomarańczowych”. „Tata miał taki sam czerwony kapelusz”. Albo: „Tata dał mi na moje piąte urodziny kij bejsbolowy”.

Wspomnienia nawiedzały go w nagłych ujęciach, kolorowych, jasnych i dwuwymiarowych. Kiedy pierwszy raz nalegałam, żeby mi opowiedział coś więcej, zaszył się w swej mrocznej przestrzeni. Rozmawialiśmy, siedząc na moim łóżku, paląc papierosa, którego zwędziłam z torebki mamy.

- Nie wiedziałeś, co robił? - Zaciągnęłam się delikatnie, starając się nie zakasać, po czym oddałam mu papierosa.

- Jasne, że nie - odparł. - Byłem dzieckiem.

- Jak mogłeś nie wiedzieć? - Wpatrywałam się w swoje skórki od paznokci, postrzępione i wysuszone jak u mamy. - Nie byłeś aż taki mały.

Kiedy mi nie odpowiedział, spojrzałam na niego. To było bardzo dziwne. Opierał się o ścianę, z papierosem w dłoni, podparty pod boki. Miał pusty wzrok i szklane spojrzenie, jakby o czymś śnił.

- Marlowe.

Zabrałam mu papierosa i wrzuciłam do puszki po wodzie sodowej, która służyła nam za popielniczkę, gdzie zgasł z sykiem. Chwyciłam go za ramiona i delikatnie nim potrząsnęłam, myśląc, że żartuje. Opadł miękko na swoją połowę łóżka, oparł głowę na starym wypchanym misiu, którego miałam od dzieciństwa. Leżał tak przez godzinę, podczas gdy ja szeptałam, krzyczałam, uspokajałam go i głaskałam, przymilałam się do niego i potrząsałam nim, błagałam i szlochałam. Już miałam dzwonić pod 911, kiedy doszedł do siebie, wyczerpany i oszołomiony.

- Co się stało? - zapytał, widząc moje policzki mokre od łez i przerażenie na twarzy.

Budził się z głębokiego snu, przecierał oczy i ziewał.

- Kompletnie odleciałeś - rzekłam wyczerpana, czując ulgę, że znowu do mnie mówi.

- A, to! - Wzruszył ramionami. - Czasami tak mam. Coś jakby atak.

- Wyglądało okropnie - powiedziałam. - Naprawdę.

- To nic takiego - rzekł ostro. Odpuściłam mu. Nie naciskałam.

Powoli zaczął się wyłaniać ponury obraz jego życia z Frankiem. Jeździli do parków, kościołów i sklepów spożywczych, w wiecznie psującym się czarnym gruchocie eldorado.

Frank był smutnym i, ach jak bardzo, przystojnym wdowcem, samotnym i bardzo pracowitym, który miał dobrą pracę i ładny dom.

Marlowe był pięknym nastoletnim synem wychowywanym bez matki. We dwóch, mówił Marlowe, stanowili idealny, doskonały wabik na pewien typ kobiet.

- Nie w tym rzecz, jak wyglądały - opowiadał. - Nie chodziło tylko o kolor oczu bądź włosów, nie tylko o wygląd. Były jak suki złaknione lania. Ojciec wyszukiwał te, które chciały być ukarane. W pewnym sensie szukał tych, które szukały jego. Widział to w nich. Po chwili ja też to dostrzegałem. Wiedziałem, która z nich wyląduje na naszym progu, zanim on o tym wiedział.

Wszystkie były takie same; po czterdziestce, ze śladami przebrzmiałej urody, która szybko przemijała, i zawsze pragnęły tego, co ich koleżanki albo siostry zdobywały ze względną łatwością. Z jakiegoś powodu w życiu im nie wyszło: jedna była bita, mąż innej uciekł z jej najbliższą sąsiadką, mąż kolejnej poszedł do więzienia za podrobienie podpisu na czeku. Wszystkie miały długą listę nieudanych związków, doświadczyły przemocy i uzależnień. Były wśród nich kelnerki i tancerki topless, sprzedawczynie z nocnych sklepów i sprzątaczkę z moteli. Frank wysłuchiwał ich smutnych opowieści, pozwalał się wypłakać na swoim ramieniu, może nawet sam płakał nad tym, jak bardzo tęskni za żoną, jak jest mu ciężko samemu wychowywać syna.

Marlowe opowiadał, że podryw trwał zwykle jedno popołudnie. Jeżeli kobiety nie opuszczały ich domu przed kolacją, to opuszczały go w bagażniku samochodu następnego dnia rano. Marlowe pamiętał, że to się zdarzyło więcej niż trzy razy. Nie był pewien, ile razy więcej. Wtedy, upierał się, nie miał o niczym pojęcia. Nie widział ani nie słyszał niczego, co by go wystraszyło, aż do dnia, kiedy przyjechała policja i zabrała Franka.

Ciągle myślałam o tym, jak mógł nie wiedzieć. Co, jego zdaniem, działo się z tymi kobietami, które zostawały na noc i których nigdy

więcej nie zobaczył? Jednak czułam, że nie warto drażnić tego tematu.

W ciągu tych lat, między aresztowaniem Franka i pojawieniem się na progu naszego domu, Marlowe wędrował od jednych krewnych do drugich, aż wreszcie trafił do rodziny zastępczej. Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, dlaczego nie znalazł domu, dlaczego nigdzie nie zagrzał miejsca dłużej niż przez kilka miesięcy. Pomyślałam, że tak jest, kiedy ojciec siedzi w więzieniu, a matka nie żyje. W naszym komunalnym bloku w Nowym Jorku poznałam wiele dzieciaków z rodzin zastępczych i wiedziałam, że ciężko znaleźć schronienie, w którym cię chcą, a prawie niemożliwe znaleźć dom, w którym cię pokochają.

- Nikt nie chce mieć blisko swoich dzieci syna człowieka skazanego za gwałt i morderstwa - rzekł któregoś nocy. - Nawet jeśli jest członkiem rodziny.

Myślę jednak, że chodziło o coś więcej. Już wtedy otaczała go jakaś niepokojąca cisza, upiorna czujność. Wtedy ta obcość w równym stopniu mnie przerażała, jak intrygowała.

Rozdział 15

W pierwszych tygodniach po aresztowaniu Franka Marlowe upierał się, że nie wierzy w to, co mówili o jego ojcu. Jednak z biegiem czasu, z dala od wpływu Franka, zaczął sobie przypominać zdarzenia z przeszłości. Kiedyś znalazł w szafie kobiece torebki, innym razem damski but pod gankiem, tani czarny sandałek ze złamanym obcasem. Kiedyś przed świtem widział, jak ojciec wkłada do bagażnika pakunek owinięty w białe prześcieradło.

Stare ciuchy dla ubogich, powiedział mu.

- Te zdarzenia wracały do mnie w nocnych koszmarach - opowiadał. - Leżałem w obcym łóżku, przerażony i samotny, i przypominałem sobie, co widziałem, będąc chłopcem. Może byłem za młody, żeby to zrozumieć, może musiałem być daleko od niego, żeby sobie uświadomić, kim był. Trudno powiedzieć.

Marlowe zaczął myśleć o matce, która rzekomo uciekła i porzuciła ich obu. Frank mówił, że jest wdowcem, ale jemu powiedział, że matka zostawiła ich i uciekła pewnej nocy z mechanikiem. Nosił w portfelu jej zdjęcie; było pogięte i z czasem stało się wiotkie.

Pod drzewem stoi blondynka o delikatnych rysach w letniej kwiecistej sukience, a wokół niej wirują na wietrze liście. Patrzy na coś, czego nie ma na zdjęciu, trzymając w kąciku ust mały palec. Ciągle miał przy sobie to zdjęcie, chociaż raz dostał za to lanie od ojca.

Dopiero później dotarło do mnie, że opowiadał o tym bez żadnych emocji, jakby był z lodu. Był rannym ptakiem, którego Znalazłam. Pielęgnowałam w sobie fantazję nastolatki, że mogę go uzdrowić i pocieszyć.

W tym samym czasie moja matka pielęgnowała swoją fantazję. Co sześć tygodni jeździła autobusem odwiedzić w więzieniu

narzeczonego, oddzielonego od niej taflą kuloodpornego szkła. Nigdy nie trzymała, nie całowała ani nawet nie dotknęła ręki mężczyzny, którego chciała poślubić, i prawdopodobnie nigdy nie dotknie. Obnosiła się z tym, jakby to był akt odwagi.

- Przecież kraty i uzbrojeni strażnicy nie powstrzymają ludzi od miłości. Nie mogą powstrzymać woli Pana - mówiła.

Cały wolny czas poświęciła na lobbowanie za wznowieniem procesu. Pisała listy, kontaktowała się z firmami prawniczymi, specjalizującymi się w apelacjach w sprawie kary śmierci. Zdaniem prywatnego detektywa, którego wynajęła, policjant, który aresztował Franka, był znany z tego, że uciekał się do użycia siły i wymuszał zeznania; jedno z jego ostatnich aresztowań i skazań zostało uchylone. To dało jej nadzieję. Frank nigdy się nie przyznał do żadnego morderstwa; przez cały czas utrzymywał, że jest niewinny, nawet w świetle obciążających go zeznań naocznych świadków.

Podobno kiedy jego samochód zepsuł się na dobre, Frank wyjął rzeczy z bagażnika i niósł je opustoszałą podrzędą drogą gdzieś na odludziu. Było ciemno, więc nie zauważył kobiety w oknie domu oddalonego od drogi. Możliwe, że nawet nie zauważył domu, kiedy szedł z pakunkiem na plecach, do nory znanej okolicznym nurkom jako Little Blue.

- Była stara - rzekła matka - i było ciemno. Nie wie, co widziała. Frank nie był tej nocy jedynym mężczyzną na Florydzie za kierownicą eldorada.

Po procesie kobieta, która zeznawała przeciwko Frankowi, zmarła na wylew. Dla matki to był dowód na to, że go skrzywdziła.

- To Pan ją ukarał za to, że zniszczyła mu życie - rzekła cicho z pełnym przekonaniem.

Nawet twarde fizyczne dowody jej nie zniechęciły: krew i jasne włosy w bagażniku, portfel ofiary z prawem jazdy, częściowo spalony

w zardzewiałym metalowym bębnie w jego ogródku, odciski palców w jego domu, odpowiadające odciskom palców dwóch kobiet, które miał zabić.

- Gliny ciągle podrzucają dowody - upierała się. - A ten, który go aresztował, był skorumpowany. Były naciski. Musieli kogoś aresztować, a Frank okazał się idealnym kozłem ofiarnym.

Przestałam się z nią sprzeczać, ale kiedy kazała mi zanosić na pocztę listy do gubernatora, do prawników zajmujących się wyrokami śmierci, do grup zwalczających karę śmierci, wyrzucałam je do kosza. Chociaż nie wierzyłam w Boga, modliłam się każdej nocy, żeby Frank zginał na krześle elektrycznym, zanim wsunie jej na palec obrączkę w kaplicy więziennej, pod bacznym wzrokiem uzbrojonych strażników, i zanim ja włożę ohydny różową sukienkę, którą mi kupiła, a w której miałam wystąpić jako jej druhna.

Zamknęłam oczy, sparaliżowana strachem. Ktoś wyrywa mi pistolet z ręki. Otwieram szeroko usta i nagle znajduję się twarzą w twarz z Daksem.

- Czego nie zrozumiałaś z moich instrukcji? - szepce ostro. Chwyta mnie za ramię i popycha w kierunku steru.

- Dokąd idziemy?

- Wynosimy się stąd.

Na ubraniu ma krew. Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, ma twarz we krwi.

- Schodzimy ze statku? Dokąd popłyniemy? - Patrzę na wzburzoną wodę. Przedemną rozpościera się czarna otchłań.

- Na wyspy. Tam.

Dłonią pokazuje czerni. Nie widzę ich. Rozglądam się za drugim statkiem, który dostrzegłam w oddali, ale zniknął albo wyłączył światła i rozplynął się w czerni. Nie rozumiem, co się dzieje, lecz obezwładnia mnie lęk. Nieruchomieję, zmuszam Daksa, żeby

przystanął.

- Gdzie są wszyscy?

Nie odpowiada. Schodzi po drabinie koło steru na platformę, gdzie czeka stateczek wielorybiczny przycumowany do knagi, który skacze, szarpie się i miota się niczym mechaniczny byk. Jest tak malutki, że na sam jego widok robi mi się niedobrze.

- Chyba żartujesz - mówię, stojąc na górze drabiny. -Chcesz nas zabić?

Podnosi na mnie wzrok i wyciąga dłoń.

- Wszyscy zginęli - odpowiada. - Nie doceniłiśmy przeciwnika. Albo pójdiesz ze mną, albo tu zginiesz.

- Nie rozumiem - upieram się. Mój mózg zasnuła mgła, tracę kontakt z rzeczywistością.

- Nie żyją - mówi tak głośno, że aż się wzdrygam. - Nie oddychają.

Jego słowa są jak uderzenie pięścią w szczękę. Zataczam się. Pozostali czterej mężczyźni, wyszkoleni wojskowi zawodowcy, tacy jak Gray, nie żyją. Spoglądam na ciemny statek, nie dostrzegam na nim żadnego ruchu, nie dochodzą do mnie żadne dźwięki.

To statek widmo. Ogarnia mnie panika.

- Kto to zrobił? - pytam.

Dax zaczyna wchodzić po drabinie.

- Nie wiem. - Nie patrzy na mnie. - Jakaś wyszkolona grupa. Myśleli, że nie żyję, więc mnie zostawili. - Wzmaga się wiatr, podnosi głos, żebym go usłyszała. Woda ze złością uderza o łódź. - Zrozumiałem, że następnym razem wrócą po ciebie.

Pomyślałem, że albo znikniesz, albo zginiesz. Ich statek? Odpłynął.

- Popłynęmy tym.

Tu są na pewno rekiny. Ten mały statek wygląda jak przekąska dla nich. Nagle umieranie w tej wodzie przestaje być atrakcyjne.

Dax wraca na pokład i sfrustrowany przeczesuje dłonią włosy.

- Silnik zdechł - mówi zdecydowanym tonem. - Ktokolwiek za tym stoi, uszkodził statek. Zostawili cię tutaj. Dlatego myślę, że wrócą albo podłożyli ładunek i statek wybuchnie, jak będą daleko. Musimy zniknąć. Już.

- Nie - odpowiadam.

Dax rzuca mi twarde spojrzenie. Kiedyś był przystojny, ale widzę w jego oczach to, co robił i co widział. Ma pomarszczoną i ogorzałą skórę, usta zaciśnięte w cienką linię wyglądają, jakby się nigdy nie rozciągały w uśmiechu. Ponownie kładzie mi dłoń na ramieniu. Zastanawiam się, czy będzie mnie chciał siłą zaciągnąć na stateczek wielorybiczny.

- Oddaj mi pistolet. - Przygotowuję się na starcie z nim. Zerka na mnie, mrużąc oczy.

Po chwili wahania wyciąga pistolet zza pasa i daje mi go.

- Idziemy.

Ciągnie mnie w kierunku drabiny.

- Sam idź - odpowiadam. - Nie mogę. To się musi dzisiaj skończyć. Już nieważne jak.

Wsiądę na stateczek wielorybiczny i co dalej? Zaszyjemy się na jakiejś wyspie do wschodu słońca? Albo będziemy płynąć, dopóki nie skończy się nam paliwo?

Staniemy się łatwym celem.

- Straciliśmy łączność ponad godzinę temu. Inna ekipa po nas przyjedzie, zanim coś się wydarzy - odpowiada. Jest tak sfrustrowany, że krzyczy, nie tylko po to, żeby go usłyszała. Wzrokiem przeczesuje horyzont, jakby szukał świateł innego statku.

- Kiedy przybędzie, to ich tu przyprowadź. - Wydaję się spokojna i pewna siebie, choć wcale nie jestem.

- Nie bądź idiotką - mówi i mocniej mnie ściska. Patrzy na mnie z mieszaniną troski i pogardy. - To nie jest odpowiedni dla ciebie

przeciwnik, nawet nie wiesz, w co się bawisz.

- Czy ty pracujesz dla mnie? - pytam go. Potakuje. - W takim razie zwalniam cię.

Kręci przecząco głową, nie wierząc w to, co mówię, ale puszcza moje ramię i nie rusza się, żeby mnie zatrzymać, kiedy biegnę na schody prowadzące do steru. Zanim wejdem,

słyszę silnik statku wielorybniczego. Odwracam się i widzę biel łodzi wchłoniętej przez noc. Upadam na duchu, gdy znika. Zastanawiam się, czy na pewno nie popełniłam strasznego błędu i ile to mnie będzie kosztować.

Rozdział 16

Kiedy urodziła się Victory, wpadłam w przerażenie. Była ciasno opatulonym tobołkiem, a jej główka prawie całkowicie zniknęła pod czapeczką. Nie krzyczała jak inne noworodki, które chcą zwrócić uwagę wszystkich na fakt, że oto właśnie przybyły na świat, na którym zamierzają pozostać. Cicho i spokojnie obserwowała całe otoczenie. Kiedy zajrzałam w jej głębokie, piwne oczy, nie byłam pewna, co w nich widzę, wydawała się zmęczona, wstrząśnięta, może rozczarowana. Jakby jeszcze nie podjęła decyzji, czy zamierza zostać tu na dłużej. Miała trochę za płytki oddech, nieprawdopodobnie delikatne rączki i nóżki.

Czułam, że w każdej chwili może zniknąć. Budziłam się nagle kilka razy w nocy i zakradałam do jej łóżeczka, nie żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha, ale żeby zobaczyć, czy w ogóle tam jest.

Zawsze mi się wydawało, że się odpreża w obecności Graya, chociaż była taka miniaturowa na jego szerokiej klatce. Wyobrażałam sobie, jak delikatnie wzdycha i wznosi do góry kąciki ust. Czasami, kiedy ją karmiłam, a ona patrzyła na mnie szeroko otwartymi, uważnymi oczami, mogłabym przysiąc, że się zastanawia, czy ja na pewno wiem, co robię?

Czy znam się na tym? Przy Grayu była spokojna, jakby wiedziała, że w jego dużych, sprawnych ramionach jest całkowicie bezpieczna. Ze mną nie była już taka pewna.

Śniło mi się, że ktoś mi ją zabiera. W tych pierwszych trudnych dniach ciągle budziły mnie koszmary. A to do sali porodowej wchodzi pielęgniarki i gdzieś ją zabierają, podczas gdy ja głośno krzyczę. Albo jestem z nią u pediatry, który nie godzi się, żebym ją wzięła do domu, bo nie dam sobie rady. Budziłam się bez tchu, a wstyd i wściekłość

zagarniały mnie, jak powódź zagarnia wszystko na swej drodze.

Kiedy zaczęłyśmy wychodzić z domu, bałam się, że gdzieś ją przez przypadek zostawię, że wyjdę rozkojarzona ze sklepu albo z banku. Widziałam oczyma wyobraźni, jak się potykam, tracę panowanie nad wózkiem i patrzę bezradnie, jak wózek toczy się na jezdnię, albo niedbale zapinam klamrę od fotelika i córeczka wypada, nim zdążę ją złapać. Krótko mówiąc, byłam kłębkim nerwów prawie przez cały czas.

- Każda młoda matka ma takie emocje - twierdził psychiatra. - Jest to normalna reakcja na ogromną i nieznaną nam odpowiedzialność, która pojawia się w naszym życiu. Życie Victory zależy wyłącznie od ciebie. Masz prawo być przerażona. No i oczywiście brakuje ci dobrego wzorca z domu. Chociaż twoja matka nie popełniała wyłącznie błędów.

Przecież nie umarłaś.

- O mały włos - odpowiedziałam. Zawsze ogarnia mnie dziecinna złość, kiedy on próbuje ją przede mną tłumaczyć. Zwłaszcza w naszych rozmowach o Victory.

- No dobrze. - Kiwa z powagą głową. - Ale spójrz na to inaczej. To, że matka nie dość cię kochała, nie oznacza, że ty nie dość kochasz Victory.

Nie zrozumiałam go i musiał to wyczytać z mojej twarzy.

- Nie musisz jej rekompensować tego, czego nie dostałaś od matki. To cię nie czyni lepszą. Dzieci potrzebują zrównoważonej i zdrowej matki, w dużym stopniu niezależnej istoty. W przeciwnym razie, kiedy córka od ciebie odejdzie, co jest naturalnym procesem, poczuje, że coś ci zabiera. Że za bardzo jej potrzebujesz.

Sprawisz jej ból, wzbudzisz w niej poczucie winy, co źle na nią wpłynie, zahamuje jej rozwój emocjonalny. Rozumiesz?

Mruknełam, że tak, ale jego teoria, że matka może zbyt mocno

kochać dziecko, wydała mi się dziwna. Tylko facet mógł coś takiego wymyślić.

Po południu, po wizycie detektywa, kiedy Victory jest jeszcze w przedszkolu, a Gray zmaga się z kolejną sytuacją kryzysową, przekładam moje tajemne rzeczy do skrytki na dworcu autobusowym w centrum miasta.

Niewielki zaniedbany dworzec znajduje się o jedną przecznicę od posterunku policji. Jakiś bezdomny, popijając coś z brązowej torby, obserwuje mnie z ławki, na której się wyciągnął. Czuję jego wzrok na karku, kiedy wrzucam torbę do skrytki i biorę mały, pomarańczowy kluczyk. Jest mi głupio, bo wiem, że zwrócił na mnie uwagę i zastanawia się, po co ludzie chowają rzeczy w dworcowej skrytce. Dalej się na mnie gapi, gdy wracam do samochodu. Jest żylasty i brudny, ubrany w czerwono-białą koszulę w kratę i dżinsy, na nogach ma zniszczone adidasy.

Nie oceniam go. Sama się kiedyś obudziłam na publicznej ławce, brudna i zdezorientowana; zastanawiam się, czy tak jak ja jest umyślowo chory. Ale nie wygląda, jakby się bał albo był niezrównoważony. Wydaje się zadowolony, pogodzony z losem. Odjeżdżając, zastanawiam się, co myśli o mnie. Ale nie sądzę, żeby mnie oceniał.

Po drodze zatrzymuję się na stacji benzynowej. Płatny telefon na stacji jest jeszcze bardziej przygnębiający i podejrzany od publicznej skrytki. Pewnie przypomina mi, jaka czułam się nieszczęśliwa, gdy dzwoniłam do ojca. Pomyślałam o nastoletnich dzieciach uciekających z domu, kulących się przed deszczem, kiedy w końcu, zrozpaczone i załęknione, dzwonią do rodziców, błagając ich, żeby pozwolili im wrócić. Albo o cudzołożnicach wymykających się z domu, żeby zadzwonić do kochanków. Tylko w tak opłakanej sytuacji ktoś może albo musi kulić się w małej metalowej skorupie i dociskać

do ust i ucha brudną słuchawkę. Płacę gotówką za kartę i idę do telefonu. Dzwonię pod nu-rcier, który znam na pamięć.

- Zostaw wiadomość - słyszę męski głos. - Żadnych nazwisk. Żadnych numerów.

Jeśli cię nie znam, nie powinieneś dzwonić pod ten numer.

Słyszając jego głos, przypominam sobie słoneczny pokój, za-Pach przygotowanego jedzenia, odgłosy i oklaski w jakimś programie w ściszonej telewizorze. Przez cały miesiąc graliśmy w pidżamach w go fish, a zbliżyło nas to, że jako jedyni pacjenci nie byliśmy kompletnie oderwani od rzeczywistości. Wokół nas wszyscy się ślinili i patrzyli przed siebie tępym wzrokiem, czasami ktoś wrzasnął albo wymówił swoje imię.

Miał na imię Oscar, przynajmniej tak mi się przedstawił. Twierdził, że ma depresję, myśli samobójcze. Chciał skoczyć z mostu Verrazano, ale tak długo się nad tym zastanawiał, że gliny zdążyły go ściągnąć z barierki.

- Można spowodować, żeby ludzie znikali, a świat straci rzeczywistość. Stanie się bez znaczenia.

- Jak to znikali? - zapytałam, choć wolałam nie wiedzieć. Chrząknął i rozejrzał się wokół. Dziwnie przypominał mi Alberta Einsteina, miał zwariowaną fryzurę, grube i ostro zakończone włosy, przypominające szczotki do przetykania rur, jasne, błyszczące oczy.

- Zdziwiłabyś się, ilu ludzi chce albo musi zniknąć. Tak jak ja, pomyślałam, patrząc na karty w rękę.

- Naprawdę? - zapytałam.

- Wtedy do mnie dzwonią - szepnął, pochylając się w moją stronę. Poklepał się po piersiach. - Zajmuję się szczegółami. - Rozumiem - odparłam grzecznie.

- O - rzekł nagle z oburzeniem. Odwrócił karty i zobaczyłam, co w nich ma. - Nie wierzysz mi. Bo wylądowaliśmy tutaj. - Dłonią wskazał

na salę i wypoczywające na niej żywe trupy. - Coś ci powiem - ciągnął, kiedy milczałam. - Albo jesteś ważna, albo znasz jakiegoś ważniaka, skoro tu jesteś. To nie jest miejsce dla maluczkich.

Milczałam, przypomniawszy sobie słowa Graya o tym, że znajomy lekarz jego ojca kieruje luksusowym i prywatnym szpitalem, że wyświadcza mu przysługę. „Tam się leczą głównie byli wojskowi, zwłaszcza z Oddziałów Specjalnych, którzy cierpią na stres, zaburzenia po traumie i tym podobne” - powiedział.

- Pozwól, że cię spytam, panienko - dodał Oscar. - Kim do cholery jesteś?

- Nikim - odpowiedziałam. Na co mruknął:

- Tak jak my wszyscy.

- Królowa kier - wezwałam go.

- Go fish. - Widziałam wcześniej jego kartę, pokazał mi ją przez nieuwagę. Ale i tak wzięłam jedną z kupki, która leżała między nami. Pomyślałam, że jesteśmy sobie warci, skoro oboje oszukujemy.

Wypowiadałam hasło złożone z jednego słowa, które podał mi Oscar wiele lat temu, tamtej nocy, kiedy mnie wypisali ze szpitala.

- Może nigdy nie będziesz go potrzebować - powiedział. -Może nigdy więcej się nie zobaczymy. Ale tak na wszelki wypadek.

- Znikaj - mówię i odkładam słuchawkę.

Mało prawdopodobne, że jeszcze mnie pamięta, ale nie mam wyjścia i muszę stosować się do wskazówek, jakie mi podał. Może był wariatem, tak jak ja, i tylko się wygłupiłam.

W każdym razie, kiedy odjeżdżam, czuję się zamroczona. Źle mi z tym, że aż tak daleko zaszłam. Kręci mi się w głowie, gdy myślę o swoim życiu. Zaraz się potknę i zniknę na zawsze.

Rozdział 17

Dalej sprawy potoczyły się tak błyskawicznie, że pamiętam je jak migające obrazki widziane z okien samochodu albo pociągu. Trudno w to uwierzyć, ale matce udało się załatwić nowy proces dla Franka. Młody adwokat, którego znalazła, zajmujący się apelacjami w sprawie kary śmierci, koniecznie chciał wyrobić sobie nazwisko i zależało mu na głośnej sprawie. Po kilku rozmowach telefonicznych, które z nim przeprowadziła, po bieganiu na pocztę i wysyłaniu mu informacji prasowych i dowodów zebranych przez prywatnego detektywa zgodził się przedłożyć sprawę sędziemu.

Po aresztowaniu Franka przez skorumpowanego glinę pojawiły się nowe fakty. Okulista nieżyjącej już kobiety, która podczas procesu zeznawała przeciwko Frankowi, oświadczył, że mając tak słaby wzrok, kobieta nie mogła niczego w nocy zobaczyć. Na tej podstawie adwokat przekonał sędziego, że Frank zasługuje na nowy proces.

Kiedy pewnego dnia wróciłam do domu, matka siedziała na schodkach do przyczepy, otoczona wianuszkiem dziennikarzy. Krążyli wokół niej jak ćmy, zasypując ją pytaniami.

Wyglądała tak pięknie i szlachetnie, że nie przyszło im do głowy, że jest kelnerką i skończyła jedynie dziewięć klas. Mówiła z autorytetem osoby, która zlustrowała system prawny, zgrabnie dobierała odpowiednie zwroty, z dużą pewnością siebie broniła swoich przekonań. Stałam z tyłu, słuchając, jak przechwala się swoją kruczają, pełna wiary w niewinność Franka. Zakręciło mi się w głowie, kiedy zrozumiałam z ich pytań, że za miesiąc rozpocznie się nowy proces.

Przepychając się przez tłum, przebiegłam obok niej i odepchnęłam ją, kiedy chciała mnie przedstawić reporterom. Nie zareagowałam na

pytania, jakie wykrzykiwali.

- Co się z tobą dzieje? - rozzłościła się na mnie po wejściu do środka. - Wszyscy nas teraz będą obserwować. Musimy im pokazać, jak bardzo wspieramy Franka.

Odebrało mi mowę. Dusiałam się niemal ze złości i niedowierzania. Jak to się mogło stać?

- Przecież ci mówiłam - triumfowała. - Pan nie pozwoli, żeby zginął niewinny człowiek.

Zachowywała się tak, jakby Frank właśnie został uniewinniony i już się do nas wprowadzał.

Gorączkowo opowiedziałam jej o tym, co mi mówił Marlowe, o torebkach i o bucie pod gankiem. Zachnęła się, ściągnęła ramiona i wysunęła podbródek.

- Sąd nie uznał jego zeznań. Wiesz dlaczego? Bo jest patologicznym kłamcą, jak twój ojciec. Psycholog dziecięcy podważył jego słowa. Nikt nigdy nie znalazł tych torebek ani buta.

- Mamo! - krzyknęłam. - Frank jest gwałcicielem i mordercą. Zabije cię.

Uderzyła mnie z taką siłą, że zobaczyłam gwiazdy. Stałam przez chwilę z płonąca twarzą i z oczami pełnymi łez. Matka cofnęła się o krok i zamknęła oczy, pocierając czoło obiema dłońmi.

- Ofelio, słowo daję - powiedziała przez palce, zaczerpnąwszy tchu. - Wyzwalasz we mnie najgorsze instynkty.

Odwróciłam się na pięcie i choć krzyczała za mną, przeszłam przez ulicę do telefonu przy stacji benzynowej. Byłam pewna, że tym razem przekonam ojca, żeby po mnie Przyjechał.

- Chcę rozmawiać z tatą - poinformowałam kobietę w salonie, która przyjęła moją rozmowę na koszt abonenta. Chyba miała na imię Tawny.

- Ofelio, kochanie. - Była spięta. - Nie ma go. Wyjechał. -Tak to

powiedziała, że aż mi zaschło w gardle.

- Dokąd? - Staralam się opanować drzenie głosu. - Kiedy wróci?

- Kochanie, myślałam, że ci powiedział.

- Co? - Głos mi się załamał i nie mogłam powstrzymać szlochu.

Płakałam, ściskając w dłoni słuchawkę, i na chwilę zapadła cisza.

- Kupił nowego harleya - odparła łagodnie. - Pojechał na nim do Kalifornii. Nie wiemy, kiedy wróci. Za miesiąc, może jeszcze dłużej.

Przypomniałam sobie słowa Marlowea. Nie przyjedzie po ciebie, powiedział mi.

- Nie mam z nim kontaktu - rzekła. - Jeśli się odezwie, powiem, że go potrzebujesz.

Bez słowa odłożyłam słuchawkę. Pamiętam, że trzymałam się budki, szukając oparcia, ale czułam, jakby ktoś wywiercił we mnie dziurę, po której hulał zimny wiatr. Nie wiem, ile czasu tak stałam, płacząc z wściekłości.

Kiedy wracam do domu, Drew i Vivian siedzą z Grayem w kuchni i z ponurymi minami piją kawę. Odwracają się, żeby na mnie spojrzeć, gdy otwieram drzwi od garażu.

Telewizor na barku cicho mruży. Znowu widzę zdjęcie zamordowanej kobiety, jest na nim taka smutna. Nie mogli wybrać zdjęcia, na którym byłaby weselsza? Nie wiem, dlaczego zawracam sobie tym głowę.

- Co się stało? - Zmuszam się do uśmiechu. - Interwencja? - Pewnie wiedzą, co zrobiłam. Sprawdzam, czy w dzbanku jest ciepła kawa i nalewam sobie do kubka.

Nie odrywając wzroku od czarnej cieczy, odwracam się do nich.

- Martwimy się o ciebie - mówi Vivian. - Wyglądasz na... wyczerpaną.

- Dobrze się czuję.

- Gdzie byłaś?

- Na przejażdżce. Chciałam trochę pomyśleć - odpowiadam.

Ogarnia mnie złość i irytacja. Mam serdecznie dosyć, że traktują mnie jak pacjentkę szpitala psychiatrycznego. Od ostatniego razu minęły cztery lata. Rozumiem, że się martwią, boją się, że straciłam równowagę, co się nie zdarzyło od urodzin Victory. Ale nic nie mówię.

Kiedy Gray mnie przytula, przestaję się złościć i mam wyrzuty sumienia, że go okłamuję: że zrobiłam to, co zrobiłam. Nagle nie jestem pewna swojej reakcji na groźby, jakie otrzymuję w moim świecie. Troska na ich twarzach przypomina mi, że te groźby mogą być równie realne, jak też całkowicie urojone.

- Zastanawialiśmy się, czy Victory może spędzić z nami weekend - mówi do mnie Vivian. Jest duża i silna, ale jednocześnie kobieca i piękna. Ma obcięte na pazia lśniąca siwe włosy, nieskazitelnie gładką cerę i różowe kwadratowe paznokcie.

Zawsze nosi jedwab i dżins. - Będziecie mieli z Grayem więcej czasu dla siebie.

Nie odpowiadam, ale znowu się złościę. Zawsze słyszę ten podtekst, że potrzebuję czasu dla siebie z dala od Victory. Może uważają, że to ona musi odpocząć ode mnie, od chorej matki? Jeżeli odmówię, okażę się egoistką albo niezrównoważoną psychicznie, albo i tym, i tym.

- Tylko dziś i jutro - ciągnie łagodnie Vivian. - Zawieziemy ją w poniedziałek rano do przedszkola, po południu ją odbierzesz.

Drew w milczeniu pije kawę i wygląda przez okno. Nigdy nic nie mówi, chyba, że musi. Pozwala mówić Vivian. Gray mi powiedział, że jego matka nie była taka silna, że życie z Drew odcisnęło na niej piętno, cierpiała. Myślę, że często trafiała do szpitala, chociaż wspomnienia Graya są trochę niejasne. Ale to, co zapamiętał, sprawia mu ból, podejrzewam, że większy, niż się do tego przyznaje.

Pamięta, jak przynosił matce wodę w szklance i małe niebieskie pigułki, kiedy leżała w pokoju z zasuniętymi roletami. Pamięta, jak w nocy płakała, pewna, że Gray już dawno śpi.

Bardzo długo był tylko z ojcem, bez matki. Twoja matka musi odpocząć, synu. Nie czuje się dobrze. Na zdjęciach jego matka jest chuda i nieszczęśliwa, skulona Pod zaborczym ramieniem Drew. Na starych zdjęciach widzę dziewczynkę, blond aniołka, podobną do Victory. To siostra Graya, która zmarła, zanim Gray się urodził. Zdarzył się wypadek, Drew nie był w stanie o nim opowiadać, mówi Gray. Utonęła... w basenie, wannie albo w oceanie, Gray nie wie. Temat tabu, którego nie poruszają, odkąd ich znam. Dreszcz mnie przechodzi na myśl o dziewczynce, która utonęła, o zapomnianej dziewczynce, której nawet imienia nie znam. Nienawidzę wody.

- Chcę spędzić z tobą trochę czasu - szepce mi Gray do ucha.

Drew nadal wygląda przez okno, jakby nie interesowała go nasza rozmowa. Jednak wiem, że to on jest mózgiem akcji. Vivian i Gray są jego żołnierzami. Prowadziliśmy już takie rozmowy, o pięknym domu, w którym nie chciałam mieszkać, o fantastycznym przedszkolu, na które Victory wydawała mi się za małą, o luksusowych rodzinnych wakacjach, na które nie chciałam jeździć.

Jestem w pułapce i muszę zgodzić się na ich propozycję. Nie mam wolnej przestrzeni, żeby się sprzeciwić, nie ma mowy. Nie chcę być teraz bez dziecka, nawet przez dwie noce. W obecnej sytuacji pomyślałam, że się jej kurczowo trzymam, rozpaczliwie, jak ostatniej deski ratunku.

- To wiele dla nas znaczy - powtarza Vivian.

Na dodatek robią to tak, jakby oczekiwali, że im się zrewanżuję za to, jak dużo dla mnie zrobili, a jeśli się nie zgodzę, odbiorą to jako krzywdę. Odsuwam się od Graya pod pretekstem, że chcę wyjąć z lodówki śmietankę.

- Oczywiście, Vivian - odpowiadam. - Jasne.

Wiem, że kochają Victory, a i ona uwielbia być u nich. Będzie zachwycona, nawet się za nami nie obejrzy. Biorę kubek z kawą i bez słowa idę do jej pokoju, spakować rzeczy.

Kiedy wychodzę z kuchni, czuję na sobie ich wzrok.

Po chwili Gray przychodzi za mną.

- Dlaczego to robisz? - pytam go, kiedy wchodzi do pokoju Victory i zamyka za sobą drzwi.

Otoczają nas uśmiechnięte lalki i pluszowe zwierzaki. Ściany są pomalowane na niebiesko w chmurki, na suficie są gwiazdy. Przestrzeń wypełnia radosna mieszanina przeróżnych zabawek, mały biały stolik, cztery krzeselka, stosy gier i książek. To mój ulubiony pokój, miejsce, które urządziłam dla swojej córki.

- Szczerze? - Siada na łóżku Victory, na kapie w różnokolorowe kwiaty, pomarańczowe, żółte i różowe. - Martwię się. Chcę, żeby Victory pobyła kilka dni poza domem, a ja się nad wszystkim zastanowię. Sądzisz, że to zły pomysł?

Niechętnie kiwam głową i siadam obok niego.

- Głośno powiedziałem, co myślę. - Kładzie dłoń na moim kolanie i delikatnie je głaszcze. - W ostatnich miesiącach nie mieliśmy dla siebie czasu. Chcę z tobą być.

- Mamy pomoc domową, która tu mieszka - odpowiadam. - Możemy spędzać ze sobą tyle czasu, ile chcemy.

Pozwalam mu się objąć i opieram się o jego pierś. Nie podoba mi się, kiedy spiskuje przeciwko mnie z Drew i Vivian. Są silni i pewni siebie, podczas gdy ja jestem życiowym rozbitkiem na ich drodze.

- Zrobisz wszystko, co on chce - mówię.

Czuję, jak drętwieje. Często używam tego argumentu, który rani nas oboje. Jest jak zaproszenie do burzy.

- Nieprawda - mówi oschle. - Dobrze wiesz.

- Prawda - protestuję, kiedy mnie puszcza.

- Nie chodzi o ojca. - Słyszę w jego głosie znaną mi kontrolowaną irytację, zawsze mówi tym tonem, kiedy się sprzecząmy o Drew, zupełnie jakby była w nim studnia pełna furii, do której nie odważa się zajrzeć.

- Czyj to był pomysł? - pytam. - Żeby Victory zeszła nam z drogi na kilka dni, abym mógł wszystko przemyśleć?

Podchodzi do półki z książkami i podnosi do światła szklaną kulę z panoramą Nowego Jorku sprzed jedenastego trzeźnia w środku. Jego milczenie jest dla mnie odpowiedzią.

Współpraca Graya z ojcem oznacza zawieszenie broni. Po trudnym dojrzewaniu i wielu latach chłodnych stosunków Gray stworzył wreszcie z ojcem coś na kształt zdemilitaryzowanej strefy. Chyba mu się to podoba. Nie ma ochoty dłużej z nim wojować. Rozumiem go, ale jednocześnie czuję, że mi to nie odpowiada. Mimo że ciągle się o to sprzecząmy, nie dochodzimy do żadnych wniosków.

- Wiesz przecież, że nie zwariowałam - mówię bez związku po kilku minutach ciszy, kiedy oboje zatapiają się we własnych, złych myślach. Czuję, że po prostu muszę upominać się o swoje.

- Wiem - mówi i znowu siada obok mnie. Jego wyraz twarzy przypomina mi, że widywał mnie w najgorszych dla mnie chwilach. Czasami myślę, że to z tego właśnie powodu nie widzi, jak bardzo się zmieniłam. Martwię się, że zawsze będę dla niego tą wariatką, którą znalazł i uratował. Może jakaś jego część tego pragnie.

- Lekarz mówi, że jeszcze nigdy nie byłam taka silna.

- To prawda - zgadza się. - Nie chodzi o twój stan psychiczny. Musimy ocenić, do jakiego stopnia realne są groźby pod twoim adresem. Nie uważasz, że Victory będzie bezpieczniejsza u ojca niż z Esperanzą?

Wiem, że ma rację. Dlaczego jego logika tak bardzo mnie krępuje i

ogranicza?

Dlaczego każdy nerw w moim ciele cierpnie na myśl, że nie będę teraz z Victory?

Ale zgadzam się. Oczywiście.

Pakujemy jej różową walizeczkę i jedziemy po nią do przedszkola z Vivian i Drew.

Tak jak przypuszczałam, nie posiada się z radości. Posyła nam w przelocie buziaka i wskakuje na tylne siedzenie. Macha na pożegnanie rączką. I już ich nie ma. Walczę ze sobą, żeby za nimi nie pobiec.

- Dlaczego nie powiesz im, że się nie zgadzasz? - pyta mnie po południu psychiatra.

- Mają rację. Jestem wyczerpana.

Sęk w tym, że nie mogę mu powiedzieć o intruzie na naszej posesji, o wizycie, którą ktoś złożył mojemu ojcu, o gliniarzu i jego pytaniach. Tyłu rzeczy o mnie nie wie.

Myśli, że jestem Annie Powers, a wcześniej byłam Annie Fowler. Myśli, że mój mąż pracuje w ubezpieczeniach. Wszystko wie o moich koszmarach, złych chwilach, fudze i dysocjacji, decyzji, żeby przestać brać leki, wie, że odkąd Victory przyszła na świat, czuję się dobrze i panuję nad sobą. Zna tę wersję o moim życiu, w której zmieniono nazwiska, żeby chronić winnych, w tym mnie. Ale nie ma pojęcia o istotnych szczegółach i o ostatnich realnych groźbach. Myślę, że jest tego wszystkiego świadomy i pomaga mi tylko na tyle, na ile mu na to pozwolę.

- Masz prawo powiedzieć im, co o tym sądzisz. Jeśli nawet proszą cię o coś, bo mają dobre intencje, to nie musisz się na to godzić.

Przyznaję mu rację i dodaję:

- I tak już pojechali.

- Następnym razem pamiętaj o tym. Masz prawo się sprzeciwić,

nawet jeśli ktoś twierdzi, że nie myślisz logicznie. Twoje traumatyczne przejścia doprowadziły cię do ucieczki od rzeczywistości, kiedy nie umiałaś ocenić sytuacji. Ale to się zdarzyło po raz ostatni prawie pięć lat temu. Zmagasz się ze źródłem choroby i dobrze się czujesz, nawet bez leków. Te chwile w życiu nie określają ciebie, nie pozwól, żeby mąż i jego rodzina popełniali ten sam błąd.

Oczywiście ma rację, chociaż tak niewiele o mnie wie. Czasami prawda o naszym życiu tkwi gdzie indziej niż w codziennych zdarzeniach. Doktor myśli, że Gray znalazł mnie na dworcu autobusowym, że zabrał mnie z litości do szpitala i nieoczekiwanie się we mnie zakochał, a potem odwiedzał mnie, kiedy wracałam do zdrowia. To nieomal prawda, choć niecała.

- Gray zakochał się w tobie, kiedy byłaś bezradna i emocjonalnie rozchwiana.

- Może mu nie zależy na tym, żebyś była silna?

- Tak uważasz?

- Nie wiem.

Ktoś taki jak Gray najlepiej daje sobie radę, kiedy musi rozwiązać sytuację kryzysową. To on pędzi na ratunek, kiedy niebo wali ci się na głowę. Ale kiedy nic się nie dzieje, czy nie czuje się trochę zagubiony? Myślę o naszej rodzinie i o wszystkich sprawach, które musimy ukrywać, o wszystkich tajemnicach.

Floryda leży na kompleksie wapiennych labiryntów, mokrych i suchych jaskiń i szczelin. Warstwa kwarcowego piasku delikatnie okrywa ten podziemny krajobraz uformowany przez wodę drążącą skały od milionów lat. Jest to inny świat, pełen ciemnych przejść i stworzeń, które nie mogły żyć na powierzchni ziemi. Myśląc czasami o sekretnych miejscach Florydy, jej wilgotnej ciemności, jej milczących korytarzach, czuję się jak w domu.

Rozdział 18

Większość z nas nie żyje w czasie teraźniejszym, gdzie przeszłe żale i urazy rywalizują z lękami o przyszłość. Czasami ledwie dostrzegamy to, co się dzieje wokół nas. Zanim się urodziła Victory, całe dni poświęcałam na wyjaśnianie, co mi się przytrafiło, jakie straszliwe błędy popełniłam. Pielęgnowałam złość, nienawiść do samej siebie, wyliczałam, w czym mnie zawiedli rodzice, obsadziłam siebie w roli ofiary i grałam ją, jakbym miała za nią dostać Oscara.

Macierzyństwo uczyniło mnie innym człowiekiem. Victory zmusiła mnie, żebym zaczęła żyć teraźniejszą chwilą. Zażądała, żebym skoncentrowała się na jej potrzebach, żebym żyła według jej planu dnia. Kiedy z nią byłam, karmiłam ją, zmieniałam pieluszki, czuwałam nad nią, bawiłam się z nią, a przeszłość i przyszłość znikwały. Miałam świadomość, że będziemy ze sobą tylko przez krótką chwilę, że w okamgnieniu zacznie ode mnie odchodzić, żyć własnym życiem. Nie chcę zmarnować nawet sekundy na myślenie o tym, co mogło być, co może być. Miłość czyni cię obecną teraz. Tak jak śmiertelny lęk.

Jestem w pełni tu i teraz, kiedy wbiegam na górę po schodach. Wpadam przez drzwi i widzę ciało kapitana, który wcześniej do mnie machał. Ma między oczami dziurę po kuli, na twarzy maluje mu się głęboki spokój. Przeskakuję przez niego, Podchodzę do panelu sterowania i prawie upadam. Podłoga jest śliska od krwi. Obok drzwi inne ciało.

Rejestruję to wszystko, ale nie mam czasu, żeby poczuć grozę sytuacji. Gapię się na gałki i przełączniki. Nigdy przedtem nie byłam na mostku na takim statku. Nie wiem, jak włączyć silnik i co robić, jeśli się to uda. Otacza mnie czarna noc. Jest lodowato, widzę w

powietrzu mgiełkę mojego rwanego oddechu, a jednocześnie pocę się ze zdenerwowania. Zaczynam na chybił trafił naciskać guziki i przekręcać gałki, lecz poddaję się po kilku bezowocnych minutach. Siadam na fotelu kapitana i próbuję pojąć, co się stało, otacza mnie martwa noc, martwy statek, martwi mężczyźni, a jedyny człowiek, który mógł mi pomóc, zniknął, bo go przegoniłam.

Szybko przebiegam w myślach swoje wybory. Czy naprawdę odesłałam Daxa, bo chciałam się zmierzyć z wrogiem? Czy zrobiłam to, bo chciałam się poddać? Tego nie wiem, ale wiem, że przynajmniej w części muszę ponieść odpowiedzialność za tę desperacką chwilę. Ponoszę na równi z innymi winę za to, jak potoczyło się moje życie. Palcami dotykam złotego wisiora na szyi. Gładzę wyszczerbiony brzeg połówki serca.

Po opuszczeniu rodziny włożyłam go na siebie po raz pierwszy od pięciu lat. Zrobiłam to, żeby nie zapomnieć, że miał rację. Rzeczywiście do niego należę. I tak będzie, dopóki sama do siebie nie wrócę. Pochłania mnie cisza. Nie słyszałam do tej pory takiej głuchoj, martwej ciszy. Zamykam oczy i modlę się do Boga, choć nie wiem, czy On istnieje. Wtedy słyszę w oddali szum, silnik ślizgacza. Czuję ucisk w piersi, nie wiem, nadziei czy lęku. Ale przybyła pomoc albo właśnie staję do ostatniej walki. Czas pokaże.

Rozdział 19

Tydzień po ukazaniu się wiadomości o nowym procesie odwiedziła nas kobieta. Usłyszałam głośne pukanie i otworzyłam drzwi, bo myślałam, że to właściciel przyczepy domaga się zaległej opłaty, zbyt dobrze znałam ten scenariusz. Zamiast niego ujrzałam drobną kobietę o wodnistych oczach i drżących ustach.

- Chcę się widzieć z Carlą March - powiedziała.

Jej nieśmiały głos był ledwie chrypiącym szmerem. Ale dostrzegłam w jej zachowaniu determinację i odwagę.

- Jest w pracy - odpowiedziałam. - Wróci za kilka godzin.

- Poczekam - odparła.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podeszła do jednego z białych plastikowych krzeseł, które stały na zewnątrz. Matka myślała, że będziemy siadywać na nich wieczorami. Ale wilgoć i komary uziemiły nas w przyczepie przy klimatyzatorze.

- Będzie za cztery godziny. - Pomyślałam, że może mnie nie zrozumiała. - Może nawet później.

- Nie ma sprawy, młoda damo. - Nie patrząc na mnie, wyciągnęła z torebki Biblię.

Dłonie miała suche i popękane, dużo zmarszczek na twarzy, a pod oczami ciemne smugi ze zmęczenia. Biła od niej duma i szlachetność mimo lichego stroju - bawełnianej kwiecistej spódnicy z naderwanym rękawkiem, białej bluzki zapinanej ma guziczki, poźółkłej przy szyi i rękawkach. Białe buty miała wypolerowane na glans, żeby ukryć ich popękana i poszarzałą skórę.

Denerwowała mnie, nie chciałam, żeby czekała na mamę.

- Czego pani chce? - zapytałam.

Zwróciła głowę w moją stronę i rzekła tonem nieznoszącym

sprzeciwu:

- Chcę porozmawiać z twoją matką i nie odejdę, dopóki tego nie zrobię.

Weszłam z powrotem do przyczepy, obejrzałam telewizję, odrobiłam lekcje i zaczęłam szykować kolację. Przez cały ten czas kobieta czekała na zewnątrz, czytała i kiwała głową, jakby się zgadzała z kimś niewidzialnym. Próbowałam się dodzwonić do matki, ale gburowaty Niemiec, u którego pracowałam, nie poprosił jej do telefonu.

- Nie może podejść-burknął, odwieszając słuchawkę.

Nadszedł wieczór, a kobieta nadal czekała. Wreszcie zobaczyłam, że wstaje z krzesła, a moja matka zbliża się wolnym krokiem do przyczepy, paląc papierosa. Szła zatopiona w myślach, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zauważyła nieznajomą dopiero, kiedy doszła do drzwi. Rzuciła na ziemię papierosa i przydeptała go butem.

- Czy pani jest Carlą March?

Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że kobieta stanęła matce na drodze i pokazuje jej coś na wyciągniętej dłoni.

- Kim pani jest? - zapytała matka ostro. - Czego pani chce? - Wyglądała na zmęczoną.

Miała ciężki dzień.

- Nazywam się Janet Parker. - Kobieta się wyprostowała. -To jest zdjęcie mojej córki Melissy.

Matka zbladła.

- Proszę natychmiast stąd iść - rzekła cicho. Zobaczyłam, że rozgląda się wokół, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi. -Pani nie ma prawa tu być.

Janet nie ustąpiła i nie cofnęła ręki. Wreszcie matka westchnęła ze złością i wyrwała jej zdjęcie. Widziałam, jak jej drżą palce, kiedy podniosła zdjęcie i patrzyła na nie, mrużąc oczy w zachodzącym świetle wieczoru.

- Moja córka była dobrym człowiekiem, ale miała straszną śmierć. - Janet wypowiedziała te słowa, jakby je powtarzała po raz tysięczny. - Nie zasłużyła na nią.

Matka usiłowała przejść obok niej, lecz Janet nie pozwoliła, chwytając ją za przegub dłoni.

- Frank Geary ją zamordował. - Jej głos zamienił się w drżący wrzask. - Bił ją, dusił i gwałcił, kiedy umierała. - Zamilkła na chwilę, próbując ochłonać, dodała ochryplym głosem: -A potem wrzucił jej ciało do zapadliska.

Ponownie zamilkła i zaczęła się trząść. Matka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Janet oddychała nierówno. Jej głos jakby przerwał tamę i przeszedł w jęk.

- I pływała w zimnej, ciemnej wodzie przez trzy miesiące. Moje dziecko. Sama w zimnej, ciemnej wodzie.

Matka upuściła zdjęcie i ze wzrokiem utkwionym w ziemi wyrwała się jej, chcąc wejść do przyczepy.

- Ma pani córkę - zawyła kobieta, wskazując na mnie palcem. - Niech pani na nią spojrzysz. Jest młoda i piękna, ma przed sobą całe życie.

Nie mogłam oderwać od niej oczu, aż matka odciągnęła mnie od progu i stanęła na moim miejscu.

- Jedyne, co mi dawało trochę spokoju, to myśl, że Frank umrze za swoje czyny.

- Janet trochę się uspokoiła. - Że go piekło pochłonie.

Przestała krzyczeć, ale ból w jej głosie był nie do wytrzymania. Czułam, że nie powinnam na nią patrzeć, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Frank jest niewinny, został niesłusznie skazany. - Słowa matki były słabe i głupie, jej szczerłość wydała mi się płytka w porównaniu z otchłanią bólu i furii Janet.

- Współczuję, że poniosła pani stratę. Ale on nie zabił pani córki.

Kobieta pochyliła głowę i głęboko westchnęła.

- Znaleźli jej torebkę w jego domu. - Twarz miała czerwoną i mokną od łez, których nawet nie próbowała wycierać.

- Dowody podrzucono - rzekła matka. - Przykro mi.

I zamknęła jej drzwi przed nosem. Kobieta podbiegła i zaczęła w nie walić obiema pięściami.

- Zamordował ją. Zamordował moją córeczkę. Moje dziecko. Moją córeczkę.

- Wrzeszczała i jęczała, waliła w drzwi, nawet wtedy, kiedy wokół przyczepy zebrał się tłum gapiów.

Matka zamknęła się w swoim pokoju, a ja siedziałam oniemiała w kuchni, słuchając straszliwego wycia Janet, trwającego do przyjazdu policji, która ją wywlokła siłą. Nie mogę zapomnieć tego głosu; od lat huczy mi w głowie jej ból i oburzenie. Wtedy mnie zmroził, potraktowałam go jak zły znak.

Kiedy ją zabrali, matka wyszła ze swojego pokoju.

- Jezu - zachnęła się. - Co za głupia dziwka.

Wyszła z przyczepy i wróciła po paru chwilach z sześciopakiem piwa ze sklepu nocnego z naprzeciwka. Otworzyła jedną puszkę, usiadła przed telewizorem, ale go nie włączyła. Bez słowa wpatrywała się przed siebie. Zastanawiałam się, czy słowa Janet dźwięczą w jej głowie, tak jak w mojej. Wypiła piwo w niecałe dziesięć minut. Wstała po następne i znowu usiadła. Nigdy nie kończyła na jednym piwie.

Zostawiłam ją i poszłam do siebie. Zamknęłam za sobą drzwi i chwilę później, kiedy już leżałam w łóżku, usłyszałam, jak potykając się, wychodzi z przyczepy.

Wiedziałam, że idzie po piwo. Lubiała pić. Picie było jak wściekły pies, którego trzymała na uwięzi. Kiedy go spuszczała, niszczył nasze życie.

Wiedziałam, co nastąpi dalej. Będzie pić do utraty przytomności. Następnego dnia na kacu, będzie złośliwa. Powalczy ze sobą przez kilka dni, aż zacznie po kryjomu wnosić alkohol. Wkrótce znajdziemy się w tym samym miejscu, w którym byliśmy, zanim odnalazła Jezusa. Kiedy, otrzeźwiała, będzie wracać chwiejnym krokiem z różnych dziwnych miejsc, wściekła albo słodka, marudna albo napastliwa, będzie robić sceny, dopóki nie padnie zamroczone na podłodze w łazience. Potem straci pracę.

Wiedziałam, że znowu znalazłyśmy się na równi pochyłej.

Kilka tygodni później matka i Frank pobrali się przy rozdzielającej ich szybie z kuloodpornego szkła. Najgorsze było to, że Frank kazał Marlowe'owi stanąć zamiast niego przy matce, wsadzić jej obrączkę na palec i złożyć niewinny pocałunek na policzku. Na moich oczach mój chłopak został moim przybranym bratem. Z przerażeniem patrzyłam, jak matka i jej nowy mąż opierają się ciałami o szybę, dopóki strażnicy nie odciągnęli go do celi.

Wracając autobusem do domu, matka płakała w tej swojej tandetnej krótkiej ślubnej sukience, ukrytej pod płaszczem przeciwdeszczowym. Nie mogłam niczego wyczytać z twarzy Marlowea. Próbowалаm wziąć go za rękę, tak żeby matka nie zobaczyła. Ale odepchnął mnie. Poszłam na tył autobusu i usiadłam sama, pusta i otepiała. Po chwili matka zasnęła i Marlowe przysiadł się do mnie. Wziął mnie za rękę i położył głowę na moim ramieniu.

- Przepraszam - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

Pomyślałam o ojcu i o jego pustych obietnicach i że potem wyjechał bez słowa. Myślałam o tym, co mi powiedziała matka, że Marlowe jest kłamcą, tak jak ojciec. W autobusie śmierdziało papierosami i wymiocinami. Oparłam głowę o okno i przyglądałam się migającym przed oczami pomarańczowym gajom.

Po ślubie matki ze skazańcem i wznowieniu procesu Franka

zostałam w szkole pariasem. Wcześniej byłam nikiem, potulnie schodziłam wszystkim z drogi, dobrze się uczyłam, ale nie na tyle, żeby ktoś zwrócił na mnie uwagę. Nie byłam specjalnie brzydka ani specjalnie sexy, więc nikt mnie nie zauważał. Lecz podczas wlokącego się procesu ludzie pogubili się w medialnych doniesieniach i myśleli, że jestem córką Franka. Ktoś podrzucił mi zdechłego ptaka do szafki; ktoś podstawił na korytarzu nogę, ktoś rzucił we mnie spaghetti w stołówce. Płakałam w łazience, wycierając sos z włosów.

Kiedy już myślałam, że nie może być gorzej, Frank został uniewinniony. Modlitwy matki zostały wysłuchane. Jej mąż Wracał do domu.

Rozdział 20

Kiedy wracam do domu, panuje w nim pustka. Nie będzie przekomarzania podczas posiłków (jeśli zjesz trzy kawałki brokułów, zasłużysz na deser), przygód w łazience (wyścig Pana Kaczki i Pana Żaby trwa) i błogiej harmonii w pokoju Victory przed jej zaśnięciem. Wszystkie rytuały, które dają mi ukojenie, zostały przełożone na później.

Nalewam sobie filiżankę kawy, chociaż nie potrzebuję więcej kofeiny, i słyszę, jak Esperanza krząta się w pralni. Wołam ją, ale nie odpowiada. Za chwilę jej powiem, że ma wolny wieczór. Nie chcę być sama i tłuc się po domu, który nie jest moim domem, gdy nie ma w nim Victory.

Gray jest w biurze Powers and Powers Inc. w centrum miasta, czterdzieści minut od domu. Nie wiem, po co tam pojechał. Byłam tylko kilka razy u niego w pracy.

Niewielka przestrzeń podzielona na boksy, kilka sal konferencyjnych, w których stoją długie, drewniane stoły i ergonomiczne obrotowe krzesła, na ścianach wiszą duże płaskie monitory i supernowoczesny sprzęt do prowadzenia wideokonferencji. Biuro wygląda jak każde inne, w którym robi się interesy, jest sterylne, bezosobowe, z kuchni dochodzi zapach kiepskiej kawy lub spalonej prażonej kukurydzy w mikrofali. Drukarka się zacina, ktoś musi wymienić ogromną butlę z wodą do picia, pracownicy mają poprzyklejane zdjęcia dzieci po obu stronach komputerów.

Praca Graya nie jest taka znowu mission impossible, jak się wydaje. Po zakończeniu zimnej wojny firmy takie jak ta zaczęły uczestniczyć w działaniach wojennych na świecie, wcześniej zarezerwowanych dla

wojskowych. Powers and Powers Inc. mówi o sobie, że jest prywatną firmą doradczą do spraw bezpieczeństwa, tak jak powiedział Harrison. To jest właściwe określenie. Ale również wysyłała tajnych agentów, żeby pomóc zdławić Rewolucyjny Zjednoczony Front w Sierra Leone, zakończyć kryzys w byłej Jugosławii oraz wesprzeć wysiłki na rzecz odbudowy Kosowa. Prywatne firmy militarne wykonują czasem specjalistyczne usługi wcześniej kojarzone z rządowymi siłami wojskowymi. To bywa bardzo skuteczne we współpracy z uznanymi i nowo powstałymi państwami. Jeżeli jednak firmy zatrudniające najbardziej wykwalifikowany paramilitarny personel na świecie w swoim działaniu nie kierują się sumieniem, a zdarzało się to na tyle często, że zaczynało budzić niepokój, to mogą zdestabilizować te państwa.

Powers and Powers Inc. zatrudnia prawie tysiąc agentów służb specjalnych i elitarny personel prawny. Prowadzą negocjacje w sprawie zakładników, reagują błyskawicznie w sytuacjach kryzysowych, prowadzą szkolenia z użycia broni, z operacji taktycznych, zajmują się ochroną osobistą. Dostarczają usługi rządowi, korporacjom i osobom prywatnym. Ich działalność wzbudza kontrowersje, więc Drew i Gray wolą się nie wychylać. Tylko niewielu, którzy ich znają, wie naprawdę, co robią. Nawet inni lokatorzy w tym budynku nie mają pojęcia, czym się naprawdę zajmują. Ja też nic nie wiem o konkretnych operacjach i zupełnie mi to nie przeszkadza.

Korzystając z tego, że Gray jest w pracy, jadę do kafejki internetowej na plaży, zamawiam latte i loguję się na moje konto, które dawno temu założyłam. Między mnóstwem spamu wyławiam wiadomość od Oscara. Brzmi: „Jaki masz problem, Annie?”

Dziwię się, że mnie pamięta, choć przecież zapewniał mnie, że tak będzie. Jestem też trochę wystraszona. Miałam cichą nadzieję, że się

nie odezwie.

Przez chwilę siedzę, nie wiedząc, co mu odpisać. Rozglądam się i widzę młodą dziewczynę w rozpiętej piance, spod której wystaje góra od kostiumu. Dziewczyna jest opalona, ma farbowane blond włosy.

Sącząc jakiś energetyczny napój, serfuje po Internecie. Starszy mężczyzna w podkoszulku, w szortach i klapkach zerka na nią znad kawy. Pewnie myśli, że jeszcze może ją poderwać. Myli się.

- Mam powody sądzić, że nadszedł czas, żebym rozprawiła się z moją przeszłością - piszę. - Muszę się ewakuować.

Wysyłam wiadomość i czekam, popijając latte. Kawa jest słaba, z pianką, mam ochotę na kawę z Nowego Jorku, która jest jak uderzenie pięścią w twarz. Telewizor w kącie podaje wiadomości CNN. Na ekranie widzę galerię zamordowanych kobiet i napis NAŚLADOWCA, dźwięk jest ściszony, na całym ekranie pojawiają się napisy: „...przypominają o morderstwach sprzed prawie dziesięciu lat, niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd. Ale człowiek oskarżony i skazany za te zbrodnie został zabity, kiedy...”.

Odwracam wzrok, z jakiegoś powodu zaczyna mi galopować serce, w uszach huczy. Nie chcę widzieć więcej.

Sprawdzam skrzynkę pocztową. Wiadomość już czeka.

- Możesz na mnie liczyć - czytam. - Zaczynij ludziom opowiadać o nowym hobby.

Chcesz zdobyć certyfikat z nurkowania. Kiedy będziesz pewna, że jesteś gotowa, wiesz, co robić. Nie spiesz się. Nikomu nic nie mów.

Dopijam kawę, w myślach powtarzam wiadomości od niego. Kiedy tak siedzę i obserwuję, jak staruch próbuje poderwać serfującą laskę, wszystko przybiera zamglony, nierzeczywisty kształt, jakbym się budziła ze snu. Powtarzam sobie, że jeszcze nic się nie stało. Jeszcze wszystko ze mną w porządku. Ciągle jestem Annie Powers.

Po chwili wychodzę i idę do samochodu. Czuję ból w prawej

skroni. Przekręcam kluczyk i widzę dziewczynę, która była u Elli. Stoi przy wejściu do kafejki. Opiera się o ścianę i wpatruje się we mnie z tym samym wyrazem twarzy jak wtedy; jest bardziej zaniedbana, niż ją zapamiętałam, ale nadal delikatna i śliczna. Kiedy się do niej zbliżam, odwraca się i pospiesznie odchodzi. Idę za nią.

- Hej! - wołam, chociaż nie wiem dlaczego i co jej powiem, jeśli ją dogonię. Po prostu rozpaczliwie chcę się dowiedzieć, jak ona na na imię. Skręca w lewo i kiedy znika mi z oczu, zaczynam prawie za nią biec. Ale za zakrętem już jej nie widzę.

Uważnie przebiegam wzrokiem ulicę w górę i w dół. Zniknęła. Serce mi wali, jakbym przebiegła maraton, czuję w piersiach znany mi już atak paniki. Wracam do samochodu, zamykam drzwi na zamek. Z trudem oddycham, przed oczami mającą mi białe plamki.

Mam regularny atak. Próbuję głęboko oddychać, tak jak mnie nauczył psychiatra. Włączam samochód i klimatyzację na cały regulator, najpierw powietrze jest gorące, potem robi się chłodno. Powoli się uspokajam. Widzę swoją twarz w lusterku wstecznym. Maluje się na niej przerażenie.

- Co się z tobą dzieje? - pytam głośno. - Weź się w garść. Po chwili oddycham miarowo i trzęsienie ziemi we mnie się uspokaja. Jadę do domu.

Kiedy wchodzę do domu, Gray czeka na mnie przy stole w kuchni.

- Gdzie byłaś? - Udaje bez troskę.

Jestem pewna, że wie, że przeniosłam rzeczy spod łóżka. Czuję, że martwi się o mnie i o to, co mogę zrobić. Kocham w nim to, że daje mi przestrzeń, rozstrzyga wątpliwości na moją korzyść, wierzy mi na słowo.

- W sklepie - mówię, kładąc na blacie plastikową torbę z rzeczami, których nie potrzebuję; krem nawilżający, szampon, lakier do paznokci.

Podchodzi do mnie. Przegląda torbę i wiem, że nie dał się zwieść moim nedorzecznym zakupom. Bierze mnie za rękę.

- Usiądź. - Wskazuje na krzesło.

Siadam, a on kładzie na stole marnej jakości odbitkę z kolorowej drukarki.

Mężczyzna ze zdjęcia ma mięsistą dziobatą twarz, jak po ospie, krzywy nos i i nieruchome złośliwe oczy.

- Znasz go?

Tak bardzo boli mnie głowa, że aż mi się robi niedobrze. Czarny kolor zasnuwa to, na co patrzę. Pocieram ręką czoło.

- Nie.

- Na pewno?

Znowu patrzę, ale nie mogę się skupić na tej twarzy.

- Chyba nie.

Siada obok mnie i spogląda na zdjęcie, uderzając w nie palcem.

- Pojechałem do biura, żeby zadzwonić do twojego ojca z bezpiecznej linii. Opisał mi człowieka, który go nachodził. Okazało się, że zostawił nazwisko i numer telefonu.

Nazwisko jest oczywiście fałszywe. Ten numer jest numerem pagera. Ale nazwisko Buddy Starr figuruje jako jeden z pseudonimów mężczyzny o nazwisku Simon Briggs. Jest łowcą nagród. Działa w pojedynkę. Ludzie go wynajmują, kiedy chcą kogoś odnaleźć i niespecjalnie się przejmują, jak to będzie załatwione. Jego lista przestępczych powiązań jest długa i barwna.

- Dlaczego miałbyś chcieć szukać Ofelii? - Oślepia mnie słońce, które wpada przez okno, zakrywam oczy.

- Tego się chcemy dowiedzieć. Sęk w tym, że pewnie dla kogoś pracuje.

Przyglądam się mężczyźnie na zdjęciu, zamykam oczy i znowu je pocieram.

- Hej, wszystko w porządku? - pyta Gray po chwili. - Jesteś blada. -
Kładzie mi dłoń na ramieniu.

Okropnie boli mnie głowa, czuję jego wzrok, ale nie patrzę mu w oczy.

- Może widziałaś go już kiedyś, tylko nie pamiętasz?

- Nie - odpowiadam, nie chcąc się przyznać, że to jest możliwe, a nawet prawdopodobne, biorąc pod uwagę moją reakcję na zdjęcie. Chowam głowę w ramiona.

Ataki nadchodzą silne i szybkie jak ostatnim razem. Jeśli będzie jeszcze gorzej, to przeleżę w kokonie bólu przez wiele godzin.

- Nie wiem - przyznaję się.

Gray prowadzi mnie na górę, kładzie do łóżka i zasuwa rolety. Słyszę, jak wyciąga z szafki w łazience leki przeciwbólowe i nalewa wodę z kranu do szklanki. Kiedy wraca, siadam i połykam pigułki. Jest bardzo dobrym opiekunem.

Tego popołudnia szczęście uśmiechnęło się wreszcie do Harrisona. Po kilku rozmowach telefonicznych urząd miejski z Kentucky, w którym urodziła się Annie Fowler, wysłało mu faksem kopię jej aktu zgonu. Ona i jej mały synek zginęli w wypadku drogowym, kiedy miała zaledwie dwadzieścia jeden lat.

- To prawdziwa tragedia - powiedziała mu przez telefon urzędniczka z biura.

- Chodziła do szkoły z moim synem.

- To straszne. Smutna historia. - Starał się nie okazać podniecenia. -
Może mi pani powiedzieć, jak wyglądała?

- Była ruda i piegowata, miała śliczną buzię i była niska, jakieś metr pięćdziesiąt pięć, troszkę pulchna. Ale urocza. Po prostu prześliczna.

- Zaprzeczenie Annie Fowler, którą detektyw poznał.

- Sam pochodzę z małego miasteczka - odparł detektyw, chociaż niezupełnie tak było.

Tak się łąsił do ludzi, żeby się przed nim otwierali. - Rozumiem, jaka to musiała być dla wszystkich tragedia.

- Właśnie, właśnie - rzekła smętnie urzędniczka, jakby miała się zaraz rozplakać.

- Jej rodzice nigdy już nie doszli do siebie. A tak z ciekawości, dlaczego pan się interesuje tą sprawą?

- Nie mogę zbyt dużo wyjawić - naśladował jej grzeczny ton - ale mam powody wierzyć, że ktoś wykorzystał informacje o niej, żeby dać komuś jej tożsamość.

- Zamilkł na chwilę i usłyszał, jak urzędniczka zaczerpnęła ze zdumienia tchu. - Czy po jej śmierci ktoś pytał o jej metrykę?

- Owszem. Młody mężczyzna zjawił się u nas kilka miesięcy po śmierci Annie, twierdząc, że jest adoptowany i że poszukuje rodziny. Podejrzewał, że Annie może być jego siostrą. Wpadł w rozpacz, kiedy się dowiedział, że nie żyje. Ale ja znałam jej rodziców. Gdyby jakiś noworodek został oddany do adopcji, wiedziałabym o tym.

W każdym razie poprosił mnie o kopię jej metryki i o akt zgonu. Nie wiem dokładnie, do czego mu były potrzebne, ale wszystko o niej wiedział i miał pieniądze, żeby uiścić zapłatę za kopie dokumentów.

- Może pani pamięta, jak się nazywał?

- Skądże, ale może mam gdzieś jego dane. Mogę oddzwonić później?

- Będę wdzięczny.

Tego popołudnia detektyw Harrison nie wiedział, że prawdziwa Annie Fowler zmarła zaledwie kilka miesięcy, zanim Ofelia March zginęła w wypadku w Nowym Meksyku. Nie wiedział, kim jestem i dlaczego się ukrywam, ale wiedział, kim nie jestem. I czuł, jak wszyscy hazardziści, zanim wszystko stracą, że za chwilę zdobędzie największą wygraną swojego życia.

Rozdział 21

Atmosfera podczas pierwszej kolacji, którą zjedliśmy we czwórkę po wyjściu Franka z więzienia, była pełna napięcia. Matka bezwstydnie mu nadszarpnęła, Marlowe uparcie gapił się na blat stołu, a ja patrzyłam otępiała ze strachu na Franka, jak nakłada sobie jedzenie i ze smakiem je pałaszuje.

- Wreszcie jesteśmy prawdziwą rodziną - rzekła matka, siadając obok Franka przy laminatowym stoliku.

- Zgadza się.

Frank poklepał ją w odpowiedzi po ramieniu. Łasiła się do niego niczym kotka.

Byłam zbyt przygnębiona, żeby czynić jakieś mądre uwagi. Gapiąc się na ręce Franka, myślałam o Janet, oplakującej stratę córki. Ani przez chwilę nie uwierzyłam w jego niewinność. Jego obrona opierała się całkowicie na oskarżeniu wniesionym przeciwko oficerowi, który prowadził dochodzenie, na zablokowaniu dowodów znalezionych w jego domu i zeznaniu okulisty, który, zdaniem prokuratora, został przekupiony. Frank miał po prostu dużo szczęścia. A rękami, którymi zamordował Bóg wie ile kobiet, nakładał mi teraz na talerz tłuczone ziemniaki. Był wysokim mężczyzną o wąskich niebieskich oczach i długich, szczupłych palcach. Jego jasne włosy zaczynały siwieć, a wąskie usta zlały się z twarzą. Mówił cichym, ochrypłym szeptem. Czułam na sobie jego wzrok.

- Masz w sobie dużo z matki - przerwał ciszę, która zapadła przy stole. Jego słowa brzmiały jak groźba, aż dostałam gęsiej skórki. Mama spojrzała na mnie krzywo.

Pomyślałam, że powinnam jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Przed przyczepą protestowała grupka ludzi, członkowie rodzin ofiar

Franka. Byli przygnębieni, ale nie ustawiali w okrzykach: „Morderca, morderca, morderca”.

Udawaliśmy, że ich nie słyszemy.

- Wyjedziemy stąd w przyszły weekend. - Frank wstał od stołu i podszedł do okna.

Rozsunął firanki tymi swoimi upiornymi palcami i głęboko westchnął, widząc scenę na zewnątrz. Ludzie zaczęli głośniejskandować. Pamiętam, że wtedy myślałam: „Gdyby był niewinny, byłby zdenerwowany”.

Pomstowałyby na tych niesprawiedliwych dla niego ludzi wznoszących okrzyki za oknem. A on był po prostu zły, może nawet zde gustowany, jakby lekceważył ich rozpacz i wściekłość. Tak jakby miał to gdzieś, jakby patrzył na nich z góry. To były emocje, których nie rozumiał. Odwróciwszy się, zauważył na sobie mój wzrok. Oczy miał bez wyrazu, puste, otoczone czarnymi obwódkami. Przypomniały mi zapadlisko, w którym pływały zwłoki Melissy Parker.

Państwo wypłaciło Frankowi odszkodowanie, około dziesięciu tysięcy dolarów. Wykorzystał je i inne oszczędności na zapłacenie zaliczki za ranczo w miejscu, którego nie ma na mapie, gdzieś na Florydzie. Tak jak zapowiedział, po tygodniu od jego zwolnienia przenieśliśmy się tam. To się stało tak szybko, że nawet nie zdążyłam zaprotestować. Wzięliśmy z matką tylko nasze ubrania. Wszystko inne to jego zdaniem były rupiecie, które musiałyśmy zostawić.

Nowy dom znajdował się na dwóch hektarach ziemi, niecały kilometr od głównej drogi. Byliśmy całkowicie odizolowani od sąsiadów, od wschodniej strony odgradzał nas gaj pomarańczowy, od zachodniej mleczarnia, do najbliższego miasteczka było pół godziny jazdy. Jadąc nią pierwszy raz, myślałam tylko o tym, że choćbym wrzeszczała ile sił w piersi, i tak nikt by mnie nie usłyszał.

Kiedy po raz pierwszy się obudziłam w moim nowym pokoju, słońce oświetlało zroszoną trawę. Usłyszałam delikatne stukanie podków koni kręcących się po zagrodzie, rżących, jakby prowadziły cichą pogawędkę. To mogło być najpiękniejsze miejsce, w którym żyłam, gdybym nie była taka smutna i tak bardzo nie bała się człowieka, który dzielił łożę z moją matką.

Obecność Franka w naszym życiu to było tak, jakby zarzucono na nas pierzynę ze śniegu, wszystko nagle stało się białe i ciche. Nawet moja matka jakby skruszała i zamarzła, stając się jego bezwolną niewolnicą. Harowała na ranczu niczym najemna siła robocza, gotowała i sprzątała jak nigdy dotąd. Prawie mnie nie zauważała, chyba że czegoś ode mnie chciała. Dotykała mnie tylko przy odmawianiu modlitwy przed posiłkami.

A ja byłam kompletnie otępiała, działałam jak robot. Bardzo dbałam o to, by nosić workowate, bezkształtne ciuchy, żeby Frank nie zwrócił na mnie uwagi. W ciągu dnia chodziłam do nowej szkoły, po powrocie do domu wykonywałam prace, które mi przydzielono na ranczu. Na próżno starałam się skontaktować każdego wieczoru z ojcem.

Moja chęć walki z matką gasła z powodu strachu przed Frankiem. Tak jakby wytwarzał trującą energię, która wysysała z nas życie. Myślałam, że ja i Marlowe uciekniemy, zanim zamieszkamy z nim na ranczu. Ale jego obietnice, że nas uratuje, spełzły na niczym. I na niego źle działała obecność Franka; stał się tak samo sztuczny i nienaturalny jak on. Jego namiętność dla mnie zniknęła, nie licząc chmurnych spojrzeń, które rzucał w moją stronę, kiedy myślał, że nikt nie widzi. Chodziłam za nim, próbując kraść chwile, kiedy bylibyśmy sami.

Jednak on mnie unikał, dopóki którejś nocy nie obudziłam się i nie zobaczyłam go w moim pokoju.

Usiadłam na łóżku, pełna nadziei.

- Marlowe?

Nie odpowiedział.

- Co się z tobą dzieje? - zapytałam go, kiedy tak tkwił w rogu pokoju. Po długiej chwili moja nadzieja prysła, a na jej miejscu rozkwitł mroczny kwiat strachu.

Ciekawe, ile czasu i dlaczego tam stał, patrząc na mnie, jak śpię.

- Nie może się dowiedzieć, że coś między nami było - wykrztusił wreszcie, stając w świetle, gdzie mogłam go zobaczyć.

~ Myślałam, że stąd wyjedziemy. - Starłam się mówić spokojnie i bez emocji. Nie chciałam, żeby wiedział, co się dzieje w moim sercu, jak bardzo się bałam, jak bardzo go potrzebowałam.

- Nie możemy - odparł cicho. - Znajdzie nas. A wtedy cię zabije. Nie wolno mi nikogo ani niczego kochać.

Byłam tak zrozpaczona, że nie dotarło do mnie, że jest chory. Poczułam tylko, że mnie zawiódł, jak wszyscy.

- Obiecałeś - powiedziałam, a mój głos zabrzmiał dziecinnie, nawet dla mnie.

- To było kiedyś - powiedział z napięciem. - Nie sądziłem, że go wypuszczą.

Zauważyłam, jak Marlowe chodzi za ojcem z błagalnym wzrokiem i czeka na okruchy jego uwagi.

- Nie chcesz go zostawić?

- Nie rozumiesz - odpowiedział. Podszedł i usiadł na skraju łóżka. - Jego nikt nie zostawia.

Wcześniej wydawał mi się silny, mądrzejszy od wszystkich ludzi, których znałam.

Teraz widziałam wystraszonego dzieciaka, takiego jak ja.

- Za sześć miesięcy skończysz osiemnaście lat - powiedział z wahaniem. - Wtedy możesz stąd odejść zgodnie z prawem. Za miesiąc

skończę osiemnaście lat i wstąpię do piechoty morskiej. Nie dorwie mnie.

Tracąc resztki nadziei, odwróciłam się, żeby wypłakać się w poduszkę. Nie ruszył się, żeby mnie pocieszyć. Myślałam o bezmiarze smutku we mnie. Wypłakałam wszystkie łzy.

I wtedy rzekł:

- Może jest rozwiązanie, Ofelio. Nie wiem tylko, czy jesteś dość silna.

Coś w jego głosie mnie zmroziło, chociaż poczułam odrobinę otuchy.

- Co masz na myśli? - Chlipałam w poduszkę.

- To jedyne rozwiązanie - powiedział i podszedł do mnie.

Pogładził mnie po plecach. Po raz pierwszy od wielu tygodni mnie dotknął. Usiadłam, wtulając się w niego, pozwoliłam, żeby mnie trzymał w ramionach. Jak dobrze mi było blisko niego, blisko kogokolwiek.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziałam, a on pochylił się i mnie pocałował.

Moje ciało zapragnęło go. Wślizgnął się pod pościel, dotykał mnie. Matka myliła się, jeszcze nigdy nie kochaliśmy się naprawdę. Byłam dziewczicą. Tylko się dotykaliśmy i pieściliśmy. Teraz dopiero widzę, jaka byłam dziecinna i jak bardzo łaknęłam uczucia.

Pragnęłam fizycznej bliskości drugiej osoby; tak rozumiałam miłość. Po kilku minutach, kiedy byłam rozgrzana i wszystko we mnie go pragnęło, odsunął się.

- Dajmy sobie spokój, nie jesteś jeszcze gotowa, jesteś za młoda.

Wstał z łóżka i znowu podszedł do okna.

- O tej porze w przyszłym miesiącu już mnie tu nie będzie.

- Nie jestem za młoda. - Skuliłam się, przyciskając z całej siły kolana do piersi. - Nie opuszczaj mnie.

Podszedł do łóżka. Uniesionym palcem śledziłam linię jego ust.

- Zrobię wszystko - dodałam.

- Powiedz to - powiedział.

- Należę do ciebie.

- Annie!

Kiedy się budzę, Gray trzyma mnie w ramionach.

- Już dobrze. Obudź się.

Oblewam się potem, a serce mi bije jak szalone. Dzięki Bogu, przestaje mi pękać głowa. Ale słabo się czuję, jakbym przebiegła sto kilometrów.

- Co się stało? - Jestem zdezorientowana. Nie wiem, czy jest dzień, czy noc.

- Coś ci się śniło. - Odsuwa wilgotne pasemka włosów z moich oczu.

- Co takiego?

Próbuję przegonić mgłę z głowy, uchwycić uciekające obrazy ze snu, które mi się wymykają. Odsuwam się od Graya i włączam światło.

- Chyba zaczynam sobie przypominać - mówię mu. Patrzy na mnie z dziwną mieszaniną nadziei i lęku.

- Co takiego? Co sobie przypominasz?

- Nie wiem - odpowiadam po chwili. Nagle wcale nie chcę mu powiedzieć, co zobaczyłam w moim śnie. Nie chcę powiedzieć, co sądzę, że byłam w stanie zrobić.

- Powiedz.

Zamykam oczy i przytulam się do niego.

- Gray, czy kiedykolwiek myślałeś o tym, jak by to było, gdybyś ożenił się z kimś normalnym?

Parska śmiechem.

- Umarłbym z nudów.

- Mówię poważnie.

- Jesteś normalna. - Odsuwa się i patrzy mi prosto w twarz. -
Wszystko jest z tobą w porządku.

Zastanawiam się, jak może tak mówić, czy naprawdę w to wierzy.
Uciekam wzrokiem i przytulam się do niego, żeby nie unikać jego
spojrzenia.

- Ona nigdy nie może się dowiedzieć, kim byłam i co zrobiłam -
mówię wtulona w jego ramiona. - Nie pozwolę Ofelii, żeby ją zraniła.
Wiesz o tym.

- Ofelia nigdy nie była problemem.

- Wiesz, o czym mówię.

- Wiem - odpowiada. - Wiem.

Rozdział 22

Kiedy ludzie myślą o Florydzie, wyobrażają sobie drzewa pomarańczowe i różowe flamingi, palmy, plaże i niebieskozielony ocean. Disneyland i margarity. Floryda jest lekka i zwiewna, kiczowata, idealna na rodzinne wakacje. Rzeczywiście taka jest. Ale ma też zwierzęce, mocno bijące serce, które wyrwałoby się spod kontroli, gdyby nie beton i stal zbrojona, które trzymają je w ryzach. Są tu wielkie dzikie przestrzenie, rzucające cień na-morzyńce, głębokie zapadliska, jaskinie, które się ciągną kilometrami, i hektary mokradeł i bagien. Istnieje część Florydy, która się odrodzi, jeśli dostanie taką szansę. Jej mokre, mroczne palce wyciągną się i zatrzasną nas w swojej pięści. Tak właśnie myślę o swoim życiu.

Chodzimy z Ellą po galerii handlowej. Ludzie patrzą na nas i pewnie sobie wyobrażają, że mamy dużo czasu i pieniędzy do wydania. Zakładają, że najgorsze, co może nas spotkać, to zdrada męża lub dziecko z zespołem ADHD. Przyglądając się skandalicznie drogiej torebce Gucciego, słyszę w uszach huk wystrzału. Czuję zapach dymu. Widzę, jak eksploduje klatka piersiowa Franka Gearyego. I patrzę, jak spada na plecy ze schodów.

Słyszę krzyk matki, nie wiem, skąd pochodzą te obrazy, czy są wspomnieniem, czy sennym koszmarem.

- Jesteś nieobecna, błędzisz gdzieś myślami - mówi Ella, kiedy siadamy napić się espresso w kafejce. - Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiadam beztrąsko. Ciągle mam w pamięci obraz Simona Briggsa. Jest bólem głowy, którego nie mogę przegonić. Jego toporna i brzydka twarz wydaje mi się znajoma, choć nie mogę sobie przypomnieć, skąd ją znam. Tak wielu podobnych rzeczy nie mogę sobie przypomnieć, ludzi, zdarzeń, które przesuwają się przez moje

palce niczym ziarnka piasku. -Po prostu... źle sypiam.

- No tak. - Patrzy na mnie porozumiewawczo. - Pewnie ciągle świrujesz po tym, co się wydarzyło na plaży. Też nie mogłabym spać.

Świrujesz. Znowu to określenie.

- Może - odpowiadam wymijająco. Wypijamy łyk kawy. Po chwili milczenia mówię:

- Zapisuję się na kurs nurkowania. Ella przygląda mi się znad filiżanki.

- Myślałam, że nienawidzisz wody.

- To prawda. - Wypijam łyk czarnej, gorzkiej kawy. - Ale mam córkę. Chcę, żeby widziała, że walczę z lękami.

Z namysłem kiwa głową. Jest dyplomatką, nie od razu feruje wyroki. To mi się w niej podoba.

- Może zacznij od lekcji pływania - sugeruje delikatnie. -No wiesz, w basenie.

- Chrzest bojowy? - Uśmiecham się. Patrzy na mnie niepewnie.

- No właśnie - mówi, przeciągając sylaby.

- Zgadza się. - Odstawiam filiżankę z brzękiem na spodek. -Lekcje zaczynają się na basenie.

- Świetnie - mówi wesoło. - Wiesz, jestem z ciebie dumna. To wspaniałe.

Dzwoni jej komórka, odbiera ją, patrząc na mnie przepaszająco. Po zmianie tonu wyczuwam, że to jej mąż. Ella ma łagodny głos, odwraca ode mnie głowę. Spoglądając na zakupowiczow, myślę o Grayu, który gdzieś usiłuje się dowiedzieć, kto mnie poszukuje. Myślę o Victory, która jest u dziadków. Liczę godziny do odebrania jej jutro z przedszkola. Zabijam czas. Powinnam być w domu i przypominać sobie, kim był dla mnie Simon Briggs. Chyba jakaś część mnie nie chce tego pamiętać. Przynajmniej tak uważa mój psychiatra.

- Muszę iść. - Ella zamyka z trzaskiem telefon. Jest spięta.

- Wszystko w porządku? - pytam ją delikatnie.

- Tak - mówi ze sztucznym uśmiechem, lekko drżą jej ręce. Obie jesteście kłamczuchami. Ale mam nadzieję, że ona nie musi, tak jak ja, kłamać o tak strasznych sprawach.

- Nie kupujesz mokasynów od Prądy? - pytam ją.

- Poczekają - mówi. - Idziesz?

Zaprzeczam ruchem głowy, wypijam szybko resztkę espresso i wstaję.

- Chcę jeszcze kupić parę rzeczy dla Victory.

- Dobrze - mówi, wkładając torebkę pod ramię. - Wybacz. Macham ręką.

- Daj spokój.

Jest blada, ma zaczerwienione oczy. Nigdy nie mówi o mężu ani o ich związku, chyba że ogólnikowo. Ciężko pracuje, opowiada, dużo podróżuje. Jest bardzo opiekuńczy. W jego obecności sztywnieje i robi się nerwowa. Czasami kończymy raptownie spotkanie, kiedy zadzwoni, tak jak dzisiaj. Nie będę się dopytywać.

Pozwalam ludziom na wkładanie masek. Mają prawo je nosić. Dzięki temu będą mniej skłonni zedrzeć moją.

Wybiega, odprowadzam ją wzrokiem, dopóki nie zniknie mi z oczu. Żałuję, że nie potrafię być dla niej lepszą koleżanką. Nie mogę.

Odwracam się, żeby zabrać torebkę i torby z zakupami i staję twarzą w twarz z detektywem Rayem Harrisonem. Na jego widok czuję ucisk w żołądku. Wygląda, jakby był głodny.

- Porozmawiajmy, Annie.

- Śledzi mnie pan? - Podnoszę głos o oktawę, chociaż nie mam takiego zamiaru, aż kobieta siedząca przy stoliku obok odwraca się i patrzy na mnie.

- Nie rób scen - mówi z uśmiechem gliniarz. - Nie możesz sobie na nie pozwolić.

Ja też się uśmiecham i pozwalam, żeby wziął mnie za ramię. Podnoszę torby z ziemi i razem ruszamy do wyjścia.

- Torebka, którą kupiłaś, kosztuje więcej niż miesięczny budżet mojej żony na jedzenie.

W jego głosie wyczuwam zdziwienie i wyrzut. Nie odpowiadam.

- Interes związany z najemnikami musi dobrze iść.

Ma na myśli firmę Graya i Drew, chociaż najemnik to nie jest słowo, którego używają w swojej profesji. Zgadza się, od jedenastego września interes kwitnie.

- Policjantom trudno pogodzić się z faktem - ciągnie po wyjściu z galerii - że przestępcy żyją lepiej od nich.

Mijamy rzędy samochodów. Nie wiem, dokąd idziemy, więc się zatrzymuję. Nie zamierzam znaleźć się z tym człowiekiem gdzieś na odludziu, nawet jeśli jest policjantem.

- Czego pan chce?

Rozgląda się. Na parkingu panuje ruch, ludzie prowadzą wózki z dziećmi, wyjeżdżają albo wjeżdżają ostatnimi modelami samochodów. Puszczą moje ramię, wkładają rękę do kieszeni, zaczyna się kołysać na piętach. Nie jestem pewna, czy jest tego świadomy.

Cały czas ma ten sztuczny uśmiezek na twarzy. Ludzie przechodzący obok nas zapewne myślą, że jesteśmy sąsiadami, którzy przypadkiem na siebie wpadli i ucinają sobie miłą pogawędkę. Domyślam się, że jego zainteresowanie moją osobą nie wynika z prowadzonego śledztwa, nie ma związku z działaniem w ramach prawa.

Inaczej zakułby mnie w kajdanki i pojechalibyśmy jego wozem na posterunek. Co nie znaczy, że ta sytuacja jest dla mnie dobra.

- Chodzi mi o to, że całe życie haruję jak wół, utrzymuję rodzinę, płacę podatki i odkładam na emeryturę. Na każde wakacje, na każde nowe urządzenie, którego potrzebujemy, na każdą naprawę w domu

musimy zaoszczędzić. A tu wchodzę do garażu jakiegoś cwaniaka i widzę hummera. Albo wchodzę do czyjejs chaty i widzę płaski ekran telewizora i sprzęt audio, który jest wart rok chesnego za prywatną szkołę mojego dzieciaka. Myślę sobie, że oto widzę kogoś, kto nie ma szacunku dla prawa, a żyje jak król.

Mówię ci, czasami mnie to zżera.

W jego świętym oburzeniu pobrzmiwa jękliwa skarga. Wiem, skąd mu się to bierze, ale jego słowa nie brzmią całkiem szczerze.

- Czego pan ode mnie chce?

- Pozwól, że ci trochę opowiem o Annie Fowler. Urodziła się w małym miasteczku w Kentucky, gdzie mieszkała, dopóki ona i jej mały synek nie zostali zabici przez pijanego kierowcę kilka lat temu. Była dobrą, miłą i ładną dziewczyną. Szanowała prawo, a mimo to została ścięta przez dupka, który nie miał szacunku ani dla niej, ani dla czegokolwiek innego. Właśnie o to mi chodzi. I to mnie zżera, rozumiesz?

Zauważam w nim coś, czego wcześniej nie widziałam. Nad jego prawym uchem wyrosła kępka siwych włosów. Uderza mnie, jaka jest jasna w porównaniu z brązowymi lokami i aż niewiarygodne, że wcześniej nie zwróciłam na nią uwagi.

Wygląda na zły znak; dziwnie wytrąca mnie z równowagi.

- A potem - ciągnie - została sponiewierana przez kolejną osobę, która nie ma szacunku dla zmarłych. Ktoś kradnie jej tożsamość. Ktoś, kto ucieka od przeszłości, przejmuje jej numer ubezpieczenia społecznego i używa go, żeby zacząć życie od nowa. Od czego uciekała ta osoba? Może od kogo? To musiało być coś złego, cokolwiek to było.

- Czego pan chce? Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Wkłada okulary, które wyjął z kieszeni koszuli.

-. Pani Powers. - Nadal uśmiecha się sztucznie, za chwilę ten uśmiech rozłupie mu twarz na dwie części. - Czy mogę mówić Annie?

Annie, pobladaś. Nie będę cię zatrzymywał. Pewnie chcesz wracać do rodziny.

Odwraca się i odchodzi. Nagle się zatrzymuje i wraca. Jestem pewna, że odegrał tę scenę w głowie ze sto razy i powtarzał ją, żeby osiągnąć maksymalny efekt.

- Wiesz, Annie, każdy ma jakieś tajemnice, nie chcemy się dzielić naszym życiem ze wszystkimi. Rozumiem to. Naprawdę. Pytanie, ile te tajemnice są warte? Ile zapłacimy, żeby je pogrzebać? Przemyśl to.

Zostawia mnie, a ja odprowadzam go wzrokiem. Nie ogląda się za siebie, tylko wsiada do samochodu zaparkowanego w pobliżu i powoli odjeżdża.

Kiedy statek znika na morzu, zdarza się, że nigdy nie zostanie odnaleziony. Silnik nie działa, statek dryfuje, unosi się na bezkresnym oceanie i nigdy nie dopłyne do brzegu.

Może nie zostać zauważony przez samolot z powietrza. Nawet ci, którzy znają się na odnajdywaniu zagubionych statków, którzy z grubsza wiedzą, gdzie zaginął, znają się na prądach, przyptywach i odpływach, nawet oni mogą go nie odnaleźć. Większość ludzi nie pojmuje, że oceany na naszym globie są tak ogromne, wydaje im się nie do wyobrażenia, że coś może się na zawsze zagubić w tej przestrzeni. I dlatego, że świat jest taki wielki, rzeczy giną i nigdy się nie odnajdują.

Ludzie też giną.

Pomysł, żeby zrzucić skórę i odejść w nowej, nie mieści się ludziom w głowie, można go raczej wykorzystać w powieści. Tymczasem dość łatwo to zrealizować.

Prawo jazdy, paszport, numer ubezpieczenia społecznego - wszystko można otrzymać wraz z metryką urodzenia po wypełnieniu stosownych formularzy i uiszczeniu opłaty w odpowiednim urzędzie. I to jest wszystko, czego potrzeba, żeby uzyskać nową tożsamość. A

potem wystarczy się za bardzo nie wychylać. Lepiej nie pracować ani nie dać się złapać za przekroczenie prędkości. Jeśli wyjedzie się na wystarczająco dużą odległość od ludzi, którzy nas znali, można dryfować po świecie i nigdy nie zostać odnalezionym, tak jak statek zagubiony na morzu. Taki wielki jest świat.

Ofelia March zmarła podczas suchej, chłodnej nocy w Nowym Meksyku. W kradzionym mustangu rocznik 67 ona i Marlowe Geary zjechali ze zbocza Taos High Road w dolinę Rio Grande. Została uznana za zmarłą, chociaż nie odnaleziono jej ciała. Przynajmniej tak podaje oficjalny raport.

Tyle że Ofelii nie było w mustangu. Zakuta w kajdanki i po dawce środków odurzających znalazła się w bagażniku czarnej terenówki zaparkowanej obok miejskiego rynku w Santa Fe, w cieniu katedry Świętego Franciszka. Po dwóch godzinach, kiedy mustang stanął w płomieniach po zderzeniu z ziemią, pewien mężczyzna, wyczerpany, brudny, pachnący dymem usiadł za kierownicą terenówki i odjechał. Ofelia March umarła.

Narodziła się Annie Fowler.

Stojąc na parkingu z zakupami przy nogach, myślę o tamtej nocy. Jestem chora ze strachu. Ale czy również poczułam w sercu promyk nadziei? Czy jest mi trochę miło, że Ofelia ciągle żyje i że w jakiś sposób będzie musiała zapłacić za to, co zrobiła?

Wiele ludzi wierzy, że Ofelia była ofiarą Marlowe'a do samego końca. Ale historia jest bardziej zagmatwana. Czuję, jak chwytają mnie czarne palce. Boję się tak samo Ofelii, jak Marlowe'a.

W gabinecie Graya podoba mi się tylko jego wielki zbiór książek. Są oprawione w skórę, mają złożone brzegi, opisują doktryny wojenne i wojskowe, tomy encyklopedii mówią o historii świata, literaturze klasycznej, poezji. Nie jest to jednak biblioteka zgromadzona przez lata czytania. Jest kupiona na pokaz, to Drew wpadł na pomysł, jakie

książki powinny stać na półkach w gabinecie wojskowego. W swoim gabinecie Drew ma podobną kolekcję. Większości książek nigdy nikt nie otworzył, żadne oczy nigdy nie spojrzały na ich słowa, a palce nie pieściły stron. Są tak samo nietknięte i cnotliwe jak zakonnice.

Przesuwam wzrok po okładkach: Sun Zi, Machiavelli, Tołstoj, Szekspir, Byron, Shelley. Każdy, kto by się znalazł w gabinecie mojego męża, pomyślałby, że ma świetny gust literacki. Że jest erudyta. Nic podobnego. Gdy tylko Gray otwiera książkę, natychmiast zasypia. Skulona na skórzanej kanapie, opowiadam mu o spotkaniu i detektywem. Jego twarz jest ściągnięta troską.

- Nic nie wie - odpowiada, kiedy kończę. - Gdyby wiedział, powiedziałby do ciebie po imieniu.

- Wie, że nie jestem Annie Fowler. Gray kiwa głową.

- Ale nie interesuje się tobą z powodów zawodowych. Nie Przyszedł do ciebie jako glina. Nie wezwał cię na przesłuchanie. Jest skorumpowany. I to dla nas dobra wiadomość.

Kiedy damy mu kasę, odczepi się.

Gray siedzi za biurkiem, bawi się piórem, kręcąc się na krześle. Milczę. Raczej nie pójdzie nam tak gładko.

- W każdym razie - dodaje - między Annie Fowler i Ofelią March nie ma żadnego związku. Nic ich nie łączy. Może się do-kopywać do Annie Fowler, aż jej kości będą trzeszczeć w ziemi, ale nie znajdzie Ofelii.

Ciekawe, kogo próbuje przekonać.

- To czysty zbieg okoliczności, że ktoś szuka Ofelii w Nowym Jorku i że jakiś glina na Florydzie zadaje pytania na temat Annie Fowler. I że ktoś szedł za tobą po plaży.

Trudno powiedzieć, co się maluje na jego twarzy. Przecież to właśnie on nie wierzy w zbiegi okoliczności.

- Nie widzę związku - dodaje. Zastanawiam się, czy nie próbuje z

uporem odrzucić oczywiste fakty, czy nie wypiera tego, co jawi się tuż przed naszymi oczami. To do niego niepodobne. - Słowo daję, nie widzę żadnego związku.

Ale przecież zawsze istnieje jakiś związek? Czasami jest ukryty głęboko pod powierzchnią, tak jak sieć jaskiń na Florydzie, mrocznych i rozbrzmiewających echem, wijących się zdradziecko pod naszymi stopami.

Pewnego razu po powrocie do domu zobaczyłam, że matka płacze w sypialni. Przyglądałam się jej, stojąc w progu. Tego dnia wiatr wiał od strony stajni, więc w powietrzu unosił się zapach obornika. Matka wydała mi się taka mała i krucha, kiedy leżała na białym prześcieradle pod dużym drewnianym krzyżem nad łóżkiem. Pokój był zwyczajny i skromny, tak jak inne pokoje w tym domu. Tylko łóżko ze stelażem, dwa nocne stoliki i toaletka, wszystko zrobione z sosny.

- Mamy wyłącznie niezbędne rzeczy. - Taka była mantra Franka. Nie lubił przepychu, ostentacji. - Taka jest wola Pana. J.

Byłam zadowolona, że rozpacza tak jak ja. Nie chciałam bynajmniej, żeby była nieszczęśliwa. Odczułam ulgę, że w ogóle coś czuła. Od ośmiu tygodni, od kiedy tu zamieszkałyśmy, zachowywała się jak żywy trup, ginęła w oczach. Z każdym dniem wydawała się słabsza, jej policzki traciły kolor. Jakby Frank powoli pozbawiał ją życia.

Obawiałam się, że pewnego dnia zamieni się przed moimi oczami w stos popiołu. Wraz z zapachem koni poczułam woń alkoholu. Patrzyłam na nią, aż mnie zauważyła.

Usiadła gwałtownie na łóżku.

- Ofelio. Wystraszyłaś mnie!

Na podjeździe nie było ciężarówki Franka, wiedziałam, że go nie ma w domu. Podeszłam i usiadłam obok niej. Przyciągnęła mnie do

siebie, objęła i położyłyśmy się tak, jak kiedyś, kiedy byłam dzieckiem, zanim jeszcze się dowiedziałam, na ile sposobów może matka zawieść swoje dziecko.

- Co się stało, mamó? - Pytam. - Dlaczego płaczesz? Nie odpowiedziała od razu.

- On jest... taki zimny. Chyba popełniłam straszny błąd, sprowadzając nas tutaj - odezwała się po chwili.

Szybko usiadłam i spojrzałam na nią.

- No to zabierajmy się stąd.

Wzniosła oczy ku górze, a na jej twarzy pojawił się grymas złości.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek.

Usiadła i objęła kolana ramionami.

- Wiesz, on nie umie być ze mną.

- Mamó.

Twarz mi płonęła ze złości i ze wstydu. Nie chciałam, żeby mi opowiadała o swoich łózkowych problemach z Frankiem Gearym. Chciałam tylko, żeby nieszczęście pobudziło ją do działania. Ale ona zachowywała się jak krowa na drodze; mimo że miejsce było nieprzyjazne i niebezpieczne, nie ruszy się, dopóki ktoś nie podejdzie do niej z kijem.

Wiedziałam, że taka jest.

- Nie... nie wychodzi mu - ciągnęła, jakby głośno myślała, jakby mnie nie było w pokoju. - Coś jest z nim nie tak. Coś złego się z nim dzieje.

- Jedźmy stąd - powtórzyłam, łapiąc ją za rękę. - Wrócimy do Nowego Jorku.

Westchnęła głęboko.

- Nie mamy samochodu ani pieniędzy. Niby jak mamy stąd uciec?

Wpatrywałam się w nią. - Jak mamy stąd uciec? - powtórzyła. To

nie było pytanie retoryczne, naprawdę pytała, jak stąd uciec. Chciała, żebym ją uratowała, a ja nienawidziłam jej za słabość, za głupotę.

Nienawidziłam za to, że oddała Frankowi całą władzę i że ugrzęźliśmy na ranczu na końcu świata, bez pieniędzy i możliwości ucieczki, gdybyśmy się na nią zdecydowały.

Nienawidziłam ojca za to, że zniknął i pozostawił mnie samej sobie. Ogarnęła mnie furia i przysięgłam sobie w duchu, że nigdy nie będę tak bezradna jak matka.

- Ofelio. - Zakryła oczy. - Nie patrz tak na mnie. Wyszłam bez słowa. Wołała za mną, ale wtedy usłyszałam samochód Franka na podjeździe. Po chwili matka puściła wodę w łazience, wiedziałam, że myje zęby, żeby nie poczuł od niej alkoholu. Pewnie podkradła mu whisky z jego skrytki, którą znalazłam w szopie. Z tyłu w skrzynce pod stosem flanelowych koców zawsze były dwie albo trzy butelki jacka danielsa. Dwa razy widziałam go tam nieprzytomnego, obok prawie opróżniona butelka i pety w popielniczce.

Niebezpieczne zachowanie jak na szopę wypełnioną sianem. Tego wieczoru natknęłam się na Marlowea, jak w stajni palił papierosa. Nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtej nocy w moim pokoju. Unikaliśmy siebie nawzajem. Przyciągał mnie i jednocześnie odpychał, po tym, co mi wtedy wyszeptał. Za tydzień kończył osiemnaście lat i potem miał zniknąć. A ja zostanę tu sama.

Usiadłam obok niego, a on podał mi papierosa.

- Spotkał dzisiaj kogoś - powiedział, wypuszczając dym. -Kobietę w sklepie spożywczym. Za chwilę się zacznie.

Spojrzałam na jego szczupłą sylwetkę, włosy wchodzące mu do oczu i na rękę obejmującą zgięte kolano.

- Zagadywał do niej, flirtował jak zawsze - ciągnął, gdy się nie odezwałam.

Trudno mi było sobie wyobrazić Franka, jak z kimś „flirtuje”. Był

nieciekawym i sztywnym jak kłoda. Powietrze było nieruchome i ciężkie od wilgoci. Czułam na czole krople potu, które spływały mi po plecach.

- To jest jak apetyt. Rośnie w nim. Nie potrafi go poskromić.

Z dziwnym półuśmiechem na twarzy zgasił papierosa i zaczął się bawić petem, rolować go między kciukiem i palcem wskazującym, aż cienkie brązowe okruszki tytoniu spadły mu na nogę.

- Na początku działa powoli, ale potem się rozkręca. Twoja matka będzie następna.

Ogarnął mnie paniczny strach, nagle poczułam mrowienie w palcach i na karku. Wyrztałam na dwór przez otwarte drzwi szopy. Z miejsca, w którym siedziałam, widziałam dom i światło w pokoju matki.

- Nie - odparłam, choć to słowo brzmiało bardziej jak modlitwa niż zaprzeczenie.

Nigdy nie zauważyłam, żeby Frank był agresywny, ale czułam, że Marlowe mówi prawdę. Za chwilę zaczną się dziać straszne rzeczy, w powietrzu wisiało napięcie.

- Po niej dobierze się do ciebie - wyszeptał, zerkając na mnie przez kosmyki opadające mu na oczy.

Przyciągnęłam kolana do piersi i ścisnęłam je kurczowo.

- Myślisz, że niby dlaczego tak ją izoluje? - zapytał Marlowe. - Nie pozwala jej nawet pójść do sklepu spożywczego. Nikt nie ma pojęcia o jej istnieniu.

Jeśli nawet zauważył, że się odezwałam, to nie zwrócił na to uwagi. Palcami rysowałam kółka w piachu.

- Przestanieś pojawiać się w szkole i dopiero po wielu tygodniach ktoś się zainteresuje i zacznie cię szukać - ciągnął. - Wtedy on im powie, że twoja matka go zostawiła i zabrała cię ze sobą. Powie, że nie wie, dokąd pojechałyście.

- Ojciec zacznie mnie szukać - rzekłam bez przekonania.

- Może kiedyś. - Wzruszył ramionami. - Co z tego? Już będziesz martwa.

Jedyne, co mi się tu podobało, to niebo nocą. Nie wiedziałam wcześniej, że jest aż tyle gwiazd. Patrzyłam na nie przez otwarte drzwi, marząc, żeby znaleźć się tak wysoko i tak daleko stąd jak one.

- Widzisz, jak tobą manipulował? - pyta mnie lekarz. - Jak wykorzystał twój strach, alienację od rodziców, żeby wciągnąć cię w swoją pajęczynę?

Pokiwałam głową, obgryzając paznokcie, co robiłam tylko wtedy, kiedy rozmawialiśmy o przeszłości.

- Miałaś siedemnaście lat. W dosłownym tego słowa znaczeniu opuścił cię ojciec, matka opuściła cię emocjonalnie, mieszkałaś z mężczyzną, którego uważałaś za seryjnego gwałciciela i mordercę i właśnie miał znowu zacząć zabijać, mógł nawet ciebie zabić.

Byłaś przerażona i bezbronna.

Przyznałam mu niechętnie rację. To prawda, że Ofelia się bała, ale też rozpaczliwie pragnęła miłości i akceptacji.

- Co mogłaś wtedy zrobić, czego nie zrobiłaś?

Bez przerwy to przerabiamy, grzebiąc w mojej przeszłości. Myślimy o alternatywnych wyborach dla Ofelii i strzelamy do nich jak do pustych butelek.

Zdaniem doktora jestem dla niej za surowa. Była jeszcze dzieckiem. Ale on nie zna całej historii, chociaż ja jej również nie znam. Może rzeczywiście jestem dla siebie za surowa.

- Mogłam zawiadomić policję. Kiwa powoli głową z namysłem.

- W świetle prawa twój ojczym był niewinny. Nie miałaś dowodów, że zrobił coś złego, że coś planował. Co mogła zrobić policja?

Nie patrzę na niego, tylko na jego dyplomy na ścianie, widok za oknem, na szklany przycisk do papieru na biurku, na światło, które

rzuca tęczę na ścianę.

- Nie mam pojęcia.

Wzdycha i wierci się na krześle. Za jego plecami słońce zachodzi w feerii barw - w purpurze, pomarańczy, różu - nad Intracoastal Waterway.

- I co zrobiłaś?

- Nie pamiętam.

Unosi podbródek, dotyka dłonią twarzy i drapie się w szczękę. Zarost i sucha twarda skóra pod jego dłonią wydają irytujący, drapiący dźwięk. Uważnie mi się przygląda, zanim z wahaniem powie:

- Nie jesteś ze mną szczera, Annie.

- Nie pamiętam - odpowiadam szybko. - Przecież pan wie.

- Czuję, że bardzo wielu rzeczy mi nie mówisz. Obawiam się, że z tego powodu nie będę mógł ci pomóc.

Powoli zaprzeczam ruchem głowy i zaciskam usta. Przez chwilę, nie, przez mgnienie oka pomyślałam, żeby wyznać mu prawdę. Ten moment przemija w ciszy.

Spogląda na zegarek, wstaje. Nasza sesja dobiega końca.

- Nie pomogę ci, jeśli nie zmierzysz się z prawdą. Rozumiesz?

- Tak. - Wstaję i idę do drzwi.

Nasza znajomość chyba się kończy. Nie zna Ofelii, nawet nie wie, że tak ma na imię.

Zachowałam tę wiedzę dla siebie. Pewnie sądzi, że wszystko zmyśliłam, a on tylko spełnia moje zachcianki i bierze za to pieniądze.

- Zobaczymy się za tydzień?

- Tak, za tydzień - potakuję. Zatrzymuję się przy drzwiach i patrzę na niego. Jest miłym człowiekiem i dobrym lekarzem. Wiem, że bardzo się starał mi pomóc. - Czy wspominałam już panu, że chcę się zapisać na lekcje nurkowania?

- Przecież boisz się wody. - Uśmiecha się ze zdumieniem.

- To pan mi zawsze mówi, że muszę walczyć ze swoimi lękami. To będzie pierwszy krok.

- I pomaga?

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

- Uważaj na siebie. - Mówi tak po każdej sesji, ale chyba wyczuwam większą troskę w jego głosie, nutkę pożegnania.

W ciszy czekam na windę, na pustym korytarzu prowadzącym do gabinetu lekarza. Słyszę elektroniczne piknięcia, kiedy winda, jadąc do góry, mija po kolei piętra. Nigdy nikogo nie widziałam na korytarzu, nikt nigdy nie wchodzi i nie wychodzi z biur. Aż do dzisiaj nie wydawało mi się to dziwne. Panuje martwa cisza, tak jakby za drzwiami nie było żywej duszy.

Może przedtem nie zwróciłam na to uwagi, bo zawsze po wyjściu od lekarza jestem zatopiona w myślach, ale dzisiaj czuję się dziwnie nieswojo w oczekiwaniu na windę, która chyba nigdy nie przyjedzie. Utknęła na dobre dwa piętra pode mną. Chcę zejść po schodach, ale drzwi od klatki schodowej są zamknięte. Nie mam wyjścia, muszę czekać na ospałą windę.

Wtedy słyszę coś, trudno powiedzieć co. Może to był krzyk, może coś upadło na podłogę. Słyszę odgłosy sprzeczki, kilka słów, a potem zapada nagle cisza, więc może się przesłyszałam. Nagle się odwracam i idę z powrotem do gabinetu.

Oczywiście wtedy nadjeżdża winda. Wchodząc do poczekalni, słyszę, jak otwierają się i zamykają drzwi. Delikatnie pukam do gabinetu, ale nikt nie odpowiada. Na pewno jest w środku, nie sędzę, żeby było drugie wyjście. Może poszedł do łazienki. Przykładam ucho do drzwi, czekam chwilę, lecz nie dochodzi mnie żaden dźwięk.

Pukam jeszcze raz, drzwi się uchylają, lekko je popycham.

- Doktorze, czy wszystko w porządku?

Dopiero po chwili dociera do mnie to, co widzę. Doktor opadł całym ciężarem na biurko, krew spływa po blacie i kapie na podłogę. Na tle zachodu słońca na szybie okiennej odbija się wysoki i straszny łuk krwi.

- Panie doktorze - podchodzę bliżej. Mój głos brzmi, jakby dochodził z wnętrza głębokiego tunelu. - Paul?

Podchodzę do niego, walcząc z pokusą ucieczki. Kładę dłoń na jego szyi. Brak pulsu.

Jest jeszcze ciepły, lecz nie żyje.

Próbuję głęboko oddychać, ale panika ściska mi gardło, gdybym mogła, rzuciłabym się do ucieczki. I wtedy widzę, że drzwi do łazienki są uchylone, a w środku pali się światło.

Mam wrażenie, że coś się tam poruszyło.

Mój mózg przestaje funkcjonować, adrenalina uderza mi do głowy, ciało przejmuje kontrolę. Kieruję się do wyjścia, wpatrując się w wąski prostokąt światła, widoczny w otworze drzwi. Już nie myślę o biednym doktorze ani o tym, jak strasznie zginął i czy ktoś się jeszcze ukrywa w łazience. Myślę tylko o tym, żeby jak najszybciej stamtąd wyjść. Nie mogę pomóc doktorowi, nie mogę też sobie pozwolić na kolejne spotkanie z policją.

Wycofuję się ze wzrokiem wbitym w drzwi od łazienki. Jestem sparaliżowana, ledwo się ruszam. W drzwiach staje blada i ponura dziewczyna, którą pamiętam z przyjęcia u Elli i przed kafejki internetowej. Jest zalana krwią. W rękę trzyma nóż. Jej piersi unoszą się, kiedy głęboko i ze świstem oddycha. Patrzymy przez chwilę na siebie. I wtedy ją rozpoznaję. To Ofelia.

Rozdział 23

Już prawie zmierzcha, kiedy dochodzę do siebie w samochodzie na parkingu przed budynkiem, w którym mieści się gabinet mojego psychiatry. Słońce schowało się za horyzontem, niebo ma czarnoniebieski połysk. Mam zaburzone widzenie z powodu nawrotu migreny. Próbuję zrozumieć, co się stało, oddzielić rzeczywistość od fantazji. Znowu widzę jej twarz, ubranie unurzane we krwi. Widzę, jak mój lekarz opadł bezwładnie na biurko, a z jego ciała sączy się krew. Właściwie nie czuję przerażenia, jestem tylko porażona i odrętwiała. Patrzę na zegarek. Od naszej sesji minęło zaledwie czterdzieści minut, co wydaje się nieprawdopodobne, zważywszy na to, co się stało. Wielka plama krwi zasycha na moim żakiecie. Zdejmuję go i składam. Nie chcę patrzeć na krew. Dzwoni komórka, która leży na tablicy rozdzielczej. Odbieram.

- Dzień dobry, Annie.

Rozpoznaję głos Harrisona. Nie odpowiadam.

- Zastanawiałem się tylko, czy przemyślałaś pewne sprawy.

- Dlaczego pan mi to robi? - Nawet ja słyszę histerię w swoim głosie. Cała się trzęsę, gdy wkładam kluczyk do stacyjki i odpalam samochód. - Czy to pańska sprawka?

Po drugiej stronie zapada milczenie, jakby detektyw rejestrował wysokość i ton mojego głosu. - Co się stało? - Chyba naprawdę się zaniepokoił. - Gdzie jesteś? - Dlaczego pan mi to robi? - powtarzam. To na pewno Harrison. Jakoś to zrobił. Wszystko o mnie wie i chce, żebym oszalała. Dla forsy. - Dostanie pan wszystko, czego tylko pan chce.

- Nie denerwuj się - mówi. Próbuje mnie uspokoić, pewnie często rozmawia z histerykami. - Co się dzieje?

Coś w jego głosie przypomina mi, dlaczego go na początku polubiłam. Chociaż chce mnie zniszczyć, to chyba ma zamiar odłożyć to na później, a teraz zachować się jak prawdziwy policjant. Już mam mu opowiedzieć o lekarzu, ale się powstrzymuję: nie wiem, czy na pewno nie żyje i czy to nie ja go zabiłam. Udowodniłabym tym samym, że jestem albo umyślowo chora, albo morderczynią, może tym i tym.

- Co się stało? - pyta zdecydowanym tonem.

Ale jego głos brzmi metalicznie i daleko. Kończę rozmowę, rzucam telefon na tylne siedzenie. Jadę do domu.

Na wybrukowanej drodze, prowadzącej do naszej wyspy, wieczorem panuje niewielki ruch. Zatrzymuję się na poboczu, sięgam po żakiet, podbiegam do barierki i rzucam go do morza. Przez chwilę patrzę, jak spada i szybko wracam do samochodu. Pędzę.

Kiedy widzę wóz policyjny na poboczu, zwalniam i do samego końca jadę z przepisową prędkością. Macham ręką strażnikowi, kiedy przejeżdżam przez bramę do naszego osiedla. W oknach palą się światła, migoczą odbiorniki telewizyjne, a kilkoro dzieci bawi się na ulicach, choć zapadł zmierzch. Jest cicho, normalnie. Jestem tu obca. Uświadamiam sobie z całą mocą, że zawsze byłam obca.

Parkuję samochód na podjeździe i idę wolnym krokiem, chociaż wolałabym rzucić się biegiem. Zamykam za sobą drzwi. W kuchni Gray przyrządza kolację.

- Spóźniłaś się. - Uśmiecha się na mój widok.

Na stole palą się świece, w wielkim garnku na piecu skwierczą homary. Odwraca się w moją stronę i uśmiech zamiera mu na twarzy. Blednie. Nogi uginają się pode mną.

Kiedy do mnie dobiega, wpadam bezwładnie w jego ramiona.

- Co się stało? - Jest przerażony moim stanem. - Co się, do cholery, stało?

Nagle się obudziłam w środku nocy. Konie były niespokojne w stajni, nerwowo wierzgały. Już dwukrotnie były w takim stanie. Za pierwszym razem widziano następnego dnia panterę na posesji sąsiada. Za drugim nie wiedzieliśmy, dlaczego są takie zdenerwowane. Odsunęłam kołdrę i podeszłam do okna. Ciężarówka Franka mruczała cicho, drzwi przypominały szeroko otwarte usta. Pełnia księżycy rzucała dziwną poświatę.

Odsunęłam się i wyjrzałam przez zasunięte firanki. Nie wiem, jak długo tam stałam, ale w końcu Frank wyszedł z szopy. Trzymał w ręku duży pakunek owinięty w końskie koce. Odchylił się do tyłu pod jego ciężarem, po czym włożył go niezgrabnie na tył samochodu. Zamknął drzwi i zerknął na okna domu. Był w strasznym stanie, jakby opłakiwał czyjąś niepowetowaną stratę. Wsiadł za kierownicę i odjechał. Znieruchomiałam, cała się trzęsłam. Myślałam o tym, co mi powiedział Marlowe. Nie całkiem mu wierzyłam, kiedy mówił o torebkach, bucie znalezionym pod gankiem, ponurych przepowiedniach, że nie da się dłużej poskromić „apetytu” Franka.

I wtedy zobaczyłam, jak Marlowe wychodzi z szopy z torbą na śmieci. Zamknąwszy za sobą drzwi, odwrócił się i spojrzał do góry. Może poczuł na sobie mój wzrok. Byłam pewna, że mnie nie widzi. Ale coś w jego twarzy mówiło mi, że domyślił się, że tam stoję.

Wróciłam szybko do łóżka, nakryłam się kołdrą i zamknęłam oczy. Próbowałam głęboko i spokojnie oddychać. Po chwili usłyszałam, jak skrzypią schody. Aż deski obok mojego pokoju jęknęły pod jego ciężarem. Usłyszałam, jak przekręca gałkę drzwi. Starłam się przestać trząść, nie krzyknąć, gdy usłyszałam, że otwiera drzwi.

Sekundy wlokły się niemiłosiernie, a ja czekałam, aż wejdzie i wypowie moje imię. Nie zrobił tego. Po chwili odszedł od drzwi i zszedł na dół. Kiedy pomyślałam, że niebezpieczeństwo minęło, pobiegłam do pokoju matki.

Byłam pewna, że jej łóżko będzie puste. Ale kiedy wpadłam do niej, spała głębokim snem, nieświadoma tego, co się właśnie wydarzyło. Zastanawiałam się, czy jej nie obudzić i nie opowiedzieć o tym, co zobaczyłam, ale nie zrobiłam tego. Wróciłam do łóżka i z szeroko otwartymi oczami wsłuchiwałam się w noc. Frank wrócił dopiero przed świtem.

Rozdział 24

Po kilku godzinach do gabinetu doktora wracam z Grayem. Opowiedziałam mu o tym, co się wydarzyło. Przedyskutowaliśmy setki razy każdy szczegół. Kazał mi wziąć prysznic.

Pod gorącą wodą szorowałam się z taką siłą, że moja skóra zrobiła się czerwona i zaczęła mnie piec. Gray pozbył się moich ubrań. Nie jestem pewna, dlaczego, może pomyślał, że to ja zabiłam doktora. Nie pytam go, czy mu to przyszło do głowy.

Parking opustoszał. Sądziłam, że będą się tu kręciły wozy policyjne i karetki pogotowia, wozy transmisyjne stacji telewizyjnych. Myślałam, że będzie na mnie czekał Harrison. Tymczasem wkoło panuje spokój. Mdli mnie. W niektórych oknach pali się światło. Nocny strażnik w recepcji czyta książkę.

- Poczekaj tu. - Gray kładzie mi dłoń na kolanie.

- Nie. - Odpinam pas. - Idę z tobą.

Nie protestuje i kiedy wysiadam z samochodu i staję obok niego, obejmuje mnie. Idziemy do budynku. Uśmierzyłam ból głowy lekami, ale wiem, że czyha na mnie jak drapieżnik w krzakach.

- Będzie dobrze - uspokaja mnie Gray.

Strażnik o wyglądzie starego buldoga patrzy na nas znad kartek powieści z nadąsaniem i znudzeniem. Ma wyblakłe oczy i cienkie usta, schowane w fałdach skóry.

- Byłam tu wcześniej u lekarza - informuję go. - Zostawiłam komórkę.

- Musi pani poczekać do jutra - odpowiada. - Budynek jest zamknięty.

- To ważne.

- Przykro mi.

Zmienia zdanie, kiedy Gray wyciąga banknot studolarowy. Zrobiłby to za pięćdziesiąt. Kiwa głową bez zainteresowania, podnosi ciężkie ciało z krzesła, które aż jęknęło z ulgą. Bierze ogromny pęk kluczy z blatu i wjeżdżamy windą na siódme piętro.

- Czy winda była wcześniej zepsuta?

- Nic o tym nie wiem. - Wzrusza ramionami.

W windzie pocę się ze strachu i jestem coraz bardziej spięta. Gray ma przy sobie broń, dłoń trzyma pod marynarką, na kolbie pistoletu. Zachowuje się bez zarzutu, jest spokojny, opanowany. Kiedy wysiadamy z windy, korytarz tonie w półmroku, świeci się tylko napis WYJŚCIE AWARYJNE.

Prowadzę nas do gabinetu lekarza. Drzwi są zamknięte na klucz. Coś jest nie tak, nie umiem powiedzieć, co. Strażnik nie widzi, jacy jesteśmy zdenerwowani.

- Jest pani pewna, że to tu? - Otwiera drzwi na oścież. Rejestruję w głowie, że na drzwiach nie wisi tabliczka z nazwiskiem lekarza. Poczekalnia jest pusta. Zniknęły krzesła, sztuczne rośliny, stojaki na czasopisma. Idziemy do gabinetu. Pusty.

Wszystko wyparowało, biurko, wazon ze szkła Murano, który stał na stole przy oknie, tanie, niewygodne meble. Gray chodzi po pokoju, przeciera palcem parapet, spojrzeniem omiata pomieszczenie. Czoło ma zachmurzone, wreszcie patrzy na mnie. Wchodzę do łazienki. Widzę swoje odbicie w lustrze na najdalszej ścianie. Mam podkrążone oczy, jestem przerażona.

- To na pewno siódme piętro? - Rozglądam się, zniknęły nawet klamki i oświetlenie.

To miejsce nie ma żadnego związku z gabinetem, w którym bywałam od lat. Badawczo przyglądam się ścianom, szukając śladów po zdjęciach i dyplomach, ale nie widzę żadnych śladów, żadnych zapomnianych gwoździ. Na oknie nie ma krwi.

- Tak, proszę pani. - Strażnik przygląda mi się podejrzliwie. - Myślałem, że pani wie coś, czego ja nie wiem. Z tego, co mi wiadomo, to piętro nie było wynajęte, czekało na remont. Ma się tu wprowadzić agencja nieruchomości.

Nie wiem, co powiedzieć. Przetykam łyzy goryczy, zasłaniam dłonią czoło, żeby żaden z nich nie dostrzegł wyrazu mojej twarzy. Boję się i wstydzę jednocześnie.

- Na pewno chodzi o ten budynek? - Kiwam głową, nie ufając swojemu głosowi.

- Ma pan na dole rejestr wejść i wyjść? - pyta Gray.

- Chyba tak - odpowiada strażnik.

Jest skrepowany, przestępuje z nogi na nogę i unika kontaktu wzrokowego.

Spotkałam się już z tym. Z jakiegoś powodu ludzie czują zakłopotanie na myśl, że mają do czynienia z psychicznie chorym. Zachowuje bezpieczną odległość, kiedy idziemy korytarzem do windy. Gorączkowo przebiegam w myśli różne warianty; nie to piętro, nie ten gabinet, nie ten budynek. Lekarz nie żyje, ktoś ukrył jego ciało i wysprzątał gabinet. Albo, jak się elokwentnie wyraził Gray, ktoś robi ze mnie kretynkę. Widzę, że Gray myśli o tym samym, trzyma mnie mocno za rękę, może się boi, że rzucę się do ucieczki.

W recepcji strażnik podaje Grayowi rejestr wejść i wyjść. Widzę, że kartki związane na tabliczce są nowe i sztywne. Na liście nie widnieje nazwisko Brown.

- Wygląda na zupełnie nowy. Kiedy został wydrukowany? - pyta Gray.

Strażnik wzrusza ramionami.

- Rzeczywiście - przyznaje, zaglądając mu przez ramię. - Może lekarz przeniósł gdzieś gabinet. Pojęcia nie mam.

- Kojarzy go pan? Doktora Browna? Zaprzecza ruchem głowy.

- Jestem tu tylko w nocy. Przychodzę, kiedy większość ludzi idzie do domu.

Właściwie nikogo nie znam.

Teraz patrzy na mnie z litością. Bierze kawałek kartki z szuflady, notuje nazwisko i numer.

- Czy nikt się stąd nie wyprowadził w ciągu ostatnich godzin?

Staram się, żeby mój głos nie brzmiał histerycznie i rozpaczliwie. Mam nadzieję, że wyglądam na spokojną. Nauczyłam się, jak wyglądać w takich chwilach na opanowaną, choć w środku we mnie szaleje burza. Zwierzęta ukrywają swój lęk i choroby, nie mogą sobie pozwolić w dżungli na słabość.

- Nie, nie. Dzisiaj nie - podaje mi świstek. - To jest numer do kierownika budynku z porannej zmiany, może będzie coś wiedział.

Gray mu dziękuje i wychodzimy. Milczymy, idąc do samochodu, nie wiemy, co powiedzieć. Wsiadamy i siedzimy przez jakiś czas bez ruchu. Patrzę na tablicę, bo nie wiem, na co mam patrzeć. Boję się spojrzeć na Graya.

- Nie wymyśliłam sobie doktora ani tego, co się dzisiaj wydarzyło.

- Wiem. - Gray odpowiada trochę za szybko. Zastanawiam się, czy chce mi zrobić przyjemność. Kiedy wreszcie mam dość siły, żeby spojrzeć mu w oczy, widzę, jak bardzo mnie kocha i jak mi współczuje. Dzięki temu napięcie w ramionach ustępuje, zaczynam lżej oddychać.

- Widziałam ją - mówię, kiedy przypominam sobie ten moment i zaczynam dygotać.

- Widziałam Ofelię.

Widzę troskę w każdej linii na jego twarzy.

- Zobaczyłaś kogoś - mówi - i w chwili przerażenia twój mózg zażartował sobie z ciebie.

- Widziałam ją już wcześniej, na przyjęciu i na ulicy. Tylko jej nie

rozpoznałam.

Przekłada dłoń z mojego kolana na ramię i mocno mnie ściska. - Co ty mówisz? To ty jesteś Ofelią. Ofelia nie jest kimś innym. - Wiem o tym. - Jestem opryskliwa. Co ja w ogóle mówię?

- Co mi chcesz powiedzieć? Wzdycham głęboko.

- Nic. Nie wiem.

- Na parapecie nie było kurzu - zmienia temat. Nie chce rozmawiać o Ofelii. Chce się zająć faktami, dowodami, a nie duchami i zwidami. - Gdyby pokój był wolny od tygodni, na parapecie osiadłby kurz.

- Naprawdę? - Nadzieja zastępuje ucisk w moich piersiach. - Co to znaczy?

- Może coś się tu dziś wydarzyło, potem ktoś posprzątał i wyniósł meble.

Gray oddycha głęboko. Wierzy w to, co mówi, czy chce mi zrobić przyjemność? Nie wiem i nie pytam go o to.

I tak wiem, co myśli. Żałuje, że nie pozwoliłam mu poznać mojego psychiatry. Bo ja się nie zgodziłam. Chciałam, żeby moje szczęśliwe prywatne życie nie łączyło się z koszmarem przeszłości. Może to jest dowód na moje szaleństwo, moja wiara w to, że można te dwie sfery rozdzielić, nie pozwolić osobie, którą byłam, zatruwać osoby, którą jestem... zwłaszcza teraz, gdy jestem postacią fikcyjną, która uciekła od uczuć, przeszłości i czynów.

„Należysz do mnie”. Tym razem to nie jest głos Marlowea. To głos Ofelii.

Rozdział 25

Stali na drodze bez względu na pogodę - żar lejący się z nieba, burze z piorunami, trzymając w ręku plakaty ze zdjęciami swoich córek, sióstr, matek i skandując:

„Morderca, morderca, morderca”. Najczęściej byli zorganizowani i nieagresywni.

Choć policja mogła nakazać grupie o nazwie Rodziny Ofiar Franka Gearyego rozejść się, nie czyniła tego. Ani mieszkańcy, ani stróże prawa w naszym nowym miasteczku nie okazywali Frankowi zbyt wiele współczucia.

Widziałam ich, kiedy szłam do szkoły, i często, kiedy wracałam do domu po południu. Wyglądało, że stali na zmianę, ta sama dziesiątka czy piętnastka, wymieniająca się na drodze przed naszym domem. Dwa razy widziałam Janet, jeszcze bardziej skurczoną i mizerną niż wtedy przed naszą przyczepą. Ból i gorycz zniszczyły ją, powoli ginęła w oczach. Zawsze, gdy ją widziałam, myślałam o jej córce unoszącej się w wodzie, tam gdzie porzucił ją Frank.

Wśród nich był mężczyzna, ojciec jednej z ofiar, który był tak chory z nienawiści, że zawsze kiedy widział Franka, wyglądał jakby włożył palec w gniazdko elektryczne. Ten zmęczony, ospały człowiek nagle sztywniał i czerwieniał z wściekłości.

Wrzeszczał i klął.

Tego poranka, kiedy podejrzałam, jak Frank wrzuca niezidentyfikowany pakunek do bagażnika samochodu, Gniewny Człowiek (tak go nazwałam w myśli) cisnął w nas kamieniem, zanim inni zdążyli go powstrzymać. Padł z jękiem w ramiona kobiety.

- Muszą wreszcie zapomnieć o przeszłości - rzekła matka zirytowana ich żalem i cierpieniem. Wiozła mnie do szkoły Marlowe

chciał się z nami przejechać. - Franka nawet z nami nie ma. Dlaczego rzuca w nas kamieniami?

- Pragnie zemsty - rzucił Marlowe z tyłu samochodu. Wymieniliśmy spojrzenia w lusterku wstecznym.

- Chce się zemścić na niewinnym człowieku - odparła.

Jeśli pamiętała, co mi powiedziała o Franku, o jego dziwnym zachowaniu, to nie pokazała tego po sobie. Nawet nie próbowałam jej powiedzieć, co widziałam poprzedniej nocy, i tak by nie uwierzyła, a nie chciałam, żeby się przed nim wygadała. Lęk był jak kamień w piersiach, tak ciężki, że ledwo mogłam się wyprostować. Przypomniałam ją sobie w zniszczonej sukni ślubnej, kiedy paradowała jak Kopciuszek na balu, myśląc, że nikt nie widzi wystrzępionych brzegów i dziur w koronce wypalonych papierosem. Oto historia jej życia.

Tego dnia w szkole lekcje wlokły się niemiłosiernie, nie uważałam i nie słyszałam, co nauczyciele do mnie mówią. Miałam uczucie, że wypadłam z normalnego biegu, że okoliczności, w których się znalazłam, tak bardzo odizolowały mnie od wszystkich, że straciłam możliwość komunikowania się ze światem. Może wtedy zaczął się proces „dysocjacji”, jak to się ładnie nazywa. Nic nie wydawało mi się rzeczywiste, wszystko znalazło się za mgłą. Zmiana we mnie musiała być widoczna. Ci, którzy mi dokuczali i śmiali się ze mnie z powodu Franka, trzymali się ode mnie z daleka.

Nauczyciel nauk społecznych poprosił mnie, żebym została po zajęciach i spytał o sytuację w domu. „Czy wszystko u ciebie w porządku? Nie znam cię tak dobrze, Ofelio, przyznaję, ale nie jesteś sobą”. Dzwonił do matki, powiedział mi, aby ją poinformować, że moje oceny są niepokojąco słabsze od wyników z poprzedniej szkoły, ale nie od-dzwoniła.

„Twoja nauczycielka angielskiego z poprzedniej szkoły pisała nam,

że jesteś bardzo zdolna, bardzo czytana jak na swój wiek. Nie widzimy tego, Ofelio. Jak możemy ci pomóc?". Wydawał się tak szczerze zatroskany, że nie miałam serca mu mówić, że nikomu kompletnie nie zależy ani na mnie, ani na moich stopniach.

To był kolejny moment, nad którym dłużej się zastanawiam, nauczyciel rzucił mi linę ratunkową i może gdybym ją złapała, sprawy nie potoczyłyby się tym śmiertelnym torem.

Ale już wtedy za bardzo się oddaliłam, wyalienowałam, żeby dostrzec możliwość ratunku. Tego popołudnia wysiadłam z autobusu i przeszłam przez ulicę, żeby się nie natknąć na demonstrantów. To prawda, że najczęściej zostawiali mnie w spokoju. Pewnie uważali mnie za ofiarę, co było prawdą, beznadziejnie obsadzoną w tym nędznym spektaklu, w którym oni też grali. Patrzyli na mnie z litością albo podejrzliwie, kiedy szłam bądź wracałam ze szkoły. Tamtego dnia obserwowała mnie Janet. Trzymała w ręku filiżankę z kawą, powoli unosząc ją do ust. Spojrzałam w bok i wtedy zobaczyłam obok niej Marlowe'a. Wydawał się jej szeptać coś do ucha. Szybko się odwróciłam i ze wzrokiem wbitym w ziemię przeszłam przez bramę, wybierając dłuższą drogę do domu.

Gray Powers rzadko się myli. To prawie niemożliwe, żeby z takim nazwiskiem mógł się pomylić na jakikolwiek temat. Mógłby wskakiwać do budek telefonicznych, nakładać na siebie strój Supermana i ratować wszystkich z opresji, co właściwie nie jest dalekie od tego, czym się zajmuje. Jednak pomylił się co do Harrisona. Uznał go za małomiasteczkowego glinę, skorumpowanego, niespecjalnie bystrego, chytrego.

Zawsze powtarza, że największym błędem, jaki można popełnić podczas walki, jest nie docenić przeciwnika. Ma rację.

Zmuszam się do czynności, chociaż ból rozsadza mi czaszkę od wydarzeń z poprzedniej nocy. Zgrywam się przed Victory, która pędzi

w moją stronę, kiedy widzi, że czekam na nią po szkole. Ściskam ją z całych sił, a ona wije się i, chichocząc, mówi:

- Mamusiu, zgnieciesz mnie.

W samochodzie opowiada mi o księżniczkach i zamkach, olbrzymach z kartonu, śmieciowym jedzeniu, wielkim łóżku w jej pokoju w apartamencie Vivian i Drew.

Słuchając jej, wyrzucam z pamięci Briggsa, mroczny cień na plaży, zamordowanego psychiatrę. Chcę być w pełni obecna, kiedy ona jest taka radosna. Ale nie mogę.

Jestem pewna, że to czuje, bo traci entuzjazm i przestaje szczebiotać. Pewnie w tym samym czasie, kiedy wiozłam ją do domu, Harrison zaczynał kojarzyć fakty, o co nie podejrzewał go Gray. Bo przecież coś łączyło Annie Fowler i Ofelię March.

To było jasne jak słońce, chodziło o Graya. Harrison natknął się na artykuły, szukając materiałów o Grayu Powersie, których ja również szukałam w Internecie, chcąc wypełnić czarne dziury w pamięci. Oczywiście odkrył masę rzeczy na temat jego kariery wojskowej,

na temat odznaczeń, jakie zdobył w Fokach, znalazł materiały o firmie Powers and Powers, o powstawaniu sprywatyzowanych firm militarnych. Przesuwając stronę po stronie, natknął się na stary artykuł z „Albuquerque Journal”. Nagłówek brzmiał: „Ofelia March, zakładniczka bądź współpracowniczka Gearyego, również zginęła”. Kiedy indziej może by tylko zerknął na artykuł, ale jego uwagę przykuło zdjęcie Ofelii, którą natychmiast rozpoznał.

Doznał olśnienia, jak na dłoni zobaczył moją brzydką przeszłość. Może tak działa na mnie zniknięcie (śmierć, morderstwo) mojego (urojonego) psychiatry, a może oddech Harrisona na moich plecach. Albo jest tak, w co zawsze wierzył mój psychiatra, że jestem silniejsza niż kiedykolwiek, gotowa zmierzyć się ze sprawami, które dawno temu pogrzebałam. Cokolwiek to znaczy, moje przebłyski pamięci i

majaki zaczynają się ze sobą łączyć. Luki się wypełniają.

To nie taki dramat, jak myślałam, ten powrót przeszłości. Sądziłam, że powali mnie na łopatki, stanę się bezradna, a wspomnienia zmiążdżą mnie jak konie, które rzuciły się do ucieczki. Ale to mi bardziej przypomina powtórkę czarno-białego horroru, który oglądałam jako dziecko. Obrazy wydają mi się znajome, ale są zbyt ziarniste i za bardzo odarte z mocy, żeby naprawdę przerazić.

Kiedy pierwszego wieczoru po powrocie Victory położyłam ją do łóżeczka, zaczynam sobie przypominać. Okrywam ją kołderką w kolorze błękitnego nieba i siedzę przy niej, dopóki nie zaśnie, patrzę, jak przy każdym oddechu jej klatka unosi się i opada. Wreszcie wstaję cicho i wymykam się z pokoju, a ona mówi zaspana:

„Chcę dzidziusia”. Claude leży na podłodze i kiedy podaję jej lalkę, już znów smacznie śpi. Wychodząc z pokoju, słyszę głos fanet i przeraźliwe dudnienie w uszach. W sypialni dają się porwać do miejsc, w których nie byłam od lat.

Widziałam, jak Marlowe wychodzi tamtej nocy z domu. Ze słuchawkami na uszach zniknął między drzewami. Franka jak zwykle nie było, matka siedziała sama, kompletnie zamroczona. „Czy nie zastanawia cię, dokąd on chodzi wieczorami? - pytał mnie Marlowe.

- Poluje”. Z łatwością wymknęłam się za nim. W ciemności widziałam jego postać poruszającą się w lesie. W powietrzu czułam ostrą, gryzącą woń jego papierosów.

Szedł tak szybko i tak długo, że bałam się, że go zgubię. Kiedy wreszcie przystanął, byłam bez tchu i lał się ze mnie pot. Łydki miałam podrapane, komary z zapalem żarły moje kostki i szyję.

Marlowe dotarł do strumyka, który przecinał teren, i przeprawił się na drugą stronę. Wśród drzew dostrzegłam przyczepę - stary zardzewiały grat, ustawiony na betonowych blokach - niewiele mniejszą od tej, w której mieszkałam z matką.

Otworzył drzwi, wszedł do środka. Zapalił światło. Czekałam w ciemnościach, nie wiedząc, czy iść za nim, czy wrócić do domu. Już miałam ruszyć w kierunku przyczepy, kiedy się pojawił. Podeszedł do strumyka, przykucnął, patrzył na wodę, jakby przyglądał się swojemu odbiciu. Zbliżyłam się do niego.

Najpierw myślałam, że rozśmieszył go fakt, że go śledziłam. Dopiero kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że płacze. Cały się trząsał. Nie wiedziałam, co robić.

Stałam i długo na niego patrzyłam, słuchając jego szlochu, pohukiwania sów nad naszymi głowami, kumkania żab.

- Marlowe - rzekłam wreszcie z czułością.

Kiedy nie podskoczył na dźwięk mojego głosu, pomyślałam, że mnie nie słyszy, że The Cure albo The Smiths wrzeszczą mu do uszu.

- Musimy uciekać - wyszeptał ze ściśniętym gardłem. - Znowu się zaczęło.

Widziałaś, wiem, że tak.

Miałam ogromną chęć odwrócić się na pięcie i uciec, mimo że przyszłam tu za nim.

Czy byłam tylko rybą na wędce, a on wędkarzem, który wyciąga mnie na brzeg, zbyt głupią i naiwną, żeby poczuć haczyk w gardle?

- Pomagałeś mu - odparłam. Był odwrócony do mnie plecami. - Kto to był?

Wstał i chwycił mnie za ramiona.

- Czy to, kurwa, ważne? - syknął. - Rozumiesz już?

I wtedy zobaczyłam, kim był, całą prawdę o nim. Dlatego nie mogę wybaczyć Ofelii.

Wiedziała.

- Jestem gotowa - odparłam.

Jego twarz znowu się zmieniła. Była tak biała jak cienki skrawek księżycy.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Byłam pewna.

Zaprowadził mnie do przyczepy. Była tam kuchnia i mała sypialnia. Bez łazienki.

Brakowało prądu i bieżącej wody. Światło było z baterii. Rozpoznałam pościel, garnki i naczynia ze starej przyczepy. Na stole leżały stosy książek i jego zeszytów.

- Co to za miejsce?

- Odkryłem je któreś nocy po naszym przyjeździe. Opuszczone, niszczące.

Próbowałem coś tu naprawić, czasami zostawałem dłużej. Jak się zgromadzi zapasy, można tu zostać na zawsze. Frank nic o tym nie wie. Nikt nie wie.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził do łóżka, wyłączając po drodze małe światełko. Leżeliśmy blisko siebie w ciemnościach. Już nie widziałam jego twarzy. Cieszyłam się, że ciemność była taka całkowita. Słyszałam tylko dźwięk jego głosu. Czułam ciepło jego ciała. Rozmawialiśmy o naszych planach. Straciłam poczucie rzeczywistości. To było jak sen.

Kiedy dochodzę do siebie, siedząc na skraju łóżka, mija właśnie godzina. Victory śpi po drugiej stronie korytarza. Jestem roztrzęsiona i bez sił. Nie wiem, czy chcę sobie przypomnieć to, co zapomniałam. Ale wiem, że wspomnienia teraz powrócą, nieproszone, umarli wstaną z martwych.

Rozdział 26

W muzyce fuga jest formą, w której różne głosy łączą się ze sobą, aby określić bądź rozwinąć jeden temat. Głosy mieszają się ze sobą i splatają, tony uzupełniają, tworząc wielowarstwową, ale spójną część kompozycji. W psychologii fuga oznacza stan dysocjacyjny, który charakteryzuje nagły odwrót od życia, ataki amnezji, brak wiedzy o własnej tożsamości, wielkie cierpienie, wynikające generalnie z dużej emocjonalnej albo fizycznej traumy. Nie mam żadnych uzdolnień muzycznych, ale tę drugą fugę znam nazbyt dobrze. Przynajmniej tak twierdzą inni.

Jednak moja ostatnia ucieczka przed życiem nie jest fugą. Być może po raz pierwszy wiem, kim jestem i co muszę zrobić. Świadomie uciekłam, żeby chronić córkę przed kobietą, którą byłam. Jeśli mi się nie uda, będzie jej lepiej beze mnie.

Strasznie rzuca statkiem, kurczowo trzymam się drabinki przy ścianie, próbując dojść do kabiny. Szaleje wiatr, a ja myślę o Daksie na łódce i zastanawiam się, jak sobie daje radę z wielką wodą i czy przeżyje, czy po mnie wróci. Mój żołądek się buntuje, staram się nie wymiotować, otwieram i zamykam drzwi i ponownie kucam w małej trójkątnej przestrzeni, jaka powstanie, kiedy otworzą się drzwi. Słucham wycia wiatru i huku wzburzonej wody.

Po chwili dochodzi do moich uszu szum dużego silnika i odgłosy kroków na pokładzie nad moją głową. Wyciągam broń zatkniętą za pasek spodni, pociesza mnie jej ciężar.

Ogarnia mnie wielka ulga, prawie euforia, jaką czuję, ilekroć mija migrena, cudowna lekkość, która nadchodzi po bólu.

Dobrze się czuję w skórze Ofelii, mogę stawić czoło sprawom, którym Annie nie sprostała. Wspomnienia powróciły; już wszystko

pamiętam. Nie jestem dumna, ale wreszcie jestem cała.

To Gray nazwał mnie Annie Fowler. Ktoś z jego firmy wyrobił mi potrzebne dokumenty, prawo jazdy, paszport, legitymację ubezpieczeniową, żebym mogła funkcjonować w świecie jako ktoś inny. Jako Annie byłam taka, jaką zawsze chciałam być, gdy byłam Ofelią. Zamieszkałam jako żona i matka w wielkim domu z pięknym dzieckiem i mężem, który mnie ubóstwiał, i stałam się kimś zupełnie innym niż moja matka. Przeszłość Annie nie była skażona wstydem i żalem, nie prześladowały ją czyny, które popełniła, które wobec niej popełniono. Stałam się Annie, bogatą i rozpieszczoną, polegającą na sile Graya, wspierającą się na Victory, żeby mi dała cel istnienia. Jak wszyscy w życiu Ofelii ja też ją porzuciłam, pozwoliłam zginąć w ognistych płomieniach.

Kroki się zbliżają i jestem wdzięczna Ofelii, że powróciła. Ma wiele cech, których brakuje Annie. Ofelia jest wybuchowa, Annie spokojna. Wpada w furję, kiedy Annie paraliżuje strach. I w przeciwieństwie do Annie, kochającej żony i czulej matki, księżniczki bogatych przedmieść, Ofelia jest zimną, wyrachowaną morderczynią.

Ktoś kopie butem w drzwi, na pokładzie jest więcej ludzi, przeszukują po kolei kabiny. Nie wiem, ilu ich jest ani do ilu zajrzą kabin, zanim wejdą do mnie. Ale jestem gotowa. Kiedy kopnięciem otworzą drzwi i wpadną do środka, czekam, aż drzwi się za nimi zatrzaskają, zanim zacznę strzelać. Jest ich dwóch, obaj mają na sobie paramilitarny strój, ubiór, maski, kamizelki, wojskowe buty. Jednego trafiam w ramię, wydaje z siebie okropny krzyk. Drugi dostaje serię w kamizelkę i jęcząc, ciężko opada na ścianę. Wypadam z kabiny, ale w korytarzu natykam się na kolejnych dwóch.

Natychmiast mnie rozbierają, krępują ręce, narzucają na głowę kaptur. Wszystko dzieje się strasznie szybko, zapada ciemność, zanim się orientuję, czym zostałam uderzona. Słyszę tępy odgłos, widzę

błysk czegoś białego. Zanim stracę przytomność, mam czas się zastanowić, czy w tym zajściu jest coś więcej, niż mi się zdaje. Widzę twarz córki, a potem już nic.

To nic trudnego pozbawić kogoś życia. W każdym razie nie jest to takie trudne, jak się wydaje. Są tacy, którzy by powiedzieli, że postradałam zmysły, odciąłam się od rzeczywistości, od siebie samej właśnie tamtej nocy, kiedy dokonałam tego odkrycia.

Ale wcale nie jestem pewna. W moich wspomnieniach jestem chętna, gotowa. Oczywiście, ja tylko otworzyłam bramę. Jednak wystarczyło, prawda?

Nie pamiętam, żebym cokolwiek czuła, w niecały tydzień po tamtej nocy, którą spędziliśmy w lesie, kiedy szłam otworzyć bramę. Właściwie można powiedzieć, że lunatykowałam.

Marlowe kazał mi poczekać, aż dom ucichnie, i otworzyć bramę przed północą. Nie bałam się ani drogi, ani zadania, które miałam wykonać. I kiedy otworzyłam bramę na oścież, na nic nie czekałam, zanim poszłam do stajni, gdzie mieliśmy się spotkać.

Nie byłam podniecona ani przerażona, byłam pusta w środku. Nawet kiedy przejechał obok mnie czarny sedan na wyłączonych światłach, wolny i śmiercionośny jak rekin, patrzyłam na niego obojętnie.

Wszystkie światła zgasły, w domu i na zewnątrz, ciężka cisza opatulila noc, odgłosy moich kroków też były miękkie. Konie znowu niespokojnie wierciły się w stajni.

Słyszałam, jak się kręcą, jak parskają. Marlowe zapadł się pod ziemię. Rozpoznałam czarnego sedana lincolna, należał do jednego z demonstrantów i stał zaparkowany obok stodoły, słyszałam trzaski stygnącego silnika.

Nagle ocknęłam się i wróciłam do rzeczywistości, chyba z powodu tego dźwięku. Jakbym się nagle przebudziła. I wtedy zobaczyłam w

oknach migoczące pomarańczowe światło, choć chwilę wcześniej było w nich ciemno. Powietrze wypełniła woń spalonego drewna. Rzuciłam się w kierunku domu, moje nogi były nieznośnie wolne i ciężkie, a dom wydawał się nieprawdopodobnie daleko. Kiedy wpadłam do środka, powietrze było gęste od dymu.

- Mamo! - krzyczałam, biegnąc po schodach i trzymając się balustrady. Ramieniem zakryłam usta i nos, ale dym podstępnie parzył mi oczy, chwycił pazurami za gardło, kiedy dotarłam na górę kompletnie zamroczona, zanosząc się od kaszlu.

Matka leżała w łóżku, nieprzytomna, nieświadoma, że wokół szaleje pożar. Nie wiem, czy myślałam o tym, co się z nią stanie, ale nie mogłam jej zostawić na pewną śmierć.

Potrząsałam nią, lecz nie mogłam jej obudzić. Wreszcie zaczęłam ją ciągnąć, aż wypadła z łóżka, opierając się całym ciężarem na mnie.

- Co się dzieje? - wymamrotała.

- Pali się! - krzyknęłam, z trudem wlokąc ją w stronę drzwi. -Gdzie Frank?

Jakby mnie nie słyszała.

- Ofelio - bełkotała - daj mi spać.

Zaciągnęłam ją na korytarz, gdzie ujrzałam w kłębach dymu dwie osoby na schodach, jedną wysoką i szczupłą, drugą o wiele niższą, z pistoletem w dłoni.

Wyższy Frank był w połowie schodów, pewnie szedł po matkę. Gdzie był wcześniej, nie mam pojęcia. Przystanął i odwrócił się, żeby zobaczyć, kto za nim idzie. Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam ją. Janet Parker miała szalony wyraz twarzy, była zrozpaczona i smutna, niewyobrażalnie smutna. Wszystko jej jedno, co z nią będzie, pomyślałam. Była sztywna, jakby wszystkie jej mięśnie czyniły wysiłek, żeby pomóc jej utrzymać pistolet w dłoni.

- Pani się myli - powiedział łagodnie Frank.

Podniósł rękę, jakby chciał odbić od siebie kulę. Nagle nas zauważył.

Ta scena otrzeźwiła nieco moją matkę.

- Co się tu dzieje? - zapytała otumaniona i kompletnie oszołomiona.

- Frank, co tu się dzieje?

- Pozwól mojej żonie i jej córce opuścić dom - poprosił Frank Janet.

- Nie są niczemu winne.

Usłyszałam huk i szkło roztrzaskujące się w drobny mak. Mama krzyknęła.

- Pozwól im wyjść - powtórzył. - To nie jest ich sprawa. Janet pokiwała głową, prawie nas nie widząc, a ja chwyciłam matkę za ramię i pociągnęłam ją w kierunku schodów.

- Co ty robisz? - krzyknęła matka, gdy mijaliśmy Franka na schodach. Kiedy rzuciła się do niego, objął ją, a następnie odepchnął od siebie.

- Idźcie już - rozkazał.

Wtedy zrozumiałam, że naprawdę się kochają i to mną wstrząsnęło. Uważałam ich za chorych, poranionych ludzi, którzy stworzyli nienormalny związek. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że żywili dla siebie uczucia, że się o siebie troszczyli.

- Poczulałam spokój, kiedy pomyślałam, że będziesz się smażył w piekle za swoje czyny - krzyknęła Janet, kiedy zeszyliśmy na dół. Prawie to samo powiedziała, gdy przyszła do naszej przyczepy.

- Nie zabiłem pani dziecka. Nigdy nikogo nie zabiłem. Przysięgam.

Mówił tak szczerze, że prawie mu uwierzyłam.

- Frank - krzyknęła matka, kiedy odciągnęłam ją z domu, jak mogłam najdalej.

Widziałam płomienie wydobywające się przez dach, patrzyłyśmy, jak okno wypada z sypialni, szkło sypie się na ziemię. Nie wierzyłam własnym oczom. Dom stanął w płomieniach. Gdzie się podział

Marlowe?

Wtedy matka wyrwała mi się i pobiegła z powrotem. Rzuciłam się za nią, ale wpadła do domu przez główne drzwi, zanim ją chwyciłam. Usłyszałam jej krzyk i kiedy do niej dobiegłam, zobaczyłam, jak śmiertelny strzał Janet rozrywa Franka. Okręcił się, zatrzymał w półobrocie, jakby się zdecydował od niej odejść, ale zmienił zdanie. Po czym gruchnął na schody i zjechał po nich bezwładnie.

Spojrzałam na Janet i po raz pierwszy zobaczyłam, jak się uśmiecha. Następnie skierowała lufę w swoją stronę, wsadziła sobie do ust pistolet i nacisnęła spust.

Ujrzałam okropną plamę czerwieni.

Matka wyła, kiedy odciągałam ją od ciała Franka. Gdy opuszczaliśmy dom, dwa górne okna wypadły z framug. Matka rzuciła się ze szlochom na ziemię, podczas gdy wszystko wokół płonęło. Stałam obok niej, nie mogąc oderwać wzroku od tego widoku. Wydawało mi się, że świat stracił dźwięk, ziemia zapadła się pod moimi stopami, a ja wiruję. Żal i strach złamały mnie na pół. „Co myśmy zrobili? Mój Boże, co myśmy zrobili?”. Ten widok coś we mnie zmienił, tak jak czerwona skarpetka zmienia kolor białych rzeczy w praniu.

Wszystko w moim świecie zmieniło barwę.

Zobaczyłam go obok szopy, jego cień w ciemnościach, prześwietlony pomarańczowymi płomieniami. Śmiał się, a może płakał. Nie wiem, nie widziałam jego twarzy. To było dla niego typowe, zawsze krył swoją twarz. Podeszłam do niego, jakby mnie zawołał.

Obsadził nas w rolach i wyreżyserował spektakl, a myśmy bezbłędnie w nim zagrali. Miał talent. Usiadłam w lincolnie na miejscu dla pasażera i patrzyłam, jak siada za kierownicą. Włożył kluczyk do stacyjki, zerknął na mnie i bez słowa ruszył ciemną drogą.

Matka nawet nie podniosła głowy z ziemi. Nie zauważyła, że odjechałam.

- Dobrze się czujesz? - Gray staje w progu.

Siedzę w ciemności na skraju łóżka i gapię się na ścianę, jakby była ekranem, na którym pojawiają się moje wspomnienia.

- Tak - odpowiadam. - Jestem tylko zmęczona.

Nie chcę się z nim dzielić wspomnieniami, nie wiem dlaczego.

- Posłuchaj - mówi. - Dowiemy się, o co chodzi i rozwiążemy problem.

- Co zamierzasz?

- Pogadam z Harrisonem, dowiem się, czego od nas chce, i dam mu to.

Siada przy mnie i bierze moje dłonie w swoje ręce. Zaskoczył mnie. To nie w jego stylu być tak zdesperowanym. „Zawsze działaj z pozycji siły” - tak brzmi jego motto, odkąd go znam. Teraz wygląda, jakby wymachiwał białą flagą.

- Nie wiadomo, kto odwiedził twojego ojca, kto był na plaży, co się przytrafiło twojemu psychiatrze. Może się nie mylisz, może to jest część tego samego problemu.

Nie wiem. Ale Harrison stanowi zagrożenie i z tym sobie poradzimy. Spłacimy go i zniknie. Kto wie? Może wtedy wszystko inne zniknie wraz z nim?

Czuję promyk nadziei, że może wystarczy wypisać czek. Wrócę do roli Annie Powers, a Ofelia zniknie w ciemnościach, tam gdzie jej miejsce. Może to naprawdę jest proste.

- Dobrze - odpowiadam.

- Niedługo wrócę.

Całuje mnie delikatnie w usta. Przyciągam go do siebie i mocno ściskam. Zostawia mnie, słyszę, jak schodzi po schodach, widzę, jak odjeżdża. Szybko wstaję i sięgam po kluczyki.

- Wychodzę na chwilę - mówię do Esperanzy, mijając pokój gościnny w drodze do garażu. - Gray też wyszedł.

- Już późno - odpowiada.

- Niedługo wrócę. Victory już śpi.

Nie czekam na odpowiedź. Na końcu ulicy widzę tylne światła samochodu Graya, skręca w lewo. Jadę za nim. Sama nie wiem dlaczego.

Rozdział 27

- Prawie nie było go w domu - opowiadał mi Gray o swoim ojcu. - A kiedy był, zapadała złowroga cisza. Gapił się ponuro w telewizor albo złościł na matkę za to, że kupiła nie to, co trzeba albo coś zrobiła w domu pod jego nieobecność. Krążyłem wokół, łaszac się do niego, a jednocześnie się go bojąc. Od czasu do czasu klepał mnie po plecach, bawił się ze mną w berka albo budował ze mną domek na drzewie, coś, co synowie i ojcowie robią razem. Ale zawsze coś szwankowało. Kończyliśmy zabawę z poczuciem, że coś się nie udało, coś, co trudno nazwać. Nie umieliśmy się porozumieć.

Nigdy.

Tak Gray spędzał ze mną czas, snując swoją opowieść, nawet jeśli myślał, że go nie słucham albo że mnie to nie obchodzi. Siedział przy mnie w szpitalu psychiatrycznym w New Jersey, dokąd mnie zawiózł i zarejestrował pod nazwiskiem Annie Fowler, i opowiadał. Patrzyłam prosto przed siebie, bez żadnej reakcji. Nie byłam w stanie katatonicznym, ale straciłam chęć do życia. Nie odzywałam się, prawie w ogóle nie jadłam, tylko gapiłam się przez okno na liście spadające z drzew, na przepływające chmury. Nie wiedziałam, po co mi to wszystko opowiada, ten zupełnie obcy mi człowiek.

Czego chce? Dlaczego po prostu nie zostawi mnie w spokoju?

- Matka była ciągle cholernie smutna. Cierpiała na depresję kliniczną, teraz to wiem, ale nie miała od nas żadnego wsparcia, nawet nie wiedziała, że wymaga leczenia.

Nigdy do siebie nie doszła po stracie córki, mojej siostry, której nie poznałem. Myślę, że ojciec też się nie pozbierał. Może tak się dzieje dzieciom rodziców, którzy stracili dziecko. Brakuje dla nich miejsca.

Godzinami opowiadał, jakby przez całe życie dusił w sobie te

opowieści, czekając na ciszę, w której mógł bezpiecznie uwolnić słowa. Może w pewnym sensie byłem jego bezpiecznym schronieniem, kimś, kto nie miał moralnego prawa oceniać go za grzechy i utratę wiary.

- Po szkole średniej wstąpiłem do marynarki. Wszyscy się cieszyli, byli ze mnie dumni.

A ja tylko chciałem od nich uciec. Wydawało mi się, że to miało sens. Tak zrobił mój ojciec. Nie miałem pojęcia, czego tak naprawdę chciałem. Może jestem bardziej podobny do matki. Nie byłem przygotowany na to, co miało mi się przydarzyć.

Łapałam się na tym, że go słucham, chociaż go nienawidziłam. Był prawie dwumetrowym mięśniakiem, twardzielem pokrytym bliznami, o ponurym spojrzeniu.

Wydawał mi się brzydki, miał surowy wzrok i ostro zaciśnięte usta. Czułam od niego zapach mydła Ivory, czasami alkohol. Nie mogłam się zdecydować, czy jest moim wybawcą, czy mnie zniszczył. Zabił Marlowe'a, pierwszą osobę, którą pokochałam.

Uratował mnie przed zabójcą, przywiózł do szpitala i został ze mną, codziennie przychodził, przynosił książki i czasopisma, słodczyce i podarunki, które układałam nietknięte na stosie w szafce obok łazienki.

Opowiadał mi, jak kilka lat wcześniej po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej został z honorami zwolniony z Fok... Był wściekły, rozczarowany wojskiem i rządem. Złościł się na ojca, że go skierował tam, gdzie nie wiedział, czy chce iść, był zły na siebie, że nie wie, jak żyć. Przeniósł się z Nowego Jorku na Florydę, dużo pił, od czasu do czasu dorabiając jako prywatny detektyw.

- Zrobiłem wiele ohydnych rzeczy - mówił mi. - Wydawały się bez znaczenia ani celu.

Nic dobrego nie przyniosły, przynajmniej ja nic takiego nie

dostrzegłem. Dlatego zachorowałem. Nie wiedziałem, co mam robić ze swoim życiem, jak długo jeszcze uniosę ten ciężar. Współdziałałam z nim, kiedy zarejestrował mnie w szpitalu, podając fałszywe nazwisko, bo wiedziałam, że nie mam innego wyjścia. Albo to, albo więzienie.

Prawda była taka, że nie miałam gdzie się podziać. Wiedziałam, że rodzice mi nie pomogą. Ponadto chciałam się pozbyć Ofelii i tego, co zrobiła, przynajmniej tego, co zapamiętałam. Pod tym względem Gray i ja byliśmy do siebie podobni, pogodziliśmy się z czynami z przeszłości, które wtedy wydawały się słuszne, ale pod ostrym oglądem rzeczywistości okazały się błędne.

- Kiedy cię znalazłem, pomyślałem, że może dzięki tobie zło zamieni się w dobro - rzekł pewnej nocy po miesiącu mojego pobytu w szpitalu. - Pomyślałem sobie, że jeśli zdołam ci pomóc, może nada to sens wszystkiemu innemu.

- Bzdura - odparłam. Nie zamierzałam stać się odkupieniem jego win. Nie chciałam za niego czegokolwiek naprawiać. - Nie ma tak. Życie to nie arkusz kalkulacyjny.

- Nie? - Wyprostował się na krześle, na którym siedział zgarbiony. - To jak ruszyć do przodu po popełnionych błędach?

- Nie da się. - Spojrzałam na niego po raz pierwszy. Odchylił do tyłu głowę i roześmiał się ponuro.

- Mamy cierpieć z żalu, aż umrzemy?

- Może tylko na to zasługujemy. - Odwróciłam się od niego. Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Mam nadzieję, że się mylisz.

Trzymam się na tyle daleko jego samochodu, żeby mnie nie zobaczył, ale na tyle blisko, żeby go nie zgubić. To nie jest takie proste, jakby się wydawało. Tacy ludzie jak Gray instynktownie wiedzą, że ktoś im siedzi na ogonie. Pewnie dlatego, że to oni

najczęściej kogoś śledzą. Swój swego pozna. Jeżeli zauważy mój samochód w lusterku, od razu się domyśli, że to ja. Nie wiem, jak się wytłumaczę, tym bardziej że nie wiem, co ja tu w ogóle robię.

Jedzie z dużą prędkością, przecina brukowaną ścieżkę i wjeżdża na autostradę. Nie zatrzymuje się przy posterunku. Kieruje się do miasta, co wydaje mi się dziwne. Nie pomyślałam, żeby go zapytać, skąd zna adres Harrisona. Ma swoje sPosoby.

- Kiedyś bywałem w barze o nazwie Downtown Beirut, w East Village. Znasz to miejsce? - spytał mnie raz w szpitalu.

Nasze stosunki już były lepsze, ale mu nie odpowiedziałam. Prawie nigdy mu nie odpowiadałam. Chyba mu to nie przeszkadzało. Wiedział, że go słucham.

- Straszna nora, paskudna dziura, ohyda. Zalewałem robaka. Siadałem w kącie i piłem tak, że ledwo mogłem wrócić do swojego mieszkania przy Pierwszej Alei. Nie piłem tak co wieczór, tylko wtedy, kiedy nie mogłem zasnąć, kiedy sobie nie radziłem. Matka zmarła po tym, jak mnie zwolnili, zawał, miałem o to żal do ojca. Prawie o wszystko miałem do niego żal. Czasami moja złość była jak fizyczny ból w piersiach. Czulaś się tak kiedyś?

Tak się składa, że czułam się tak przez prawie całe swoje życie. Jednak nie powiedziałam mu tego. Tego wieczoru przyniósł mi kwiaty, chyba stokrotki, oraz paczki w pudełku. Leżały nietknięte na stoliku.

- W każdym razie siedziałem tak któregoś wieczoru, ostro pijąc, gdy przysiadł się do mnie zmęczony życiem człowiek, podstarzały motocyklista z wągrami na twarzy i z szopą długich siwych włosów.

Kiedy poruszył się na krześle, usłyszałam, jak mu trzeszczą stawy.

- Powiedziałem mu, że nie szukam towarzystwa. Odrzekł, że on też nie. Szukał córki.

Nasz wspólny znajomy polecił mu mnie, powiedział, że mogę

pomóc. Spojrzałam na niego. Siedział na tym samym krześle, na którym przesiedział wiele nocy w ostatnim miesiącu. Nogi założył na parapet, głowę odchylił do tyłu, wyglądał, jakby mówił do sufitu. Ubrany był w dżinsy, czarny sweter i wojskowe buty. W nogach łóżka leżała marynarka ze starego dżinsu. Na szyi miał dużą bliznę, jego kwadratowe dłonie wydawały się twarde jak skała.

Tamtej nocy miałam wrażenie, że widzę go pierwszy raz w życiu. Za oknem padał śnieg, grube płatki mieniły się w świetle ulicznych lamp i stukały w okno jak zmarznięte palce. Zobaczyłam mocny zarys jego szczęki, pełne czerwone usta, umięśnione ramiona i zwinne dłonie. Odwrócił wzrok od sufitu i utkwiał we mnie chłodne szare oczy.

Poraziła mnie ich jasność, jego niesamowite spojrzenie.

Wiedział, że go pilnie słucham, że skupiałam na nim całą swoją uwagę, i ciągnął:

- Starszy człowiek rzekł: „Zawiodłem moją córkę na wszelkie możliwe sposoby, we wszystkim. Zostawiłem ją wilkom na pożarcie. Jeżeli teraz ją zawiodę, to już nic w moim życiu nie będzie miało znaczenia. Jeśli masz czas i szukasz roboty, to ja mam trochę pieniędzy. Kumpel mi powiedział, że masz talent do znajdowania ludzi, którzy nie chcą zostać odnalezieni”.

- Ojciec? - Nie mogłam uwierzyć. Gray skinął głową.

- Miałem czas i szukałem roboty. Prosił mnie, żebym rozprawił się z Marlowe'em Gearym i zajął się tobą, cokolwiek to miało znaczyć.

- Zapłacił ci?

- Na początku, ale potem się zaprzyjaźniliśmy. To stało się dla mnie więcej niż robotą.

- Wiem. Chciałeś odpokutować za swoje grzechy. Wzruszył ramionami.

- Po części. Tak.

Widzę, że zjeżdża z autostrady i skręca w kierunku slumsów, które

otaczają miasto. Jadę za nim dzielnicą z przestrzelonymi na wylot latarniami, gdzie zwaliste mięśniaki wystają w wejściach do domów i tłoczą się na rogach ulic. W domach panuje ciemność, z wyjątkiem błękitnej poświaty ekranów telewizyjnych migoczących w oknach. Jestem o jedną przecznicę z tyłu za nim, bardziej prowadzi mnie instynkt niż jego samochód. Dokąd jedzie? Harrison na pewno tutaj nie mieszka.

Dzielnica domków przechodzi w dzielnicę przemysłową, gdzie za zamkniętymi bramami mieszczą się magazyny. Nad nami przebiega autostrada. Widzę, że jedzie w kierunku tunelu. Zatrzymuję samochód i wyglądam zza zarośli na pustym parkingu, on także się zatrzymuje. Oboje czekamy w samochodach.

Dzwoni komórka. Wyświetla mi się Harrison. Jego nazwisko migocze na ekranie, zastanawiam się, dlaczego do mnie dzwoni, jeśli umówił się z Grayem. Nie odbieram. Po chwili słyszę sygnał, co oznacza, że zostawił wiadomość. Nie spuszczać wzroku z samochodu Graya, który stoi na jałowym biegu, częściowo ukryty w ciemności, odsłuchuję wiadomość.

- Zastanów się - słyszę głos detektywa - czy naprawdę znasz swojego męża?

Siedząc w ciemności, widzę nieoznakowaną białą furgonetkę, która zatrzymuje się obok samochodu Graya i myślę, że to dobre pytanie.

W szpitalu spędziłam ponad dwa miesiące, po czym z powodów, o których mi nie powiedziano, zostałam wypisana. Jeśli lekarze, którzy mnie leczyli, wiedzieli, kim jestem lub zdawali sobie sprawę z tego, że jestem poszukiwana w trzech stanach, to nie puścili pary z ust. Dopiero o wiele później dowiedziałam się, że znalazłam się tam dzięki Drew.

Jego znajomy był właścicielem tego szpitala.

Tego popołudnia, kiedy Gray mnie stamtąd zabrał, nie potrafiłam

sobie przypomnieć większości faktów. Bardzo mgliście pamiętałam noc, gdy opuściliśmy z Marlowe'em farmę, jako serię niepowiązanych ze sobą migawek. Przypominam sobie, że pojechaliśmy do ojca, licząc na to, że nam pomoże. Wszystko, co nastąpiło potem, było czarną dziurą, przez którą nie potrafiłam się przebić. Zdaniem lekarzy przeżyłam stan fugi, nie mieli innego pomysłu, jak nazwać mój stan, spowodowany przedłużoną traumą koszmarnego dzieciństwa i zabójstwem ojczyrna. Powiedzieli mi, że tamtej nocy, kiedy wsiadłam z Marlowe'em do czarnego sedana, zostawiłam siebie na ranczu. Ofelia przestała istnieć, nowa dziewczyna zajęła jej miejsce.

Więc kim jestem teraz? Pamiętam, że myślałam o tym, gdy z Grayem, który przewiesił przez ramię torbę z rzeczami, które dla mnie kupił, wychodziliśmy ze sklepu na zimny parking. Czy jestem Annie Fowler, czy Ofelią March, czy zupełnie kimś innym? Gdzieś przepadło dwa i pół roku mojego życia.

Wsiadłam do czarnej terenówki i objęłam się rękoma, chcąc się ogrzać. Trzęsłam się z zimna i ze strachu. W dniu, kiedy opuściłam ranczo Franka Gearyego, miałam siedemnaście, może osiemnaście lat. Trzy miesiące po wyjściu ze szpitala z Grayem miałam skończyć dwadzieścia jeden.

Gray włączył ogrzewanie w samochodzie i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Byłam wystraszona. Nie wiedziałam, kim jestem i co mam ze sobą zrobić. Nic nie mówiłam. Nie chciałam okazać słabości.

- Znam pewną kobietę, znajomą ojca - powiedział po chwili. - Pojedźmy do niej, pomoże ci stanąć na nogi, zgadzasz się?

- Gdzie mieszka?

- Na Florydzie.

Patrzył prosto przed siebie, nie na mnie. Widziałam, jak drgnął mięsień w jego szczęce. Zesztywniałam. Pomyślałam, że tak się ze

mną żegna. Uratował mnie, już mnie nie potrzebował, żeby się lepiej poczuć. Z czasem, gdy mnie odwiedzał, przestałam go nienawidzić, a zaczęłam go postrzegać takim, jakim był, pierwszym dobrym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. I teraz pomyślałam, że go tracę.

Kilka tygodni wcześniej Gray dał mi list od mojego ojca. To miało być nasz ostatni kontakt na długi czas. Ofelia nie żyła; miało nie być telefonów ani wizyt, innymi słowy miało nie być inaczej niż wtedy, kiedy żyła. Według słów ojca Gray szukał mnie i Marlowe'a przez dwa lata, poświęcił swoje życie, żeby mnie odnaleźć.

- Będzie ci miał dużo do powiedzenia o tamtym czasie -napisał. - Ale przypadek sprawił, że się w tobie zakochał, Opie. Postaraj się go nie skrzywdzić.

Kiedy tak siedzieliśmy w samochodzie, miałam nadzieję, że ojciec mówił prawdę. Chociaż nie przychodził mi do głowy ani jeden sensowny powód, dla którego Gray miałby mnie pokochać. Byłam kompletnie zagubiona, nie miałam nic do zaoferowania.

- A ty dokąd pojedziesz? - W skupieniu oglądałam swoje paznokcie, czekając na odpowiedź.

- Razem z tobą - odparł szybko, patrząc przed siebie i trzymając się kurczowo kierownicy, po czym dodał łagodnie: - Jeśli zechcesz.

Poczułam ogromną ulgę. Kiedy podniosłam głowę, napotkałam jego wzrok.

- Czy to był uśmiech? - Ucieszył się.

- Może. - Uśmiechnęłam się szeroko. Poczułam ból, tak dawno się nie uśmiechałam.

- Nigdy cię nie widziałem uśmiechniętej.

Dotknął dłonią mojego policzka. Jego dotyk był zadziwiająco delikatny. Położyłam moją dłoń na jego i tak siedzieliśmy przez chwilę. W tamtej chwili stał się najpiękniejszym mężczyzną, jakiego

kiedykolwiek widziałam.

- Co będziesz robić? - zapytałam.

- Ojciec ma firmę, która robi trochę dobra dla świata. Mogę u niego pracować.

Nie potrafiłam ukryć zdumienia.

- Przecież się nie dogadujecie ze sobą.

W zamyśleniu skinął powoli głową. Widziałam, że nad tym myślał.

- Sporo razem przeszliśmy, pewnie zawsze będą między nami nieporozumienia, ale pracujemy nad tym. Stara się dla mnie i dla ciebie.

W radiu David Bowie i Bing Crosby śpiewali kolędę o małym doboszu.

- Wydaje mi się teraz ważne, żeby zostawić za sobą złość - rzekł nagle. Pochylił się w moją stronę. - Coś stworzyć, dom dla ciebie, dla nas. Chcę powiedzieć, że mam na karku czterdziestkę, a nawet nie dorobiłem się kanapy.

Pocałował mnie, a jego ciepło i miłość podziałały na mnie jak balsam. To rzeczywiście wydawało się ważne, istotne, żeby znaleźć bezpieczne miejsce na świecie.

- Muszę ci coś wyznać.

- Co takiego? - spytał, odgarniając kosmyk włosów, który wszedł mi do oczu.

- Chyba jestem w ciąży.

To mogła być bomba, ale wylądowała dziwnie miękko dla mnie i dla niego. Nie unikał mojego wzroku. Nie wiedziałam, co czuje. Jego szare oczy nigdy nie wyjawiały niczego, czego on nie chciał wyjawiać.

Za oknem widziałam stojące na parkingu brudne samochody, pokryte solą i śniegiem. Pomyślałam, że mnie znienawidzi za to, że kochałam Marlowe'a, że mimo tego, kim był i co mi zrobił, nosiłam jego dziecko.

- Byłam tylko z nim - powiedziałam. Nienawidziłam siebie za to, że głos mi się łamał, a łzy lały się z oczu jak woda ze studni. Zamknęłam oczy w ciszy, która nastąpiła, policzki płonęły mi ze wstydu. I wtedy położył mi dłoń na ramieniu. Kiedy się odwróciłam w jego stronę, pochylił się i znowu mnie pocałował. Wyciągnęłam do niego rękę i chwyciłam się go kurczowo. Utonęłabym, gdyby nie on.

- Chcę się tobą zaopiekować - powiedział. To zabrzmiało jak błaganie, jakby odmawiał modlitwę. Skinęłam głową, kryjąc ją na jego ramieniu. Zabrakło mi słów.

Odsunął się i włączył silnik. Wydawał się przez chwilę zmieszany, jakby krępowała go zmiana w naszych emocjach.

- Nie zrezygnuję z niej - powiedziałam, obejmując się rękoma. Nie wiedziałam, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, ale nie znosiłam mówić ono.

Zesztywniał.

- Nigdy bym ci tego nie sugerował. Nigdy - prawie wyszeptał. Odwrócił się od kierownicy i chwycił mnie za ramiona. - Posłuchaj - powiedział tak namiętnie, że aż zaszlochałam. - Zaopiekuję się tobą.

Do tej pory był tak zrównoważony, tak pewny siebie, że z trudem rozpoznałam mężczyznę, który siedział obok mnie. Może on też tonął.

- Stworzę dom dla ciebie i dziecka. - Spojrzał na mój brzuch. - Cokolwiek to będzie oznaczać. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Po dwóch dniach jazdy dotarliśmy wreszcie do domu Vi-vian na plaży. Zamieszkałyśmy we dwie. Gray wynajął w pobliżu apartament dla siebie. Chciał mi dać czas, żebym poznała siebie i jego.

- Będziemy się spotykać - powiedział mi - jak normalni ludzie.

Vivian przyjęła mnie do swojego domu i potraktowała jak córkę. Gotowała mi i siedziała długo w nocy, słuchając moich opowieści. Jeszcze nikt nie był dla mnie tak dobry jak ona. Po zdaniu egzaminów zaczęłam chodzić do lokalnego collegeu. Mój brzuch stawał się coraz

wiekszy. Gray i ja umawialiśmy się na randki. To był najszczęśliwszy okres w moim życiu.

Sądzę, że wiele kobiet pomyślałoby w mojej sytuacji o aborcji. Jednak nie przyszło mi to do głowy. Ani razu nie pomyślałam, że Victory jest córką Marlowe'a. Zawsze była moja i tylko moja.

Patrzę, jak Gray wysiada z samochodu z czarnym marynarskim workiem. Kładzie go na ziemi i opiera się o samochód. Czuję, jakbym utraciła każdy gram wilgoci w moim ciele. Z białej furgonetki wysiada zwalisty mężczyzna i wolnym krokiem idzie w jego stronę. Jego długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy łopocze na wietrze.

Olbrzymia głowa jest zawieszona nad szerokimi ramionami. Jest mniej więcej rozmiarów lodówki. Podają sobie ręce na powitanie, krótko. Nawet w ciemności i z oddali go rozpoznaję.

To Simon Briggs, który pytał mojego ojca o Ofelię. Mówią coś do siebie. Widzę, że Gray zaprzecza ruchem głowy. Briggs podnosi rękę. Wnioskuje z postawy Graya, że nie jest zadowolony. Wreszcie podaje mu torbę. Mówią jeszcze coś do siebie. Briggs odwraca się i wraca do furgonetki.

Kiedy Briggs chwyta za klamkę, żeby otworzyć drzwi, widzę, jak Gray wyjmuje z kieszeni pistolet. Łapię powietrze i szybko oddycham, chwytam za kierownicę. Pada jeden głuchy strzał i głowa Briggsa eksploduje, zamieniając się w czerwoną chmurę.

Briggs osuwa się na ziemię. Gray podchodzi do ciała, jeszcze raz strzela, bierze worek, ze spokojem wraca do samochodu i wsiada. Samochód budzi się z pomrukiem do życia i Gray odjeżdża bez pośpiechu, jakby właśnie kupił mleko w kartonie w nocnym sklepie i wracał do domu.

Siedzę jeszcze przez minutę, dochodząc do siebie po tym, co ujrzałam. Zastanawiam się, z jakich powodów Gray zastrzelił Briggsa pod tunelem i tylko jeden wydaje mi się sensowny; zdecydował się na

spotkanie z nim, żeby dać mu pieniądze, ale potem uznał, że lepszy będzie martwy niż bogaty. Nie powiedziała mi, że chce go zabić, nie chciałyby mnie tym obciążać. Czuję ulgę, ale coś mnie niepokoi. Zastanawia mnie ten uścisk dłoni. Ile tak naprawdę wiesz o swoim mężu?

Gray i ja wzięliśmy ślub, zanim Victory przyszła na świat. Chyba się w nim zakochałam wtedy na parkingu szpitala, kiedy zrozumiałam, że akceptował mnie taką, jaką byłam.

Poznał Ofelię March; pokochał ją. Wiedziałam, że się mną zaopiekuje, że będę z nim bezpieczna. Może to wcale nie była miłość, ale wystarczyło. Jego nazwisko widnieje na metryce urodzin Victory; jest w każdym calu jej ojcem. Nikt, ani Drew, ani Vivian nie wiedzą, że Victory jest dzieckiem Marlowe'a. Uzgodniliśmy, że będzie lepiej dla innych, z Victory włącznie, jeśli się nie dowiedzą. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie poczułam się zdrajczynią.

Może właśnie z tego powodu miałam w pamięci wielkie luki, będąc w ciąży, kiedy trawił mnie lęk, że Marlowe wróci po mnie i córkę. Nie chciałam brać leków, które powinnam była brać dla dobra dziecka, więc walczyłam z hormonami i substancjami chemicznymi siejącymi spustoszenie w moim mózgu. Cierpiałam na zaniki pamięci i straszliwe migreny. Raz obudziłam się w greyhoundzie w drodze do Nowego Jorku, nie pamiętając, jak się tam znalazłam. To był stan fugi, tak nazwali go lekarze, nagła ucieczka przed życiem. Dokąd jechała Ofelia? - zastanawiałam się, wysiadając z autobusu w Valdosta w stanie Georgia i zadzwoniłam do Graya. Czy wiedziała coś, o czym Annie Fowler, wkrótce Powers, zapomniała?

Kiedy wysiadłam tej nocy z greyhounda, czekałam na Graya w barze. Byłam dla niego tylko ciężarem. Nie wiem, dlaczego mnie kochał. W drodze na Florydę zapytałam go:

- Dlaczego to robisz? Dlaczego zawsze po mnie wracasz?

- Sprawdzam się w sytuacji kryzysowej - odpowiedział. -Poza tym nie po to cię ścigałem po całym kraju, żeby pozwolić ci teraz odejść.

Przypomniałam sobie opowieści ojca o latach, o których nic nie wiedziałam, kiedy Gray ścigał mnie i Marlowea. Nigdy go nie zapytałam, głównie dlatego, że nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć. Tej nocy, na niecały tydzień przed naszym ślubem, będąc w piątym miesiącu ciąży, musiałam wiedzieć.

- Ojciec mi powiedział, że na początku ci płacił, a potem nie chciałeś od niego pieniędzy.

Wzruszył ramionami.

- Od pewnego momentu przestałem dla niego pracować. Poszukiwałem ciebie.

- Dlaczego?

Patrzył w skupieniu na drogę, a ja się zastanawiałam, czy mi odpowie. Złożyłam w całość kilka informacji z różnych gazet, to, co udało mi się przeczytać.

- Po raz pierwszy wpadłem na twój trop w Amarillo w Teksasie - odrzekł wreszcie.

- Poprzedniego dnia, kilka kilometrów na wschód, ktoś napadł na sklep z alkoholem.

Najpierw torturował sprzedawczynię, a potem ją zamordował. Kiedy usłyszałem o tym w radiu, pomyślałem, że to mógł być Marlowe. To było w jego stylu, tortury, morderstwa i rabunek. Wyciął głęboką krwawą ranę przez cały kraj, mordując przynajmniej dziesięćnaście młodych kobiet.

Chciałam się wtrącić, że to nieprawda, chociaż ja też to czytałam. Przecież nie mogłam być świadkiem tych zbrodni i beczynnienie się im przyglądać, ale tak naprawdę nie byłam tego pewna.

- Kilka tygodni wcześniej świadek, zaopatrzeniowiec, którego Geary zostawił na pewną śmierć na zapleczu, powiedział, że cię

widział. Był tak ciężko ranny, że nie był w stanie pomóc maltretowanej dziewczynie. Słyszał tylko jej krzyki i był pewien, że sam zaraz umrze. Jego zdaniem byłaś praktycznie w stanie katatonicznym, kiwałaś się w kącie, obgryzając paznokcie. Jak już było po wszystkim, Geary cię stamtąd wyprowadził. Poszłaś z nim jak małe dziecko.

Zakryłam twarz ze wstydu. Nienawidziłam siebie takiej, słabej i zniewolonej przez zabójcę, jak moja matka.

- Do tamtej chwili nie byłem pewien. Twoja matka twierdziła, że pojechałaś z Marlowe'em z własnej woli. Ale twój ojciec się upierał, że jak przyjechałaś do Nowego Jorku, to coś było z tobą nie tak, nie byłaś sobą, dziewczyną, którą znał. Tak jakby Marlowe rzucił na ciebie urok. To jest możliwe, biorąc pod uwagę, co teraz wiemy o twoim stanie psychicznym.

- Jednak byłam na tyle świadoma, żeby pojechać do ojca. Wzruszył ramionami.

- Twoja podświadomość miała nadzieję, że on cię uratuje.

- Zawsze miałam nadzieję, że to zrobi.

- Trochę to trwało, ale w końcu to zrobił. Mniej więcej.

- Mniej niż więcej.

- W każdym razie w Amarillo zatrzymywałem się przy każdym obskurnym motelu, aż zobaczyłem samochód, który pasował do opisu samochodu, w którym ostatnio widziano Gearyego. Siedziałem i czekałem. Po kilku godzinach Geary wsiadł do niego i odjechał.

Wtedy powinienem był wezwać gliny albo dopaść go, ale myślałem już tylko o tobie. Chyba miałem obsesję na twoim punkcie, nie myślałem jasno. Gray opowiedział mi, jak znalazł mnie w kącie pokoju. Siedziałam i kiwałam się. Telewizor grał, a ja gapiłam się w ekran. Ręce miałam w sińcach, wargę rozciętą. Byłam tak chuda, że widać mi było obojczyk pod skórą i kościste łokcie. Przez ułamek

sekundy nie był pewien, czy na pewno byłam dziewczyną ze zdjęcia, które miał w kieszeni.

- Pomogłem ci wstać i zacząłem ciągnąć w stronę drzwi, kiedy wszedł Geary.

Opowiedział mi, że zaczęli się bić, zdemolowali pokój.

- Uderzył mnie w głowę lampą stojącą przy łóżku i straciłem przytomność.

Kiedy doszedłem do siebie, was już dawno nie było. Dopiero po prawie roku trafiłem na wasz ślad w Nowym Meksyku.

- Coś przede mną ukrywasz. -Nie.

- Dam sobie radę.

Westchnął.

- Postrzeliłaś mnie. W ramię. Pewnie chciałaś mnie zabić, ale nie miałaś siły utrzymać w dłoni pistoletu.

Przypomniałam sobie bliznę w kształcie serca na jego ramieniu. Zamknęłam oczy i z całej siły usiłowałam przywołać tamten moment. Ale czułam w sobie jedynie pustkę.

- Nie pamiętam - powiedziałam, wyglądając przez okno. Powinnam była się gorzej poczuć, ale nic nie pamiętałam. Przykro mi było, że go postrzeliłam, lecz nie czułam się winna. -Przepraszam.

- To nieważne. To nie byłaś ty.

Położył dłoń na mojej nodze. Przykryłam ją swoją ręką. Trzy dni później pobraliśmy się na plażę przy domu Vivian. Pamiętam, że Drew tkwił na uboczu. Jak mogłam mieć do niego o to żal? Przecież chciałam zabić jego syna.

Zgubiłam Graya, bo za długo siedzę oszołomiona w samochodzie. Nie wiem, co mam robić, czy rzucić się za nim w pogoń, czy ruszać do domu? Wracam pod tunel, gdzie Briggs leży twarzą na betonie. Powodowana skrajną głupotą wysiadam z samochodu i podchodzę bliżej. Okropnie dzwoni mi w uszach, kiedy się do niego zbliżam.

Pod ciałem Briggsa rozlewa się kałuża czarnej krwi. Silnik furgonetki ciągle mruczy. I dociera do mnie, jakbym dostała obuchem w głowę, że już wiem, skąd go znam. Opieram się o furgonetkę. Kolejny nędzny motelik gdzieś na zachodzie. Właśnie wyszłam spod prysznic, owinięta w mały, lichey ręcznik. On siedział na łóżku, paląc wielkie cygaro. Był niechlujny, w poplamionym ubraniu, z brudem za paznokciami.

Na pewno śmierdzał, ale smród cygara trochę to stępił.

- Nie z tobą mam problem - powiedział, jakby ciągnął zaczęta z mną rozmowę.

- Chodzi mi o niego. Jeśli mi pomożesz, to ci odpalę dziesięć procent i pozwolę zniknąć.

Tylko tyle pamiętam. Wspomnienie znika i nic nie zostaje. Czy mu pomogłam? Czy uciekłam? Patrzę na jego ciało. Cisza, statyczność śmierci nie pozostawia wątpliwości.

Racjonalna część mojego mózgu krzyczy, żebym stamtąd uciekała. Ale coś silniejszego każe mi podejść do drzwi furgonetki. Nad moją głową przejeżdżają samochody, opony na asfalcie wydają dźwięk podobny do szeptu. Drzwi od strony kierowcy są otwarte na oścież. Na siedzeniu pasażera leży kartonowe pudełko z tanimi cygarami, fioletowa zapalniczka w kształcie figury nagiej kobiety, pusta puszka po wodzie sodowej, niedojedzony stek. Samochód śmierdzi cebulą, zatęchłym dymem, fetorem ciała.

Świat będzie czystszy bez Briggsa.

Pod stertą śmieci widzę pękatą i zniszczoną kopertę. Chcę ją tak zabrać, żeby niczego nie dotknąć. Ostrożnie wsuwam rękę i koniuszkami palców chwytam ją za brzeg.

Kiedy delikatnie ją podnoszę, śmieci, które na niej leżały, spadają na ziemię. Koperta jest gruba i ciężka, ale nie zaglądam do niej, tylko idę do samochodu. Wkładam kopertę pod siedzenie pasażera,

włączam silnik i ruszam. Kiedy wjeżdżam na autostradę w kierunku domu, zastanawiam się, dlaczego Gray nie przeszukał furgonetki. Wiedział, że Briggs mnie ściga, że Harrison nadal mnie nęka, a mimo to zostawił wszystko dla policji.

Bez sensu. Dzwoni komórka. Znowu Harrison. Tym razem odbieram.

- Czego pan chce? Pieniądzy? Niech mi pan powie, czego pan chce, dla świętego spokoju dam to panu.

- Wczoraj chodziło mi o pieniądze, dzisiaj nie jestem tego taki pewien.

Jadę za szybko. Nieuważnie zmieniam pasy i jadąca za mną toyota protestuje trąbieniem. Podnoszę rękę.

- Komórki potrafią zabić - ostrzega detektyw. - Czy wiesz, że rozmawiając przez komórkę, widzisz i słyszysz tak samo źle, jakbyś była po alkoholu?

Nie odpowiadam. To się mija z celem. Jest typem człowieka, który nie dotrze do sedna sprawy, dopóki nie będzie na to gotowy. Ma plan, nie potrzebuje mojego udziału w rozmowie.

- Spotkajmy się - mówi wreszcie. Jestem naprawdę zła.

- Wie pan co? Niech pan spieprza.

- Nie, to ty spieprzaj, Ofelio. - Z całą mocą kładzie nacisk na moje imię.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Czy pan oszalał? - pytam. - Czy pan wie, z kim rozmawia? A może szantażuje pan tylu ludzi, że stracił pan już nad tym kontrolę?

Wreszcie przestaje się ze mną bawić w kotka i myszkę, tylko wyznacza spotkanie na postoju, pięćdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, w którym się znajduję. Nie mam najmniejszego zamiaru spotkać się z nim. Jeszcze aż tak nie zwariowałam.

- Muszę wracać do domu - odpowiadam. - Zauważą, że mnie nie

ma. Mam rodzinę.

Zaśmiał się brzydko.

- Coś ci powiem. Nic nie masz, chyba że ja ci na to pozwolę. Wyłącza się. Trzymam jeszcze przez chwilę telefon w dłoni.

Rozpacz i panika wyzerają pełną jadu dziurę w moich wnętrznościach. Próbuję się dodzwonić do Graya, ale nie odpowiada. Przerywam połączenie, nie nagrywając się.

Po przejechaniu kilku kilometrów, gdy mój mózg pospiesznie dokonał analizy różnych opcji, zjeżdżam z autostrady, skręcam, wjeżdżam na nią ponownie i kieruję się na południe.

Spotkam się z nim, mówię do siebie. Dam mu to, czego chce. I wtedy da mi spokój. Tak jak powiedział Gray. Nie mam pojęcia, dlaczego nie pojechał na spotkanie z nim, dlaczego postanowił zabić Briggsa. Nie mam czasu zastanawiać się nad tym. Muszę doprowadzić sprawę do końca i wrócić do domu.

O ile mi wiadomo, matka nadal mieszka na ranczu Gearyego na środkowej Florydzie. Myśli, że nie żyję. Wiem od ojca, że oskarża mnie o wszystko, co się stało z Frankiem i z nią. Ranczo stało się przystanią dla kobiet, które zakochały się w skazańcach. Matka pomaga im lobbować na rzecz wznowienia procesów, kieruje kampanią pisania listów z prośbą o zbadanie starych dowodów przy użyciu nowej technologii, pociesza je, kiedy przychodzi to najgorsze. Ma nawet stronę internetową.

Parę lat temu widziałam ją w telewizyjnym talk-show, jak odpierała ataki rodzin ofiar.

Wyglądała staro, była zniszczona, po jej urodzie nie pozostał ślad. Czułam pustkę, kiedy ją zobaczyłam, mdliło mnie tylko trochę na myśl, że poświęciła tyle czasu i uczuć tej sprawie, gdy tymczasem własnej córce nie okazała nawet krzty miłości i troski. W medalionie na szyi miała zdjęcie Franka.

- Był niewinnym człowiekiem, który zginął za czyny, których nie popełnił - powtarzała w kółko. Dziwnie się kołysała, była podenerwowana i niepewna. Nawet inni goście w studiu, kobieta, która spotykała się ze skazańcem, adwokat od apelacji Death Row, żona człowieka, który został skazany przez pomyłkę i zgładzony, patrzyli na nią niechętnie i odsuwali się, jakby nie chcieli mieć z nią do czynienia, jakby chcieli zachować dystans.

Talk-show był tak naprawdę tanim spektaklem sensacyjnym, który miał doprowadzić do konfliktu między uczestnikami. Rodziny ofiar zgromadziły się po drugiej stronie studia, matka porwanej i zamordowanej dziewczyny, mąż kobiety zgwałconej i zamordowanej w ich domu, siostra młodego mężczyzny, który padł ofiarą seryjnego mordercy. Program dobrze się zaczął, ale zgodnie z przewidywaniem zamienił się w potok gorzkich łez i pyskówkę. Widownia szydziła, kpiała, gwizdała.

Na końcu padły pytania o mnie i Marlowe'a. Patrzyłam z wyteżoną uwagą, chociaż wiedziałam, że nie powinnam. Nie miałam siły wyłączyć telewizora.

- Czy pani zdaniem to sprawa genów, czy rzecz nabyta? - spytał gospodarz programu moją matkę, ledwo kryjąc wstręt. - Jak pani tłumaczy, że pani córka była zafascynowana mordercą Marlowe'em?

- Wierzę, że Marlowe nie był winien zbrodni, które mu przypisano, tak jak jego ojciec - odpowiedziała, wysuwając do przodu brodę i mrugając dziwnie powiekami.

- Nigdy nie miał procesu. Został osądzony i skazany przez media.

- Jednak dowody całkowicie go obciążały - odparł gospodarz o siwych włosach, z mocnym makijażem na twarzy.

- Dowody kłamią - powiedziała, patrząc prosto do kamery. - Wszyscy o tym wiemy.

Rok po śmierci Franka nowe badania DNA wykazały ponad

wszelką wątpliwość, że zabił on przynajmniej dwie kobiety, za co najpierw poszedł do więzienia, kelnerkę z lokalnego baru Lauren Miter i Sadie Atkins, sprzątaczkę z motelu. Ich rodziny nie ustawały w wysiłkach, żeby udowodnić mu winę i odniosły sukces. Wiedziałam, że to marna pociecha, ale może to lepsze niż nic. Myślałam o Janet. Nie potrzebowała technologii, żeby dowieść, że Frank zabił jej córkę. Jej ciało wiedziało i ta wiedza ją zniszczyła.

Często myślałam o tych innych kobietach, w sumie o trzynastu. Kobiety, które zaginęły w promieniu trzydziestu kilometrów od domu Gearyego, których ciał nigdy nie odnaleziono. Co się z nimi stało? Czy wszystkie straciły życie z ręki Franka?

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie - powiedział gospodarz, kiedy widownia się uciszyła. - Jak pani wytłumaczy fakt, że jej córka związała się z Marloweem Gearym?

- Nie będę mówić źle o zmarłych. Ale mój pasierb był dobrym chłopcem. Delikatnym i poczciwym. To Ofelia była zaburzona, uparta i nieszczęśliwa.

- Co pani ma na myśli?

- Jeśli zrobił coś złego, to może ona miała na niego zły wpływ - odparła matka, szeroko otwierając oczy i znowu wpatrując się w kamerę.

Doznałam wstrząsu, że była wobec mnie taka niesprawiedliwa, że żyła w kompletnie urojonym świecie. Mimo to nie wyłączyłam aparatu. To strasznie dziwne, ale czułam potrzebę, żeby ją zobaczyć, usłyszeć jej głos. Bardzo kochamy rodziców, chociaż jednocześnie ich nienawidzimy. Nawet kiedy nas maltretują i zdradzają. Tak rozpaczliwie pragniemy ich miłości. Gdyby tylko wiedzieli, jaką mają nad nami przewagę.

Na koniec programu został w studiu mężczyzna, przedstawiciel organizacji niosącej pomoc ofiarom przemocy i ich rodzinom. Był

mały, kruchy, z jedwabistymi rudawymi włosami i błyszczącymi zielonymi klejnotami zamiast oczu. Miał lekko drżący głos, gdy mówił, że ofiary powinny się raczej zmierzyć z własnymi lękami, niż się w nich pogrążyć.

Techniki jego organizacji, ciągnął, były „eksperymentalne, kontrowersyjne, ale wysoce skuteczne”.

- Gdy jesteśmy skrzywdzeni, padamy czyjąś ofiarą albo tracimy bliską nam osobę w wyniku napaści, zmienia się nasze postrzeganie świata. Powstaje otwór w naszej percepcji i wydaje się, że każda zła rzecz, każdy potwór, może się przez niego wkraść. Walka z lękiem, który nas dopada, kiedy my albo ktoś, kogo kochamy, był napastowany, jest najtrudniejszą rzeczą, ale jeżeli tego nie zrobimy, lęk będzie nas stopniowo zabijał, niczym najbardziej podstępny rak, komórka po komórce.

Nie powiedział nic konkretnego o technikach organizacji, lecz podał nazwę strony internetowej. Zapisałam adres, ale kiedy później usiłowałam wejść na nią, nie dawała się otworzyć.

Przez następne trzy dni słowa matki wyżerały mi wnętrze. Nie spałam i nie jadłam, nie mogłam jej zapomnieć. Wyniszczonej i nieźrównoważonej, przypisującej mi zbrodnie Marlowe'a. Próbowałam kilka razy wejść na stronę tamtej organizacji, lecz ani razu mi się nie udało.

Z jakiegoś powodu myślę o tym wszystkim, udając się na miejsce spotkania.

Powietrze jest ciężkie od złej energii, kiedy jadę boczną drogą, a autostrada znika z mojego wstecznego lusterka. Samochód Harrisona jest zaparkowany za toaletami, w najdalszej części parkingu. Zastanawiam się, czy jeszcze jakieś inne miejsce mogłoby być bardziej opustoszałe i złowróżbne niż pusty parking w środku nocy.

Zatrzymuję się w pewnej odległości. Nie zaparkuję obok. Nie

podejdę do jego samochodu. Zamknę się w środku. Jeśli chce ze mną rozmawiać, to musi do mnie podejść.

Siedzę i czekam, że zadzwoni na komórkę. Wreszcie znajduję jego numer w kontaktach i dzwonię. Odzywa się sekretarka.

„Cześć, dodzwoniłeś się do Raya”. Ma pogodny i energiczny głos, jak cheerleaderka w liceum. „Zostaw wiadomość, zaraz do ciebie oddzwonię”.

Moja i tak zła opinia o nim jest teraz jeszcze gorsza. Dokucza mi, drażni się ze mną, chce zobaczyć, co zrobię. Wreszcie mam tego dosyć. Podjeżdżam do jego samochodu.

Odwraca się w moją stronę, kiedy parkuję. Odkręca okno.

- Nie byłem pewien, jak bardzo jesteś zdesperowana -mówi. - Teraz już wiem.

- Niech pan sobie oszczędzi gry wstępnej - mówię - i powie, o co chodzi. - Woń jego papierosów wzbudza we mnie chęć palenia, chociaż nie palę od lat.

Uśmiecha się do mnie tym dobrosąsiedzkim „jestem nikiem” uśmiechem, który, zdaje się, udoskonalił. Widzę, że kultywuje wizerunek miłego gościa po to, żeby ludzie się przy nim odprężali. Temu samemu służy jego powitanie na sekretarce, przyjazne, rozbijające, łagodne i profesjonalne, które nie odstraszy płochliwych.

- Czytałem, że patrzyłaś, jak Marlowe zabijał te dziewczyny. Świadek widział, jak przyglądałaś się, nie wykonując żadnego gestu. Jakie to uczucie?

Nie odpowiadam mu, tylko przyjmuję cios. Proszę, żeby przeszedł do rzeczy.

Wygląda na to, że wszystko już o mnie wie.

- Jak możesz z tym żyć?

Teraz go nienawidzę. Szkoda, że to nie on, tylko Briggs był pod tym

mostem.

Najlepiej, jakby byli tam we dwóch. To okropne, co wściekłość robi z moim ciałem, czuję suchość ust, drżenie rąk.

- Jak na skorumpowanego glinę jesteś niezwykle pewny siebie - odpowiadam.

Wykrzywia drwiąco twarz, jakby go coś zabolalo. Trę mocno oczy, ale to nie pomaga, głowa mi pęka.

- A więc najpierw był Marlowe, a potem Gray. Najpierw zabójca, potem glina, kimkolwiek on jest. Tak naprawdę niewiele się od siebie różnią. Tyle że zabijają z innych powodów, zabijają innych ludzi. Zastanawiam się, co to mówi o tobie.

Przestaję go słuchać. Zbliża się do nas dziewczyna. Wychudzona i blada jak śmierć.

Ma brudne włosy, siniaki na rękach. Idzie powoli, jakby była ogłuszona, ze wzrokiem utkwionym we mnie. Harrison spogląda tam gdzie ja, z rękami w kieszeni.

- Na co patrzysz? - pyta.

Wiem, że jej nie widzi. Kiwa z dezaprobatą głową. Myśli, że jestem słaba i głupia.

Gdyby to od niej zależało, już by nie żył.

- Dużo o tobie myślałem, Ofelio. Martwię się, czy nie jesteś nieźrównoważona.

Dzwoni mi w uszach. Zamykam oczy, a gdy je otwieram, dziewczyna znika.

- Mam pieniądze - mówię mu. - Dużo. Powiedz mi tylko, czego chcesz.

- Już nie chodzi mi o pieniądze. - Wzdycha dramatycznie. - Przynajmniej nie o twoje.

Powiedzmy sobie wprost, nie zapomniano o Ofelii March ani jej nie wybaczone. Czy wiesz, ilu twój mąż ma wrogów? Ilu ludzi

chciałoby zobaczyć, jak cierpi? Masz pojęcie, czym zajmuje się Powers and Powers?

Nie mam pojęcia, o czym mówi, zaraz ból rozsadzi mi czaszkę. Czuję na sobie jego wzrok i kiedy odwzajemniam spojrzenie, ze zdziwieniem widzę człowieka, którego poznałam tamtej nocy, którego polubiłam.

- Wiesz co? - mówi sceptycznie. - Wierzę, że naprawdę nie masz pojęcia, o czym mówię. Naprawdę w to wierzę. Bo kiedy na ciebie patrzę, nie widzę tej osoby, o której czytam w artykułach. Co się z tobą dzieje? Dlaczego pozwoliłaś, żeby twoje życie tak się potoczyło?

Znowu zamykam oczy, opieram głowę o siedzenie. Dobrze mi to robi. Na moment czuję ulgę.

Nadal siedzimy w samochodach, rozmawiając przez otwarte okna. Kosmyk siwych włosów nad jego uchem srebrzy się w blasku księżyca.

- I kto to mówi? - rzucam mu w twarz. - Spójrz na siebie. Szantażysta! Wydawałeś się inny.

Wzrusza ramionami.

- Tak jak ty, dostałem do ręki złe karty.

- W takim razie pomóżmy sobie nawzajem. Dam ci to, czego chcesz, żebyś wszystko zaczął z czystą kartą. Tylko zostaw mnie i moją rodzinę w spokoju.

Jestem chłodna i praktyczna, jaki byłby Gray w mojej sytuacji, tak sobie wyobrażam.

I od wielu godzin nie byłam taka spokojna. Przyglądam się Ofelii. Stoi teraz obok Harrisona po drugiej stronie okna. Szyba zaparowała od jej oddechu. On patrzy wprost przed siebie, nie zdając sobie sprawy z jej obecności. Słyszę jej śmiech. Ból głowy i dzwonięcie w uszach ustępują.

- Chodziłam do lekarza - mówię mu.

- Tak? - Zerka na mnie. - To dobrze. Potrzebujesz lekarza.

- Zniknął.

- Co masz na myśli?

- Jego gabinet, wszystkie meble, wszystko zniknęło po mojej ostatniej wizycie. - Nie wspominam o tym potwornie krwawym morderstwie. Nie mam ochoty zaprzętać sobie teraz myśli tą sprawą.

Przechyliła głowę w bok, patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo może mógłbyś się dowiedzieć, czy naprawdę istniał? Czy był tym, za kogo się podawał?

Na jego twarzy widzę coś jakby troskę. Próbuje ocenić, do jakiego stopnia oszalałam.

- Jak się nazywał? - Ma zaskakująco delikatny głos. Harrison jest skomplikowanym człowiekiem.

- Paul Brown.

- Zajmę się tym - obiecuje. - A tak na marginesie, czy na pewno jesteś bezpieczna w swoim domu?

- Co to ma znaczyć? - Pamiętam pytanie, które mi zadał na automatycznej sekretarce:

„Ile naprawdę wiesz o swoim mężu?”.

I znowu ten lisi uśmiech.

- Czasami ludzie, o których nie wiemy prawie nic, śpią w naszym łóżku.

- Pewnie masz na myśli swoją żonę - odcinam się. - Co ona o tobie wie? Założę się, że niewiele.

Nie podoba mu się to, trafiłam w czuły punkt. Jego twarz przybiera ponury wyraz, ten, którego się boję. Włącza samochód.

- Odezwę się.

- Poczekaj. - Złoszczę się na swoją niewyparzoną buzię. -Kto jeszcze mnie szuka?

Zakręca szybę i odjeżdża, a ja zostaję i patrzę, jak jego samochód znika wśród innych na autostradzie. Zastanawiam się, czy chce, żebym myślała, że jeszcze inni mnie ścigają, że mój mąż nie jest tym, kim wierzę, że jest, a wszystko po to, bym jeszcze bardziej uległa jego szantażowi. A może po prostu mówi prawdę. W ciemnościach szukam Ofelii, ale zniknęła.

Wracam do domu. Panuje w nim cisza, jest ciemno, Esperanza poszła spać. Zaglądam do Victory, śpi mocnym snem, ramieniem obejmuje Claude'a. Po pokoju tańczą kolorowe rybki z nocnej lampki. Gray jeszcze nie wrócił po zastrzeleniu Briggsa.

Zastanawiam się, gdzie jest i co mi powie po powrocie o tej nocy. Chcę zadzwonić do ojca, ale byłoby to lekkomyślne i niedorzeczne. Idę do sypialni, zamykam drzwi i czekam na Graya, na Marlowe'a, na Ofelię, na tego, kto pojawi się pierwszy.

Tymczasem moje wspomnienia rozpoczynają marsz, którego nie umiem powstrzymać. Kładę się na łóżku, bo wyczerpuje mnie intensywność tego niestrudzonego marszu.

Czytałam, że przyglądałam się beczynnemu, jak Marlowe torturuje niewinne dziewczyny, jak morduje sklepowe z nocnych sklepów, dziewczyny ze stacji benzynowych, sprzątaczkę z moteli. To prawda, ale nie cała.

Podróżowaliśmy nocą, co parę dni kradliśmy samochód spod przydrożnych barów i postojów przy autostradzie. Najczęściej były to stare rzęchy, w których wały się puste puszki po wodzie, zdjęcia maluchów wciśnięte w osłonkę przeciwsłoneczną, stopy niedopałków w popielniczkach. Każdy samochód miał specyficzny zapach: cygar, wymiocin, tandetnych perfum albo uprawianego seksu. Kiedy Marlowe prowadził, ja szperałam w schowkach, chcąc się dowiedzieć, komu zepsuliśmy dzień, czy mieli ubezpieczenie i czy będzie ich stać na nowy samochód.

Pod koniec następnego tygodnia wyczerpywały się nasze niewielkie oszczędności, piliśmy tylko wodę sodę i przez wiele dni karmiliśmy się niezdrowym jedzeniem z automatów. Byliśmy głodni, nasze ciała rozpaczliwie domagały się lepszego pożywienia.

Spędziliśmy dwie noce w samochodzie. Kiedy wreszcie udawało mi się zasnąć, miałam szalone sny, chaotyczne, pełne krzyków matki, strzałów z pistoletu, zapachu spalonego drewna. Przez resztę czasu poruszałam się jakby w oparach zmęczenia, ogłuszenia, głodu, lęku. To koszmar, mówiłam sobie, to się nie dzieje naprawdę.

Byłam w takim półśnie, kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał drugą nad ranem. Wiedziałam, że nie mamy pieniędzy. Pomyślałam, że chce skorzystać z toalety. I wtedy wyciągnął z torby pistolet.

- Potrzebujemy kasy - rzekł.

Wpatrywałam się w pistolet. Jego kształt wydawał się naturalnie leżeć w jego dłoni.

- Co zamierzasz zrobić? - zaśmiałam się. - Obrabować stację?

Marlowe przewrócił oczami.

- Jesteśmy uciekinierami - rzucił ostro. - Ścigają nas za morderstwo. Obrabowanie stacji to nic.

Poczułam, jakby mnie uderzył w twarz.

- Nikogo nie zabiliśmy - zaprotestowałam. - To Janet zabiła Franka.

- Ale to ty ją wpuściłaś do domu. - Był złośliwy. - To cię czyni współniczką.

Potrząsnęłam głową. -Nie.

- Tak.

Wyciągnął coś z torby i podał mi. To była gazeta z Florydy. Zobaczyłam nagłówek „Uciekinierzy ścigani w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa Franka Gearyego”.

- Nie - powtórzyłam. Powoli do mnie docierało, co ja naprawdę

zrobiłam. Kiedy wysiadał z samochodu, chwyciłam go za ramię. - Pojedźmy do mojego ojca do Nowego Jorku. Pomoże nam. Nie musimy tego robić.

- A jak tam dojedziemy? - Odepchnął moją dłoń. - Nie mamy benzyny. Co powinniśmy robić twoim zdaniem?

- Znowu ukradniemy samochód.

Ręką wskazał na pusty parking przy stacji.

- Widzisz tu jakiś? Benzyny wystarczy nam na kilka kilometrów.

Wyrwał mi się szloch, który zagnieździł się w mojej piersi.

- Zrobiłam, co mi kazałeś - wrzasnęłam, zalewając się łzami. - Widziałam, jak z nią rozmawiałeś. Wszystko z nią zaplanowałeś. Ja tylko zrobiłam, co mi kazałeś!

- Dobrze mi zrobił krzyk i szloch, to uwolniło ze mnie złość i lęk.

Marlowe przez chwilę milczał. Potem zniżył głos do szeptu i zbliżył swą twarz tak blisko do mojej, że poczułam jego kwaśny oddech.

- Zrobiłem to dla ciebie, żeby cię przed nim uratować - odrzekł. - Chciałaś, żebym cię uratował, żebym cię stamtąd zabrał. Zrobiłem to. To wszystko było dla ciebie, mała niewdzięczna suko.

Włosy zgarnął w kucyk, z którego wysuwały się długie kosmyki. Ciemne obwódki pod oczami nadawały mu wygląd upiora. Odwróciłam się od niego, mdliło mnie z lęku, poczucia winy i wstydu.

- Chcesz, żebym poszedł do więzienia. Ty też masz na to ochotę?

- Nie - wykrztusiłam, a cała moja złość zniknęła.

- Zatankuj benzynę, siądź za kierownicą i zamknij tę cholerną japę - powiedział. - Zapal samochód.

Wysiadł, a ja patrzyłam, jak idzie w stronę budynku. Podjechałam pod pompę i zrobiłam, co mi kazał, nie patrząc na sklep. Nie chciałam widzieć, jak przystawia komuś pistolet. Nie chciałam widzieć przerażenia na czyjeś twarzy. I nie chciałam być osobą, która na niego czeka, kiedy to robi. Gdy nalałam do pełna, wsiadłam do

samochodu. W radiu leciała piosenka U2 New Years Day, wtórowałam im, a ostre światło nad głową ujawniło mi całą szpetotę mojej sytuacji. To był kolejny moment, w którym, gdybym inaczej zareagowała, świat by się może nie rozpadł. W tamtej sekundzie byłam jeszcze sobą.

Mogłam uratować Ofelię. Ale nie uczyniłam tego.

Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, dlaczego Marlowe nie zakrył twarzy ani nie przejął się tym, że siedzę w samochodzie na widoku. Kiedy usłyszałam strzały, poczułam wibracje w kościach. Siedziałam tak przez sekundę, ściskając kurczowo kierownicę i czułam, jak znika ostatnia nadzieja. Mogłam jeszcze wtedy uciec, pójść na policję, podjąć ryzyko. Zamiast tego wysiadłam z samochodu i przeszłam przez szklane drzwi do sklepu ze stacji benzynowej.

Marlowe stał za ladą i brał pieniądze z kasy. Dostrzegłam czubek jej głowy, długie złote włosy unurzane w czarnej krwi na białym linoleum.

- Co się stało?

- Wracaj do samochodu - rzekł spokojnie, nie patrząc na mnie. - Już.

Posłuchałam się go. Długo siedziałam za kierownicą. Ponad godzinę. Wreszcie wyszedł z torbami wypchanymi jedzeniem, puszkami z kukurydzą, batonami czekoladowymi. Siadł za kierownicą, przepychając mnie na fotel pasażera i podał mi snickersa, mojego ulubionego, z czarującym uśmiechem na twarzy, który mnie zawsze powalał.

- Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem - powiedział słodko, pochylając się w moją stronę i całując mnie delikatnie w policzek. Chwyciłam się go kurczowo, był moją liną bezpieczeństwa, moją jedyną nadzieją, nawet wtedy, kiedy mój mózg krzyczał mi o tym, co się wydarzyło w sklepie.

- Wiem, że się boisz. Ja też. Pojedziemy do twojego taty.

- Co zrobiłeś? - wyszeptalam wreszcie w jego włosy. Poczułam, jak sztywnieje i szybko się ode mnie odsuwa.

- Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla ciebie. - Przekręcił w stacyjce kluczyk.

Wpadłam w otchłań o śliskich ścianach i nie było sposobu, żebym wydostała się z ciemności, która mnie pochłonęła. Pamiętam, że w tamtym momencie zaczęłam się go bardziej bać niż kochać, ta część mnie, która ciągle chciała przeżyć, zaczęła go nienawidzić. Jednak byłam zbyt zagubiona, żeby odczuć różnicę.

- Nikt inny nie będzie cię tak kochał jak ja - mruknął, kiedy wjeżdżaliśmy na autostradę.

Nie wiem, ile jeszcze było po drodze kobiet i dziewczyn. Mam jedynie przebliski pamięci: tandetna czerwona szminka, turkusowa klamra do włosów, tatuaż w kształcie kwiatka, błyszczący różowy lakier do paznokci, źle nałożony. Słyszę nerwowy chichot, okrzyk strasznego bólu. Te rzeczy na zawsze we mnie pozostaną.

Kiedy Gray wraca do domu, siedzę na balkonie i słucham szumu fal, próbując przypomnieć sobie więcej szczegółów. Siada obok mnie. Przez chwilę moja przeszłość i teraźniejszość nakładają się na siebie.

- Myślę, że mamy problem z głowy - mówi.

Nie próbuje mnie objąć ani odwrócić do siebie. Jest mroczną postacią obok mnie, wpatrującą się w morze.

- Co się stało? - pytam, choć boję się, co mi powie. Milczy przez chwilę. Po chwili mówi:

- Powiedzmy, że się tym zająłem.

- Gray.

- Zaufaj mi.

Przypominam sobie rozmowę z Harrisonem na parkingu i że wydawał się zmęczony i zniechęcony. Może mi współczuje. Może

zdecydował, że przyjmie propozycję Graya i odejdzie. A może chciał rozważyć inne możliwości.

- Czy Harrison mówił ci, że inni też mnie szukają? Osuwa się na krzesło, opiera nogi o barierkę.

- Nikt inny cię nie szuka.

- Mówił co innego.

- Kiedy?

Wzdycham, wiedząc, że nie będzie zadowolony.

- Widziałam się z nim dziś wieczorem. Zadzwoił i poprosił o spotkanie. Zgodziłam się.

- Niemądrze.

Milczymy. Chcę mu powiedzieć, że widziałam, jak zabija Briggsa. Ale nie mówię.

Boję się. Boję się, że to zrobił, boję się powodu, dla którego uścisnął jego dłoń. Boję się też, że może wcale tego nie zrobił, że wszystko sobie uroiłam. Nagle przenika mnie straszne zimno, chociaż powietrze tej nocy jest łagodne i trochę wilgotne.

Wracam do sypialni. Gray idzie za mną, bierze mnie za ramiona i odwraca twarzą do siebie.

- Już w porządku - mówi. - Wierz mi. Zagrożenie zostało zneutralizowane.

Kiedy się boi, używa tego militarnego żargonu w stronie biernej, zagrożenie zostało zneutralizowane, problemy zostały rozwiązane. Jednak nie widzę lęku na jego twarzy. Ma oczy bez wyrazu, chłodne, zawzięte usta tworzą wąską, ponurą kreskę. W półmroku jego blizny wydają się ciemniejsze, ostrzejsze.

- A co z Briggsem? - pytam. Mam nadzieję, że powie mi choć część prawdy, coś, co nie pozwoli, żebym straciła grunt pod nogami. Chcę, żeby mi powiedział, że go zabił.

Ale nie robi tego.

- Załatwione - szeptem.

Jego słowa budzą we mnie lęk. Idę w stronę łóżka. Nie idzie za mną. Pamiętam, że myślałam, że Briggs dla kogoś pracuje. Jeśli nawet go zabił, to czy ten ktoś nie będzie nadal mnie szukał i czy jego śmierć nie będzie dla niego widocznym znakiem, że mnie znalazł?

Nagle przypominam sobie kopertę, którą wepchnęłam pod siedzenie.

Jeszcze do niej nie zajrzałam.

- Co ci przyszło do głowy? - pyta Gray. - Gdzie się z nim spotkałaś?

- Na parkingu przy autostradzie. Powiedział mi: „Nie zapomniano o Ofelii March.

Nie wybaczone jej ani o niej nie zapomniano”.

- Nie ma racji. To koniec.

- Kto mnie w takim razie śledził na plaży? Co z naszyjnikiem, który znalazłam w piasku?

- Sama mówiłaś, że nie jesteś pewna, co słyszałaś, nie wiesz, kim był ten człowiek.

To mógł być każdy, nawet Briggs mógł chcieć cię zdenerwować. A naszyjników może leżeć na plaży milion.

- Myślisz, że to takie proste?

- Zaufaj mi. Nic nam nie grozi. - Całuje mnie delikatnie w usta i mocno obejmuje.

Wyczuwam jego ulgę, jego miłość. Znam mojego męża, nie dbam o to, co Harrison o nim myśli.

Tak bardzo chcę mu uwierzyć, że prawie mi się to udaje. Kiedy mnie puszcza i patrzy mi głęboko w oczy, widzę wyraźnie jego twarz i mój pokój staje się ponownie moją sypialnią, a nie pomieszczeniem, w którym będę spać, aż zacznę uciekać przed własnym życiem. Nie obchodzi mnie, czy to Gray zabił Briggsa. Wiem, że nigdy mi o tym nie powie.

Przez sekundę wierzę, że Harrison przestanie węszyć, że to Briggs był wtedy na plaży, a może jakiś nastolatek spletał mi figła. Pójdę jutro z Victory na spacer po plaży, a potem zawiozę ją do szkoły, jak codziennie. Może za tydzień nie będę już o tym pamiętać, tak jak o wypadku samochodowym, z którego ledwie uszło się z życiem, po którym jest się roztrzęsionym, ale przede wszystkim szczęśliwym, że udało się przeżyć.

Ręce Graya pieczą moje ciało i ożywam w środku. Moja ulga i siła jego ciała, ciepło jego skóry budzą we mnie wielki głód. Ustami dotyka mojej szyi i obojczyka, kiedy zrywa ze mnie koszulę i rozpina spodnie. Szarpie jego ubranie, a on popycha mnie delikatnie na łóżko. Kiedy jest już we mnie, obejmuje mnie i czuję każdy milimetr jego ciała. Szeptem powtarza moje imię, czule i powoli jak mantrę. - Annie, Annie, Annie. -Gdzieś pod żarem mojego pożądania chciałabym, żeby nazwał mnie prawdziwym imieniem. Chcę, żeby nazwał mnie Ofelią. Mimo że kocham się z nim, czuję się nagle bardzo samotna.

Zanim zaśnie, szepce do mnie:

- Nie mogę cię stracić. Zostań ze mną.

Nie wiem, dlaczego to powiedział. Czy czuje, że Annie się rozpada i znika? Chcę się dowiedzieć, co ma na myśli, ale zasypia.

Zamykam oczy. Kiedy je znowu otwieram, Ofelia siedzi na krześle przy kominku.

Śmieje się.

Rozdział 28

Ciągle, od lat, zadaję sobie kilka pytań. Czy można się zresetować, przełączyć i zacząć od zera? Jeśli popełniło się straszny czyn, czy można o nim zapomnieć jak o źle dobranym ciuchu, zmienić wygląd, stać się kimś innym? Co się wtedy stanie z pocieszeniem, jakie daje kara, oczyszczeniem, jakie daje pokuta, leczeniem przez wybaczenie. Myślałam, że odzyskam wolność. Byłam pewna, że narodziłam się na nowo, kiedy urodziłam córkę.

Dzięki macierzyństwu, wyrzeczeniu się siebie, stałam się kimś innym. Zapomniałam o tym, co było we mnie złe i o moim poprzednim życiu. Zaniki pamięci i ucieczki zniknęły, kiedy urodziła się Victory. Nie mogłam być dawną sobą. Musiałam stać się godna tego, żeby opiekować się małym życiem, za które byłam odpowiedzialna, i chronić je.

Jednak powinnam była przewidzieć, że Ofelia powróci. Mój lekarz zawsze mi to mówił: „Nie możesz wiecznie się przed sobą ukrywać”. Miałam okropne migreny i koszmary, bo moja podświadomość usilnie próbowała stłamsić wspomnienia, z którymi nie dawałam sobie rady na jawie. Ale w końcu cień wyjdzie z cienia i zrobi wszystko, żeby inni uznali jego istnienie.

Następne dni upływają bez niespodzianek, wmawiam sobie, że to był incydent i moje życie wróciło do normy. Spaceruję po plaży z Victory, zawożę ją do przedszkola, po powrocie do domu oglądamy wieczorami filmy na wideo. Drew i Vivian wyjechali na parę dni, więc nie krążą wokół mnie. Drew nie rzuca w moją stronę mrocznych, podejrzliwych spojrzeń, a Vivian nie okazuje mi nadmiernej matczynej troski. Tworzymy małą szczęśliwą rodzinę, ja, Victory i Gray, a nawet Esperanza, bez której nie wyobrażamy sobie życia.

Mimo że sprzeczam się z Grayem o to, czy Victory jest za bardzo rozpieszczona (oczywiście, że jest i co z tego), to moja codzienność jest dla mnie rajem. Aż mi się w głowie kręci, taką czuję ulgę. Nie nachodzi mnie Harrison. Ofelia zniknęła. Marlowe również. Mroczne postaci nie czają się na plaży. Blade, kruche dziewczęta nie zbliżają się do mnie w nocy.

Jednak nie zapomniałam o nich. Zaczynam lekcje nurkowania, tak jak przyrzekłam mojemu ekspertowi od ucieczek (tak go nazywam w myśli). Na wszelki wypadek.

Jako środek ostrożności.

Panicznie boję się wody, jej ciężkiej jak ołów ciszy, dławiącego ciężaru. Czuję panikę nawet, kiedy brodzę tam, gdzie mam grunt, bo przecież poziom wody może się podnieść i mnie zalać, pochłonąć w przerażającej ciszy. Im jaśniejsze słońce, im bardziej przezroczysta i błękitna woda, tym gorzej. Tak jakby mnie oszukiwała, udawała, że jest gościnna, pokrzepiająca. Trudno nie pamiętać, jaka bywa mordercza, nieubłagana, śmiertelna, z jaką łatwością potrafi wyssać życie. Widząc, jak Victory pluska się w basenie albo w oceanie z Vivian, zazdroszczę jej pewności siebie i pełnej swobody, podczas gdy ja zawsze tłumię w sobie okrzyk, kiedy znika pod powierzchnią na dłużej niż jedna czy dwie sekundy.

- Nie martw się, mamusiu - woła, wypływając na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu.

Instynktownie wie, że jestem przerażona, chociaż staram się panować nad sobą, bo nie chcę jej przekazać swoich lęków. Ale i tak wie swoje.

Nie zawsze tak się bałam. Pamiętam wyprawy z ojcem na plażę Rockway, miałam pięć, może sześć lat. Wchodziliśmy do zimnej, słonej wody i skakaliśmy przez fale.

Matka stała na brzegu w czerwonym bikini i machała do nas.

Nałykałam się tyle wody, że mój żołądek się burzył. Piekły mnie oczy. Ale uwielbiałam ocean, tatę i jego głośny, dudniący śmiech. Zabawą było nawet to, kiedy traciłam grunt, kilka sekund pod błękitnoszarym wirem Atlantyku i ulga, że znowu stoję, że oddycham, że fala wyciąga ziemię spod moich stóp i że strumienie piasku przepływają przez palce.

Kiedy mieliśmy dość zabawy, biegliśmy do mamy. Miałam gęsią skórkę, chociaż prażyło słońce. Matka czekała z ręcznikiem, którym mnie otulała, i suszyła mi włosy.

Czułam się w wodzie bezpiecznie, była przyjaznym miejscem zabawy. To chyba Janet wzbudziła we mnie lęk przed wodą, przywołując obrazy, które przybrały na sile i na dobre zamieszkały w mojej głowie. Po jej opowieściach nie byłam już w stanie wejść do wody.

Dziwne, że miała nade mną aż taką moc, jakby rzuciła na mnie urok i zamieniła w kogoś innego.

Instruktorka nurkowania jest bardzo cierpliwa. Młoda, rudowłosa piękność musiała mieć doświadczenie z dziećmi. Łagodnie namawia mnie do wejścia, dodaje otuchy, kiedy trzeba, trzyma za rękę. Sprzęt do nurkowania podtrzymuje mnie na duchu, chociaż onieśmiela mnie jego ciężar i obcość. Jakby trochę ładu było tu ze mną.

Kiedy po dwóch porannych lekcjach opanowuję utrzymanie się na powierzchni i oddychanie, okazuje się, że unoszę się bez wysiłku tam, gdzie nie mam gruntu.

Czuję, jakbym potrafiła latać. Nadal się boję, ale kontroluję lęk.

- Możesz być z siebie dumna - oznajmia instruktorka, kiedy kończę etap szkolenia w basenie. - Większość ludzi, która aż tak się boi, nie potrafi tego dokonać. Jesteś gotowa wypłynąć na otwarte wody.

Dziękuję jej i oznajmiam, że drugą część kursu zaliczę z innym nauczycielem nurkowania, moim przyjacielem. Mogę do niej wrócić,

żeby przypomnieć sobie zasady.

Ściskam jej rękę na pożegnanie i myślę, co powie detektywom, kiedy umrę. Tak bardzo bała się wody - wyobrażam sobie, że tak powie -możliwe, że wpadła w panikę. Wszyscy wiedzą, że panika potrafi zabić, zwłaszcza kilka metrów pod poziomem morza. Po ostatniej lekcji na parkingu obok mojego samochodu stoi ford explorer Harrisona. Jest brudny, od spodu zabłocony, jakby jeździł po bezdrożach. Skręcają mi się wnętrzności, taka jestem rozczarowana i przestraszona. Myślałam, że mam go z głowy. Podchodzę do jego okna. Odkręca je i wdycham zapach dymu z papierosa.

- Witaj, Annie.

Nie odpowiadam. Sięga po zdjęcie na fotelu dla pasażera i podaje mi.

- Znasz go?

Simon Briggs ma bladą i sztywną twarz, zamknięte oczy. Nie żyje. Myślę o kopercie w moim samochodzie. Nie przyjrzałam się jej, pielęgnując w sobie od kilku dni fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

- Nie - rzucam.

Zerka na mnie z leniwym uśmiechem. Wie, że kłamię. Ale skąd?

Pokazuje mi kolejne zdjęcie z kartoteki policyjnej - mężczyzna w średnim wieku, ma siwe włosy i wąsy. Doktor Paul Brown.

- Twój lekarz, zgadza się? Kiwam głową.

- Naprawdę nazywał się Paul Broward. Był ścigany w trzech stanach, w Nowym Jorku, Kalifornii i na Florydzie, za oszustwa ubezpieczeniowe, zaniedbanie obowiązków, błędy w sztuce lekarskiej. Działał bez licencji. Odebrano mu ją za seksualną napaść na pacjentkę.

Potrzebuję chwili, żeby przetrwać tę informację. Detektyw i ja wpatrujemy się w siebie, bawiąc się w grę, które z nas pierwsze spuści wzrok. Przegrywam.

- Był ścigany? - wykrztuszam wreszcie.

- Wczoraj rybak znalazł jego ciało w Everglades. W kawałkach. Ale wystarczyło, żeby go zidentyfikować.

Ogarnia mnie wstyd i smutek. Nie wierzyłam, że umarł, prawie się utwierdziłam w przekonaniu, że wszystko sobie wymyśliłam tamtego wieczoru, który teraz wydaje mi się wieki temu. Kimkolwiek był, pomógł mi. Żałuję, że wiem, jak zginął.

Musiałam zadać sobie to pytanie: czy zabiła go Ofelia? Czyja go zabiłam? Gray zniszczył moje pokrwawione ubrania. Spoglądam na swoje ręce. Chyba nie są do tego zdolne.

- Jak ty ich znajdujesz?

Postanowiłam nie odpowiadać na jego zaczepki.

- Więc - mówi dalej - mam dwa trupy i związaną z nimi kobietę, która kłamie w sprawie swojej tożsamości. Zadaję sobie pytanie, co takiego w tobie powoduje, że umierają ludzie?

- Tego drugiego nie znam - wskazuję na pierwsze zdjęcie.

- To dlaczego miał twoje zdjęcie w samochodzie?

I dlaczego Gray przywitał się z nim, a potem strzelił mu w głowę? Dlaczego zostawił jego samochód, żeby go znalazła policja? Wiele pytań, zbyt mało odpowiedzi.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam.

Chcę odejść, wsiąść do samochodu i odjechać. Ale czuję, że wrosłam w ziemię. Dziwne, że tylko Harrison jest tym kimś, za kogo się podaje. Szkoda, że nie mogę mu powiedzieć, co widziałam, pokazać koperty, zapytać, czy wie coś więcej o moim lekarzu.

Po prostu nie mogę.

Zamiast tego mówię:

- Mąż panu zapłacił, prawda?

- Taa... - Wzrusza ramionami. - Ale mam robotę do wykonania.

- A może ja poinformuję wydział spraw wewnętrznych? Rzuca mi

litościwe spojrzenie.

- Mamy siebie w garści, Annie. Ty mnie ściśniesz, to ja ścisnę jeszcze mocniej.

Racja.

- Posłuchaj. - Nagle wydaje się szczerzy, zmartwiony. - Myślę, że masz kłopoty, nie tylko dlatego, że jesteś na bakier z prawem. Może policja to twój najmniejszy problem.

Serce zaczyna mi walić. Ma rację. Od czasu, kiedy miałam atak paniki na parkingu przed sklepem, wiedziałam, że Annie Powers niedługo zagrzeje miejsca na tym świecie.

- Briggs to tylko wynajęty gość od brudnej roboty. Nie żyje, więc ktoś inny go zastąpi.

Ktoś chce odnaleźć Ofelię nie dlatego, że nieznana jej ciotka zostawiła dla niej spadek.

- Wie pan kto? - Mimo woli podchodzę bliżej. Kładę rękę na opuszczonej szybie.

- Nie. - Kręci głową.

- Powiedział pan... - zaczynam.

- Skłamałem, chciałem cię przestraszyć.

Odchodzę i wracam do samochodu. Odkręca szybę od strony pasażera. Znowu widzę na jego uchu srebrny kosmyk włosów.

- Siebie zapytaj - krzyczy. - Kto ci polecił lekarza? Jak do niego dotarłaś?

Kimkolwiek ten ktoś jest, jest podejrzany.

Nie odpowiadam i włączam silnik.

- Jesteś aż taka głupia, że nie widzisz, kiedy ktoś stara ci się pomóc?

- Za odpowiednią cenę.

- Wszystko ma swoją cenę. Żyjemy w materialnym świecie. Dobrze o tym wiesz.

Zamykam drzwi, wrzucam wsteczny bieg i wyjeżdżam z parkingu.

Patrzę na niego. Pokazuje na oko, potem na mnie. Obserwuję cię, daje mi do zrozumienia. Choć nie zamierzał tym dodać mi otuchy, w dziwny sposób tak się właśnie dzieje.

Rozdział 29

Kiedy tego samego popołudnia zjawiam się z Victory bez zapowiedzi u Vivian, dostrzegam coś nowego w wyrazie jej twarzy. Dostrzegam to, kiedy patrzymy na siebie przez grube szkło w drzwiach. To ledwie mgnienie i gdybym była w innym nastroju, pewnie nic bym nie zauważyła. Widzę lęk. Vivian jest najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałam, więc teraz na jej widok robi mi się zimno.

- Co za miła niespodzianka - wita nas z radosnym uśmiechem, szeroko otwierając drzwi. Za późno, zdradziła się przede mną. Wchodzę, trzymając Victory w objęciach.

Natychmiast wyciąga do niej ręce i bierze ją ode mnie. Cofam się, kiedy Victory mocno ją ściska i wesoło opowiada, co się wydarzyło. Vivian pomrukuje na dowód, że uważnie jej słucha, kiedy wchodzimy do kuchni. Siedzę w milczeniu, piję wodę, a Vivian robi grilowaną kanapkę z serem i kroi ją na małe kwadraciki, tak jak lubi Victory. Patrę na podwójne szklane drzwi i na mieniącą się w basenie wodę, a w głowie kłębią mi się czarne myśli, podczas gdy dwie najważniejsze kobiety mojego życia trajkoczą wesoło jak papużki.

Po przekazce Victory biegnie do swojego luksusowego pokoiku zabaw, który dla niej urządzili, a Vivian siada naprzeciwko mnie. Kładzie ręce na stole i czeka.

Opowiadam jej wszystko.

Kiedy kończę, spoglądam na nią, ma spuszczoną głowę. Po chwili patrzy na mnie i widzę, że ma oczy pełne łez.

- Annie, jest mi tak przykro. Pochylam się w jej stronę.

- Dlaczego? Dlaczego jest ci przykro?

- Dobry Boże - odpowiada. Tamto spojrzenie wraca i już nie znika. -

Annie, nie było ciała, nigdy nie odnaleziono ciała Marlowe'a.

- Nie było ciała - powtarzam, żeby znowu usłyszeć te słowa.

- Wtedy wydawało się to jedynym rozwiązaniem. Nie mógł przeżyć tamtego wypadku.

Nie było takiej możliwości. Ale baliśmy się, że nie wyzdrowiejesz, jeśli się dowiesz, że nie odnaleziono jego ciała.

Patrzę na nią uważnie, na jej ładne zmarszczki wokół oczu, które teraz błagalnie na mnie patrzą, na miękkie policzki, zaczerwienione z powodu zgryzoty. Nagle jej nie poznaję, tej kobiety, którą pokochałam bardziej niż własną matkę. W pewnym sensie nie mam do niej pretensji, że mnie oszukiwała przez te wszystkie lata. Rozumiem, dlaczego to robiła.

Nawet wierzę, że chciała mnie chronić. Ale i tak jestem zła.

Zachowuję dystans, obejmuję ramionami brzuch, czując straszny ucisk w żołądku.

Kwiaty na stole, jaskraworóżowe i białe tulipany przechylają się z wdziękiem nad wazonem. Staram się nie myśleć, ile razy zwierzałam się jej z moich lęków, twierdząc, że może Marlowe nie umarł. Staram się nie myśleć, ile razy ona, Drew, Gray i mój ojciec kłamali, a ja czułam, że zwariuję, gdy zapewniali mnie, że ciało zostało odnalezione, podczas kiedy wiedzieli, że było inaczej.

- Dlaczego mi to teraz mówisz? - pytam, gdy mam pewność, że mój głos już nie drży. - Co się zmieniło?

Chyba mnie nie słyszy. Mówi dalej:

- Byłaś nim opętana, pełna bólu, myślałam, że to z czasem ustąpi. Potem zaczęłam się zastanawiać, czy jakaś część ciebie, może ta, której nie mogłaś sobie przypomnieć, była ciągle z nim związana. Ten lekarz miał ci pomóc.

- Doktor Brown? Wiedział, kim byłam? Znał moją przeszłość?

Odwraca wzrok i nie odpowiada.

- Ty mi go poleciłaś! - Przypominam sobie pierwszą wizytę, kiedy mnie do niego zawiozła i zaczekała na mnie. - Mówiłaś, że pomógł twojej koleżance.

- Tak - kiwa z powagą głową. - Kazali mi.

- Kto?

- Wiedział o tobie wszystko. Miał ci pomóc, żebyś na swój sposób i w swoim tempie rozliczyła się z przeszłością.

Zawsze wiedział, kiedy kłamałam albo pomijałam fakty. Nikogo nigdy nie było w poczekalni. Nigdy nie robił notatek z naszych spotkań, ale świetnie wszystko pamiętał.

Wszystko do mnie wraca. Jak mogłam tego nie zauważyć?

- Kto ci kazał? - powtarzam, kiedy staje się jasne, że nie chce mi powiedzieć.

- Gdy stałaś się silniejsza, chciałam, żeby Gray ci powiedział, że nie znaleziono ciała Marlowe'a. Uważałam, że powinnaś wiedzieć. Ale się nie zgodził. Chciał cię chronić.

Tylko o to mu chodziło. Przecież wiesz.

Bierze mnie za rękę, mocno ściska i patrzy tak natarczywie, że aż się czuję skrępowana i wystraszona. Ale nie wyrywam się.

- Co mi chcesz powiedzieć? - Pochyliłam się w jej stronę i ściskam ją za rękę. - Po prostu powiedz.

Patrzy na punkt za moimi plecami, odwracam się i widzę w progu Drew. Wygląda jak chmura gradowa, ma zmarszczone brwi, pociemniałe oczy, zaczerwienioną szyję.

- Viv, to nie było konieczne - mówi surowo.

Vivian prostuje się, ściąga ramiona, wystawia podbródek.

- Najwyższy czas. To był błąd. Musi wiedzieć.

- Wcale nie - odpowiada. - Geary nie żyje. Co z tego, że nie znaleziono ciała. Nikt nigdy więcej o nim nie słyszał.

Mówi do mnie, a jego brwi schodzą się w grymasie złości.

Patrzą na siebie. Teraz rozumiem, że musieli się od lat o to kłócić, więc wszystkie słowa dawno padły i oni nie mają już sobie nic więcej do powiedzenia. Vivian chciała coś jeszcze dodać, ale wiem, że nie zrobi tego w jego obecności.

- Nikt nigdy nie miał również wiadomości od Ofelii, a tu proszę bardzo, jestem.

Teraz patrzą na mnie. Vivian nagle smutnieje. Nie potrafię odgadnąć, co myśli Drew.

- Kto to jest Ofelia? - przerywa nam rozmowę Victory-Przygląda mi się szeroko otwartymi oczami.

- To nikt ważny, kochanie. - Dotykam jej buzi. - Bohaterka powieści.

Biorę ją w ramiona. Pewnie weszła, kiedy rozmawialiśmy, nie wiem jak długo tu jest i ile słyszała. Już nie odpowiedzą na moje pytania. Nieważne zresztą, oboje są kłamcami.

Chwytam kurtkę Victory i jej szkolną torbę. Vivian i Drew chcą mnie zatrzymać, ale się powstrzymują. Nie zrobią sceny przy wnuczce. Przynajmniej jej okazują trochę szacunku.

- Jedziemy? - pyta Victory.

- Tak - odpowiadam.

Badawczo mi się przygląda, nie rozumie mojego tonu. Uśmiecham się do niej, odwzajemnia się niepewnym uśmiechem. Wychodzę bez słowa, zbiegam po schodach do samochodu. Słyszę, jak Victory woła:

- Pa, babciu, pa, dziadku!

Vivian i Drew stają w drzwiach i zmuszają się, żeby pomachać nam na pożegnanie.

- Złóścisz się na nich? - pyta mnie Victory, kiedy zapinam ją w foteliku. Jestem niezdarna i potwornie skupiona, niezgrabnie próbuję ją przypiąć. Nie odpowiadam, więc pyta znowu. Nie chcę kłamać, ale nie chcę się bawić w pytania i odpowiedzi.

Całuję ją w policzek i mierzwię fryzurkę. Zamykam drzwi, cały czas czując na sobie palące spojrzenia Drew i Vivian.

- Złóścisz się - mówi Victory, kiedy wyjeżdżamy z podjazdu. - Moja pani mówi, że można się złościć, ale trzeba o tym rozmawiać.

- Ma rację. Lecz czasami życie jest bardziej skomplikowane. Poważnie kiwa głową, a ja zastanawiam się, czego ją dzisiaj nauczyłam. Pewnie niczego dobrego.

Po chwili złość mi mija, uspokajam się. Kiedy obraz Vivian i Drew znika z wstecznego lusterka, ogarnia mnie ulga. Gray mi mówił, że jest zawsze bardzo spięty przed akcją, jednak napięcie mija po pierwszym wystrzale. Przestaje myśleć o tym, jak będzie, czy przeżyje i zaczyna działać. Dzisiaj po raz pierwszy wiem, o co mu chodziło.

Gray czeka na nas w domu. Zrywa, się z kanapy, kiedy wchodzimy. Victory dobiega do niego, a on podrzuca ją do góry i mocno ściska. Jej śmiech chwytą mnie za serce, jest taki słodki, taki dziecięcy, taki jej.

- Co słyhać u mojej dziewczynki? - pyta Gray.

- Mama jest zła na babcię i dziadka - odpowiada mała poważnie.

- To nic złego. Czasami złościć się na tych, których kochamy.

Stawia ją na podłodze i patrzy na mnie. Jego wzrok mi mówi, że już z nimi rozmawiał.

- Wiesz co? Na górze czeka Esperanza. Ma dla ciebie niespodziankę.

Nie trzeba jej dwa razy powtarzać. Patrzę, jak biegnie, słyszymy jej dudniące kroki na schodach. Przez chwilę patrzymy na siebie. Nie mogę nic wyczytać z jego twarzy.

- Dlaczego zabiłeś Briggsa? - pytam po dłuższej chwili.

W pokoju robi się ciemniej, zachodzi słońce. Fale biją o brzeg. Z góry dobiega mnie śmiech Victory. W kuchni gotuje się czarna fasola.

Marszczy czoło i otwiera usta, żeby zaprzeczyć.

- Śledziłam cię. Wszystko widziałam. Przechyliła głowę i głęboko

wzdycha.

- Nie mogłem rozgryźć, dla kogo pracował - odpowiada. - Dowiedziałem się, gdzie się zatrzymał. Zaproponowałem mu pieniądze, jeśli mi poda nazwisko swojego pracodawcy, a jemu powie, że cię nie znalazł albo że nie żyjesz, cokolwiek. Wziął pieniądze, a potem skłamał, że pracuje dla policji. Więc go zabiłem. Pomyślałem, że to będzie informacja dla tego, kto go wynajął. - Wzrusza ramionami.

- Skąd wiesz, że kłamał?

- Po prostu wiem.

- Czy on żyje? Marlowe. Czy żyje?

Nie odpowiada od razu, tylko długo na mnie patrzy. Wiem, że chce mnie przytulić, ale między nami wyrósł wysoki, nieprzystępny mur.

- Czy żyje? - pytam znowu.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem - odpowiada.

Jego słowa wwiercają się we mnie. To dziwne, ale lepiej się poczułam, kiedy Gray potwierdza wreszcie to, co zawsze wiedziałam. Czuję się silniejsza, zdrowa, bo wiem, że moje przeczucie mnie nie zawiodło.

- A Brown? Kim był?

- Ojciec go znał. Był psychiatrą klinicznym, zajmował się ludźmi cierpiącymi na militarne i paramilitarne zaburzenia stresu posttraumatycznego. Sądziliśmy, że ci pomoże.

Nie wspominam mu o swojej rozmowie z Harrisonem, nawet nie rozumiem dlaczego.

Pewnie znajdzie tłumaczenie na wszystko, co mu powiem. Nie wiem, komu wierzyć.

Harrison też nie jest aniołem.

- Co się z nim stało?

- Nie wiem. Nie kłamię. Słowo honoru. Mówię prawdę. Mówię

prawdę. Śmieszne.

Jeśli czujesz potrzebę, żeby tak powiedzieć, to czy wszystko, co do tej pory powiedziałeś, było kłamstwem?

I wtedy ją widzę. Stoi przy basenie, opiera ręce na oknie. Jest tak samo prawdziwa jak ja, co niewiele znaczy. Wreszcie widzę naprawdę, jaka jest, dziewczyna przez wszystkich, których kochała, oszukana i zdradzona, dziewczyna wiecznie czekająca na ratunek, który nie nadchodzi.

Jeśli kiedykolwiek istniało pytanie, co mogę dla niej zrobić, to właśnie otrzymałam na nie odpowiedź. Wszystko stało się jasne dzięki rewelacjom Harrisona i wyznaniom Vivian.

Po tych wszystkich latach zrozumiałam, dlaczego Ofelia tak bardzo się bała, dlaczego tak bardzo chciała uciec od życia, które prowadziła Annie Powers. To była tylko fasada, przykrywka, nieistotna i ulotna, którą zburzy pierwszy podmuch wiatru.

- Annie?

- Nie nazywaj mnie tak. Nie tak mam na imię.

Tulę Victory do snu i kładę się obok niej. W jednej ręczce ściska Claude'a, drugą mnie.

Zasypia, zamyka oczy. Patrzą na jej delikatny profil, różową skórę, gładką jedwabistą włosy. Czasami wydaje mi się, że matki żegnają się z dziećmi przez całe życie w kolejnych krótkich etapach. Jak tylko dziecko opuści twoje ciało, już zaczyna odchodzić, najpierw raczkuje, potem wstaje i idzie, wreszcie rzuca się do biegu. Dziś żegnam ją naprawdę.

Oczywiście ona nie ma o tym pojęcia.

- Ciągłe się złościł? - pyta mnie nagle, patrząc mi w oczy. Kiwam przecząco głową.

- Nie. Już w porządku. Czasami dorośli się sprzecniają. Kiwa główką i uśmiecha się sennie, zadowolona z moich słów. Zawsze była

rozsądna, mądra nad swój wiek.

- Kocham cię, córeczko, najbardziej na świecie. - Ważne, żeby to teraz ode mnie usłyszała.

- Ja ciebie też kocham, mamusiu.

Na jej buzi maluje się spokój, oddycha głęboko. Kiedy jestem pewna, że zasnęła, wymykam się z jej łóżka i szybko wychodzę. Jeśli zostanę przy niej choć przez chwilę dłużej, nie starczy mi siły, żeby zrobić to, co muszę zrobić.

Gray czeka na mnie w przedpokoju. Nie dokończyliśmy rozmowy, a musimy to zrobić jeszcze dziś. Idę za nim, zamykam za sobą drzwi. Przyznaję, że powróciły wspomnienia, że odzyskałam pamięć i opowiadam, co ustaliłam z dawnym znajomym, Oscarem.

- Annie - mówi, kiedy kończę. - Czy ty siebie słyszysz? Przecież poznałaś go w szpitalu.

- On załatwia takie sprawy dla takich firm jak twoja. Dzięki niemu ludzie znikają, dostają fałszywą tożsamość, pomaga im wyreżyserować własną śmierć.

Zerka na mnie sceptycznie.

- Jest szalony.

- Nie bardziej niż ja - bronię go. - Miał dół. Depresję, ryzyko zawodowe.

Gray siada przy oknie. Kładę się, żeby dać mu trochę przestrzeni, żeby przemyślał moje słowa.

- Spójrzmy na to racjonalnie. - Podnosi na mnie wzrok. - i Jaki to ma sens? Co z Victory? Naprawdę chcesz, żeby przez to przechodziła?

- Czy ty nic nie rozumiesz? Marlowe mnie odnalazł. Nie wiem jak, ale to fakt. Może Briggs pracował dla niego. Nie wiemy tego. Albo sama umrę, mając nadzieję, że wrócę do córki, albo umrę przez niego i to będzie koniec. Zwycięży.

- Nie pozwolę na to. Przecież wiesz.

- On zaczeka. Będzie czekał, żeby uderzyć, kiedy uzna, że już może. Kiedy nie będziemy się tego spodziewać.

- Przeceniasz go. - Chodzi po pokoju. - Myślisz, że jest kimś więcej, niż jest. Nawet nie mamy pewności, czy żyje. Annie, to czyste szaleństwo.

- Nawet jeśli to nie on, to i tak ktoś zna prawdę o Ofelii. Nie chcę, żeby ta sprawa kiedykolwiek dotknęła Victory. Gray, nadszedł czas. Zawsze mówiliśmy, że to zrobimy, jeśli dopadnie nas przeszłość.

- To było kiedyś. - Jeszcze nigdy nie widziałam go tak smutnego. Ciężko opada na krzesło. - Zanim mieliśmy dom, rodzinę, córkę, życie, które stworzyliśmy. Annie, nie mogę cię stracić.

Podchodzę i klękam przed nim.

- Więc zgódź się, pozwól mi umrzeć, żebyśmy znowu mogli stać się rodziną.

Wzdycha głęboko i przymyka oczy. Czekam, aż się pode-rwie i wymyśli sto powodów, dla których to jest beznadziejny pomysł, szalony, nieprzemyślany i niepotrzebny. Ale zaskoczył mnie.

- Zgoda - odpowiada - lecz zrobimy to po mojemu. Moi ludzie pomogą ci zniknąć i zabiorą cię w bezpieczne miejsce. Victory wyjedzie z Vivian i gdy jej nie będzie, dowiemy się, kto za tym stoi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, o niczym się nie dowie.

Kiedy będziesz bezpieczna, i zagrożenie minie, zastanowimy się nad twoim powrotem.

Podnosi mnie i bierze w ramiona.

- Zgadzasz się?

Jakie to proste, sądzi, że wszystko da się załatwić w kilka tygodni. Ale nie mówię mu tego. Cieszę się, że się ze mną nie kłóci.

Przez chwilę się zastanawiam, czy mi nie ustąpił dla świętego spokoju. Ale przecież od początku przypuszczaliśmy, że moja przeszłość nas dogoni i że będę musiała porzucić Annie Powers.

Oboje zapomnieliśmy, jak kruche było to życie, które wspólnie zbudowaliśmy.

-Tak.

Rozdział 30

Stoję przy zapadlisku i zaglądam w jego nieprzeniknioną głębię. Jest czarne niczym smoła i nieprzyjazne. Moje serce łomocze jak włączony silnik, podchodzi mi do gardła.

Czuję mrowienie ze strachu. Chcę uciec, ale już nie ma odwrotu. Jedynie chęć, żeby ochronić Victory popycha mnie do działania, więc wkładam piankę, którą dał mi instruktor.

Na plecy nakłada mi butlę z tlenem, aż mi się nogi uginają pod jej ciężarem. Zniknęło życie Annie Powers, tak zupełnie, jakby nagle poruszyła się ziemia, a ona wpadła do dziury.

Mam w ustach stabilizator, na oczach maskę. Słyszę głos Ja-net: „Była tam, w ciemnej, zimnej wodzie przez trzy miesiące. Moje dziecko. Sama w ciemnej, zimnej wodzie”. Jej lament prześladowuje mnie od chwili, gdy ją usłyszałam. Dopiero kiedy zostałam matką, zrozumiałam jej rozpacz.

- Jesteś gotowa?

Dotykam ręką połówki serca, ściskam jego brzeg.

-Tak.

Instruktor jest zaniepokojony, jakby czuł mój lęk i ból. Pewnie mam je wypisane na twarzy. Może słyszy je w moim oddechu.

Robię krok do przodu, wchodzę do wody, wpływam pod powierzchnię i wtedy ją widzę, młodą i kruchą Ofelię, krążącą niczym anioł. Ma ziemistą cerę, długie włosy tańczące w wodzie. Cieszy się na mój widok i bierze mnie w swoje zimne ramiona.

Wreszcie jestem cała.

Jestem Annie. Jestem Ofelią. Jestem Janet Parker i jej córką Melissą. Jestem martwa i w żałobie. Jestem matką i córką.

CZEŚĆ DRUGA

Znowu martwa

Pamiętaj, że dopóki nie powrócisz, należysz do mnie.

Z piosenki Należysz do mnie napisanej przez
Chilton Price (1952)

Rozdział 31

Dzisiaj wydarzyło się coś okropnego. Umarłam. Straszny wypadek. Coś się nie udało podczas egzaminu z nurkowania. Miała ataki paniki, przypomni sobie dziewczyna, która mnie szkolila w basenie. Bała się wody. Nie miała wystarczających kwalifikacji, żeby nurkować.

Ella sobie przypomni, jak podczas naszej rozmowy w centrum handlowym żartowałam sobie o chrzcie bojowym. Niepotrzebnie będzie miała wyrzuty sumienia, myśląc, że mogła mnie powstrzymać.

Nie odnajdą ani mojego ciała, ani ciała instruktora. Znajdą ubranie, klucze, portfel w suchej torbie na tylnym siedzeniu samochodu przy zapadlisku, gdzie zanurkowałam.

Będzie zaparkowany przy starej furgonetce dodge, zarejestrowanej na nazwisko Blake'a Woodsa z Odessy na Florydzie. W furgonetce znajdą mnóstwo starego sprzętu do nurkowania między podartymi piankami, kamizelkami ratowniczymi i stabilizatorami, które wymagają naprawy. Tylko że się okaże, że Blake Woods nie istnieje. Adres w jego prawie jazdy jest fałszywy, tak jak jego karta instruktora nurkowania.

Kiedy wreszcie nurkowie spenetrują rozległe jaskinie, pieczary i wąskie przejścia w poszukiwaniu ciał, odnajdą nowoczesną płetwę, zupełnie nową, dokładnie taką, jaką kupiłam w lokalnym sklepie ze sprzętem kilka tygodni wcześniej. Wkrótce potem zakończą poszukiwania.

Dlaczego ktoś, kto panicznie boi się wody, zapisuje się na lekcje nurkowania? Kim był mężczyzna, który podawał się za instruktora? Dlaczego zabrał ją do podziemnej jaskini na egzamin z nurkowania w otwartych wodach? Wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi. Ale to się często zdarza na Florydzie ludziom o wiele bardziej doświadczonym

ode mnie.

Schodzą do wapiennych pieczar i nigdy już stamtąd nie wychodzą. Nurkowanie w jaskiniach zbiera śmiertelne żniwo. Na pewno nie jest to hobby dla początkujących. Podejrzana sprawa, stwierdzi policja. Bez sensu. Jakie to smutne. Annie, dlaczego?

Leżę w ciemnościach, w ustach czuję metaliczny, cierpki smak krwi. Może po tylu fałszywych śmierciach w końcu umarłam naprawdę. Może to jest właśnie śmierć, długie, mroczne rozważania, wieczna analiza naszych ziemskich uczynków, próba oddzielenia jawy od snu. Zastanawiam się, czy umarłam i które z moich żyć było prawdziwe. Kiedy byłam Ofelią? Kiedy Annie?

Próbuję się poruszyć, ale wymiotuję, tak długo wstrząsają mną torsje, że nie mam już czym wymiotować, w gardle czuję krew i żółć. Leżę na mokrej metalowej powierzchni.

Zmarłam na kość, dygoczę. Skoro jestem obolała i wymiotuję, to pewnie żyję. Śmierć jest jednak chyba trochę mniej fizyczna.

Otacza mnie ciemność, nie dostrzegam nawet punkcika światła. Nie widzę ręki przed swoją twarzą. Mój oddech odbija się echem od metalu nade mną i wokół mnie.

Wszystko mnie boli, każda kostka, jakbym przeżyła wypadek samochodowy. Próbuję ocenić swoje położenie, zrozumieć, w jakiej jestem sytuacji. Wtedy przypominam sobie łódź. Przypominam sobie, że Dax odpłynął. Przypominam sobie ludzi, którzy umarli, próbując mnie chronić, mężczyzn, których żony spotykałam na firmowych przyjęciach, na uroczystościach, gdy przyznawano nagrody pracownikom Powers and Powers. Pamiętam szmatę zarzuconą na głowę i uderzenie.

Kiedy już zdążyłam przywyknąć do ciemności, zalewa mnie białe ostre światło. Jest tak jasne, że oślepia mnie tak samo, jak przed chwilą ciemność. Może to Bóg. Wątpię jednak, żebym zasłużyła na to.

Raczej przysłał posłańca, żeby się mną zajął.

- Ofelio March - słyszę ryk, który wydaje się dobiegać ze-wsząd. Bola mnie od niego uszy, tak jak bola mnie oczy od światła. Przyjmuje pozycję płodową, osłaniam głowę dłońmi.

- Gdzie on jest?

Nie mogę wydobyć z siebie dźwięku, poza chrapliwym jękiem bólu i rozpacz.

- Gdzie jest Marlowe Geary?

Chyba się przesłyszałam. Znowu rozlega się to pytanie.

Z przerażeniem uświadamiam sobie, że popełniłam straszny błąd. Miałam już jakieś przecucie na statku, kiedy zabrali mnie do kabiny, ale teraz naprawdę zrozumiałam, jak wszystko schrzaniłam. Zrezygnowałam z własnego życia, uciekłam od córki, przekonana, że Marlowe wrócił po mnie. Pozwoliłam Annie umrzeć, żeby Ofelia mogła się z nim ostatecznie zmierzyć. I nagle uderza mnie jak grom z jasnego nieba myśl, że to nie Marlowe mnie ścigał. Nigdy mnie nie ścigał.

Annie uwierzyła, że Marlowe nie żyje i że został pochowany jako NN na cmentarzu w Nowym Meksyku, w miejscu przeznaczonym dla NN, miejscowych i więźniów, o których nikt się nie upominał, kiedy zmarli. Wyobraziła go sobie w zwyczajnej sosnowej trumnie, głęboko pod ziemią i ten obraz dodawał jej otuchy. Uwierzyła we wszystkie kłamstwa, ponieważ chciała w nie uwierzyć. Ale Ofelia wiedziała swoje.

To ona go ścigała. Wreszcie to zrozumiałam. Kiedy nagle się budziłam w autobusach i tramwajach w drodze w nieznane, to dlatego, że ona starała się go odnaleźć.

Rozdział 32

Detektyw Harrison czuł się jak pacjent, który w końcu nie usłyszał diagnozy o grożącej mu śmiertelnej chorobie, czego się spodziewał, i z tego powodu oszalał ze szczęścia. Aż mu się w głowie kręciło, nie czuł się tak beztrosko od wielu lat. Gray spłacił jego dłużników. Harrison zapisał się do anonimowych hazardzistów, telefony z pogrózkami przestały dzwonić, a na jego biurku nie pojawiały się już zdjęcia żony i dziecka, co go wcześniej tak przerażało. Przestał wymiotować krwią, wrzód już mu nie dokuczał.

Gdyby mu ktoś powiedział rok temu, że weźmie udział w programie dwunastu kroków, strzeliłby go w zęby. Ale cotygodniowe wyznania w kościelnej sali przy plaży oczyściły go. Mógł mówić o rzeczach, które zrobił (przynajmniej o większości z nich), i słuchać innych, którzy robili rzeczy o wiele gorsze, byli już na dnie i ledwo się podnieśli. Nie był sam. I nie był wśród nich najgorszy.

Znowu po raz pierwszy od wielu miesięcy mógł kochać się z żoną. Nie czuł już okropnego skurczu żołądka, wywołanego poczuciem winy i strachem, ilekroć patrzył na twarzyczkę córeczki Emily. I co najważniejsze, przypomniał sobie, co to znaczy być gliną, dobrym gliną, którym zawsze chciał być. Traktował pracę z gorliwością nawróconego. I rzeczywiście czuł się oczyszczony.

Był w euforii, jak ci, którzy uniknęli konsekwencji swoich czynów. I jeśli go kusiło, żeby zagrać, jeśli czuł niepokój, słysząc o grze, jakiegokolwiek, w radiu, w telewizji, jeśli jeszcze nie wykasował numeru bukmachera z komórki, to tłumaczył sobie, że jest to proces, który trochę potrwa.

Tymczasem zajmował się najważniejszą sprawą w karierze, dzięki której zamierzał odkupić swe winy jako policjant. Dwa makabryczne

zabójstwa związane z jedną kobietą, która kłamała na swój temat. Oczywiście musiał zachować te informacje dla siebie z powodu układu z Grayem. Dlatego pracował po godzinach, szukając powiązania między Briggsem i Brownem. Był pewien, że znajdzie. Miał dobry węch.

Wtedy umarłam. Kiedy się o tym dowiedział, pojechał na miejsce wypadku, uśmiechając się w duchu. Nie żeby mnie nienawidził czy źle mi życzył, wręcz przeciwnie.

Nawet mnie polubił. Mimo to nie opłakiwał mnie, badając sprawę mojej podejrzanej śmierci. Wiedział swoje. Tak jak każdy dobry policjant, obszedł zapadlisko, przeszukał moje rzeczy i samochód. Kiedy znalazł kopertę, którą zabrałam z samochodu Briggsa, nie włączył jej do dowodów, tylko włożył pod marynarkę i ukrył pod siedzeniem samochodu, żeby nikt jej nie zobaczył. Spełniając swój policyjny obowiązek, przesłuchał osieroconą rodzinę i przyjaciół.

- Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła. - Ella płakała przy stole kuchennym. - Panicznie bała się wody. Żałuję, że jej nie powstrzymałam. Chciałam ją wspierać.

Harrison poklepał ją ze współczuciem po ramieniu, myśląc jednocześnie, że chociaż jest zdenerwowana, to nic nie straciła na swojej atrakcyjności.

- Była moją przyjaciółką. Przyjaciółką. To coś znaczy w naszym strasznym świecie.

To wiele znaczy.

- Bardzo mi przykro, pani Singer. Naprawdę.

- Sądzi pan, że odnajdą ciało? - zapytała, wycierając oczy. Z trudem mówiła, wstrząsał nią płacz. - Nie zniósłabym tego, gdyby jej nie odnaleźli.

- Nie wiem, proszę pani. Nigdy nic nie wiadomo z tymi jaskiniami. Nurkowie jeszcze niczego nie znaleźli.

- Pozostaje nam ból i rozczarowanie. Czasami tak przecież bywa.

- O czym pani myśli? - zapytał łagodnie. Uważał, że jest zbyt piękna i bogata, żeby być aż tak nieszczęśliwą.

- Myślę o życiu, czasami bywa ciężko.

I wtedy całkowicie przestała nad sobą panować, położyła dłonie na stole, oparła o nie głowę i rozplakała się na całego.

- Moja kochana, biedna przyjaciółka.

Siedział przy niej, obejmował ręką jej plecy. Już tyle razy się z tym spotykał. Nie czuł się zakłopotany, nie było mu niezręcznie. Współczuł jej i został z nią, póki nie poczuła się lepiej.

Uważał, że rozpacz Elli, jej poczucie winy i ból były prawdziwe i szczerze. Z kolei mój mąż nie wydał mu się aż tak przekonujący, choć wyglądał na znużonego i mizernego, kiedy Harrison go odwiedził po odnalezieniu samochodu.

- Dlaczego chciała zacząć nurkować, skoro tak bardzo bała się wody? - zapytał Graya. - Wszyscy, jej przyjaciółka, a nawet instruktorka mówią o jej lęku przed wodą.

Nurkowanie to dziwne hobby dla kogoś, kto nawet w basenie czuje się źle.

Gray potrząsnął głową.

- Annie była uparta. Wbiła sobie do głowy, że pokona strach ze względu na Victory.

Nie chciała, żeby córka widziała, że nie potrafi walczyć z lękami. Kiedy już coś postanowiła, nie można jej było od tego odwieść.

Detektyw skinął głową. Cała rozmowa była farsą i obaj wiedzieli, że Harrison ma związane ręce z powodu układu, który zawarł. Oczywiście nie poruszali tego tematu i obaj skrupulatnie odgrywali swoje role.

Harrison rozejrzał się po domu, żeby spełnić swój zawodowy obowiązek, myszkował po ciemnych, zamkniętych pokojach, podczas

gdy Gray podążał za nim krok w krok.

Harrison nie bardzo wiedział, czego szuka.

- Gdzie córka? - zapytał na pożegnanie. Gray westchnął i przetarł oczy.

- Wyjechała z dziadkami. Są w rejsie na Karaibach. Nie chcę, żeby ta historia się na niej odbiła. Nie wiem, jak jej o tym powiedzieć.

Jego tłumaczenie brzmiało rozsądnie. Jednak detektyw wyczuwał kłamstwo na kilometr.

Gray Powers miał wiele do ukrycia i był w stanie silnego napięcia emocjonalnego. A jednak nie oplakiwał śmierci żony. Śmierć ukochanych poraża.

Tego nie można udawać. Ludzie w żałobie albo wylewają morze łez, tak jak Ella, wpadają w szal i głośno krzyczą, albo zapadają się w siebie, zatracają, kiedy ich umysł usiłuje pojąć znaczenie śmierci, albo też zachowują się w sposób szalony i nieprzewidywalny. Zdaniem Harrisona, Gray nie był ani zagubiony, ani nie zrównoważony, tak jak wielu ludzi, z którymi miał do czynienia w czasie swojej kariery.

- Mieliście służącą, prawda? - zapytał na pożegnanie.

- Dałem jej wolne, bo nie ma Victory.

- Chciałbym z nią porozmawiać.

- Oczywiście. - Gray zniknął, po chwili wrócił z numerem telefonu i adresem, które napisał naprędce na kartce samoprzylepnej. - Zatrzymała się u siostry.

W progu obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem.

- Współczuję panu z powodu pańskiej straty.

Detektyw uśmiechnął się półgębkiem, z delikatnym sarkazmem. Jeżeli Gray zwrócił uwagę na jego ton albo wyraz twarzy, to nie dał tego po sobie poznać.

- Dziękuję. - Skinął głową i zamknął za nim drzwi.

- Gdzie jesteś, Ofelio? Przed kim uciekasz? - zapytał głośno Harrison, przejeżdżając obok domu na osiedlu zamkniętym, na którym kiedyś mieszkałam. Podziwiał domy, na które nie było go stać nawet w najśmielszych marzeniach. Patrzył na dzieciaki jeżdżące na drogich rowerkach. Zwrócił uwagę na połyskujące maski najnowszych modeli samochodów. Coś w nim drgnęło, ale zagłuszył to w sobie. Zamiast tego skoncentrował się na aktualnej sprawie, na tym, że ani przez sekundę nie wierzył, że umarłam. Był pewien, że żyję. Gdyby szło o zakład, postawiłby na to swoje życie.

Rozdział 33

Czuję ból. Moje ciało i umysł są w agonii, nie wiem od jak dawna, oscyluję między całkowitą ciemnością i oślepiającym światłem, ciszą i dudniącym głosem, zadającym mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Może jestem tu od wielu godzin, może od wielu dni. Teraz panuje ciemność i cieszy mnie to, chociaż moje ciało zdrętwiało od lodowatej wody, w której leżę. Dygoczę, zaciskam szczęki.

Nagle widzę na ścianie prostokąt światła, w drzwiach pojawia się niski i szczupły mężczyzna. Nie wiedziałam, że są tu drzwi. Jego kroki odbijają się echem od metalowej powierzchni, staje tuż przy mnie. Nie widzę jego twarzy. Widzę światło, mniej natarczywe niż wcześniej, ale muszę zamknąć oczy, zerknąć zza przymrużonych powiek, znowu zamknąć. Robię tak kilka razy, dopóki się nie przyzwyczaję.

Skądś znam jego twarz, pokrytą zmarszczkami. Ma małe, wodniste oczy, suche i ściągnięte usta. Ale to nie jest Marlowe.

- Możemy sprawę zakończyć - mówi do ściany.

Nie chce na mnie patrzeć, z litości albo ze wstrętu. Próbuję wstać, lecz mam tak silne zawroty głowy, że prawie tracę przytomność.

- Po prostu powiedz mi, gdzie on jest - mówi rzeczowym, zmęczonym głosem.

Jestem zdezorientowana, skąd niby mam wiedzieć, gdzie on jest? Ale nie mogę tego powiedzieć. Nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Stoi tak, nawet nie wiem jak długo, gapiąc się na ścianę. Może będzie chciał mi coś zrobić, kopnąć mnie. Jednak nic nie robi.

Stoi.

- Nie wiem. - Wreszcie odzyskuję głos. - Przysięgam. Nie wiem, gdzie jest - charczę.

Pociera skronie w geście zmęczenia. Próbuję sobie przypomnieć, skąd znam jego twarz.

- Być może Annie Fowler nie wie. Ale Ofelia March wie na pewno - mówi łagodnie, prawie z sympatią. Ma twardy wzrok. On wie.

- Nie - odpowiadam. - Nie pamiętam. - Nie mogę się powstrzymać przy nim od płaczu.

Gorączkowo przeszukuję moją dopiero co odzyskaną pamięć. Czy to możliwe, że gdzieś w labiryncie mojej zaburzonej psychiki wiem, gdzie Marlowe się ukrywał przez te wszystkie lata? Gonię wspomnienia, ale szybko znikają za zakrętem, wymykają mi się. Gdybym je złapała, wiedziałabym. Wiedziałabym.

- Nie chcę cię więcej krzywdzić.

- To nie rób tego - mówię pełna rozpacz.

Sztywnieje. Pada na kolana do zimnej wody i zbliża do mnie czerwona i wykrzywiona furią twarz. Czuję jego oddech, kiedy z wściekłością szepce mi do ucha:

- A więc, powiedz mi to, co chcę wiedzieć.

Wtedy rozpoznaję w nim Gniewnego Człowieka, jednego z demonstrantów, którzy stali na drodze przed naszym domem, tego, który pewnego dnia rzucił w samochód kamieniem.

Mój mózg nie wie, co z tym zrobić. Próbuję wstać, uciec przed nim, gdy tymczasem mój umysł próbuje umieścić tę informację w jednej z luk mojej pamięci.

Ale za dużo tego. Tracę przytomność.

Kiedy dochodzę do siebie, Gniewnego Człowieka nie ma. Ciągłe pali się światło.

Z wysiłkiem siadam i rozglądam się po pokoju. Widzę tylko metalowe ściany i zdjęcie przy moich nogach. Podnoszę je, to Victory, moja córka. Ma zamknięte oczy, kredową twarz.

Złote loki okalają jej buzię niczym świetlista aureola. Usta ma

zaklejone czarną taśmą, ręce związane z tyłu. Jest niewiarygodnie krucha i mała.

W tym momencie wszelka racjonalna myśl mnie opuszcza i zaczynam krzyczeć. Bezwiednie wydobywam z siebie charczący jęk, który rozszarpuje mnie na strzępy. Słyszałam już ten dźwięk w moich koszmarach wiele razy, kiedy wspominałam Janet.

Wstaję z podłogi i walę pięścią w drzwi.

Jego głos dudni w głośnikach, które widzę na suficie.

- Zaczniemy jeszcze raz. Gdzie jest Marlowe?

Rozdział 34

Ray Harrison prowadził drugie życie, kiedy żona i córka szły spać. Gdy nie spały, wiedział, dzięki ich miłości, jaką rolę gra w życiu. Jednak kiedy szły spać, budził się w nim niepokój, prawie czuł mrowienie rąk i nóg. Nie umiałby sobie wytłumaczyć tego, nawet gdyby chciał. Ale nie chciał.

Cisza, która zapadała w nocnym domu, jak mawiała Sara, przygaszone światła w kuchni, mrużenie elektronicznej niani, ściszony dźwięk telewizora, tak że ledwie go było słychać, powodowały, że chciał się połączyć z pustką, która w nim powstała, którą należało wypełnić. Zwykle o tej porze dzwonił do bukmachera i stawiał niedorzecznie wysokie stawki w grach, w których był pewny zwycięstwa. W tych godzinach siedział przykuty do ekranu, zawsze z tym samym poczuciem niedowierzania, kiedy rozgrywający z uszkodzonym kolaniem dokonywał cudów albo koń, który nie miał prawa przegrać, potknął się i upadł, a miotacz w bejsbolu z kontuzją ramienia wygrał w pięknym stylu. Czasami Harrison traktował to osobiście.

Tak jakby coś w kosmosie uknuło przeciwko niemu spisek, żeby tak mu dokopać, aż poleje się krew.

Wiele razy chciał obudzić Sarę, żeby się jej przyznać do tego, jak potwornie zblądził w życiu, ale gdy widział, jak smacznie śpi, tchórzył i cicho kładł się przy niej. Sara ufała mu bezgranicznie. Nie była jedną z tych żon, które wydzwaniały na posterunek, wypytując, czy mąż rzeczywiście pracuje po godzinach, które po kryjomu sprawdzały wydruki pensji mężów, liczbę przepracowanych godzin. To on zarządzał ich pieniędzmi. Nigdy nie sprawdzała stanu ich konta internetowego. Nie chciała kontrolować męża. Chciała mieć dziecko,

dom i męża, któremu może zaufać. A on potrafił jej to wszystko z wielką ochotą zapewnić.

A potem prawie ją zniszczył, gdy ona przez cały czas niczego nie podejrzewała. Kiedy o tym myślał, wstrząsał nim dreszcz, a twarz mu czerwieniała ze wstydu. Niemal zrujnował ich życie. Ledwie uciekł, jak przed nadjeżdżającym pociągiem towarowym.

Miał wobec mnie dług wdzięczności, wobec kobiety, którą poznał pod nazwiskiem Annie Powers. Gdyby nie ja, sądził, że albo byłby martwy, albo by stracił dwie osoby, które kochał. Teraz podczas tych męczących bezsennych godzin pracował nad sprawą tajemniczej kobiety, która go przypadkowo uratowała.

Urządził sobie ciasne biuro z tyłu kuchni, gdzie kiedyś była duża spiżarnia. Znajdowało się tam małe biurko, trzeszczące krzesło, goła żarówka zwisająca z sufitu, którą włączał i wyłączał za pomocą sznurka. Miał stary komputer, wolny i głośny i powinien go zmienić, ale musiałby wtedy zmienić podłączenie do Internetu.

Tej nocy, po rozmowie z Grayem, kiedy Sara i Emily już spały, przejrzał zawartość koperty z mojego samochodu. Natychmiast się zorientował, że należała do Briggsa; pismo Briggsa charakteryzowało się wyraźną zapętloną kursywą, przypominało pismo niezrównoważonego i niedorozwiniętego dziecka. Porównał próbkę pisma z innymi papierami, które wyjął z jego samochodu. Briggs pisał duże, niepewne O i chwiejne L, a jednocześnie jego pismo było na swój sposób dokładne, jakby każdą literę spisywał z tablicy, która stała tuż przed jego nosem. Koperta była przesiąknięta wonią cygar.

W środku były wydruki artykułów, które Harrison czytał w Internecie. Poukładane chronologicznie artykuły opisywały pożar i morderstwo na ranczu, naszą ucieczkę przez Amerykę, zbrodnie, o które podejrzewano Marlowe'a, i wreszcie naszą śmierć. Były tam zdjęcia z kamer nocnych sklepów i stacji benzynowych w całym

kraju.

Niektóre były niewyraźne i zamazane, trudno było cokolwiek na nich zobaczyć. Na wielu zdjęciach była Ofelia, oszalała, udręczona, złamana młoda kobieta. Harrison ledwo dostrzegał jej podobieństwo do mnie. Zwłaszcza jedno zdjęcie go poruszyło, bardziej niż inne zburzyło jego spokój ducha. Marlowe i ja byliśmy zatopieni w rozmowie, a obok nas leżało ciało kobiety, zgwałconej i okaleczonej tak, że brakowało słów, by to opisać.

Przyglądając się mojej twarzy, Harrison dostrzegł coś, co widział w twarzy Sary, kiedy na niego patrzyła. To był wyraz najczystszej i najgłębszej miłości, miłości, która była świadkiem każdego grzechu i która wszystko zwycięży.

Nadal leżę w wodzie, ale już nie czuję zimna.

- Koncepcja miłości romantycznej jest przewrotna - mówi lekarz. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami w rogu pokoju. Jego głos odbija się od ścian i sufitu, jest metaliczny.

- Ludzie lubią, żeby ktoś im powiedział, co mają o sobie myśleć. Jeśli w głębi duszy uwierzysz, że jesteś nic niewarta, to pokochasz kogoś, kto cię tak właśnie traktuje.

Dlatego tak bardzo pokochałaś Marlowe'a.

- Ponieważ myślałam, że jestem zerem.

- Nie było tak? Przecież to właśnie przekazali ci rodzice myślą i uczynkiem. Jesteś mało warta.

- On nie traktował mnie tak, jakbym była zerem.

- Nie od samego początku. Nigdy tego nie robią od początku. Niewielu ludzi nienawidzi siebie aż tak bardzo, żeby od razu godzić się na takie poniżenie. Gdyby cię na początku źle potraktował, nie byłabyś z nim. Nie mógłby cię kontrolować, tak jak to robił. Dlatego uciekają się do takich chwytów - najpierw coś ci daje, żeby ci to potem odbierać kawałek po kawałku.

Niechętnie się z nim zgodziłam, chociaż nie do końca mnie przekonał. Ale zrozumiałam, że w niektórych przypadkach prawda wcale nie musi wyglądać na prawdę. Surowo osądzałam matkę za to, że pokochała zabójcę. Nienawidziłam jej za tę słabość, za to, że zrobiłaby wszystko, żeby utrzymać przy sobie najbardziej haniebną miłość. Tymczasem Ofelia była taka sama.

- Kiedy całkowicie zatracasz poczucie własnej wartości, wtedy ci wmawia, że tylko on może pokochać kogoś tak żalosego. Miłość, którą cię obdarowuje, jest jak narkotyk, a ty chcesz być na haju, żeby było jak kiedyś. Tylko że już nie będzie.

Niestety, jest za późno. Uzależniłaś się.

- Kochał mnie. - Jestem żalose. Doktor ze smutkiem kiwa przecząco głową.

- Ofelio, on był psychopata. Psychopaci nie potrafią kochać.

- Nic dziwnego, że odebrali ci licencję - wypowiadam ostre i pełne nienawiści słowa.

- Przeklęty hochsztapler z ciebie. -Prawda czyni nas brzydkimi.

Uśmiecha się cierpliwie, delikatnie mlaskając językiem.

- Złość piękności szkodzi, no, no, ale się złościmy.

- Przepraszam. Podnosi rękę.

- Nie musisz. Jesteś w trudnym położeniu. Rozumiem. Nie mogę mu odpowiedzieć na jego pytanie.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie wiem, gdzie on jest. - Podnoszę głos o oktawę.

- Wiesz. Gdzieś w głębi ducha wiesz.

Nagle się budzę. Mojego doktora, który nie żyje, nie ma tu ze mną. Jestem sama i kurczowo ściskam w dłoni podarte i pogięte zdjęcie córki. Musiałam chyba drapać je paznokciami, próbując ją uratować. Staram się je wygładzić.

- Victory - mówię na głos, delektując się dźwiękiem jej imienia. To

wszystko moja wina. Sprawy, których się najbardziej lękamy, zawsze do nas wracają, takie jest prawo wszechświata. Kołyszę się z jej zdjęciem. Nienawidzę Marlowea, nienawidzę Gniewnego Człowieka, ale najbardziej nienawidzę siebie.

Oczywiście doktor, który pojawił się w moim śnie, ma rację. Marlowe był socjopatą i zabójcą, podobnie jak jego ojciec. I oczywiście nigdy mnie nie kochał. Ale to mnie nie powstrzymało od zakochania się w nim, od całkowitego oddania się tak, jak tylko molestowana i opuszczona nastolatka potrafi się oddać, niczym dziewczica składająca samą siebie na ołtarzu w ofierze. Manipulował mną i wykorzystywał mnie, a ja i tak przy nim trwałam. Kiedy zabijał, a ja stałam biernie z boku, za każdym razem coś żywego we mnie umierało. Aż w końcu stałam się chodzącym trupem.

To dziwne, ale w tym miejscu doświadczam zmartwychwstania. Nie jestem ani dziewczyną, ani kobietą, którą się stałam. Jestem jedną i drugą.

Myślę o ucieczkach od życia, o stanach fugi. Zastanawiam się, dokąd uciekała Ofelia, czy wiedziała coś, czego nie wiedziała Annie. Podejrzewam teraz, że go odnajdzie.

Pamiętam, co powiedziała Vivian, kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni: byłaś przez niego opętana, jakaś część ciebie, ta, która niewiele pamięta, ciągle była z nim związana.

Pytanie, dlaczego? Czy próbowała do niego wrócić, czy znowu chciała z nim być?

Czy była aż tak zdesperowana, głupia, nieszczęśliwie zakochana? Nie znam odpowiedzi. Ale jedno wiem na pewno: Ofelia wie, gdzie jest Marlowe. Muszę ją tylko zmusić, żeby mi powiedziała.

- Słyszysz mnie? - krzyczę w pustą przestrzeń.

Cisza wydaje się nucić jakąś melodię, ale to tylko fluorescencyjne światło pali się nad moją głową, prawie niepostrzeżenie migając.

Reflektor, którym świecili mi w oczy, zgasł, widzę, że jest zamontowany w najdalszym kącie pomieszczenia. Dobrze, że z tego zrezygnowali. W drugim kącie jest kamera, mruga czerwone światło.

- Gdzie moja córka? - Podnoszę głos, patrząc w nią. Panuje cisza, kiedy nagle słyszę mruk głośnika.

- Nie chcę jej skrzywdzić. - Głos Gniewnego Człowieka dochodzi do mnie z oddali, jakby dzwonił z drugiego końca świata. - Wiem, co to znaczy stracić dziecko.

Nikomu tego nie życzę. Nawet tobie.

Głos z głośnika wypełnia pokój. Powinnam była zażądać, że najpierw chcę usłyszeć jej głos, zanim zgodzę się mu pomóc. Ale jestem zbyt zdesperowana na tego rodzaju chwyt.

- Przypomniałaś sobie? Zaprowadzisz mnie do niego?

- Zrobię wszystko, co zechcesz. - Mówię to tak, jakbym była całkowicie pokonana i tak się czuję. - Tylko jej nie skrzywdź. Błagam.

Uświadamiam sobie, że znowu szlocham. Już się tego nie wstydzę, nawet nie wycieram oczu.

Rozdział 35

Kiedy Marlowe i ja znaleźliśmy się wreszcie w Nowym Jorku, w sklepie mojego ojca, byłam muchą złapaną w pajęczynę, bez możliwości ucieczki, odurzona prochami, która nawet nie próbuje się ratować. Nie prosiłam o pomoc. To było jeszcze na początku naszej ucieczki, zaledwie trzy tygodnie minęły od pożaru na ranczu, a władze nie wpadły jeszcze na nasz trop. Wtedy byliśmy tylko uciekinierami.

Oczywiście nie wiedziałam tego. Myślałam, że jesteśmy zbiegami, ściganymi za współuczestnictwo w morderstwie i wzniesienie pożaru. Ciągłe wypierałam ze świadomości zdarzenie na stacji benzynowej, choć w koszmarach pojawiała mi się krwawa aureola włosów rozrzuconych na linoleum.

Ojciec nie zadał żadnych pytań. Dał nam pokoik nad sklepem, w którym mieszkałam, kiedy go odwiedzałam. Było w nim łóżko zakryte różową kapą i krzesło z patchworkowym obiciem. Osłonę na kaloryfer sama pomalowałam na fioletowo, kiedy miałam dwanaście lat. Była tam też stara lalka z džinsu, z włosami z czerwonej wełny, w czarnej koszulce Helis Angels. Dawno temu uszyła mi ją jedna z byłych dziewczyn ojca. Nietrudno zgadnąć, że nazwałam ją Harley.

- Uciekłem z domu, kiedy byłem w twoim wieku - rzekł ojciec, prowadząc nas na górę.

Pojawiliśmy się nagle w jego sklepie, nie wydawał się jednak zaskoczony moim widokiem. Nie wiedziałam, kiedy wrócił z podróży, czy w ogóle w nią wyruszył. Nie pytałam. - Od tej pory żyłem na własny rachunek. Na własne konto.

Mówił o tym z wyraźną dumą, co mnie rozczarowało. Chciałam, żeby się na mnie złościł, żeby mi czynił wyrzuty, żeby mi pomógł

odnaleźć drogę z powrotem z tej spirali w dół, która mnie wciągała. Ale od samego początku rozumiałam, że mi nie pomoże.

Marlowe i ojciec nie zapawali do siebie sympatią. Nie spojrzeli sobie w oczy przy powitaniu, wymienili tylko sztywny uścisk dłoni, który bardziej przypominał konfrontację.

Marlowe był o głowę od niego wyższy, ojciec wydawał się przy nim kruchy i pomarszczony. Tym też mnie rozczarował, zawsze wydawał mi się potężny i silny. Pojęłam natychmiast, że nie jest w stanie zmierzyć się z Marlowe'em, ani fizycznie, ani w żaden inny sposób.

Chyba byliśmy u niego przez trzy doby. Ten pobyt stopił się w jeden obraz. Marlowe i ja prawie cały czas jedliśmy i spaliśmy w cichym, ciemnym pokoju, znużeni i wyczerpani.

Nie odróżniałam jawy od snu. Mglisto przypominam sobie rozmowy z ojcem, które ułożyły się we fragmenty snu, pytał o pogodę na Florydzie, wiedział, że próbowałam się z nim skontaktować, przeproszał, że wyjechał. Rozmawialiśmy o tatuażu, który miał zrobić Marlowe'owi. W mojej obecności był nieswój i niepewny, nie wiedział, jak ma postąpić. W środku wołałam go błagalnie o pomoc, ale był głuchy jak pień.

Czwartego dnia rano usłyszałam najpierw ciche pukanie do drzwi, a potem ktoś je delikatnie otworzył. Zobaczyłam ojca, który ręką przywoływał mnie do siebie. Właśnie zaczęło świtać, słońce przebijało się przez zasunięte żaluzje.

- O - szepnął. - Opie.

Wyślizgnęłam się spod ręki Marlowe'a i przez wąski przedpokój poszłam za ojcem do dużego pokoju. W pokoju był stół bilardowy, wokół niego stało kilka starych metalowych składanych krzeseł. Rozbolały mnie zatoki od ostrego dymu papierosowego. Przy drzwiach znajdowała się mała i brudna kuchnia, w malutkim zlewie piętrzyła się sterta naczyń, a na ladzie ciągnęły się długie rzędy

butelek po piwie.

Ojciec oparł się o parapet. Za jego plecami dostrzegłam po drugiej stronie ulicy dach niskiego brązowego budynku. Ktoś urządził na nim ogródek, wystawił leżaki i parasol w paski. Do moich uszu dochodził dźwięk budzącego się ruchu ulicznego.

Ojciec wyglądał starzej, niż go zapamiętałam, ciężkie koleje życia wyłobily na jego twarzy głębokie bruzdy. Garbił się, miał sińce pod oczami.

Wskoczyłam na stół bilardowy, myśląc, czyby nie podbiec do niego i nie paść mu w ramiona. Jednak ojciec nie był wylewny, czasem co najwyżej uściśnął mnie szybko i niezgrabnie albo nadstawił policzek do pocałowania. Kiedy chodziło o mnie, tylko tyle umiał.

- Dzwoniła matka, Opie.

Spojrzałam na swoje nogi i zauważyłam, że z paznokci odprysnął czerwony lakier, każdy palec był upstrzony małutkimi kropkami.

- Powiedziałaś jej, że jestem u ciebie?

- Nie.

- Co mówiła? Westchnął.

- Wybuchł pożar. Jej mąż został zamordowany. Matka jest w fatalnym stanie, Opie. A wy wpadliście po uszy. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyłam ramionami, przyglądając się badawczo swoim kolanom. Były brudne i całe w siniakach, nieatrakcyjnie guzowate.

- Przecież to nie ma z tobą żadnego związku. Skinął głową w stronę mojego pokoju.

- On mi się nie podoba, Opie. To zły człowiek.

Mówił stłumionym i drżącym głosem, słyszałam go, jakbym miała watę w uszach. Nie odpowiedziałam. Nie mogłam, byłam pewna, że Marlowe nas podsłuchuje. Nie wiem skąd, ale po prostu wiedziałam. Zesztywniałam cała z nadziei i strachu, na to właśnie czekałam, żeby

ojciec mnie wreszcie uratował.

- Musisz mi powiedzieć.

Podszedł, delikatnie ujął mnie palcem za podbródek, uniósł moją głowę i spojrzał mi w oczy. Dobrze, czemu nie? Zastanawiałam się, jak to zrobi, jak mnie wyrwie ze szponów Marlowe'a. Może już wezwał policję, może czekali na zewnątrz. To aż niewiarygodne, jak rozpaczliwie chciałam, żeby tak było. Kochałam Marlowe'a, ale jednocześnie strasznie się bałam jego i wszystkiego, co robił; wiedziałam, że może być tylko gorzej. Kłębiły się we mnie różne emocje, paraliżowały mnie. Bardzo, ale to bardzo potrzebowałam pomocy.

Całe moje ciało wzywało ratunku.

- Powiedz mi, że wszystko jest w porządku - szepnął. -W absolutnym porządku.

Kiedy dziś wracam do tamtej chwili, staram się go nie nienawidzić. Nie tylko gardzę jego słabym charakterem, ale też tym, że chciał, bym go zwolniła z odpowiedzialności.

Wtedy już nie musiał mieć mnie na sumieniu.

Zrobiłam to, o co mnie prosił, tylko to umiałam.

- Wszystko w porządku. - Uśmiechnęłam się sztucznie i ochoczo przytaknęłam. - Niedługo ruszymy na zachód i coś znajdziemy. Skończę szkołę i pójdę do pracy. Za chwilę będę miała osiemnaście lat, będę dorosła. Starsza, niż ty byłeś, kiedy poszedłeś na swoje.

Widziałam, że mu ulżyło. Opuścił rękę i głęboko odetchnął, uśmiechając się niepewnie. Znowu nie musiał być ojcem, obierać twardej linii, uczestniczyć, wykonywać trudnych telefonów, których ja nie umiałam wykonać, żeby sobie pomóc.

I tak nie wiedziałyby, co robić.

Usiadł obok mnie na stole bilardowym, wyjął zwitek banknotów, grubą rolkę, ciasno owiniętą gumką.

- Tu jest prawie tysiąc dolarów - szepnął. Znowu wskazał głową na mój pokój. - To dla ciebie, nie dla niego. Na wszelki wypadek, gdybyś mu powiedziała, żeby spadał.

Jeśli coś pójdzie nie tak, będziesz mogła wrócić do domu.

O jakim domu mówił? Pomyślałam, że jedyny dom stworzyłam z Marlowe'em.

Wzięłam pieniądze. Poczułam w dłoni ich ciężar. Moje serce się pod nimi ugięło.

- Za chwilę będzie tu policja, to tylko kwestia czasu - prawie wyszeptał. Utkwił wzrok w podłodze. - Pewnie nie dzisiaj, ale wkrótce.

Skinęłam energicznie głową.

- Chcesz, żebyśmy zniknęli.

- Nie, ale może ty chcesz, żeby cię zabrali z powrotem na Florydę.

Bałam się, że zdradzi mnie mój głos, walczyłam z rozpaczłą eksplodującą mi w piersi.

- Przysięgnij, że wszystko w porządku - odezwał się po dłuższej chwili.

Z trudem spojrzałam mu w oczy.

- Przysięgam.

Poklepał mnie delikatnie po ramieniu, pocałował w czoło i pośpiesznie opuścił pokój. Usłyszałam, jak zbiega po schodach w ciężkich butach. Siedziałam przez chwilę, z resztką nadziei, że jeszcze wróci albo że wtargnie policja. Nic z tego. Jego kroki oddalały się, aż wreszcie usłyszałam stukot drzwi wejściowych.

- Przecież ci mówiłem, że nigdy po ciebie nie przyjedzie. Odwróciłam się na dźwięk głosu Marlowe'a, który stanął za mną. Patrzył na mnie z triumfem i litością. Podszedł i położył mi dłoń na ramieniu.

Zrobiło mi się zimno od jego dotyku.

Tatuaż, który rozciągał się od mięśnia klatki piersiowej nad jego ramieniem, był posmarowany maścią z antybiotykiem, kreski były opuchnięte, skóra zaczerwieniona.

Musiało go boleć, ale nie dbał o to.

Dałam mu pieniądze, które włożył do kieszeni, było oczywiste, że mu je dam. Przytuliłam twarz do jego drugiego ramienia, tak żeby nie widział mojego wzroku. Pogładził mnie po głowie i szyi. Położyłam ręce na jego wąskich biodrach.

- Nie potrzebujesz nikogo innego. Należysz do mnie.

Rozdział 36

Briggs wynajął pokój w obskurnym motelu Sunshine zaledwie na dwa dni przed śmiercią, ale zdążył tam naśmiecć tak, jak w samochodzie. W niecałe dwadzieścia cztery godziny po moim zaginięciu, kiedy uznano mnie za zmarłą, Harrison rozglądał się po pokoju 206. Dywan, na którym walały się opakowania po jedzeniu, wyglądał jak łąka w kwiatkach, na łóżku leżały dwa szeroko otwarte i puste zatłuszczone kartony po pizzy, na parapetach w nierównych rzędach stały niczym żołnierze puszki po piwie. W toalecie leżały papierki po cukierkach obok najnowszego wydania „Economista”.

Harrison nie znosił bałaganu i na samą myśl o Briggsie miał ochotę wziąć prysznic. Jak na takiego brudasa Briggs był zaskakująco profesjonalny, biorąc pod uwagę jego kolekcję artykułów, obszerne notatki o moich rozmaitych wcieleniach, niekorzystanie z telefonu w motelu lub brak jakichkolwiek wskazówek, które doprowadziłyby detektywa do jego pracodawcy. Pośród tego całego bałaganu Harrison znalazł puste opakowanie po komórce. Nie było jej ani w pokoju, ani w samochodzie, ani przy Briggsie. Albo ją wyrzucił, albo ktoś ją zabrał, pewnie nawet nie wiedział, że policja może zgodnie z nowymi przepisami, na podstawie opakowania wezwać do okazania zapisu rozmowy telefonicznej. Była to jednak upierdliwa procedura i ciągnęła się tygodniami. Harrison czuł, że ma mało czasu, jeśli w ogóle zależało mu na moim losie.

Włożył rękawiczki i przejrzał zawartość kosza na śmieci stojącego przy drzwiach. Czuł na sobie baczny wzrok kobiety, która dowodziła ekipą dochodzeniową.

Zapewne uważała, że coś przeszkobie na miejscu zbrodni.

- Wyluzuj, Claire - powiedział, nie patrząc na nią. - Przecież

uważam.

- Twoja sprawa, detektywie, twój problem, jeśli coś spaprzesz.

Zignorował ją i dalej badał zawartość kosza. Prawie na samym dnie znalazł świstek papieru zwinięty w kulkę. Gruby i drogi papier zwrócił jego uwagę. Starannie rozłożył kulkę na dywanie, wygładził ją. Były tam nabazgrany ludzik, trzymający coś na kształt pistoletu, ktoś próbował rozpisać długopis, oraz numer telefonu, który Briggs próbował zamazać czarnym markerem, ale udało się go odczytać. Na górze strony widniała wydrukowana na niebiesko nazwa firmy Grief Intervention Services i adres internetowy, nomorefear.biz.

- Znalazłeś coś? - zaciekała się Claire.

- Same śmieci - odpowiedział, zwijając papierek.

- Jak to w koszu na śmieci.

Zaśmiała się z własnego żartu, a on z trudem próbował odwzajemnić uśmiech. Kiedy się odwróciła, włożył świstek do kieszeni i przez chwilę udawał, że nadal grzebie w koszu.

Dokonał oględzin pokoju i zostawił go technikom, którzy mieli szukać śladów i dowodów. Zwrócił uwagę na usługną hinduską parę, właścicieli motelu. Mąż był chudy jak patyk, miał wielki, szpecący go nieco nos z nasuniętymi nań grubymi okularami i mały podbródek. Żona wyglądała zjawiskowo w kusym różowo-złotym sari, włożonym na dżinsy, co wyglądało bardziej na modny akcent niż chęć nawiązania do tradycji. Miała wielkie oczy w kształcie migdałów, długie ciemne rzęsy, a jej piękne ciało przypominało klepsydrę. Detektyw z przyjemnością zerkał na nią kątem oka, oczywiście przez cały czas okazując jej szacunek. Doceniał piękno, choć nigdy nie zdradził żony. Nie widział nic zdrożnego w tym, że dostrzegał urodę kobiet.

Mąż głupio szczyrzył się do Harrisona. Żona była zasepiona. Denerwowała ją i niepokoiła obecność policji. Za to mąż zachowywał

się tak, jakby wreszcie wydarzyło się coś ekscytującego. Ich motel był skomputeryzowany, miał podłączoną sieć kamer. Briggs zatrzymał się w motelu jako Buddy Starr, na czterdzieści osiem godzin przed odnalezieniem jego ciała, zapłacił za pokój gotówką i przedstawił prawo jazdy ze stanu Nowy Jork, które właściciele motelu skrzętnie zeskanowali. Nie dzwonił do nikogo, nie korzystał w pokoju z Internetu.

Para prowadziła także hinduską restaurację, sąsiadującą z motelem. W powietrzu unosił się aromat kurczaka w sosie tandoori i curry, aż Harrisonowi zaburczało w brzuchu, kiedy w biurze za recepcją przeglądał film z kamery, która monitorowała korytarz przed pokojem Briggsa. Wkrótce miał to, czego szukał, lecz kiedy zobaczył na ciemnym korytarzu potężnie zbudowanego mężczyznę idącego do pokoju 206, pojawiło się więcej pytań niż odpowiedzi. Mężczyzna szedł ostrożnym, lecz pewnym żołnierskim krokiem, odwracając twarz od kamery. Nie musiał wyważać zamka łomem, miał ze sobą kartę i bez problemu wszedł do pokoju. Był w środku około dziesięciu minut, po czym wyszedł tak samo jak wszedł, cicho i niczego nie wynosząc.

Chociaż sąd by tego nie uznał za dowód, Harrison bez trudu rozpoznał Graya, jego posturę i sposób chodzenia, onieśmielającą muskulaturę ramion. Mężczyźni częściej dostrzegają rozmiar i budowę innych mężczyzn, niż się do tego przyznają. Harrison zapamiętał ramiona Graya i to, co przemknęło mu przez myśl: że fatalnie byłoby dostać od niego cios pięścią.

Według zarejestrowanego czasu, Gray zjawił się w motelu w niecałą godzinę po śmierci Briggsa, z kartą do jego pokoju.

- Znalazł pan coś? - Młody właściciel motelu, nie mogąc pohamować ciekawości, stanął za detektywem.

- Zostaw go w spokoju - upomniała go żona siedząca w recepcji. -

Niech zrobi, co do niego należy, wtedy szybciej sobie pójdą.

Mąż nie zwrócił na nią uwagi i nadal szczyrzył zęby. Był wyraźnie podniecony całą sprawą, chociaż dla motelu nie było korzystne, że pokój jest odgradzony żółtą taśmą, wskazującą na miejsce zbrodni, a przed wejściem stoi wóz ekipy dochodzeniowej. Chociaż ludzie pewnie pomyślą, że to jakieś telewizyjne reality show. Z trudem odróżniają to, co się dzieje naprawdę, od tego, co się dzieje w telewizji. Harrison zauważył w ciągu ostatnich kilku lat, że zbrodnia, nawet najbardziej krwawa, stała się cool. Dla właściciela motelu fakt, że jego gość został zastrzelony, nie był ani tragiczny, ani straszny, lecz interesujący, napisze o tym maile do kolegów i rodziny i nie pójdzie spać, tylko będzie snuł domysły, co się faktycznie wydarzyło.

- Może - odparł Harrison. - Czy jest szansa, że dostanę kopię nagrania z monitoringu między dziewiątą dziesięć a wpół do dziesiątej wieczorem?

Mężczyzna energicznie skinął głową.

- Przekopuję nagranie tak, żeby mógł je pan odtworzyć na swoim komputerze.

- Świetnie - rzekł detektyw. - Wspaniale, dziękuję.

- Co pan zauważył? - Właściciel uśmiechał się szeroko, wystukując staccato na klawiaturze. - Pewnie to tajemnica. Ma pan superpracę. Chciałem zostać policjantem, ale rodzice mieli co do mnie inne plany. Nadal o tym myślę, bez przerwy. Mirandzie, mojej żonie, również się to nie podoba.

Mówił dalej, ale Harrison przestał go słuchać. Myślał o filmie, na którym Gray wchodzi do pokoju Briggsa, tuż po jego śmierci. Czy to było aż tyle warte? Często zadawał sobie to pytanie. O co tak naprawdę chodzi? Czy to pomoże mojej sprawie, mojej karierze?

Ile teraz by mi zapłacił, żeby dowody zniknęły? Ocknął się i poczerwieniał ze wstydu. Tak myślał kiedyś. Teraz miał się zmienić i

pomóc Annie Powers, czy jak jej tam. Ale czy nie byłoby lepiej, gdyby mógł pomóc i jej, i sobie?

Nie pamiętam, ile czasu minęło od opuszczenia mieszkania ojca do spotkania z Briggsem, pół roku, może więcej. Miesiące i dni z tego okresu zlały mi się w jeden ciąg, nie pamiętam żadnych konkretnych, które by podkreślały upływ czasu. Teraz wiem, że miałam całkowite załamanie psychotyczne i chociaż sporo sobie przypominałam, nie odtworzę wielu codziennych zdarzeń. Nie mówię, że jest mi przykro. Ale musiały też być chwile olśnienia, ponieważ niektóre wspomnienia, które powracają, są boleśnie żywe.

Tej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Briggsa, siedziałam z Marlowe'em w jadalni. Oboje zmieniliśmy wygląd. Przefarbowałam włosy na ohydny czarny kolor.

Wyglądałam jak upiór. Marlowe ogolił się na łyso, zapuścił bródkę i wąsy. Wyglądał, jakby był wampirem skinheadem. Aż dziwne, że jadalni w publicznych miejscach. W filmach zabójca żywi się na postojach dla ciężarówek, a jego zdjęcia są przyklejone za ladą i co jakiś czas pojawiają się na ekranie telewizora. Kiedy ktoś go rozpozna, zaczyna się pościg. Jednak w prawdziwym świecie ludzie nie zwracają na nic uwagi, mają małe rozumki, żyją w swoich ciasnych światach. Ledwie zauważają to, co się dzieje wokół nich, a jeżeli już zauważą, to trudno im to pojąć.

Marlowe poszedł do łazienki, a ja czekałam na niego, gapiąc się w dno filiżanki. Jakiś mężczyzna przeszedł trochę zbyt blisko mnie i upuścił serwetkę na mój stół. Odwróciwszy się, dostrzegłam jego barczystą, ciężką sylwetkę i tył łysej głowy, kiedy wychodził na dwór.

Rozwinęłam serwetkę, na której było napisane: „Za chwilę Marlowe'owi stanie się coś złego. Ratuj się, dopóki możesz”. Zmiałam serwetkę i upuściłam ją na podłogę.

Poczułam dreszcze.

- Stało się coś? - Marlowe usiadł naprzeciwko mnie.
- Nie. Nic takiego. Jestem zmęczona.
- Zawsze jesteś zmęczona.
- Może to z powodu towarzystwa, w którym przebywam -palnęłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

Spojrzał na mnie zdumiony. Po chwili pochylił się nad stołem.

- Uważaj na swoje słowa...

W jego głosie czaiła się groźba. Zostawialiśmy za sobą ślad brutalnie zamordowanych kobiet i wyczułam z jego tonu, że nic mu nie przeszkodzi, żebym była następną ofiarą.

Po wejściu do łazienki spojrzałam na siebie w lustrze. Łazienka była brudna, kafelki na podłodze kleiły się do nóg, na drzwiach do toalet widniały napisy graffiti, w powietrzu unosił się zapach moczu. Nie rozpoznałam swoich czarnych jak smoła włosów, trupio bladej twarzy, mogłam się z łatwością wystraszyć własnego odbicia w lustrze.

Jak mogę to wytłumaczyć? Jak wytłumaczyć mój związek z Marlowe'em, którego kochałam i nienawidziłam, bałam się i kurczowo trzymałam. Nie mogę, ani wtedy, ani teraz. Ratuj się, dopóki możesz.

Kiedy wróciłam, Marlowe'a już nie było. Wiedziałam, że czeka na mnie w samochodzie. Przy barze siedzieli dwaj umundurowani policjanci. Nie było ich tam, kiedy szłam do łazienki, a teraz pili kawę z białych ceramicznych kubków, mieli włączone radia, przy biodrach duże rewolwery. Ich koszule pękały od ukrytej pod nimi broni.

To było chyba w Pensylwanii. Mieli brązowe mundury, jasne koszule, jeden śmiał się z tego, co mówił drugi.

Wszystko wokół mnie nagle zwolniło i zmieniło kształt, wykrzywiło się, kiedy zbliżałam się do baru, przy którym siedzieli. Ratuj się, dopóki możesz. Wyobraziłam sobie, jak do nich podchodzę i oddaję

się w ręce sprawiedliwości. Marlowe i tak by im uciekł.

Powiedziałabym, że mnie zostawił na pastwę losu, że mnie uwolnił, a oni by mnie aresztowali. Wrzuciliby mnie na tylne siedzenie i zabrali na posterunek.

Może zadzwoniliby po mojego ojca. A on by po mnie przyjechał. Powiedziałabym mu w końcu, że ze mną wcale nie jest dobrze, że musi się mną zająć. Tym razem na pewno by to zrobił.

Jednak się nie zatrzymałam. Przeszłam obok. Nie zauważyli, kiedy wyszłam na dwór w zimną noc. Marlowe czekał na mnie. Wsunęłam się do samochodu, do kradzionego cadillaca. Moje serce waliło jak werbel.

- Co za idioci. Niewiarygodne. - Zaśmiał się, wyjeżdżając z parkingu.

Ratuj się, dopóki możesz. Nie mogłam.

Porzuciłam siebie samą i tyle samo razy siebie zdradziłam, oddałam się za tandetną podróbę miłości. Nigdy nie byłam szczera wobec Ofelii, zamknęłam ją głęboko w klatce, pozbawiłam powietrza i światła, nie pozwoliłam jej dojrzeć. Wyparłam ją z siebie.

Zabiłam. Zrobiłam to, bo uznałam, że jest nic niewarta. Ze wszystkich ludzi, którzy ją skrzywdzili, ja skrzywdziłam ją najbardziej. Teraz muszę ją odzyskać i naprawić swoje winy, żeby ratować córkę.

Mam poczucie absurdu, kiedy idę szybkim krokiem po mokrym asfalcie. Mijam jaskrawe witryny sklepu muzycznego. Na podświetlonych od tyłu, rzucających światło na moje nogi, błyszczących okładkach płyt widzę twarze wychudzonych gwiazd muzyki pop, dbających o swój grunge'owy wizerunek. Kupcy i sprzedawcy muzyki żyją w innym świecie, wiodą bez troskie i całkowicie obce mi życie. Czekam na rogu w strugach deszczu, samochody i taksówki pędzą jak szalone. Po drugiej stronie ulicy

widzę sklep ojca i hamuję się, żeby nie wpaść między sznur samochodów, tak chcę do niego wbiec. Sklep jest zamknięty, ale w oknach na górze widzę błękitne migotanie ekranu telewizyjnego.

Nowy Jork. Jak się tu dostałam? Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Już nie ufam swoim wspomnieniom o zapadlisku, statku, mężczyźnie o imieniu Dax, metalowym pokoju, kajucie i Gniewnym Człowieku. Ale zdjęcie Victory w mojej kieszeni i naszyjnik na szyi podpowiadają mi, że część z tego może być prawdą.

Obudziłam się w pociągu, kiedy wjeżdżał na Grand Central. Miałam na sobie czyste ubranie, którego nigdy wcześniej nie widziałam, długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy, skórzane botki. Ludzie wokół rozmawiają przez komórki, gapią się bezmyślnie w ekrany małych przenośnych komputerów, mają słuchawki na uszach. Spojrzałam na swoje odbicie w oknie, włosy mam związane w koński ogon, pod oczami sińce.

Na stacji płynę z tłumem. Widzę budki telefoniczne i zastanawiam się, do kogo mogę zadzwonić. Rozpaczliwie chcę zadzwonić do Graya albo do Vivian, ale nie mogę.

Mam zbyt dużo do stracenia i nie wiem, komu mogę zaufać.

Ruch maleje, przechodzę przez ulicę na drugą stronę. Zatrzymuję się w przedsionku, naciskam domofon do mieszkania ojca. Naciskam pięć, może sześć razy, żeby dać do zrozumienia, że mam pilną sprawę. Wreszcie słyszę ciężkie kroki na schodach.

- Chwila moment, poczekaj - słyszę warknięcie ojca. -French, jeśli to ty, to zaraz oberwiesz.

W drzwiach staje starzec, który wygląda jak nieudana wersja mojego starzejącego się ojca. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to on. Widząc mnie, nieruchomieje, podpira się ręką o ścianę i zamyka oczy.

- Tato - mówię chrapliwym, niepewnym głosem. Wygląda

strasznie, jest zaniedbany i przemęczony. Wymięte ciuchy wiszą na nim, jakby niedawno schudł, ale nie postarał się o to, żeby kupić sobie nowe ubranie. Otwiera szeroko drzwi i bierze mnie w ramiona. Nigdy przedtem tego nie zrobił. Nigdy. Nawet jeśli czuję się trochę niezręcznie w jego objęciach, to chętnie wybaczę mu wszystko, co do tej pory zepsuł jako ojciec. Wdycham zapach alkoholu i papierosów. Nie widzieliśmy się prawie siedem lat.

- Nie powinnaś tu być - odezwał się. - Powinnaś nie żyć, Ofelio. Znowu to samo.

Rozdział 37

- Chyba tutaj umrę.

Marlowe wyrzekł te słowa zwyczajnie, bez emocji, jakby nic sobie z tego nie robił. Nie radziłam sobie z myślą o jego śmierci. Wstrząsnęła mną mieszanka nadziei i przerażenia. Byliśmy w Nowym Meksyku, gdzieś między Taos i Santa Fe. Marlowe dojrzał z drogi stary kościół, biały budynek z suszonej cegły, mieniący się jak latarnia morska.

Bez słowa zatrzymał samochód, wysiadł i pomaszerował w jego kierunku. Pobiegłam za nim, wdychając unoszący się w powietrzu intensywny zapach szaławii i jałowców.

Okna były ciemne, a drzwi z drewna i kutego żelaza zamknięte na cztery spusty. Kiedy zajrzałam do środka przez szybę, dostrzegłam rzędy świeczek wotywnych, migoczących jak robaczki świętojańskie. Marlowe położył się na małym skrawku trawnika wewnątrz ogrodzenia, okalającego kościółek, ja usiadłam obok niego.

Wsunął ręce pod głowę, głęboko westchnął i powoli wypuścił powietrze. Od pustyni wiało chłodem, gwiazdy migotały na niebie. Byłam mieszcuchem. Nawet nie wiedziałam, że jest ich aż tyle.

- Jeśliby nas mieli złapać, umrę.

Kilka razy zaczerpnęłam tchu, zanim zapytałam:

- Zabijesz się?

Potrząsnął głową, spojrzał na mnie ciemnymi oczyma, a ja odwróciłam wzrok. Już nie byłam w stanie na niego patrzeć, bo albo miałam w uszach krzyk, albo widziałam rzekę krwi.

- Nie - odparł. - Upozoruję własną śmierć. Wszyscy pomyślą, że mnie zamordowano, a ja tymczasem się ukryję.

Jak dziecko snuł fantazje na temat własnej śmierci. Ale my przecież byliśmy wtedy dziećmi; zawsze o tym zapominam. Kiedy o nim

myślę, widzę tytana, osobę o niewyczerpanej energii, któremu się całkowicie poddałam z różnych względów. A on nie miał wtedy nawet dwudziestu jeden lat.

Dotknął mojej nogi.

- Przez jakiś czas będę się trzymał od ciebie z daleka, może nawet przez kilka lat.

Jeśli nie znajdą ciała, to będą cię obserwować, czekać, aż przyjdiesz po mnie albo ja po ciebie. Przy pierwszej okazji odnajdę cię, a ty będziesz na mnie czekała. To nasza karma, nasza więź.

- Dokąd pojedziesz? - Brałam udział w jego grze, wiedząc, że się rozgniewa, jeśli tego nie zrobię.

Wzruszył ramionami.

- Nie mogę ci powiedzieć. Będą cię torturować, żebyś im wyznała, gdzie jestem.

Jesteś słaba. Złamią cię.

Wtedy zaczęłam płakać. Ukryłam twarz w zgięciu łokcia, żeby nie zauważył, ale i tak trzęsły mi się ramiona.

- Nie martw się. - Usiadł i objął mnie. Głos miał słodki i łagodny. - Przyjadę po ciebie.

Obiecuję.

Nie z tego powodu poddałam się rozdzierającemu smutkowi, który zamieszkał w mojej piersi. Zrozumiałam, że się nigdy od niego nie uwolnię. Przez resztę życia będzie żył we mnie tuż pod powierzchnią skóry, w sennych koszmarach, czając się za najbliższym rogiem.

- Kiedy będziemy mogli znowu być razem - powiedział - podrzucę gdzieś naszyjnik, żebyś go znalazła. Wtedy będziesz wiedziała, że po ciebie wróciłem. To będzie znak.

Świetnie się bawił, odgrywając tę scenę. A ja płakałam. Bardzo mu to pasowało do naszej historii. Byłam wtedy tak samo zaburzona i miałam urojenia jak on, brałam udział w jego paranoi, odgrywając

ofiarę. Milczeliśmy przez jakiś czas. Moje łzy schły, a ja wsłuchiwałam się w wycie kojota do księżyca.

I wtedy...

- Chcę, żebyś się o czymś dowiedziała. Ktoś musi wiedzieć. -Głos miał twardy i dziwny.

- Co takiego?

Długo przyglądał się płaskiemu bezkresowi, który nas otaczał, pomyślałam, że już nic więcej nie powie. Nie nalegałam. Wewnątrz aż się skuliłam ze strachu na myśl, co to może być.

- Te kobiety... - Zaśmiał się dziwnie, potrząsnął głową. -Nie były nic warte. Nikogo nie obchodziły.

- Jakie kobiety? - zapytałam, choć ramiona miałam napięte do bólu i pięści zaciśnięte tak, że wbijałam paznokcie w dłonie.

- Te, które przyprowadzał ojciec. W większości były porzucone, nawet przez własnych rodziców. Nikt ich nie opłakiwał.

Pomyślałam o Janet Parker, jak wyła przed naszą przyczepą.

- Nieprawda.

- Prawda - warknął, pokazując zęby jak wściekły pies, którym był.

Nie sprzeczałam się. Słuchałam jego opowieści o tym, jak chciały przerwać beznadziejną egzystencję, jak szukały kary, na którą zasłużyły. Śmierć była dla nich aktem miłosierdzia, dostrzeżono je bardziej po śmierci, niż kiedy żyły.

- Marlowe - wykrztusiłam wreszcie, kiedy milczał przez dłuższą chwilę. Mówiłam delikatnie, tak jak lubił. - Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

Noc wydawała się rozciągać, sekundy zamieniały się w godziny. Kojoty zawodziły w oddali.

- To nie ojciec je zabił. - Jego słowa wzbiły się w górę, zrobiły pętlę i odpłynęły w stronę nocnego nieba. Marlowe był trupio blady, zamiast oczu miał czarne dziury, jak w masce kupionej w sklepie z tandetą za

grosik. - Nie wszystkie.

- W takim razie kto? - zapytałam, choć znałam odpowiedź.

- Widziałem, jak ją zabił. - Nie odpowiedział na moje pytanie. - Nigdy ci o tym nie opowiadałem. Wcale nas nie zostawiła. Nie uciekła od nas. Spaliła drożdżową bułeczkę, którą upiekła na śniadanie. Tak mocno ją uderzył, że się zatoczyła i uderzyła głową o skraj blatu. Usłyszałem okropny hałas, coś pomiędzy łomotem a trzaskiem. Nie żyła już, zanim ciężko opadła na podłogę, z nienaturalnie skręconą szyją.

Przerwał, a ja wsłuchiwałam się w coraz cięższy oddech, chociaż na jego twarzy nie malowały się żadne emocje i oczy miał suche. To było nierealne, jakbym oglądała program w telewizji.

- Matka była głupia i słaba, kulila się przed nim ze strachu, całe życie dreptała wokół niego na palcach, jakby chodziła po skorupkach jaj. Ale i tak ją kochałem. Nie chciałem, żeby umarła.

Bałam się cokolwiek powiedzieć. Bałam się wykonać najlżejszy ruch.

- Skłamałem dla jego dobra. Nie chciałem, żeby poszedł do więzienia. Kiedy jej znajomi z pracy nasłali na nas policję, powiedział, że uciekła. Wzięła pieniądze z banku i ukradła samochód. Uwierzyli mu. Uwierzyli mi, kiedy opowiadałem, że uciekła w nocy.

Powiedziała: „Marlowe, kochanie, wracaj do łóżka. Jadę po mleko na śniadanie”.

Niedaleko słyszę szelest. Jakieś nieduże zwierzę wraca do domu przez pustynię.

- Jednak nigdy mu nie wybaczyłem. Kilka lat później przyprowadził do domu tlenioną blondynę o ziemistej cerze, sama skóra i kości. - Zaśmiał się z odrazą, patrząc z uporem w dal. - Nie zamierzałem mu pozwolić na to, żeby mi kimś takim zastąpił matkę. Nie mogłem mieć innej matki, więc on nie będzie miał kolejnej dziwki.

Bez emocji opowiadał o kobietach, które zabił, kreując się na ofiarę, chłopczyka, któremu tak bardzo brakowało matki, że postawił sobie za cel ją pomścić. Prawie go nie słyszałam. Wszystko we mnie wyło.

Frank miał wyrzuty sumienia, więc pomagał mu ukrywać zbrodnie, a potem wziął na siebie całą winę, bo tak bardzo go kochał. Nie wiedziałam, czy mam mu wierzyć, ale to bez znaczenia. Rozpadłam się. Słuchając jego głosu, odpłynęłam w stronę gwiazd i uniosłam się wysoko nad naszymi ciałami. Spojrzawszy w dół, ujrzałam na trawie przed białym kościółkiem dwie osoby, jedna cicho opowiadała o morderstwach, a druga pragnęła śmierci.

Ojciec prowadzi mnie do mieszkania. Jest starsze i bardziej zaniedbane, choć wygląda tak samo jak kiedyś. Z tą różnicą, że wcześniej mieszkał w nim beztroski kawaler, a teraz w zaniedbanym mieszkaniu żyje starzec, który nie potrafi o siebie zadbać. Dni jego chwały minęły, nigdy niczego nie zbudował, domu ani rodziny, która by go przeżyła.

Widzę, że dokupił fotel z podnóżkiem i duży telewizor, który stoi przy oknie na stoliku ze szkła i chromowanego metalu. Przesunął stół bilardowy, żeby pomieścić nowe nabytki. Przy krześle stoi oszroniona puszką piwa, po raz kolejny pokazują Słoneczny patrol.

Siedział sam w ciemności i oglądał telewizję.

Wzrusza ramionami, kiedy widzi, że spoglądam na ekran.

- Kiedyś z nią chodziłem - pokazuje na tlenioną blondynkę.

- Tato... - Potrząsam głową. - Kocham cię, ale byłeś okropnym ojcem.

Ugina się pod ciężarem moich słów, chyba tłumi w sobie płacz. Nie mam czasu, żeby go pocieszyć.

- Musisz mi pomóc. Może okażesz się lepszym dziadkiem. Pokazuję mu zdjęcie, które wyciągam z kieszeni.

- Chryste Panie - mówi, patrząc na mnie.

- Marlowe nadal żyje. Szukają go, porwali Victory, a ja mam ich do niego zaprowadzić, bo inaczej ją skrzywdzą. - Wiem, że to brzmi jakbym była wariatką.

Nagle strasznie mi szkoda Victory. Niezła ekipa ratownicza, znużony życiem stary patologiczny kłamca i chora umysłowo matka.

Jak szalona wyrzucam z siebie całą historię, wszystko, co się wydarzyło, od kiedy spotkałam w nocy na plaży mężczyznę.

- Gdzieś w środku mam wiedzę o tym, gdzie jest - kończę -nie mam tylko jeszcze do niej dostępu.

- Opie - odpowiada ojciec łagodnie. - Nie obraż się, ale czy na pewno nie pomieszało ci się w głowie?

Myślę o tym przez chwilę.

- Może, tato, nie wiem.

Przygląda mi się znad podniesionych brwi i pyta:

- Co mam zrobić?

Rozdział 38

W niecały tydzień po moim zniknięciu w kapliczce przy plaży odbyło się nabożeństwo żałobne na moją cześć. Przybyli licznie sąsiedzi, znajomi i koledzy Graya z pracy. Był upał, klimatyzator ledwie dyszał. Spoceni ludzie wachlowali się i ronili łzy, kiedy Gray wygłosił wzruszającą mowę żałobną o tym, jak bardzo mnie kochał, jak zmieniłam jego życie i uczyniłam go lepszym człowiekiem. Wszystko, co było we mnie najlepsze, przekazałam Victory, naszej córce.

Stojący z tyłu Harrison obserwował żałobników. Nieobecność Vivian, Drew i Victory rzucała się w oczy. Niezły teatr, pomyślał. Nie organizuje się nabożeństwa żałobnego dla kobiety, która wciąż jest uznana za zaginioną, chyba że komuś bardzo zależy na tym, aby pokazać światu, że ona nie żyje. Gray zapadł się w sobie, był nieobecny duchem; nikt nie miał wątpliwości, że spotkała go tragedia. Harrison raczej uważał, że Gray ugiął się pod ciężarem strasznych kłamstw.

Kobieta w pierwszym rzędzie rozsłochała się. Rozpoznał ją, choć widział tylko plecy. Ella była pięknie przystrojona w smutek, włosy zebrała w śliczny kok, była nienagannie ubrana w prostą, czarną, obcisłą sukienkę, miała wypielęgnowane paznokcie. Po nabożeństwie Harrison stanął z boku wśród drzew, obserwując wychodzących ludzi.

Patrzył, kto wychodzi sam, kto się wyróżnia z tłumu. Łatwo było zgadnąć, że większość mężczyzn to koledzy Graya z pracy, wszyscy mieli ten sam wojskowy sznyt, byli dobrze zbudowani, otaczała ich aura tajemniczości i bacznie obserwowali, co się wokół nich dzieje. Wśród niektórych starszych żałobników rozpoznał moich sąsiadów, których poznał tamtej nocy, kiedy na plaży pojawił się intruz. Nikt nie

wzbudził jego zainteresowania.

- Dlaczego pan tu jest? - Ella podeszła do niego. - Nie był pan z nią zaprzyjaźniony.

Poczuł od niej alkohol. Spojrzał na nią uważnie. Widać było, że ledwo stała na nogach.

Miała zaczerwienione oczy.

- Czy ktoś panią zawiezie do domu? - spytał łagodnie.

- Nikt z obecnych tutaj z nią się nie przyjaźnił - rzekła trochę za głośno.

Osoby idące do samochodów odwróciły się, żeby się jej przyjrzeć.

- Nigdy ich wcześniej nie widziałam. Harrison położył dłoń na jej ramieniu.

- Odwiozę panią, pani Singer.

- Mam samochód, dziękuję - odparła sztywno.

- Może go pani odebrać później - powiedział bardziej zdecydowanym tonem.

Zdziwił się, kiedy mu się nie sprzeciwiła.

- Kim oni właściwie są? - szepnęła, wspierając się na nim, kiedy ją prowadził do samochodu. - Gdzie jest jej córka? Gdzie są Drew i Vivian? Pytałam Graya, ale odrzekł, że to nie moja sprawa. - Przerwała na chwilę i potrząsnęła głową. - Coś tu nie gra.

Otworzył jej drzwi i wsiadła do środka, przy jego niewielkiej pomocy. Usiadł na fotelu kierowcy, zapalił wóz i włączył się do sznuru samochodów wyjeżdżających z parkingu przed kaplicą. Błękitne niebo poszarzało, znad morza nadciągały ciężkie, ciemne chmury.

- Ktoś ją zamordował, prawda? - Spoglądała przez okno.

- Skąd to pani przyszło do głowy? Wzruszyła ramionami.

- Tamten mężczyzna na plaży wtedy w nocy. Zmieniła się. Nie wiem, nie była sobą.

Może się kogoś bała. Nie wiem.

- Czy kiedykolwiek opowiadała o swojej przeszłości? - zapytał, wjeżdżając na teren osiedla. Przy bramie stał długi sznur samochodów, ludzie przyjechali do nas na stypę.

Ella pokazała Palcem drogę do swojego domu i powoli potrząsnęła głową.

- Wie pan co? Nie. Wiem, że wychowała się na środkowej Florydzie i że oboje jej rodzice nie żyją. Poza Grayem i Victory nie miała nikogo. Nigdy nie mówiła o przeszłości, czułam, że nie życzyła sobie, żebym ją o to pytała. Więc tego nie robiłam.

Nie miał serca jej powiedzieć, że nie nazywałam się Annie i że większość rzeczy, które jej mówiłam, były kłamstwem.

- Czy miała dobre kontakty z rodzicami Graya? - zapytał.

- Kochała Vivian, ale, moim zdaniem, nie układało się między nią a Drew.

- Ach tak.

- Nie cierpiał jej, przynajmniej tak sądziła. Uważał, że Gray mógł lepiej trafić.

Niewiele o tym mówiła. Nie chciałam jej zmuszać.

- O czym rozmawiałyście? Milczała przez chwilę.

- O butach. - Zaśmiała się histerycznie, a potem wstrząsnął nią szloch. Pomyślał, że znowu się rozpłacze. Ale dość szybko wzięła się w garść. Starannie otarła łzy, uważając, żeby nie rozmazać makijażu. - Byłam okropną przyjaciółką. Nic o niej nie wiedziałam.

Podjechał pod jej dom.

- Akceptowała ją pani taką, jaka była. Tyle wiemy o innych, ile sami nam powiedzą.

Szanowała pani jej prywatność, spędzałyście razem miłe chwile. Moim zdaniem, była pani wspaniałą przyjaciółką. Naprawdę tak uważam.

Detektyw był mądrym człowiekiem. To samo bym jej powiedziała.

Wyjęła chusteczkę z kopertowej torebki i wytarła w nią nos.

- Dziękuję - kiwnęła głową. - Ona też była wspaniałą przyjaciółką.

Milczeli jakiś czas. Wiatr targał liśćmi wysokich palm, które szeptały i plotkowały o wszystkim, co wiedziały i o czym nie powiedzą. Szare niebo zrobiło się czarne, żeby za chwilę wybuchnąć.

- Tamtej nocy na plaży... - Ella pochyliła się do przodu i spojrzała na niebo. Harrison znowu zwrócił uwagę na jej urodę, delikatny zarys szczęki, królewską długą szyję.

- Tak?

- Na przyjęciu wydawało się jej, że kogoś rozpoznała. Młoda dziewczynę w dżinsach i w koszulce z krótkimi rękawkami.

- Kto to był? Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Znałam tam wszystkich, całą obsługę, pracowali już dla mnie wcześniej. Annie bardzo się tym zdenerwowała i szybko wyszła.

- Do czego pani zmierza?

- Nikogo takiego tam nie było, przed czterdziestką, a już na pewno nikt nie miał na sobie dżinsów i koszulki z krótkimi rękawkami.

Harrison przypomniawszy sobie tamten wieczór, kiedy na postoju wpatrywałam się w coś za jego plecami, jakbym kogoś albo coś obserwowwała. Strach na mojej twarzy był tak widoczny, że aż sięgnął po broń.

- Uważa pani, że Annie ją sobie uroiła?

Przez chwilę była zdziwiona, jakby przedtem sama na to nie wpadła.

- Nie wiem. Zapamiętałam wyraz jej twarzy. Widziałam go już wcześniej, ale wtedy było gorzej. Wydawała się udręczona i wyczerpana. I chyba rzeczywiście tak było.

- Na jej twarzy pojawił się nerwowy uśmiech, dłonią dotknęła szczęki. - Nie wiem, dlaczego to panu opowiadam. To i tak panu nie

pomoże.

- Dobrze, że mi pani powiedziała. Nigdy nie wiadomo, co może pomóc. - I dodał po chwili: - Czy kiedykolwiek wspomniała o swoim lekarzu?

Potrząsnęła głową.

- Nie. O jakim lekarzu?

- A o organizacji Grief Intervention Services? W zamyśleniu uniosła brwi.

- Nie. - Potarła dłonią skroń. Widywał volkswageny mniejsze niż pierścionek na jej palcu. - Nigdy mi o niej nic nie mówiła.

- Myśli pani, że mogła po prostu uciec? Rozumie pani, uciec od własnego życia. Czy była do tego zdolna?

Bez wahania pokręciła energicznie głową.

- Nie ma mowy. Nie bez Victory. Ubóstwia ją. - Zawahała się. - Chyba pan tak nie uważa. Że uciekła?

- Staram się niczego nie pominąć. Kiedy nie ma ciała, sprawdzamy każdą ewentualność.

- To nie wchodzi w grę. Nie uciekłyby bez córki.

- No dobrze. - Uśmiechnął się do niej, myśląc, że tego potrzebuje. - Bardzo mi pani pomogła. Naprawdę.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- A więc to jest dochodzenie w sprawie zabójstwa. Dlatego był pan w kaplicy? Tak jak w telewizji.

- Robię, co do mnie należy. - Starał się powiedzieć jak najmniej.

Skinęła głową, chcąc jeszcze coś dodać, ale tylko podziękowała za podwiezienie. Potem wbiegła do domu, bo na dobre się rozpadało. Patrzył za nią, aż weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Pojechał dalej i zaparkował niedaleko mojego domu. Patrząc na wchodzących i wychodzących gości, myślał o mnie, o Marlowie i wszystkich rozpaczliwych rzeczach, które ludzie robią z miłości. Zrozumiał,

kiedy zaczął padać grad, a ludzie mknęli z samochodu do domu albo odwrotnie, zakrywając głowy marynarkami lub torebkami, że jeśli chce się dowiedzieć, co się ze mną stało, będzie musiał się cofnąć do przeszłości, by ruszyć do przodu.

Opowiadam ojcu, jak wskoczyłam za moim mistrzem nurkiem do długiego wąskiego wapiennego tunelu, co trwało całą wieczność, i wyszłam w innym miejscu. W Grand Cherokee czekał na mnie człowiek; nie znałam jego nazwiska, ledwie go widziałam.

Zdjęłam piankę, wysuszyłam się i włożyłam ubranie, jakie mi przyniósł. Sprawdziłam zawartość torby, którą wyjął z szafki. Otworzył ją kluczem, który wcześniej dałam Grayowi. Położyłam się na podłodze samochodu i leżałam tak wiele godzin w niewygodnej pozycji, targana wątpliwościami. Kiedy przysnęłam, budziła mnie albo wyboista droga, albo myśl, że porzuciłam córkę i że za kilka godzin wszyscy znajomi dowiedzą się, że utonęłam podczas nurkowania.

Po zapadnięciu nocy weszłam w porcie w Miami na towarowy statek udający się do Meksyku, gdzie miałam czekać na Graya.

- Kimkolwiek są - wtrącił ojciec - szybko się dowiedzieli, gdzie jesteś.

- Prawda. - Nosi mnie. Przemierzam nerwowo mały pokój, ciało mam naelektryzowane napięciem, fizycznym bólem, który nie minie, dopóki nie zobaczę Victory. Wszystkie matki znają to uczucie, kiedy zapłacze ich dziecko. Jakby bolała nas każda końcówka nerwu, każda komórka, dopóki nie weźmiemy dziecka w ramiona i go nie ukoimy. Tak się teraz czułam, a nawet gorzej, bo dochodziła do tego przerażająca desperacja.

- Czegoś tu nie rozumiem - rzekł ojciec.

Przyglądam mu się, jego ziemistej cerze, niechlujnej brodzie, głębokim bruzdom wokół oczu, które wryły się w jego skórę. Długie

siwe włosy, które ściągnął gumką, są suche i łamliwe. Może jest chory, ale nie zapytam o to. Nie chcę wiedzieć.

- Nie rozumiem - ciągnie - kto wiedział o tym, gdzie miałaś być? Kto wiedział, że będziesz na statku?

- Nikt poza Grayem i jego ludźmi, którzy mieli mnie chronić i bezpiecznie doprowadzić na miejsce.

- W takim razie jak cię znalazł ten gość, którego nazywasz Gniewnym Człowiekiem?

Na środku morza?

Nie umiem odpowiedzieć.

- Może mnie obserwowali albo śledzili.

- Być może. - Przechyliła głowę na bok. Zamyślił się, ale nic już nie mówi.

Nie zastanawiałam się, jak Gniewny Człowiek wpadł tak szybko na mój trop. Nawet się nie zdziwiłam, kiedy tamtej nocy zobaczyłam drugi statek. Jakbym czekała na niego, tak jak wtedy, kiedy byłam pewna, że Marlowe po mnie wrócił.

- Muszę coś sprawdzić w komputerze.

- Jest w sklepie.

Siadam na dole w recepcji i szukam w Internecie informacji o Gniewnym Człowieku. Szukam Rodzin Ofiar Franka Gearyego. Mam wrażenie, że zegar bije coraz szybciej, czuję ucisk w piersi. Zastanawiam się, gdzie jest teraz Gniewny Człowiek, czy śledzi moje działania.

Wiem od Graya, że technologia jest obecnie tak zaawansowana, że on lub ktokolwiek, kto ma mnie obserwować może spokojnie to robić z odległości kilku ulic lub nawet kilku kilometrów. Zastanawia mnie fakt, że dali mi tyle przestrzeni do działania. Chociaż i tak dobrze wiedzą, że przywiązali łańcuch do mojego serca. Zrobię wszystko, co mi każą. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Ze wszystkich miejsc na świecie, gdzie mogli mnie zostawić, dlaczego zostawili mnie tutaj? Na pewno wiedzieli, że pójdę do ojca. A może chcieli, żebym do niego poszła?

Szukam zdjęć mężczyzny, którego widziałam, z nadzieją, że trafię na jego nazwisko. Znajduję jednak te same stare artykuły, które czytałam ze sto, może tysiąc razy. Gapię się w ekran i walczę z pokusą, żeby nie trzasnąć nim o podłogę, nie skakać po nim, nie krzyknąć z wściekłości i bezradności.

Ojciec kładzie przede mną na biurku album. Ekran komputera rzuca niesamowitą, błękitną poświatę. Album jest otwarty na zdjęciu tatuazu Marlowe'a. Widząc go, przeżywam szok. Wiele razy mi się śnił i wiele razy widziałam go w swojej wyobraźni.

Kiedy jednak widzę zdjęcie jego skóry, dociera do mnie, że był tylko człowiekiem, ciałem i krwią, a nie potworem z sennego koszmaru. Jest prawdziwy i może jeszcze żyje.

Patrzę na ciemne linie tatuazu. Widzę wzburzony ocean i wystające skały, moją twarz ukrytą w obrazku, wilka wyrzytego na jednej ze skał. Dwa ptaki krążą nad skałą.

Obraz jest tak samo piękny i dokładny, jak go zapamiętałam. W moich snach pulsuje i porusza się, ocean uderza o brzeg, a ptaki żałośnie płaczą w wielkim bólu. Na stronie albumu obraz jest płaski i martwy, jak mapa prowadząca do głowy Marlowe'a.

- Dlaczego mi to pokazujesz? - pytam. - Popatrz uważnie. - Ojciec stuka palcem w zdjęcie. Po kilku sekundach wreszcie to widzę. Gdybym nie spojrzała z uwagą, nigdy bym nie dostrzegła. W liniach tworzących grań skał jest jeszcze jeden ukryty obrazek, szopa na ranczu Franka.

Rozdział 39

W głębi ciemnych i dzikich mokradeł Florydy wśród bujnych ciemnozielonych zarośli i tętniących życiem wód rosną dzikie orchidee. W zeszłym wieku łowcy orchidei, hodowcy i kłusownicy zakładali wodery, pustoszyli bagna pełne delikatnych kwiatów, zapełniali ciężarówki tymi niegdyś obficie rosnącymi roślinami i wywozili je w świat, żeby zbić na nich majątek. Teraz orchidee występują tak rzadko w środowisku naturalnym, że ekolodzy robią, co w ich mocy, żeby uratować ginące gatunki. Owiany legendą „Duch Florydy” jest prawie nieosiągalny. Śnieżnobiały z delikatnie zwiniętymi płatkami, bezlistny epifit nigdy nie dotyka ziemi i wydaje się unosić niczym widmo, stąd jego nazwa. W historii Florydy ludzie kradli, kłamali, walczyli i umierali, szukając orchidei „Duch Florydy”, która kwitnie raz do roku.

Harrison zawsze lubił tę historię, historię ludzi, którzy ryzykowali życie, szukając jedyne delikatnego obiektu ich namiętności. Chwilami uważał siebie za jednego z nich.

W gąszczu kłamstw, w gnijącym bagnie morderstw poszukiwał świeżych, białych rzeczy, które były czyste i wystawały ponad mrok.

Tak jak łowcy orchidei chętnie zapuszczał się w mroczne i cieniste przestrzenie, podążając do miejsc, do których nie zapuściliby się mniej odważni. Tak długo tkwił przed komputerem, że aż go piekły oczy, wykonał kilkanaście bezowocnych telefonów, rozmawiał z ponurymi i nieskorymi do współpracy miernotami, a mimo to się nie poddawał. Nie dopuszczał do siebie myśli, że nie znajdzie tego, czego szuka.

Tego wieczoru po nabożeństwie żałobnym i rozmowie z Ellą zachowywał się jak myśliwy. Był sam w gabinecie na posterunku.

Wszyscy z jego piętra już dawno poszli do domu. Gdzieś dzwonił telefon, gdzieś w radiu rozlegał się beznadziejny hip--hop, nie miał pojęcia, w czym wykonaniu. Ktoś ćwiczył w sali gimnastycznej, słyszał, jak ciężarki ładują z łoskotem na podłodze nad jego głową.

Miał ledwie strzępy informacji, adres strony internetowej, nazwisko zamordowanego psychiatry, który działał bez licencji, dokładne notatki i zbiór artykułów nieżyjącego łowcy nagród, zaginioną kobietę z fałszywą tożsamością, która, tak się złożyło, była eksdziewczyną (albo więźniem, w zależności od tego, z kim o tym rozmawiał) seryjnego mordercy. No i oczywiście był jeszcze jej mąż, były wojskowy, obecnie właściciel sprywatyzowanej firmy militarnej, który z jakiegoś powodu wszedł do pokoju motelowego Briggsa w godzinę po jego śmierci.

Harrison zadzwonił do Sary, żeby na niego nie czekała, tylko zamknęła drzwi na noc.

Zobaczą się rano. Włączył Internet i rozpoczął długą, samotną i mozolną wędrówkę przez bagna, w poszukiwaniu „Ducha Florydy”.

Uwielbiał Internet i to, jak można było nim podążać za skrawkiem informacji przez króliczą norę, ścigać go tunelami, skręcać w prawo i w lewo, wychodzić na zewnątrz w miejscu i znaleźć się tam, gdzie nikt się nie spodziewał, kiedy zaczynał.

Zaczął od adresu strony nomorefear.biz. Niewiele tam znalazł, czarny ekran i prosty cytat: „Żadne inne uczucie nie pozbawia tak umysłu zdolności działania i rozumowania, jak strach”. Kiedy kliknął na to zdanie, znalazł się na innej stronie, na której było zdjęcie mężczyzny trzymającego w objęciach szlochającą kobietę i tekst: Czy w wyniku przemocy straciliście kogoś albo byliście ofiarami okrutnej zbrodni?

Jeśli tak, to wasze życie się zmieniło, powstała w nim wielka dziura, przez którą wtargnął najbardziej złośliwy i niszczyielski

potwór - strach. Bardziej jadowity niż jakikolwiek przestępca, gorszy niż czyny jakiegokolwiek zabójcy, strach pozbawi was wszelkiej pewności. Jest tylko jedna droga wyjścia z tego straszego lasu.

Musicie przez niego przejść. Musicie się zmierzyć z tym, czego najbardziej się lękacie.

Powiemy wam, jak to zrobić.

Był tam numer telefonu i ze zdziwieniem zobaczył lokalny kod. Szukał adresu ulicy, ale nie znalazł niczego na żółtych stronach internetowych i uświadomił sobie, że to numer komórki. Wystukał numer na telefonie, który miał zablokowany ID, i zanim odezwał się dzwonek, usłyszał pocztę głosową.

- Gratulacje. Zrobiłeś pierwszy krok. Zostaw swój numer i adres, oddzwonimy. Jeśli nie jesteś na to gotowy, nie jesteś gotowy na drugi etap.

- Cześć - powiedział drżącym i niepewnym głosem. - Mam na imię Ray, chciałbym się dowiedzieć czegoś o waszym programie. - Gdy skończył, poczuł dziwny ucisk w żołądku.

Kiedy nie udało mu się znaleźć więcej informacji na temat organizacji, wysłał maila do Mike'a Keene'a, kumpla, który pracował dla FBI, żeby sprawdził informacje o Grief Intervention Services. Następne kilka godzin spędził na picciu kawy, męczeniu oczu, bólu w plecach, wędrowaniu po wirtualnych korytarzach i otwieraniu drzwi w poszukiwaniu ludzi, którzy nie chcą zostać odnalezieni. Około północy jego wizja samego siebie jako poszukiwacza orchidei wydała mu się znacznie mniej atrakcyjna i romantyczna.

Przypomniał sobie, co pomyślał po nabożeństwie żałobnym - że musi się cofnąć do przeszłości, żeby pójść do przodu. Wpisał imię i nazwisko Franka Geary'ego.

Przeglądając stare artykuły na temat jego procesu, oskarżenia i wyroku śmierci, kruczaty mojej matki i wreszcie śmierci Franka z rąk

Janet Parker, zrozumiał, przez jakie przeszedłam piekło.

Ten trop doprowadził go do artykułu w „South Florida Sun-Sentinel” na temat badań DNA, które dowodziły ponad wszelką wątpliwość, że Frank Geary był winny przynajmniej dwóch morderstw spośród tych, o które został oskarżony.

Artykuł wspominał, że inne dowody DNA wskazują na możliwość, że Marlowe był z nim w zмовie albo że popełnił kilka innych morderstw. Dowody pochodzące z dokonanych przez niego zabójstw na terenie całego kraju pasowały do dowodów zebranych na miejscach zbrodni, które przypisano Frankowi.

Przeczytał, co napisał Alan Parker, mąż Janet i ojciec zamordowanej Melissy: „Nowe dowody budzą niepokój. W zaistniałej sytuacji domagamy się sprawiedliwości. Chcę stanąć twarzą w twarz z osobą, która zamordowała moją córkę”.

Harrison przeczytał, że Parker założył organizację Rodziny Ofiar Franka Gearyego, która domagała się ponownego zbadania dowodów za pomocą nowej dostępnej technologii.

Zaskoczył go dźwięk telefonu. Sięgając po aparat, zrzucił ramieniem z biurka pusty kubek. Wylądował z hukiem na podłodze, ale się nie stłukł. Na ekranie pojawił się niebieski kolor i wyświetlił się napis NIEDOSTĘPNY.

- Halo? - powiedział. Na linii były jakieś zakłócenia. -Halo? - powtórzył. Serce zaczęło mu mocniej bić, nie zastanowił się, co ma powiedzieć, jeśli oddzwonią do niego ludzie z Grief Intervention Sendces.

Usłyszał gruby męski głos.

- Tu Keene. Właśnie dostałem twojego maila.

Harrison odetchnął. Zerknął na zegar, była prawie pierwsza w nocy.

- Jeszcze jesteś w robocie? - zapytał.

- Jak zawsze - odparł Mikę Keene. - Ty też?

- Tak. - Potarł dłonią oczy. Wymienili grzeczności, zapytali o żony i dzieci. Wreszcie Harrison spytał: - Wiesz coś o Grief Intervention Sendces?

- Obito mi się o uszy, więc trochę pogrzebałem. Zarejestrowali się w stanie Floryda.

Ale mają adres P.O. Box.

- Kto jest założycielem? - Harrison zapisał adres, który dał mu Mikę.

Usłyszał, jak Mikę uderza w klawiaturę.

- Niejaki Alan Parker. Założył organizację jakieś pięć lat temu. Organizacja prowadzi terapię dla ludzi pogrążonych w bólu po stracie bliskich. Nikt się na nią nie skarżył.

Nie odnotowała zysku, nie figuruje na żadnej liście, przynajmniej oficjalnie.

- Oficjalnie?

- Kilka lat temu na południowej Florydzie trener szkolnej drużyny piłki nożnej został skazany za molestowanie dwóch chłopców i kiedy odsiedział jakieś sześć lat, został zamordowany w swoim domu. Brutalnie zamordowany, wykastrowany, z roztrzaskaną czaszką... no wiesz, poszli na całość.

- Więc gliny przyjrzały się ofiarom i ich rodzinom - odgadł Harrison.

- Zgadza się. Ale nic nie znaleźli. Nikt nie został oskarżony, chociaż dowiedzieli się, że ojciec jednego z chłopców skontaktował się z Grief Intervention Sendces jakieś pół roku wcześniej, zanim wypuścili pedofila z więzienia. Twierdził, że potrzebuje terapii, żeby nauczyć się kontrolować wściekłość i strach o bezpieczeństwo syna. Nie było dowodów, które świadczyłyby o czymś innym.

- Zatem...

- Dziwne było to, że włamania dokonano według zasad z poradnika dla żołnierzy, ofiara była związana i zakneblowana. Zatem wejście i pojmanie ofiary było standardowe, tyle że potem nastąpiła niekontrolowana rzeź. Bardzo dziwne.

Mikę zamilkł, Harrison słyszał tylko żucie gumy po drugiej stronie. Żucie trwało dłużej, niż norma grzecznościowa przewiduje.

- Nie bardzo rozumiem. Czy jest jakiś związek między armią a Grief Intervention Services? - zapytał wreszcie.

- Hm - mruknął Mikę z pełną buzią. - Wybacz, cały dzień nie jadłem. Parker służył w Fokach. Jedną z jego córek była ofiarą seryjnego zabójcy, niejakiego Franka Geary'ego.

Założył z żoną organizację o nazwie Rodziny Ofiar Franka Geary'ego, kiedy Frank został zwolniony. Jego zwolnienie dla wielu było parodią wymiaru sprawiedliwości. Wtedy Janet straciła nad sobą kontrolę, zamordowała Franka i wznieciła pożar w jego domu.

Harrison prawie poczuł woń spalenizny.

- Organizacja została rozwiązana, ale Parker zabiegał o ponowne zbadanie dowodów - ciągnął Mikę. - Gdy okazało się, że to może Marlowe, syn Franka, zamordował jego córkę, Parker zniknął na jakiś czas, a potem pojawił się jako założyciel GIS.

- Z uwagi na jego przeszłość wojskową i dlatego, że jego żona zamordowała Franka, policja zastanawiała się, czy GIS nie była samozwańczą strażą obywatelską, więc poinformowała o tym FBI. Przeprowadzono pobieżne dochodzenie, które nic nowego nie wniosło do sprawy i sprawę umorzono.

W tej właśnie chwili detektyw przebił się przez ostatnie gęste zarośla i wszedł na polanę, gdzie jasne promienie słońca sączyły się przez drzewa. Oświetlony promieniami „Duch Florydy” unosił się, biały i drżący, tam gdzie przez cały czas czekał.

Widzę dziewczynę, a nad nią rozgwieżdżone niebo. Marzy o tym,

żeby się unieść nad ziemią, jak wybuch sprzed tysiąca lat, być tak samo białą i nietykalną. Obok niej leży młodzieniec. Jest przepiękny, ma nieskazitelne rysy, jego ciało jest jak rzeźba z marmuru.

Jego oczy to gwiazdy supernowa; nic nie umknie ich uwadze. Tak, są kochankami. Kocha go. Ale tak naprawdę jest jego więźniem. Wiąże ich straszliwa pustka, czuje ją i jest chora z przerażenia, że on jest jedynym domem, jaki będzie miała. I to wystarczy.

Porzucają schronienie w kaplicy w Nowym Meksyku, wsiadają do kradzionego samochodu i jadą pustą, wijącą się wśród gór drogą. Zmęczona opiera głowę o szybę i słucha mruczenia silnika, szumu opon na asfalcie, piosenki Patsy Cline w radiu pod tytułem Szalona. Oszalałam z miłości do ciebie.

W oddali coś majaczy, dostrzega daleko z tyłu pomarańczowe światła reflektorów. Widzi je w bocznym lusterku. Jeśli on je zauważył, to nie przejmuje się nimi. Bo nie wie tego, co wie ona. On nic nie wie o mężczyźnie, który upuścił liścik na jej stolik.

Ratuj się, jeśli jeszcze możesz.

Po jego przerażającym ostatnim wyznaniu, które wwierca się w jej mózg, odkrywa, wbrew nadziei, że jeszcze może się uratować. I na swój sposób się ratuje. Milczy. Nie mówi nic.

Nie pamiętam, kiedy postrzeliłam Graya. Dzięki Bogu, nie wróciła mi pamięć o tamtym zdarzeniu. W ogóle nie pamiętam wydarzeń w Teksasie. Ale przypominam sobie następne spotkanie z Briggsem, chociaż wtedy nie wiedziałam, że tak się nazywa.

Kolejny obskurny motel przy autostradzie w Nowym Meksyku. Kiedy wyszłam spod prysznic, zobaczyłam, jak siedzi na skraju łóżka z papierosem w dłoni. Marlowe wyszedł ponad godzinę wcześniej, nie miałam pojęcia dokąd i na jak długo. Wiedział, że będę na niego czekała.

- Nie powiedziałaś mu, że dostałaś wiadomość - powiedział, robiąc

ustami trujące siwe kółka z dymu. - Jestem zdumiony. I zadowolony.

Stojąc w progu, zastanawiałam się, czy naprawdę tu siedzi, czy jest tylko zjawą. Już mnie nawiedzali matka, ojciec i jedna z dziewczyn, którą zamordował Marlowe.

Dziewczyna miała klamrę do włosów z przyklejonymi jedwabnymi różyczkami, widać było, jak bardzo jej się ta klamra podoba, podnosiła w górę rękę, żeby jej dotknąć, w nadziei, że zwróci na nią moją uwagę. Jednak rozpraszała mnie dziura ziejąca w jej gardle.

Wykrwawiając się na moim łóżku, pytała mnie, jak mogłam mu na to pozwolić. Kiedy zamknęłam oczy i ponownie je otworzyłam, już jej nie było.

Od tamtej chwili przestałam sobie ufać, gdy widziałam zjawy w moim pokoju motelowym.

- Ktoś mi dał dużo forsy, żeby odnaleźć Gearyego zanim to zrobi policja - rzekł, gapiąc się na ścianę. - Zapłacą mi o wiele więcej, jeśli oddam go w ich ręce.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Miał gęste brwi, głęboko osadzone oczy, jak dwie pieczary pod sklepieniem skały. Jego nos był pękniętą granią ciała i chrząstek. Miał pełne mięsiste usta, w kolorze cukierków, dziewczęco długie rzęsy. Nie chciałam się na niego gapić, choć zafascynował mnie dziobaty, jak po ospie wietrznej, krajobraz jego twarzy.

- Chcę go żywego. Będę szczery, nie przepadam za mokrą robotą. Nie chcę rozlewu krwi i bałaganu. Jest duży, silniejszy ode mnie, w lepszej kondycji fizycznej.

- Poklepał się po brzuchu i rozkaszał dla efektu. - Będę musiał go zaskoczyć albo skrępować podczas snu, możesz mi pomóc, jeśli się zdecydujesz. Ułatwię ci podjęcie decyzji. - Wyjął duży pistolet i położył go delikatnie na moim kolanie. - Pomożesz mi, a ja tobie. Odpalę ci trochę kasy i pomogę w ucieczce. Jeśli nie pomożesz -

wzruszył ramionami, przechylając głowę - to i tak go dopadnę. A ciebie wydam policji. Spędzisz życie za kratkami.

Dmuchał dymem w moją stronę i po raz pierwszy na mnie spojrzał.

- Co ty w ogóle robisz? - ciągnął. - Jesteś stuknięta. Ciebie tu wcale nie ma, Ofelio, jesteś nieobecna. Dlatego chcę ci pomóc. Nikt nie chce cię skrzywdzić bardziej, niż już cię skrzywdzono. Wystarczająco dużo przeszłaś.

Owinęłam się ciasniej ręcznikiem i przytuliłam do ściany. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Będę czekał i obserwował. - Wstał z łóżka, jęknął, zdjął tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ z drzwi i położył ją na stoliku. - Kiedy zaśnie, powieś tabliczkę po drugiej stronie. Potem idź do łazienki i wejdź do wanny. Zapukam, kiedy będziesz mogła bezpiecznie wyjść. - Wolną ręką wyjął z kieszeni gruby zwitek pieniędzy. - Dam ci to, a potem podrzucę na przystanek autobusowy.

- Skąd ci przyszło do głowy, że to zrobię - pytam go wreszcie. - Dlaczego miałabym mu nie powiedzieć o tobie, a potem powiesić tabliczkę, żeby to on ciebie zaskoczył?

- Jednak potrafisz mówić. - Uśmiechnął się i zaciągnął papierosem. - Ponieważ go nienawidzisz. Widziałem, jak na niego patrzyłaś wtedy, w jadłodajni. Myślisz, że go kochasz, ale wiesz, że jest złym człowiekiem. Pewnego dnia ciebie także za bije, będziesz trupem, którego ktoś znajdzie w takim motelu jak ten.

Przeszedł mnie dreszcz.

- Albo złapie cię policja, jakiś pracownik motelu, który akurat nie będzie na amfie, rozpozna cię i zadzwoni gdzie trzeba I jeszcze ktoś inny siedzi wam na ogonie.

-Kto?

- Nie mam pojęcia, ale jeszcze ktoś inny cię szuka. Nie wiem, kim

jest ani czego chce.

To bez znaczenia. Twój czas minął. Jeśli mi nie pomożesz, to następna osoba, która przejdzie przez te drzwi bądź przez inne, może ci nie dać wyboru. Nie przestaję dygotać.

- Włóż coś na siebie - powiedział, idąc w kierunku drzwi. - Przeziębisz się. - Przed wyjściem spojrział na mnie i powiedział: - Chryste, dziewczyno, gdzie są twoi rodzice?

- Nic jej nie będzie - mówi ojciec, sprowadzając mnie na ziemię. Było coś poważnego w jego tonie, jakiś niepokój.

Odwracam się w jego stronę. Jedziemy szybko na Long Is-land Expressway, na małe prywatne lotnisko, gdzie, jak mi mówi, ma przyjaciela, który jest mu winien przysługę.

Zadzwoił do niego z zaplecza, kiedy nie słyszałam, i zanim się zorientowałam, już byliśmy w drodze. Nawet nie wiedziałam, że ma samochód.

Niewiarygodne, ale jest to fajny model lincolna Town Car. Chyba niewiele wiem o własnym ojcu.

- Sporo jeździliśmy razem, kiedy byliśmy młokosami - tłumaczył mi, gdy szykowaliśmy się do wyjazdu. - Potem wyszedł na prostą, zaczął pracować. Teraz jest bardzo bogatym deweloperem. Obiecał mi, że jeżeli kiedykolwiek będzie mi potrzebny samolot, to o każdej porze dnia i nocy mogę na niego liczyć.

- To bardzo uprzejme z jego strony - rzekłam bez przekonania.

- Uwierz mi, to nic w porównaniu z tym, co ja zrobiłem dla niego.

- Oszczędź mi szczegółów. - Nie mam ochoty usłyszeć kolejnej wariackiej historii.

Nawet nie wiem, czy będzie na nas czekał samolot, kiedy już dojedziemy na to lotnisko na Long Is-land. Ale nie mam wyjścia. W brzuchu czuję skurcze; obraz mojej córki związanej i z kneblem w ustach wrył mi się w pamięć.

Patrzę na niego. Aż go skręca, żeby mi opowiedzieć swoją historię, ale się powstrzymuje. Opieram głowę o szybę i spoglądam na oddalające się drzewa.

Zazdroszczę innym samochodom, że udają się w zwyczajną podróż, wiozą kogoś na nocną zmianę, jadą z domu na przyjęcie albo na randkę. Nigdy nie miałam takiego życia.

Nawet gdy byłam Annie, w moim życiu roіło się od kłamstw. Można się ukryć przed czynami, które popełniliśmy, zgnieść je, spowodować, że się zatra, ale na zawsze zostaną z tobą. Wiem, już jest za późno. Nie da się zamknąć demonów w klatce, bo tłuką się, krzyczą i rzucają, dopóki się ich nie zauważy. W końcu trzeba się z nimi zmierzyć. Domagają się tego.

Zjeżdżamy z autostrady i jedziemy pustą ciemną boczną drogą. Widzę pole, hangary i samoloty w równych rzędach. W oddali dostrzegam wieżę i linię świateł wzdłuż pasa startowego. Czuję ulgę na myśl, że lotnisko naprawdę istnieje.

- Mówił, że jedna brama będzie otwarta. - Ojciec zwalnia. Zgadza się.

- Skąd wiedziałeś, że nie umarłam? - pytam go, kiedy skręca z drogi i wjeżdża przez bramę. Nie wiem, dlaczego akurat teraz o tym myślę. Wydaje się, że mamy sporo tematów do omówienia. W świetle między samolotem i hangarem dostrzegam mężczyznę.

- Gray przekazał mi wiadomość. Przez jakiegoś dzieciaka. Wytłumaczył mi, co się dzieje. Pewnie nie chciał, żebym usłyszał od kogoś innego.

Cały Gray, zabezpieczyć się na wszystkich frontach, przygotować na każdą ewentualność. Szkoda, że go tu nie ma, ale z drugiej strony dobrze, że jestem zdana na samą siebie. Ojciec zatrzymuje wóz i przez chwilę siedzimy w ciemności.

Mężczyzna przy samolocie przerywa pracę i spogląda w naszą

stronę. Przez chwilę ojciec patrzy przed siebie i wzdychając, schyla głowę. Oboje wiemy, że dalej ze mną nie pojedzie. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że nie potrafi. Zawsze robił tylko to, co potrafił. Może wszyscy tak mamy. Ale jeśli to dotyczy rodziców, ich słabości łamią nam serce.

- Posłuchaj, córeczko - zaczyna i przerywa.

Mam nadzieję, że nie spróbuje mówić, jak bardzo mnie zawiódł jako ojciec i jak nad tym boleje. Nie mam na to czasu. Siedzimy w milczeniu, a on zbiera się na odwagę, żeby coś powiedzieć.

- Nie musi tak być - wykrztusza z siebie. - Może po prostu wezwiemy gliny?

- Porwali Victory.

- Ofelio - mówi i przerywa. Cokolwiek miał mi powiedzieć, zmienił zdanie. - Wiem.

Masz rację. Jedź po nią. Ale uważaj na siebie.

Patrzę na jego twarz, na mięsień drgający w jego szczęcie, pulsującą żyłę na skroni.

Jak zawsze nie jestem wtajemniczona w to, jaką walkę toczy sam ze sobą.

- Kocham cię, Opie. Zawsze cię kochałem.

- Wiem, tato. Wiem.

Nie ściskamy się, nie żegnamy ze łzami w oczach, nie wypowiadamy mądrych słów, słów zachęty. Wsiadam z samochodu i po kwadransie jestem w samolocie Cirrus Design SR20 w drodze na ranczo Franka, gdzie zaczęła się moja podróż.

Siedzę z tyłu, przypięta pasami, ze słuchawkami na uszach. Pilot, przysadzisty, ciężki facet z krótko ostrzyżonymi włosami, wita się ze mną i daje mi instrukcje na temat bezpieczeństwa, jednak przestaje się do mnie odzywać od chwili, kiedy pomógł mi zapiąć pasy. Nie interesuje się ani mną, ani moją historią, bierze pieniądze za to, żeby

robić, co do niego należy, i nie zadawać pytań. Ledwie na mnie spojrzał, jakby nie chciał mnie potem rozpoznać.

Szum silników dziwnie mnie hipnotyzuje, ich nieustający dźwięk pociesza. Kiedy samolot szykuje się do startu, a potem unosi w górę, myślę o Victory.

Przyszła na świat siłami natury, bez znieczulenia. Podczas porodu chciałam być w pełni przytomna, czuć, jak przeze mnie przechodzi. Pozwoliłam, żeby straszne fale bólu, zmieniające stan świadomości, zaprowadziły mnie do nieznanego mi wcześniej miejsca we mnie. Nasze oczy się spotkały, gdy położyłam ją na swojej piersi, i rozpoznałyśmy się.

Zawsze się znałyśmy.

Nigdy wcześniej nie widziałam, jak Gray płacze. Rozplakał się, kiedy po raz pierwszy wziął ją w ramiona. W tamtej chwili stała się jego córką. Nigdy nie myśleliśmy o tym, że w jej żyłach płynie krew Marlowe'a. Należała do nas. Co więcej, należała do siebie samej.

Widziałam w niej czystość, niewinność, otwierające się przed nią możliwości. To jej rodzina będzie miała na nią wpływ, a nie złe czyny Marlowe'a i jego ojca. Przysięgłam sobie, że nigdy jej nie dotkną, oni, Ofelia i jej zhańbiona przeszłość.

- Jak jej dasz na imię?- zapytał mnie Gray.

- Victory - odpowiedziałam, gdyż jej narodziny oznaczały dla nas wszystkich zwycięstwo. Poczulałam, że wreszcie żegnam się z Ofelią, Marlowe'em, Frankiem i matką, że ich zostawiam. Byłam Annie Powers, żoną Graya, i co ważniejsze - matką Victory.

Odrzuciłam ohydną przeszłość, dosłownie i w przenośni.

Cała się trzęsłam po porodzie, szalały we mnie hormony i emocje.

- Victory - powiedział z szerokim uśmiechem. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jej małą buzię. - Jest doskonała.

Usiadł obok mnie, trzymając ją w ramionach.

- Victory - powtórzył. I tak zostało.

Próbuję przypomnieć sobie, co czułam tamtego dnia - siłę, która wzięła się z tego, że jestem matką Victory, pewność, że potrafię ją ochronić przed każdą straszną rzeczą, która wydarzyła się w moim przeszłym życiu. To uczucie zniknęło. Samolot startuje, świat szybko maleje. Myślę, że ścieżka mojego życia była zawsze brzydkim, przerażającym labiryntem. Bez względu na to, jak szybko biegnę, jak bardzo chcę się wydostać z tych zakamarków, w końcu prowadzi mnie tam, gdzie się wszystko zaczęło.

Rozdział 40

Po przejrzeniu kolejnej książki kucharskiej Sara zdecydowała, że przestaną jeść czerwone mięso. W ich domu zagościła chińsz-czyzna, tofu pod każdą postacią, ryby i drób podawane z warzywami i ciemnym ryżem. Każda potrawa i tak miała smak sosu sojowego, niezależnie od składników. Czuć go było w całym domu. Ale Harrison nigdy nie narzekał na talenty kulinarne żony; zawsze jadł, co dla niego przygotowała, i obsypywał ją komplementami. Doceniał fakt, że w ogóle gotuje, że dba o to, żeby coś zjadł, kiedy wróci do domu, w którym na niego czekała i często jadła razem z nim, chyba że było naprawdę późno.

Chociaż prosił ją, żeby na niego nie czekała, zobaczył, że leży na kanapie. Opatulona kocem, oglądała film w telewizji, przy ściszonej głośności. Brad Pitt i Angelina Jolie demolowali dom i strzelali do siebie z wielkich pistoletów. Ujrzał jasną burzę włosów Sary, usłyszał, jak wzdycha, kiedy ponownie włączył alarm.

Usiadła zaskoczona, musiała się zdrzemnąć.

- Dlaczego nie śpisz?

- Wstawiałam do małej. - Ziewnęła, przeciągnęła się. Wdzięcznie uniosła nad głowę długie ramiona. - Pomyślałam, że w takim razie poczekam na ciebie.

Usiadł obok niej i przytulił jej rozspane ciało. Poczł od niej zapach malin, pewnie używała szamponu o tym zapachu.

- Przygotowałam chińszczyznę. Podgrzać ci? - Zauważył, że jej głos lekko drży.

- Nie, dziękuję - odparł. - Już jadłem. Dużego, soczystego hamburgera obficie polanego keczupem i majonezem. - Wyciągnął dłonie, żeby pokazać, jaki był wielki.

- I frytki ociekające tłuszczem.

Zmarszczyła nos, chrząkając z dezaprobatą.

- Gdybyś tylko wiedział - pogładziła go po policzku - jaka' to trucizna.

- W takim razie umrę szczęśliwy - powiedział, zdejmując marynarkę.

Wtedy je zauważył. Na drugim końcu stolika przy kanapie leżał stos wyciągów bankowych. Na ich widok poczuł ucisk w żołądku. Odwrócił się do niej i ujrzał jej baczne spojrzenie na sobie.

- Nigdy mnie to nie obchodziło - zaśmiała się słabo. Potarła skronie i skrzyżowała ramiona. Zagryzła wargę, jakby miała się za chwilę rozplakać. - Ale zobaczyłam na CNN wywiad z ekspertem finansowym. Mówił, że kobiety są słabsze od mężczyzn w małżeństwie, ponieważ nie mają pojęcia o domowych finansach. To nie jest żadna nowość, nic w tym oryginalnego, ale wtedy zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, ile mamy pieniędzy w banku.

Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Mam córkę i nie chcę, żeby myślała, że jestem aż tak bezradna, że nawet nie umiem opłacić rachunków przez Internet. Gdyby cokolwiek ci się stało, nic bym nie wiedziała o naszych pieniądzach. Przecież jesteś policjantem. Coś ci się może stać.

Nie spuszczał z niej wzroku. W jej oczach zalśniły łzy.

- Saro.

- Wcześniej się pobraliśmy - przerwała mu. - Opuściłam dom rodzinny i od razu zostałam mężatką. Zawsze ktoś się mną opiekował. Ale pojawiła się osoba, która chce, żebym to ja się nią opiekowała.

Chciał coś wtrącić, lecz powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie rozumiem, dlaczego podjąłeś z naszego konta takie duże sumy. A potem ta wpłata.

- Podniosła do góry wyciągi. Zobaczył jej pismo i pozycje

podkreślone kolorowym flamastrem. Kartki drżały w jej dłoni. Przez elektroniczną nianię usłyszał, jak jego córka wzdycha i porusza się we śnie. - Jak to wytłumaczysz?

Szybko przebiegł w myśli setki kłamstw, które mógł jej powiedzieć, setki technik, których mógł użyć, żeby nią w tym momencie manipulować, żeby poczuła się źle, że popełniła błąd, czyniąc mu wyrzuty. Był dobry w przepoczwarzaniu się, modulowaniu głosem, takim dobieraniu słów, żeby ludzie robili, mówili i myśleli to, co on chce. Ale nie miał serca dłużej kłamać, skrywać tajemnice. W ich przytulnym domu wyznał jej całe zło, które popełnił, i szczerze, gdzieś w głębi siebie był z tego zadowolony. Zadowolony, że bez względu na to, co się stanie, wreszcie Sara się dowie, jaki jest naprawdę.

Wygląda na to, że zaraz wylądujemy w czarnej otchłani, pomijając cienki pas światła widoczny, mam nadzieję, że to ziemia. Podczas lotu wystąpiły turbulencje, nie wiem, jak mój żołądek zniesie nurkowanie w dół. Samolot opada i unosi się, ciekawe, czy ten mały samolocik zwyczajnie się nie roztrzaska. Co się wtedy stanie z Victory?

Staram się o tym nie myśleć, lecę z zaciśniętymi do białości kciukami i zamkniętymi oczami. Jednak samo lądowanie jest zaskakująco łagodne.

- Mówili mi, że ktoś po ciebie wyjdzie - słyszę głos pilota w słuchawkach. - Będzie czekał.

- Kto? - pytam go. - Kto taki?

Wzrusza ramionami. Nie odwraca się. Pewnie nie chce zobaczyć mojej twarzy albo nie chce, żebym ja zobaczyła jego. Teraz nie umiałabym go rozpoznać podczas policyjnej konfrontacji.

- Nie wiem - mówi stanowczym głosem, zniechęcając mnie do zadawania dalszych pytań.

Kiedy wyłącza silnik, dziękuję mu i wysiadam z samolotu.

Wchłania mnie wilgotna florydzka noc. Żaby kumkają, komary gryzą, gdy zdejmuję płaszcz, którego tu nie potrzebuję. Na czole zbierają się kropelki potu.

Daleko w ciemności widzę szczupłego mężczyznę obok samochodu. Włączone światła oświetlają czarną noc, nie licząc świateł z małej wieży kontrolnej. Nikogo tam nie dostrzegam. Nie mam wyjścia, idę w stronę samochodu i rozpoznaję Gniewnego Człowieka.

- Wiesz, kim jestem? - pyta, kiedy się do niego zbliżam. Kręcę przecząco głową.

Sytuacja wydaje mi się nierealna.

- Przypominam sobie ciebie. Ale nie pamiętam, jak się nazywałeś.

- Alan Parker, ojciec Melissy i mąż Janet.

Słowa, którymi we mnie uderza, mają siłę kamieni. Ta wiedza powinna wszystko rozjaśnić, jednak tak się nie dzieje.

- Dawno temu - ciągnie - myśleliśmy z żoną, że to Frank Geary zamordował naszą córkę.

Ma na sobie ciemne spodnie, grubą flanelową koszulę i marynarkę. Za ciepło się ubrał na taką pogodę, ale nie wydaje się tym przejmować. Nawet się zgarbił, jakby się chronił przed chłodem. Chyba lekko dygocze? Nie wiem, co tu robi na tym etapie mojego życia.

Nie pasuje tutaj, nie ma żadnego powodu, żeby tu był.

- Przez wiele lat furia była siłą napędową naszego życia. Pożarła nas. Zniszczyła.

Kaszle chrapliwie, wyciąga z kieszeni paczkę czerwonych marlboro. Zapala jednego i głęboko się zaciąga. Wygląda na wieloletniego palacza, ma szarą i mizerną twarz.

- Byłem okropnym ojcem. Często wyjeżdżałem, w domu byłem nieobecny duchem.

Rzadko przytulałem córkę, nie mówiłem jej, że ją kocham, kiedy żyła. Oczywiście utrzymywałem ją, zapewniałem jej dach nad głową, kupowałem ładne rzeczy, opłacałem szkołę. Tyle potrafiłem zrobić. Myślałem, że taka jest rola ojca. Ale rzecz w tym, że niespecjalnie się nią interesowałem, dopóki mi jej nie odebrano.

Wojowałem z Gearym. Chyba Melissa byłaby bardzo zdziwiona, gdyby wiedziała, jak bardzo oddałem się tej sprawie. Myślę, że umierała przekonana, że jej nie kocham.

Nie wiem, co powiedzieć, po co mi to mówi, dlaczego tu jesteśmy. Jednak go słucham, nie mam wyjścia, myślę, że dopóki będzie mówił, to Victory jest bezpieczna. Moje ciało aż drży z pragnienia, żeby się ruszyć, dokądkolwiek, byle tylko nie stać w miejscu.

- Oczywiście - ciągnie - dla Janet to było o wiele trudniejsze. Trudno opisać relacje między matką i córką. Ja byłem wściekły, dyszałem żądzą zemsty, jakbym miał w żyłach paliwo do rakiety. Kiedy umarła Melissa, Janet umarła razem z nią. Koniec kropka. Proste.

Nadal funkcjonowała, ale nie przeżyła więcej żadnego dnia w życiu. Nie powinienem był się dziwić, że to zrobiła. Ale zignorowałem sygnały. Nie sądziłem, że jest do tego zdolna. Wstrząsa nim tak straszny kaszel, że aż mnie to krępuje. Wyjmuje z kieszeni zwitek chusteczek i zakrywa nimi usta, dopóki nie przestaje kaszleć. Kiedy wreszcie odejmuje chusteczki od ust, są ciemne od krwi. Przypominam sobie żywo tę noc, kiedy Janet zastrzeliła najpierw Franka, a potem siebie. Słyszę odgłos strzałów, czuję woń dymu.

Nigdy sobie nie zadałam pytania, kto wzniecił ogień, ale to mógł być Marlowe. Myślę, że chciał, żeby moja matka także zginęła tamtej nocy. Nie sądził, że po nią wrócę i ją stamtąd wyciągnę. Myślę o tym, kiedy Parker dochodzi do siebie i ciągnie opowieść.

- Opłakiwałem Janet, ale na swój sposób cieszyłem się, że tak się stało. Musiała poczuć wielką ulgę, gdy pociągnęła za spust. Wiem, że

umarła w spokoju.

- Uśmiecha się ze smutkiem, a ja przypominam sobie, że Janet wyglądała tamtej nocy, jakby ogromny ciężar spadł jej z serca. Nie mówię mu tego. Nie wiem, czy jest świadomy, że widziałam, jak umiera, i co dobrego miałyby wynikać z faktu, że mu o tym powiem.

- Jednak Frank nie zabił Melissy - zgaduję jego myśli. Kiwa głową.

- To możliwe. Ekshumowaliśmy jej ciało, kiedy otrzymaliśmy zgodę na ponowny wgląd do dowodów. Próbki DNA były podobne do DNA Franka, ale nie identyczne.

Nasuwa się wniosek, że Marlowe odegrał jakąś rolę w jej torturowaniu i śmierci. Widzę błyskawice, słyszę odgłos grzmotu, ale nie spadają krople deszczu. Co kilka minut niebo się rozświecila i ciemnieje, jakby ktoś je zapalał i gasił, naciskając kontakt.

- Szczerze mówiąc, od dawna miałem te podejrzenia. Widziałem w Wietnamie wielu zabójców, potrafię ich rozpoznać.

Podczas procesu Marlowe był tak samo martwy jak jego ojciec. Jak to się mówi, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wtedy coś do mnie dociera. Włączam światło i oświetlam w sobie miejsca, które przez długi czas znajdowały się w mroku.

- Briggs pracował dla ciebie. Kazałeś mu odnaleźć Marlowe'a, kiedy uciekliśmy.

Przytakuje.

- Nie byłem pewien, jaką odegrał rolę w zabójstwie Melissy. Ale wiem, że wykorzystał Janet, żeby zabić ojca. I kiedy zrozumiałem, że zabija inne kobiety, że odbiera córki rodzicom, chciałem go powstrzymać. Zaślepiła mnie furia, jakby na stałe we mnie zamieszkała. Nie chciałem, żeby go aresztowali i wsadzili do więzienia. Chciałem, żeby cierpiał. Żeby cierpiał i zmarł tak, jak jego ofiary. I znam ludzi, którzy mogli mi w tym pomóc, wojskowi potrafią odnaleźć bezwzględnych zabójców.

- Dlaczego po niego nie przyjechałeś?

- Po śmierci Janet zacząłem pluć krwią. To choroba złości i strachu, nie można ich wiecznie nosić w sobie. Zaczynają zabijać. W moim wypadku to rak.

Znowu strasznie kaszle. Nienawidzę go, jest odrażający, ale jednocześnie mu współczuję.

- Kiedy ty i Marlowe „zginęliście” w wypadku samochodowym, doznałem olśnienia.

Wściekłość moja i Janet i nasza żądza zemsty wszystko nam odebrały. Mogliśmy spędzić jeszcze razem kilka lat, otrzeć się o szczęście, gdybyśmy tylko rozprawili się z naszymi lękami, żalem, nienawiścią do Gearyego. Zamiast tego pozwoliliśmy, żeby wchłonęła nas dziura, którą rozdarł w materiale naszego życia. Pozwoliliśmy mu, żeby zniszczył nas troje. Patrzy na mnie, zastanawia się, czy go słucham.

Widząc wyraz mojej twarzy, podnosi do góry kąćki ust.

- Postanowiłem, że będę walczył z rakiem i żył dla Melissy; i Janet, a nie umierał dla nich. Prowadząc swoją wojnę, zrozumiałem, że wściekłość, którą skierowałem przeciw Frankowi i Marlowe'owi, tak naprawdę była skierowana przeciwko samemu sobie, że zawiodłem je jako ojciec i mąż. Gdybym trwał przy nich, kiedy żyły, to może bym tak nie rozpaczał, kiedy zmarły.

Zauważam, że stoi bez ruchu. Miałam w sobie taki niepokój i adrenalinę, że bez przerwy się wierciłam, przenosiłam ciężar z nogi na nogę, robiłam kilka kroków w te i we w tę. A on stał nieruchomo. Ręce włożył do kieszeni, wzrok utkwiał w jakimś punkcie w oddali. Składał się jedynie z zachrypniętego głosu i historii, którą snuł.

- Kiedy nastąpiła remisja choroby, założyłem z kilkoma kolegami organizację pod nazwą GIS, żeby pomagać ofiarom i ich rodzinom pokonać lęk i powrócić do zdrowia.

Oddycham głęboko i przypominam sobie.

- Wasza strona internetowa. Weszłam na nią, kiedy usłyszałam o was w telewizji.

Kiwa głową.

- Strona zarejestrowała twój adres IP. Po kilku dniach namierzyliśmy Graya Powersa.

Połączyliśmy się z tobą. Wystarczyła jedna wizyta, żeby stwierdzić, że jesteś Ofelią March.

Patrzę na jego bladą twarz i widzę, jak bardzo jest chory. Oczy ma utkwione w dal.

Jest w drodze.

- Naturalnie, zacząłem się zastanawiać. Jeśli Ofelia żyje, co w takim razie dzieje się z Marlowe'em? Gdzie jest?

- Ale nie pragnie pan już zemsty. - Kładę dłoń na masce samochodu. Jest mi słabo, słaniam się na nogach.

Uśmiecha się ze smutkiem.

- Nigdy cię nie zapomniałem, Ofelio. Byłaś najsmutniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałem. Pamiętam, jak na ranczu wychodziłaś i wracałaś z podkrążonymi oczami, zgarbionymi ramionami, nisko pochyloną głową. Żyłaś w gnieździe węży, a ja nie wiedziałem, które z nich pierwsze wycisnie z ciebie życie, a następnie połknie w całości.

Powinienem był się domyślić, że będzie to Marlowe.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Mężczyzna, którego znałaś jako doktor Brown, wierzył, że masz głęboko w sobie schowaną wiedzę, gdzie on jest. Podejrzywał, że kiedy jako Annie Powers cierpiełaś na fugę dysocjacyjną i uciekałaś od życia, to wtedy jako Ofelia próbowałaś wrócić do Marlowe'a. Wierzył, że jesteś bliska uświadomienia sobie wielu rzeczy, o których zapomniałaś. Więc znalazł sposób na pobudzenie twojej pamięci.

- Zaraz, zaraz. - Podniosłam dłoń. - Brown dla ciebie pracował? To spotkanie na plaży, naszyjnik, to były jego pomysły, żeby pobudzić moją pamięć, żebyś znalazł Marlowea i się na nim zemścił?

- Nie chodzi tylko o mnie i o to, czego ja chcę. -Nie?

- Nie. Chodzi o nas oboje. Chcę ci pomóc.

Zwierzałam się lekarzowi, a on to wykorzystał, żeby manipulować moją pamięcią. W gruncie rzeczy to niewielki gwałt na mnie, biorąc pod uwagę to, co przeżyłam, ale i tak czerwienieję z wściekłości. Odkrywam, że wściekłość mnie krępuje, niedobrze się z nią czuję. Ofelia rzucała się i krzyczała, Annie była zawsze bardzo spokojna.

- Przecież to Vivian zaprowadziła mnie do Browna - odpowiadam. Przypominam sobie, że Gray wspominał mi, że Drew, go zna. I nagle mdli mnie, kiedy widzę, jak elementy łamigłówek pasują do siebie. Parker patrzy ze współczuciem, jakby przez chwilę chciał mnie pocieszyć, ale szybko robię krok do tyłu.

- Uważali, że ci pomagają. Zmierzyć z lękami, żebyś powróciła do zdrowia. Dla Victory.

Przechodzi mi przez myśl, że Gray też brał w tym udział. Ale to nie w jego stylu. Jest zbyt prawy, zbyt uczciwy. Za bardzo mnie kocha. Nie wierzę, że mógłby to zrobić.

Bo jeśli tak, to dlaczego zabił Briggsa?

- Gray nie miał o tym pojęcia - odzywam się. - Też się bał, że Marlowe lub ktoś inny z mojej przeszłości wrócił po mnie. Dlatego zabił Briggsa.

Parker kiwa powoli ze smutkiem głową.

- Zgadza się. Nigdy by nie wziął w tym udziału. Nie oszukałby cię ani nie przysporzył tyłu cierpień. Na swój sposób, choć tylko z tego powodu, że cię kocha, motywuje cię. A może wcale nie chce, żebyś sobie przypomniwała.

- Więc kto? Kto wtedy uważał, że mi pomaga?

Podnoszę głos, prawie krzyczę. Przeraza mnie mój wybuch emocji. Parker też wygląda na wystraszonego, chyba nie sądził, że mnie tak zdenerwuje. Podnosi dłoń, żeby mnie uspokoić.

- Twoi teściowie. Nasz przedstawiciel powiedział Vivian, że zwróciłaś się do nas o pomoc i potem się wycofałaś. Zgodzili się na nasz plan, żebyś się zmierzyła z przeszłością.

Myślę o Vivian, która jeździła ze mną do Browna, o lęku na jej twarzy, kiedy opowiadałam jej o moim życiu. Próbuję uporać się z tą wiedzą, obsadzić ją w roli kłamczyni i manipulantki, którą jest, jeżeli się do tego posunęła. Ale chcę wierzyć, że znam ją na tyle dobrze, by mieć pewność, że starała mi się pomóc. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Nie - oddycham głęboko, żeby się uspokoić. - Coś się tu nie zgadza. Nigdy by nie pozwolili, żebyś skrzywdził Victory. Raczej by umarli. Tego jestem pewna.

- Prawdę mówiąc - wzrusza lekko ramionami - nie wiedzieli, jak daleko się posuniemy, żeby osiągnąć cel. Nikt tego nie wie.

Widzę w nim pustkę, zżarł go smutek i gniew, a potem pochłonął pościg za zemstą, od której nie umiał się uwolnić, choć wiedział, że go zniszczy. Chce mi się płakać, wielka fala szłochu wzbiera w moich piersiach.

- Byli przekonani o twojej bezradności, zrozpaczeni tym, co się zdarzyło w twoim życiu, i bali się, że nigdy sobie z tym nie poradzisz. Przystali na ten plan, bo chcieli pomóc.

A właściwie pomóc Victory, żeby miała silną i zdrową matkę. I popatrz, co za paradoks - teraz to ty im pomagasz.

Czuję, jak krew zaczyna krążyć mi w żyłach, serce przyspiesza.

- Co masz na myśli?

- Wszystko w twoich rękach.

- Nie rozumiem. - Podchodzę do niego. W swoim głosie słyszę

blaganie. - Gdzie jesteśmy? Gdzie Victory?

Jeszcze nigdy nie byłam aż tak przerażona i tak zrozpaczona, ale on tylko odchodzi od samochodu. Zrozumiałam, że mnie tu zostawi.

- W stacyjce są kluczyki. W schowku znajdziesz pistolet.

Kiedy dojedziesz do końca drogi, skręć w prawo. Będziesz wiedziała, gdzie jesteś, gdy tylko ruszysz.

Odchodzi w stronę drzew, które otaczają lotnisko.

- Teraz musisz być silna, Ofelio. Silniejsza, niż byłaś. Dla siebie i dla córki, dla mnie.

- Wcale mnie nie potrzebowałaś, żeby go znaleźć - wołam za nim. - Wiedziałaś gdzie jest. Dlaczego to robisz?

Widzę, jak podnosi do ust chusteczki, jego zgarbione plecy, kiedy chwyta go kaszel. Szloch, który zalega w moich piersiach, wyrywa mi się z gardła.

- Czego chcesz ode mnie? - krzyczę. - Co mam zrobić, żeby odzyskać Victory?

Wtedy gasną światła wieży, a po chwili światła przy pasie startowym. Nie widzę samolotu, pilot musiał go wstawić do hangaru, nie słyszałam, żeby ponownie startował.

Pałają się tylko reflektory samochodu.

- Powiedz mi - krzyczę w ciemność.

Ale Gniewny Człowiek zniknął. Jestem sama. Powietrze gęstnieje od ciszy. Wracam na drogę, Parker się nie mylił, dobrze wiem, gdzie jestem. Do rancza jest około piętnastu kilometrów.

- Nikogo nie ma w domu - poinformowała go Esperanza, stając w progu. Zakryła ciałem mały otwór i z obawą zerknęła na detektywa przez szczelinę w drzwiach.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie oni są - Harrison rzekł surowo, głosem nieznoszącym sprzeciwu. - To nie jest towarzyska wizyta. Spojrzała na niego pustym wzrokiem i uchyliła szerzej drzwi.

Potrząsała głową, jakby miała się zaraz rozplakać.

- Panna Victory jest z abuelą - odparła. - Pan Gray wyjechał en la noche. Nie mówi nic.

Pani Annie, ona - zaczęła płakać. - Nie ma nikogo.

- Pozwól mi wejść - rzekł łagodniej.

Popatrzył na nią, miał nadzieję, że ze współczuciem. To było spojrzenie z kategorii „jestem miłym facetem, tylko chcę pomóc”. Podziałało, otworzyła drzwi i wszedł do środka. Esperanza zaczęła szybko mówić, łzy popłynęły strumieniem, rozszłochała się.

- Pan Gray dzwonił do mnie niedawno, mówi, że Victory wraca do domu, czy mogę wrócić. Wracam, ale nie ma Victory.

Harrison wziął ją za łokieć, poprowadził do kanapy i stanął obok, czekając aż się uspokoi i spojrzy na niego.

- Czekamy i czekamy - powiedziała - a tu w nocy dzwoni telefon. Pan Gray wychodzi.

Mówi tylko: „Wracaj do domu i nie martw się”. Ale był bardzo przerażony. - Krzywi się, żeby unaocznic Harrisonowi, jak wyglądał Gray. - Więc zostaję. Czekam, aż wrócą do domu.

- Kiedy to było?

- Dwa dni czekam.

- Słyszałaś coś jeszcze?

- Nie - pokręciła głową. - Nic. Dzwonię do pana Drew. Nie ma odpowiedzi, nikt nie oddzwania.

Podszedł do telefonu, przejrzał numery połączeń, nie do końca wiedząc, czego szuka.

- To ten telefon zadzwonił? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Jego komórka.

Harrison miał wrażenie, że trzyma kurczowo w garści piasek - im mocniej go ściska, tym szybciej wysypuje się z jego dłoni. Był jeszcze bardziej zdesperowany z powodu obietnic, które złożył żonie. Nie

zależało jej na pieniądzach, mówiła. Pogodziła się z jego uzależnieniem. Nie mogła go jednak zrozumieć i nie była pewna, czy potrafi mu wybaczyć kłamstwa, szantaż, tajemnice, które przed nią ukrywał. Nie mogła pojąć, jak mógł mi to zrobić.

- Dlaczego, Ray? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Mogliśmy poprosić moich rodziców o pieniądze, wziąć pożyczkę. Jak mogłeś tak nisko upaść? To niepodobne do ciebie.

Tego właśnie nie rozumiała: to było do niego podobne. Było w nim coś niskiego. Pieniądze i to, co mógł za nie mieć, nie tyle rzeczy materialne, ile wolność, łatwe życie i poczucie władzy, którego mu brakowało przez całe życie, miał na tym punkcie obsesję.

Dlatego ryzykował grosze z nadzieją na większy zarobek, dlatego nas szantażował, nie tylko po to, żeby spłacić długi hazardowe, ale żeby przy okazji odłożyć sto tysięcy dolarów. I Gray dał mu je, bez słowa, bo tak bardzo mnie kochał i tak bardzo chciał mnie chronić.

- Musisz naprawić swój błąd - powiedziała Sara.

- Jak? Jak mam to zrobić? - zapytał.

Chciał ją przytulić, ale odsunęła się od niego. Usiadła w rogu kanapy, obejmując się ramionami, jakby się przed nim chroniła.

- Najpierw oddaj mu wszystko poza tym, co już dałeś bukmacherowi, a potem się zastanów, jak oddać resztę - rzekła łagodnie.

Przestraszył się. Nie mógł znieść myśli, że będą mieli puste konto, że znowu będą żyli od jednego rachunku do drugiego. Znowu się będzie martwił, że samochód się zepsuje albo lodówka zacznie ciec. Nie wiedział, czy jest na to gotowy.

- Saro... - nie dokończył.

- Znajdź sposób, żeby naprawić swój błąd.

Nie groziła mu, nie postawiła ultimatum, nie wyrzuciła z domu. Ale w jej głosie usłyszał to, czego nie powiedziała. Napraw swój błąd, bo

już nigdy więcej na ciebie nie spojrzę.

Musiała dostrzec rozpacz w jego twarzy, bo podeszła do niego i położyła dłoń na jego nodze. Nie miał odwagi na nią popatrzeć.

- Każdy popełnia błędy - szepnęła łagodnie. Mówiła do niego jak do dziecka.

- Każdy może zbłądzić. Ważne, co się stanie potem, czy się wzmocnisz, czy zniszczysz sobie życie. To, jak się zachowamy po upadku, świadczy o naszym człowieczeństwie.

Wtedy wyszedł. Zawołała za nim cicho, ale się nie obejrzał. W ogródku spojrział w niebo. Nie chciał być z nią w jednym pokoju. Nie zniósłby myśli, że ona widzi, jak on płacze.

- Co się tu dzieje? - Głos Elli przywołał go do rzeczywistości. Stała w progu, jakaś odmieniona, może trochę zirytowana.

W dzinsach i czarnej koszulce, w adidasach, taka zdrowa i silna. Nie była strojna jak zazwyczaj. Gapił się na nią, próbując dociec, co się zmieniło w jej wyglądzie.

Spojrzała na niego ponuro i zwróciła się do Esperanzy.

- Gdzie Gray? - Objęła ją.

- Wyjechał. - Esperanza znów się rozszlochała. Ella ją przytuliła. - Nie wiem dokąd.

Ella zerknęła na Harrisona.

- Co on tu robi?

- To nie pani sprawa. Proszę iść do siebie - odparł. Rzuciła mu gniewne spojrzenie, puściła Esperanzę, podeszła do niego i spojrzała mu prosto w twarz.

- Proszę nie mówić do mnie takim tonem. Najpierw znika Annie. Drew i Vivian wyjeżdżają z Victory Odbywa się nabożeństwo żałobne - zbyt wcześnie, jak na mój rozum, bo Annie nie ma raptem dwa tygodnie. Teraz znika Gray. Niech mi ktoś powie, o co tu chodzi. To moja sprawa. Ci ludzie są moimi przyjaciółmi.

- Proszę stąd iść - powtórzył, ruszając do drzwi i otwierając je na oścież. Zobaczył, jak czerwienieje jej szyja i policzki, ale się nie poruszyła.

- Mogę panu pomóc dostać się do gabinetu na piętrze - rzekła po chwili. - Może tam znajdzie pan odpowiedź na kilka pytań.

Przypomniał sobie z poprzednich wizyt drzwi z zamkiem z przyciskami.

- Zna pani kod? - spytał, nie kryjąc zważenia w głosie.

- Kiedyś się wymknęło Ofelii.

- Wymknęło? - Zmrużył oczy. - To dość nieprawdopodobne.

- Może ma się mniej na baczności w obecności przyjaciół. Nie do końca jej wierzył, ale jak na razie nie dopisywało mu szczęście, a czas gonił.

- Dobrze, czego pani chce?

- Pan mi powie, co się tu dzieje, a ja podam panu kod. Westchnął i wywrócił oczami.

- Nie pomaga jej pani, jeśli nie chce się pani podzielić tą informacją. Dobrze pani wie.

- Chcę znać prawdę.

Doprowadzony do ostateczności, powiedział jej wszystko, zaczynając od swojej fałszywej tożsamości, historii z Marlowe'em, na Alanie Parkerze i Grief Intervention Services kończąc.

- Sądzi pan, że żyje?

- Tak. I myślę, że potrzebuje pomocy. Nie wiem tylko, co dalej robić.

Ella pokiwała głową; pomyślał, że chyba posmutniała.

- To VICTORY, 5 dla V i zero dla O.

Wszedł po schodach, Ella szła tuż za nim. Wcisnął kod i kiedy zamek się otworzył, popchnął drzwi. W pokoju było ciemno. Po wejściu do środka zaświtała mu w głowie myśl, od której ścisnęło go

w żołądku.

- Nazwała ją pani Ofelią. - Odwrócił się do niej.

- Przykro mi, detektywie, to nie jest sprawa osobista. Powinien był pan wziąć pieniądze i zniknąć.

Trzymała w dłoni jakiś przedmiot, nie wiedział jaki, dopóki nie poczuł ukłucia w ciele i nie przeszył go prąd. Wydał z siebie okropny krzyk, ledwie rozpoznał własny głos. Pokój wokół niego zawirował i poczuł taki ból, że nie mógł zebrać myśli.

Zanim stracił przytomność, pomyślał o żonie, jak podeszła do niego na ganku i objęła go z tyłu rękoma, a on płakał. Czuł okropną mieszkankę wielkiego wstydu, wdzięczności za jej miłość i żarliwej nadziei, że może znowu będzie jej wart.

- Naprawisz swój błąd - powiedziała, ściskając go z całych sił. - Na pewno ci się uda.

Dojeżdżam do starej bramy, która oddziela drogę od rancza. Jestem kłębkim nerwów, oblewa mnie pot ze strachu i z chęci, żeby zrobić to, o co mnie prosił Parker, choć nie do końca wiem, czego tak naprawdę chciał. Parkuję samochód na poboczu obok gęstych drzew. Kiedy wyłączam silnik, pochłaniają mnie odgłosy florydzkiej nocy. Ranczo tonie w ciemnościach i przez sekundę nie wiem, czy starczy mi odwagi, żeby wejść do środka. Ale nie mam wyjścia. Victory mnie potrzebuje. Myślę o tym, kiedy wysiadam z samochodu i udaję się w kierunku zamkniętej bramy.

Zamek jest stary i zardzewiały, jakby nikt go nie używał od wielu lat. Jestem pewna, że to niemożliwe. Podnoszę kamień i uderzam nim mocno z nadzieją, że zamek rozleci się na kawałki, tak jak w filmach. Ale nie udaje mi się. Zostawiam samochód na drodze i przeskakuję przez bramę.

Przeraża mnie myśl, że mam pójść sama długą, ciemną drogą. Przypominam sobie o pistolecie, wracam po niego. Wyjmuję ze

schowka, 38 special, standardowy rewolwer.

Wystarczy. Z nim czuję się odrobinę pewniej, przestaję się bać ciemności. Teraz jestem kobietą, która zrobi wszystko, żeby uratować swoje dziecko, choćby nawet miała umrzeć. Obchodzę bramę i idę w kierunku stajni. Kiedy szłam tędy ostatni raz, miałam siedemnaście lat i nic do stracenia. Oddałabym wszystko, żeby być teraz choć trochę tak odrętwiała jak tamtej nocy.

Zalewają mnie wspomnienia. Przypominam sobie przejeżdżający w ciemności samochód Janet. Dźwięk stygnącego silnika, kiedy go po chwili ujrzałam. Dym i huk wystrzału, aureolę jasnych włosów zanurzonych we krwi, kiedy to pojęłam, że Marlowe jest mordercą. Słucham jego spowiedzi pod niebem Nowego Meksyku.

Nagle przychodzi mi na myśl Gray.

Nigdy więcej nie spotkałam Briggsa po tym, jak złożył mi w motelu propozycję, przynajmniej sobie nie przypominam. Nie sędzę, żebym miała czas zrobić to, o co mnie prosił. To była noc, może dwie przed tym, kiedy dogonił nas Gray. Pamiętam tylko jego ogromną sylwetkę w drzwiach kolejnego żaloznego motelu. Widziałam go już wcześniej, tyle wiem. Z jakiegoś powodu poczułam na jego widok ulgę i lęk. Tuż po tym, jak wszedł do pokoju, ujrzałam w jego dłoni strzykawkę.

- Nic ci nie zrobię - powiedział, wbijając mi ją w ramię. Chyba nawet nie próbowałam się wyrywać. - Twój ojciec przysłał mnie po ciebie. To tylko środek uspokajający - dodał, kiedy odpływałam, bo substancja zaczęła krążyć w moich żyłach. - Nie pozwolę, żebyś znowu do mnie strzelała.

Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam związana na tylnym siedzeniu. On usiadł szybko za kierownicą. Zanim znowu straciłam przytomność, dostrzegłam katedrę Świętego Franciszka.

Znam tylko wersję Graya o tamtym wydarzeniu. Wrócił do motelu i czekał w ciemności na Marlowea. Zaskoczył go, tak jak chciał to

zrobić Briggs, pobił i kiedy Marlowe stracił przytomność, związał go. Chciał go zawieźć na posterunek po drugiej stronie rynku, porzucić samochód z nim w środku, wrócić do terenówki zaparkowanej kilka przecznic dalej i zadzwonić na policję z automatu telefonicznego bez podawania nazwiska, gdy będziemy wystarczająco daleko.

Po czasie Gray uważa, że popełnił dwa błędy. Nie podał Marlowe'owi środka uspokajającego, który miał przy sobie, bo myślał, że Marlowe jest nieprzytomny, i pozostawił go na tylnym siedzeniu, zamiast wrzucić do bagażnika. Kiedy Marlowe odzyskał przytomność, uwolnił się z więzów i zaatakował Graya. Gray strzelił mu w twarz i wyskoczył, zanim samochód zjechał z drogi i spadł do doliny Rio Grande.

Znam tę historię na pamięć. Wiele razy prosiłam Graya, żeby mi ją opowiedział, aż obrosła w legendę, podobnie jak opowieści z dzieciństwa. Kiedy dochodzę do końca drogi i widzę między drzewami dach domu, zastanawiam się, ile w tej opowieści było prawdy.

Nie wiem. Po rozmowie z Parkerem wszystko wydaje mi się podejrzanе.

Staję przed domem, szopą i pustą zagrodą dla koni, zaskoczona ich stanem. Nie sądziłam, że popadły aż w taką ruinę. Myślałam, że budynki zostały po pożarze odremontowane, że dbały o nie kobiety, którym moja matka udzielała schronienia i dachu nad głową, gdy one prowadziły krucjatę przeciwko karze śmierci w imieniu mężów, synów i kochanków. Podczas pożaru wypadły dwa okna na piętrze i chociaż było ciemno, widać było dziurę w dachu. Wejściowe drzwi chwiały się na zawiasach, ganek się zapadł. W oddali żałośnie pohukują sowy, śpiewa chór żab. Szopa wygląda na nietkniętą, ale cała posesja jest opuszczona, jakby od lat nie było tu nikogo.

Czuję napięcie w piersiach, dusi mnie otaczająca ciemność. Jak się

tutaj znalazłam?

Czy to się dzieje naprawdę? Czy Parker był tylko wytworem mojej wyobraźni?

Doprowadzona do rozpaczy, zaczynam krzyczeć:

- Marlowe!

Wołam go wiele razy i za każdym razem mój głos rozmywa się w gęstym, wilgotnym powietrzu. Milkną nocne śpiewy, wszystko wokół wsłuchuje się w moje krzyki - rozpaczliwe wycie rannego zwierza. Osuwam się na kolana.

Pojęłam, że tu go nie ma. Nikt by nie przeżył w takim miejscu, potwornym i martwym, nawet on. Ogarnia mnie tak wielka rozpacz, że tracę siły. Dotykam czołem ziemi.

I kiedy tak klęczę, moja przeszłość zbiega się z teraźniejszością i wreszcie sobie przypominam. Wstaję. Wiem już, gdzie on jest. Parker miał rację; zawsze wiedziałam.

Potrzebował mnie, żeby go znaleźć, tylko ja wiedziałam, gdzie mógł się schronić. Wcale mnie nie ścigał. Czekał na mnie, tam, gdzie wiedziałam, że będzie.

Idę w kierunku drzew. Przypominam sobie drogę, przedzieram się przez bujne zarośla, nie zważając na czyhające węże. Komary, które mnie obsiadły, mruczą mi do uszu.

Zaczęłabym biec, gdybym mogła, ale idę wolno, przedzieram się przez gałęzie i zapadam w miękką ziemię, wykręcając nogi w kostce. Wydaje mi się, że minęła wieczność, kiedy wreszcie słyszę szmer strumyka. Zatrzymuję się przy nim i wreszcie widzę przyczepę. W oknie pali się światło.

„Mając zapasy, można tu przeżyć całe wieki” - powiedział mi dawno temu. Nie przyszło mi do głowy, że kiedyś tu jeszcze wrócę, nie w takiej sytuacji.

Staję przy strumyku i wołam go. Dźwięk jego imienia wypełnia noc.

Odpowiada mi cisza. Właśnie znowu mam go zawołać, kiedy wychodzi zza drzew, rosnących za przyczepą.

Chociaż nie widzę go wyraźnie z powodu ciemności, wiem, że to on. Inaczej go zapamiętałam. Zbliży się do mnie, opierając się ciężko na lasce, powłócząc prawą częścią ciała. Porusza się powoli, jakby każdy krok sprawiał mu ból. Podchodzi bliżej i widzę, jak jest ohydnie okaleczony, lewa strona jego twarzy jest miazgą. Wzdragam się przed nim, cofam się, kiedy podchodzi blisko. Tylko jego oczy są tą samą otchłanią, w której j tyle razy tonęłam. Cała drzę, mam napięte wszystkie mięśnie, naelektryzowane końcówki nerwów. Nie wierzę, że to on, że naprawdę istnieje, że stoi przede mną. Przez kilka ostatnich lat był duchem nawiedzającym mroczne przestrzenie mojej psychiki. Jego realność i fizyczność pozbawiają mnie siły.

- Ofelio. - Ma dziwnie zniekształcony głos, choć ciągle słyszę muzykę w moim imieniu.

- Ofilijo, wróciłaś wreszcie.

Przypominam sobie, jak dawno temu myślałam, że jest jedynym domem, jaki stworzę.

Jaka musiałam być nieszczęśliwa, pusta. Już wiem, co to znaczy prawdziwy dom, dom z Grayem i z Victory. Zrobię wszystko, żeby do niego wrócić.

- Nie. - Nie mogę oderwać wzroku od jego przerażającej twarzy. Jego skóra nie wygląda jak skóra, bardziej przypomina roztopiony wosk. Marlowe jest koszmarnie zniekształconą kopią mężczyzny z moich wspomnień. Zdumiewa mnie, że ciągle go pożądam, pamiętam, jak bardzo chciałam mu się spodobać, jak rozpaczliwie pragnęłam jego miłości.

- Jak ci się udało przeżyć? - szepczę. - Jak tu wróciłeś? Coś potwornego dzieje się z jego ustami, wykręcają mu twarz. Uśmiecha się.

- W Nowym Meksyku - cedzi słowa - znaleźli mnie leżącego obok samochodu, umierającego. Zostałem postrzelony w twarz, ale wydostałem się z samochodu, zanim zjechał z drogi. - Mówienie sprawiało mu ból, długo i powoli wypowiadał słowa.

- Zabrali mnie do szpitala i uznali za NN. Byłem nie do poznania, powiedziałem im, że nie pamiętam, kim jestem i gdzie byłem. Kiedy trochę doszedłem do siebie i mogłem się poruszać, zadzwoniłem do twojej matki.

Przyjechała po mnie, przywiozła tutaj i opiekowała się mną do czasu, kiedy zmarła w zeszłym roku. Dziwię się, jak bardzo jestem wstrząśnięta i rozżalona na wieść o jej śmierci. Miałam nadzieję, że ją zastanę w dobrym zdrowiu, że nadal będzie ratowała skazańców.

Pewnie tak jest, że maltretowane i porzucone dziecko zawsze czeka na wyrównanie rachunków, na uścisk, który się nie zdarzy. A potem czuję tylko ból i złość, że tyle lat opiekowała się Marlowe'em, po tym, co mi zrobił.

- Jak umarła?

- Wypadek samochodowy. - Wzrusza ramionami. - Była pijana. Na szczęście starczyło mi zapasów.

Uderza mnie, jak bardzo jest mu obojętna. Dlaczego mnie to dziwi? Brown kiedyś powiedział, że Marlowe jest psychopata, najgorszym typem socjopaty. Oni nie kochają.

Nie potrafią.

Nie mam jak sprawdzić, czy mówi prawdę. Mógł ją zabić, jak wiele innych kobiet. A może ona żyje, nie mam pojęcia. I tak nie mam czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać.

Ciężko oddycha i czuję jego wzrok. Kiedy patrzę na niego, nie widzę w nim człowieka. Jest jakby nieobecny. Robię krok do tyłu. Przyszło mi na myśl, że może nie jest aż tak okaleczony, jak mi się wydaje, że może kiedy jego uroda minęła bez śladu, łapie ludzi na

litość. Wyobrażam go sobie, jak sam się tłucze po pokojach niczym widmo, jak chodzi po lesie. Mrozi mnie ta myśl.

- Kto się teraz tobą opiekuje? - Z jakiegoś powodu chcę wiedzieć, jak żyje wśród tych zgliszczy, na jałowej ziemi wspomnień. Czy ktoś mu pomaga, bo mimo że tak strasznie wygląda, ciągle potrafi zwabić ludzi i nimi manipulować tak, żeby spełniali jego rozkazy.

- Jakoś daję sobie radę - odpowiada. - Będzie teraz łatwiej, kiedy wrócisz do domu.

Tak bardzo za tobą tęskniłem, Ofelio.

Jego słowa są puste, tak jakby je powtarzał na tyle często, że straciły znaczenie. Nie wierzę, że o mnie myślał, może kiedyś, przelotnie. To ja miałam obsesję na jego punkcie.

To ja myślałam o nim dzień i noc, snułam plany, jak do niego wrócić. Jest jak choroba, która toczy mnie tak, jak rak Parkera.

- Ależ ja za tobą tęskniłem - powtarza.

Myśli, że wróciłam do niego. Zaciskam dłoń na rękojeści pistoletu. Spływa po mnie pot, do uszu napływa krew, jestem przerażona, uświadamiam sobie, że będzie mnie chciał tu zatrzymać, złapać w swą pajęczą sieć, jak pająk muchę, a ja będę zbyt słaba i bezsilna, żeby uciec.

- Nie - patrzę w jego martwe oczy. - Nie.

- Należysz do mnie, Ofelio - szepce, podchodzi bliżej i bierze mnie za rękę.

Tak było przez wiele lat. Od pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy albo się go kurczowo trzymałam, albo uciekałam przed nim. Pozwoliłam, żeby przejął kontrolę nad moim sercem i głową. Kochałam go do szaleństwa i żyłam w przerażeniu, że po mnie wróci. I to prawda, nienawidziłam go. Przypomniałam sobie słowa Briggsa:

„Bo go nienawidzisz, Ofelio. Widziałem to na twojej twarzy w jadłodajni. Myślisz, że go kochasz, ale przecież wiesz, jaki jest zły, i że

pewnego dnia zabije także ciebie.

Będiesz trupem, który ktoś znajdzie w takim motelu jak ten".

Marlowe naprawdę mnie zabił, a ja mu na to pozwoliłam. Gray znalazł moje ciało w motelu w Nowym Meksyku i sprawił, że ożyłam. Teraz to ode mnie zależy, żeby stać się całością, wyzdrowieć, stać się matką, na którą zasługuje Victory, być kobietą, jaką zasługuję być.

Wtedy sobie przypominam, że to Marlowe jest ojcem Victory, że kiedyś byliśmy razem i dzięki nam znalazła się na świecie. Związek, który pozbawił mnie siły, jednocześnie stworzył związek, który dał mi siłę. Taka jest naga prawda, dziwna, że aż śmieszna.

Wszechświat ma poczucie humoru, poczucie ironii. Ale to jest żart na mój prywatny użytek, nie zamierzam się nim dzielić. Nie ma prawa jej poznać, nie ma z nią nic wspólnego.

- Należysz do mnie, Ofelio.

- Już nie.

Nie mam mu nic więcej do powiedzenia. Nie waham się ani przez chwilę, nie mam wyrzutów sumienia, że jest ranny, okaleczony i bezbronny. Robię to, po co tu przyjechałam, to, co Ofelia starała się zrobić przez wiele lat. Sięgam po pistolet i strzelam. Jego ciałem wstrząsają drgawki, kiedy ładuję w niego amunicję.

Wystrzeliwuję ją do końca. Marlowe leży na ziemi, z rozłożonymi nogami i rękami, wokół niego rozlewa się owal krwi. Podchodzę do ciała i widzę jego oczy wpatrzone we mnie. Z ust cieknie mu strużka krwi. Nie wiem, jak długo na niego patrzę, aż w końcu jestem pewna, że jest martwy.

W takich chwilach przypominam sobie dziewczyny, które zabijał, a ja się przyglądałam, widzę ich naszyjniki w kształcie serca, mieniące się, błyszczące paznokcie, minispódniczki i tandetne tatuaże. Słyszę, jak krzyczą, jak płaczą za swoimi matkami. Nie mogłam im wtedy pomóc. Nie mogę im pomóc teraz. Mogę uratować tylko jedną

dziewczynkę. Mogę odpowiedzieć na tylko jeden płacz. Czuję, jak przeszywa mnie ból, atakuje szyję, przechodzi do głowy. Jasna biała gwiazda rozlewa się w moim mózgu i tracę przytomność.

Rozdział 41

Kiedy znaleźli Harrisona, wszyscy doznali szoku. Był taki uczciwy, tyle dobrego zrobił dla lokalnej społeczności, był dobrym mężem i ojcem, dobrym gliną. Nie do wiary, że poderwał małą prostytutkę na przedmieściach miasta, zażywał z nią herę i zemdłał w samochodzie, w którym znalazła go policja, kiedy ktoś zadzwonił do nich anonimowo w tej sprawie z budki telefonicznej.

To straszne, mówili. Podobno żona wyrzuciła go z domu. Może przeżył załamanie nerwowe, nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Nie brał narkotyków, jego kumple byli tego pewni. Niewiele pił. Podobno był hazardzistą. Jakieś podejrzone przelewy znalazły się na jego koncie. Smutne.

Okropnie się rzucał, kiedy go zabrali i potraktowali jak zwykłego przestępcę. Jego kumple gliniarze nie chcieli spojrzeć mu w oczy. Wszystko im opowiedział, o długach hazardowych, o mojej fałszywej tożsamości, o Grief Intervention Services i Alanie Parkerze, o tym jak Ella Singer zaatakowała go paralizatorem u Powersów. To była prowokacja, pułapka, krzyczał, żeby nie próbował niczego więcej się dowiedzieć.

Zachowywał się jak szaleniec. Nikt go nie słuchał. Kompletnie się rozsypał, szeptali policjanci w szatni po kątach i po pracy w barach, pewnie był to efekt stresu po uzależnieniu od hazardu, problemów z żoną i małym dzieckiem.

Sędzia był łagodny, zalecił mu terapię odwykową i prace społeczne. Wreszcie Harrison się opamiętał i przyznał, że jest uzależniony od narkotyków, bo tak go pouczone, i od hazardu. Zgłosił się do tak zwanej Farmy, instytucji poza miastem, gdzie się leczy gliniarzy.

Został zawieszony w obowiązkach, wstrzymano mu pensję,

czekając na wyniki leczenia. Nie mogą go wylać, jak mu powiedziano, bo departament traktuje uzależnienie jako chorobę i stosuje zasadę: leczyć, nie karać. Jednak dla wszystkich było oczywiste, że to był koniec jego kariery.

Ale Harrison zniósł wszystko - upokorzenie, tygodnie leczenia uzależnienia od narkotyków, którego nie miał, i czas poświęcony na zastanawianie się nad złem w swoim życiu, nieuchronną stratę jedynej pracy, jaką kiedykolwiek pragnął wykonywać. Leżał w niewygodnym łóżku, zrozpaczony, tęskniąc za żoną i dzieckiem, myślał o tym, jak bardzo ich zawiódł, i zrozumiał, że ze wszystkim sobie poradzi, ponieważ Sara w niego wierzy. Spojrzała mu w oczy i wiedziała, że nie kłamie. I wierzyła, że razem uda im się wszystko naprawić.

Rozdział 42

Czuję przy sobie czyjeś ciepłe ciało, znajomy zapach szamponu Johnsona dla dzieci. Boję się, że śnię. Czuję, jak ktoś się kręci i porusza, jak pokasłuje i w moim sercu wzbiera nadzieja.

- Mamuś, śpisz?

W pokoju pali się tak jasne światło, że prawie mnie oślepia. Otwieram i zamykam oczy, dopóki się do niego nie przyzwyczaję. Gray opadł ciężko na fotel i patrzy przez okno.

Monitor serca pika miarowo.

- Mamusiu.

- Mamusia śpi. - Gray jest smutny i roztrzęsiony.

- Właśnie, że nie. - Victory się złości. - Otworzyła oczy. Gray obrzuca nas spojrzeniem, podnosi się i podbiega do łóżka.

- Annie.

Kładzie mi dłoń na czole. Oddycha głęboko, a kiedy do oczu napływają mu łzy, wstydliwie je ukrywa. Czuję ciężar w płucach, pęka mi głowa, ale nie pamiętam, kiedy byłam tak szczęśliwa, widząc tych dwoje ludzi.

- Nie żyje - próbuję mu powiedzieć, ale mam obolałe i ściśnięte gardło. Chrypię.

- Nie ma go.

Kręci głową, zmieszany, jakby nie wiedział, o czym mówię. Całuje mnie w czoło.

- Spróbuj odpocząć - mówi.

- Mamuś, długo spałaś - słyszę głos Victory. - Wiele dni. Patrzę na jej śliczną buzię, oczy okrągłe jak spodki, usta amorka, mlecznobiałą cerę, jedwabiste, puszyste, złote włosy i podnoszę z wysiłkiem ręce, żeby ją uściskać. Czuję wielką ulgę. Jest moja. Jest bezpieczna.

Victory.

- Wszystko w porządku? - pytam, kiedy wreszcie wypuszczam ją z objąć.

Uważnie się jej przyglądam, szukam śladów po traumie, obrażeń. Nie ma, jest doskonała, szczęśliwa i zdrowa.

- Co się stało? - pytam Graya nad jej głową. - Jak ją odzyskałeś?

Nagle sala wypełnia się lekarzami i pielęgniarkami. Gray zabiera Victory, oboje stają przy oknie, gdy tamci mnie badają.

- Jak się czujesz? - pyta mnie lekarka, Azjatka o miłej buzi. Jest filigranowa i śliczna, ma na powiekach cień w kolorze lawendowym, pomalowane na różowo usta.

- Czuję ciężar w piersi.

- Nawdychałaś się dymu. - Przykłada mi stetoskop do piersi. - Oddychaj głęboko.

- Dymu? - Z wielkim trudem próbuję wziąć kilka razy głęboki oddech.

- Był pożar. - Kładzie mi rękę na ramieniu. - Obawiam się, że dopiero za jakiś czas się dowiemy, czy twoje płuca nie zostały trwale uszkodzone.

- Nic nie pamiętam.

Spoglądam na Graya, który się do mnie uśmiecha. Ma nieokreślony wyraz twarzy, jest zatroskany, zaniepokojony. Znam to spojrzenie. Nagle czuję się bardzo dziwnie.

- Przypomnisz sobie, nie martw się. - Lekarka klepie mnie po ramieniu. - Najpierw musisz dojść do siebie.

Kilka następnych godzin mija mi na różnych badaniach. Ponoć nawdychałam się dymu podczas pożaru. Nic nie pamiętam. Wymijająco odpowiadają na moje pytania.

Wreszcie dają mi coś, co pomoże mi „się odprężyć”. Zasypiam. Kiedy się budzę, zapada zmrok. Przy łóżku pali się nocna lampka,

Gray drzemie na krześle. Wyciągam do niego ręce, podskakuje, kiedy go dotykam, pochyla się i ściska mnie z całej siły.

Opowiadam mu o wszystkim, choć mówienie sprawia mi wielki ból, o mężczyznach zabitych na statku, o Daksie, porwaniu, ojcu, locie na Florydę, o Gniewnym Człowieku, o spotkaniu z Marlowe'em. Gray słucha mnie w skupieniu. Nie przerywa, kiedy wyrzucam z siebie słowa.

- Gdzie Victory? - pytam nagle. - Nie rozumiem. Jak ją odzyskałeś?
- Annie.

Kładzie mi dłoń na głowie. Przerywam mu.

- Kiedy się dowiedziałeś, że zniknęła?

- Annie.

- Czy wszystko z nią w porządku? - Unoszę się z wysiłkiem na łóżku.

- Powiedz prawdę. Nie zrobiłby jej krzywdy, nie sądzę. Czy wszystko w porządku z Vivian i Drew?

- Tak. - Wstaje i siada na łóżku, delikatnie opierając mnie o poduszki.

- Musiałeś się okropnie martwić. - Patrzą na zmarszczki na jego twarzy, na jego podkrążone oczy. - Tak mi przykro.

- Annie, proszę - mówi takim tonem, że przerywam. - Posłuchaj mnie.

Trzymam się kurczowo prześcieradła, dociera do mnie, że cała zeszywniałam, jakbym miała zaraz upaść. Gray marszczy czoło, zaciska wargi, unika mojego spojrzenia. To wszystko mi mówi, że stało się coś złego. Boję się go pytać.

Głęboko wzdycha.

- Victory nigdy nie zniknęła, nigdy jej nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Była na rejsie z Drew i Vivian. Przez cały czas.

- Nie. - Czuję ucisk w piersiach. Rozpaczliwie pragnę, żeby zrozumiał, co do niego mówię, i żeby uwierzył. - Posłuchaj, Drew i

Vivian brali w tym udział. Pomagali Parkerowi. Pewnie myśleli, że w ten sposób mi pomogą. Ale Parker przeholował. I wtedy musiałam ich ratować, doprowadzając go do Marlowea.

Gray pochyła głowę i trze powieki, potem kładzie obie ręce na moich ramionach i patrzy mi prosto w oczy.

- Nie, Annie, nic takiego się nie wydarzyło.

- Ależ tak. - Zaczynam się na niego złościć. - Naprawdę. Drew i Vraan nie chcieli ci o tym powiedzieć, bo wiedzieli, że się nie zgodzisz.

Potrząsa głową, przez cały czas wytrzymując moje spojrzenie.

- Nie - mówi cicho.

- To dlaczego ci ludzie zginęli na statku? I Dax, ten, który chciał mnie uratować, co z nim?

Znowu kręci przecząco głową, nie wie, co powiedzieć. W mojej piersi wzbiera panika.

Słyszę na korytarzu śmiech pielęgniarki, dociera do mojej świadomości pikanie i mrużenie przeróżnych maszyn, które monitorują i podtrzymują ludzi przy życiu. Z piętra dobiegają dźwięki orkiestry, delikatne i metaliczne. Z trudem łapię oddech.

- Widziałam ich.

Bierze mnie za rękę, patrzy na nią, bawiąc się pierścionkiem na moim palcu.

- Nie zdążyłaś wejść na statek. Zaginęłaś po skoku do wody. Wymknęłaś się człowiekowi, który miał cię odwieźć.

Słyszę jego słowa, ale nie wierzę, że je mówi. Nie ufa mi.

- Nigdy nie pracował dla mnie człowiek o imieniu Dax.

Monitor serca pika strasznie szybko: 107, 108, 109. Wyciągam przed siebie ramiona, żeby zobaczyć sińce, które zostały mi po walce na statku.

- Skąd się wzięły te siniaki? Gładzi mnie z czułością.

- Nie wiem, kochanie. Nie wiem, co się z tobą działo. Ale nie dotarłaś na statek, który na ciebie czekał. Szukałem cię jak wariat, odkąd zniknęłaś. Wreszcie zadzwoniła policja, której podlega teren z ranczem Geary'ego. Znaleźli cię tam nieprzytomną w szopie. Ranczo płonęło. Od wielu lat było opuszczone. Miejscowi myślą, że tam straszy. Kiedy kręcące się tam dzieciaki zobaczyły pożar, powiadomiły policję.

- Pożar.

- Podpaliłaś ranczo.

- Nie - odpowiadam. - Zabiłam Marlowea. I wtedy... - I wtedy co? Nagle pojęłam, że nie pamiętam, pamiętam tylko biały błysk przed moimi oczami, kiedy patrzyłam, jak się wykrwawia.

- Czy znaleźli jego ciało? - pytam. - Był potwornie zmasakrowany, ranny. Chodził o lasce.

- Nie, Annie. Byłaś tam sama. Nie było żadnego ciała.

- On nie był na ranczu - mówię szybko. - Mieszkał w przyczepie w lesie. Nikt poza mną o tym nie wiedział. Dlatego mnie potrzebowali. Nie rozumiesz?

Gray wygląda na przestraszonego i chwyta mnie za rękę.

- Już dobrze, Annie.

- Pewnie Parker stał za tym, że przenieśli jego ciało - mówię.

Wtedy widzę, jaki jest smutny i wystraszony, pewnie moje słowa brzmią jak bełkot wariatki.

- Nie wierzysz mi. - Ogarnia mnie czarna rozpacz. Kładzie dłoń na mojej głowie i masuje mi kark, zbliżając twarz do mojej twarzy. Obejmuję jego szeroką klatkę.

- Wierzę, że ty w to wierzysz - szepce. Opieram o niego głowę.

- Ojciec. - Jeszcze raz próbuję, chociaż nadal słyszeć rozpacz w moim głosie. - To on wpadł na miejsce jego kryjówki.

Ściska mnie jeszcze mocniej.

- Mówił mi, że ktoś się włamał do jego sklepu i przeglądał album z tatuażami.

Leżał otwarty na biurku na zdjęciu Marlowe'a z tatuażem. Natychmiast do mnie zadzwonił.

- Nie - odpowiadam. Odsuwam się od Graya i zmuszam go, żeby mi spojrzał prosto w oczy. - Pomógł mi się dostać na Florydę. Jego znajomy ma prywatny samolot.

Gray milczy, spuszcza głowę. Zaczynam płakać.

- Dlaczego mi to robisz? - pytam go. Czuję się słaba, kręci mi się w głowie. Piersi i gardło boją od szłochu. Gray wyciąga do mnie ręce, przytulam się do niego kurczowo, z całych sił.

- Już dobrze, Annie. - Jego słowa oplatają mnie jak wąż. - Wszystko będzie dobrze.

Zdaniem pani doktor, psychotyczna pauza spowodowała nawrót traumatycznych wspomnień z przeszłości w reakcji na chęć połączenia dwóch części siebie, jasnej i ciemnej, i na żądze zemsty na osobie, która zmarnowała mi dzieciństwo i całe życie.

Wszystko zmyśliłam, ubzdurałam sobie, żeby znowu stać się całością. Gdzie byłam w tych tygodniach, kiedy zaginęłam? Jak dotarłam na ranczo w środku Florydy?

Nikt tego nie wie.

Pani doktor, śliczna blondynka, mówiąca z delikatnym brytyjskim akcentem, wydyma lekko wargi. Mówi, że załączkiem mojej fantazji był program telewizyjny z udziałem mojej matki, w którym usłyszałam o Grief Intervention Services. Mówiono w nim o pokonywaniu własnych lęków, co musiało silnie na mnie podziałać.

Wymyśliłam misterny plan działania, uciekłam przed fałszywym życiem, jakie stworzyłam, ściagałam człowieka, który, święcie w to wierzyłam, zawsze mnie ściagał, stawiałam mu czoło i zabiłam go. Moja fantazja była uśpiona, jakby była psychologiczną deską ratunku -

rzeczy, które trzymałam pod materacem, informacja kontaktowa do Oscara, to były moje kamienie probiercze. Pani doktor uważa, że spanikowałam z powodu morderstwa, niedawno szczegółowo opisanego w prasie, którego dokonano w pobliżu rancza Franka. Wreszcie Vivian przyznała, że mnie okłamywali, gdy powiedzieli, że Marlowe zginął, i ta informacja spowodowała reakcję łańcuchową w moim mózgu.

- Śmierć Annie Powers doprowadziła cię do wyjazdu i konfrontacji, musiałaś zrobić wszystko, żeby wrócić do Marlowe'a i go zabić, aby uratować córkę - mówi cicho, ważąc każde słowo. - Wierzyłaś, że tylko tak możesz odzyskać Ofelię, uratować ją przed Marlowe'em, co się nikomu przed tobą nie udało. Dopiero jak tego dokonałaś, mogłaś uratować córkę.

Jest podekscytowana własną teorią, widzę, jak się pochyla i patrzy na mnie jasnymi, szeroko otwartymi oczami.

- Nigdy nie uwierzyłaś, że zginął. To naturalne, trudno uwierzyć w czyjąś śmierć, dopóki nie zobaczy się ciała. Stąd potrzeba pogrzebów, które są dowodem na to, że śmierć miała miejsce, że ludzie naprawdę odchodzą. Instynkt podpowiada nam, że nie mogą z nami być w jednej chwili, a w drugiej zniknąć na zawsze. Twoja rodzina wmówiła ci coś, co przeczyło twojemu instynktowi. Kiedy odkryłaś, że kłamią, utwierdziłaś się w swoich racjach. Dawne groźby Marlowe'a tkwiły w twojej podświadomości. I to wyzwoliło ciąg zdarzeń.

Nie dyskutuję z nią. Jeśli zacznę się z nią sprzeczać, pomyśli, że zwariowałam.

- To była dla ciebie trauma, ale pewnie dawno się tak dobrze nie czułaś. Mam rację?

Ma. Oczyszcziłam się z ohydy, którą Marlowe wniósł do mojego życia. Może i wpuściłam go do domu mojej matki, pozwoliłam mu pociąć wszystko niczym brzytwą, lecz na koniec zmierzyłam się z nim

i go pokonałam. Wreszcie - nie żyje - umarł.

- Ciekawe, że był ranny, oszpecony, kiedy się z nim rozprawiłaś - zastanawia się głośno. - Tak jakby jego władza nad tobą osłabła wcześniej. - Musiałaś mu tylko zadać ostateczny cios.

W zamyśleniu kiwam powoli głową.

- Chyba tak.

Jeśli wyczuwa w moim głosie fałszywą nutę, to nie mówi mi o tym. Zapisuje coś w notesie. Widocznie uważa mnie za interesujący przypadek.

Jakie to wszystko proste. Simon Briggs był drapieżnikiem, bandytą, który odkrył, że Ofelia żyje. Dla nikogo nie pracował, zależało mu tylko na kasie. Wrócił, żeby nas szantażować, wiedział, że musimy utrzymać moją tożsamość w tajemnicy. Kto go zabił?

Oczywiście wiadomo - Gray. Policja może sądzić, że to był jego wróg bądź niezadowolony klient. Kiedy prowadzi się takie życie, to niemal na pewno skończy się jako topielec lub z kulką w głowie.

Biedny Brown był monitorowany przez policję za prowadzenie nielegalnej praktyki.

Musiałby zapłacić grzywnę i odsiedzieć wyrok. Spakował się i dał nogę. Już wcześniej tak zrobił, w Nowym Jorku i Kalifornii. Co widziałam? Cóż... nie bardzo możemy polegać na moich wspomnieniach. Kto go zabił? Może rozwścieczony pacjent? Czy wiadomo, jakie kontakty może mieć taki człowiek?

Wtedy na plaży to mógł być Briggs, który szykował grunt pod szantaż i chciał mnie wyprowadzić z równowagi. A może uroiłam go sobie? Zobaczyłam niewinnego nieznanego spacerującego po trawie i mój chory umysł dopowiedział resztę. A naszyjnik, który, moim zdaniem, znalazłam? Nikt poza mną go nie widział, a na dodatek zniknął. Druga połowa serca, którą przechowywałam przez te wszystkie lata, również zniknęła z aksamitnego pudełka pod moim

materacem. I dlatego moja doktor i wszyscy inni uważają, że nigdy nie było na plaży drugiego naszyjnika.

- To był dla ciebie symbol, bardzo ważny - tłumaczy pani doktor. - Zostałaś przepołowiona przez Marlowea, oddzielona od twojego prawdziwego ja.

Wyobrażając sobie, że znalazłaś drugą część, chciałaś wrócić do swojej jedności, niepodzielności.

Pani doktor jest bardzo zadowolona ze swojej teorii.

Ale przecież moja matka naprawdę zmarła ponad rok temu w wypadku samochodowym, który spowodowała jazdą po pijaku. Więc jak to się stało, że w mojej fantazji powiedział mi o tym Marlowe? Musiałam gdzieś o tym usłyszeć, może przeczytałam w Internecie i chcąc wyprzeć tę wiedzę, zepchnęłam ją w głąb swojej psychiki. Następnie wypłynęła wraz z innymi demonami.

I wreszcie Grief Intervention Services? To po prostu organizacja, która ofiarom pogrążonym w żalu pomaga poprzez hipnozę, terapię przez immersję i inne niekonwencjonalne techniki, jak przekonywanie ofiary, żeby powróciły na miejsce tragedii, gdzie doznały wstrząsu, odwiedziły napastników w więzieniach, brały udział w egzekucjach. Organizacja na pewno nie uczestniczy w porwaniach, torturach, zabójstwach etc. Owszem, została założona i była do niedawna prowadzona przez Alana Parkera, ojca Melissy, męża Janet. Ale Parker od kilku lat mieszka za granicą i zmaga się z rakiem, jest zbyt chory, żeby podróżować. Mówią mi, że informacje o nim uzyskałam, obsesyjnie serfując po Internecie, i odłożyłam w mojej psychice na później.

Dobrze, że moja nowa pani doktor nie uważa mnie za psychicznie chorą - chronicznie, bądź przewlekłe. Nie sądzi, żebym miała zaburzoną równowagę chemiczną, coś, co trzeba leczyć farmakologicznie przez całe życie. Jej zdaniem cierpię na

posttraumatyczny stres od chwili, gdy zobaczyłam, jak Janet zabija Franka.

Straszne rzeczy, jakich byłam świadkiem, kiedy byłam z Marlowe'em, wzmocniły traumę. Przyjęcie fałszywej tożsamości i chęć pozbycia się Ofelii tylko pogorszyły sprawę.

Wierzy, że gdybym oddała się w ręce policji, poniosła karę odpowiednią do moich czynów, zapisała się na terapię i prowadziła życie jako Ofelia March - w konsekwencji ucierpiałabym mniej.

Oczywiście przytakuję. Zgadzam się ze wszystkim, co mówią. Robię, co muszę, żeby odzyskać swoje życie takie, jakie jest. Przystosowuję się, jak zawsze.

Jestem miła, więc godzą się, na to, żebym wróciła do domu, do rodziny. Nie postawią mi zarzutu podpalenia rancza Franka. Formalnie i tak byłam jego właścicielką. To jeden z powodów, dla którego, zdaniem lekarki, je podpaliłam - było ostatnim ogniwem łączącym mnie z Frankiem i Marlowe'em.

- Ogień oczyszcza - mówi.

Ma rację. Cieszyłam się, że ranczo obróciło się w popiół. Mam nadzieję, że ktoś zrówna to miejsce z ziemią i wybuduje na niej centrum handlowe.

Zgodziłam się, żeby hrabstwo sprzedało moją własność i wzięło za nią pieniądze.

W zamian za to nie wniosą przeciwko mnie oskarżenia. Wszystko zostało załatwione polubownie.

Również Ofelia March nie zostanie oskarżona o współuczestnictwo w zbrodniach Marlowe'a. Ponieważ przekroczyliśmy granice tylu stanów, a Marlowe popełnił wielokrotne morderstwa, to była sprawa federalna. Jak na razie ani FBI, ani biuro prokuratora federalnego nie wniosło przeciwko mnie oskarżenia. Jestem bardziej ofiarą niż współniczką przestępcy.! Wszyscy mi raczej współczują, niż atakują

mnie czy obrzucają obelgami. Jak na razie informacja o tym, że Ofelia przeżyła, nie stała się medialną sensacją. Jestem wdzięczna, chociaż zastanawiam się, czy to nie jest tylko kwestia czasu.

I wreszcie, dzięki znajomościom Drew i Graya, nikt nie mówi o kradzieży tożsamości prawdziwej Annie Powers. Poszło jak po maśle.

Wracają ciche, puste dni. Każdego ranka przychodzi Ella, kiedy Victory jest w przedszkolu. Opowiadam jej o wszystkim, a ona słucha mnie inaczej niż Gray. On się niepokoi, chce wszystko naprawić i zapanować nad sytuacją, pocieszyć i ukoić ból spowodowany wydarzeniami, które, jego zdaniem, wydarzyły się tylko w mojej głowie.

Nie o to mi chodzi. Chcę, żeby ktoś mnie wysłuchał i zrozumiał, że wszystko, co się wydarzyło, ma znaczenie i wagę dla mnie bez względu na to, czy wydarzyło się w mojej głowie, czy nie. Ella to chyba rozumie. Jest cierpliwym i chętnym słuchaczem, tak jak moja pani doktor.

- Mam cię nazywać Annie czy Ofelia? - pyta Ella tego ranka, kiedy pijemy kawę przy basenie. Leżymy na kolorowych plażowych ręcznikach rozłożonych na wygodnych leżakach. Jest ciepło, wieje bryza od morza. Szepecą fale, skrzeczą mewy, walcząc w powietrzu o rybę, którą jedna z nich złapała. Jestem w domu od trzech tygodni.

- Chyba Annie. Już się nad tym zastanawiałam. Postanowiłam zmienić imię na Annie Ofelia Powers. Nie jestem już tamtą dziewczyną. Jednak ona jest częścią mnie.

Kiwa ze zrozumieniem głową.

- Wiesz co? - Uśmiecha się. - Chyba wyzdrowiałaś. Jesteś zdrowsza niż kiedykolwiek.

Stabilniejsza, bardziej zrównowazona.

- Cała - odpowiadam. - Tak.

Marlowe nie żyje. Zastrzeliłam go i patrzyłam, jak uchodzi z niego

życie. Wreszcie uratowałam Ofelię. Jest bezpieczna. Ma dom i rodzinę, która ją kocha. Nie mówię jej tego.

Po co.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, popijając kawę. W kuchni słyszę, jak nasza nowa gosposia i niania Victory, młoda kobieta o imieniu Brigid, upuszcza szklanekę, która rozbija się o płytki. Gray ją zatrudnił, kiedy odeszła Esperanza. Jest chłodna, a nie ciepła jak Esperanza, chuda, a nie pulchna jak Esperanza, cicha, podczas gdy Esperanza tryskała energią. Nie jest zła, jest po prostu inna. Chciałam zadzwonić do Esperanzy, ale miała wrócić do Nowego Meksyku, zając się umierającą matką; nie ma tam telefonu. Obiecała Grayowi, że wróci do nas po śmierci matki. Boję się, że odeszła przede mną. Victory bardzo za nią tęskni, tak jak ja. Ale w pewien sposób stałyśmy się sobie bliższe, odkąd jej z nami nie ma.

Idę do kuchni zobaczyć, czy nic się nie stało Brigid. Wszystko w porządku, jest zdenerwowana, przeprasza. Próbuję ją uspokoić i znowu myślę, jak bardzo brakuje nam Esperanzy.

Kiedy wracam, Ella czyta gazetę.

- Słyszałaś, co się stało z tym detektywem, który tu wtedy był?

- Z Harrisonem?

- Tak.

Nie wiem, czy ona wie, że nas szantażował, nie wiem, czy jej o tym powiedzieć. Dawno o nim nie myślałam. Pamiętam nasze ostatnie spotkanie na parkingu przed basenem, po moich zajęciach z nurkowania, kiedy naprowadził mnie na trop Vivian, która powiedziała mi o Marlowie. Ella twierdzi, że nic mi nie mówiła o Brownie ani nie czyniła wymijających uwag, w stylu: „kazali mi tak powiedzieć”, że ją oszukał, jak wszystkich. Z niej też zrobił idiotkę. Rzecz jasna, nasze stosunki ochłodziły. Jest zdenerwowana i skrępowana w moim towarzystwie. Zachowujemy pozory ze względu

na Victory. Drew też mnie unika.

- I Co się z nim stało? i Podaje mi gazetę i czytam o upadłym glinie, prostytutce, heroinie, uzależnieniu od hazardu, tajemniczych pieniądzach na koncie. Na zdjęciu (z kartoteki policyjnej) Harrison wygląda na przegranego i oszołomionego. Siwe włoski, które rosły mu nad uchem, zniknęły. Dziwne. Może to gra świateł.

Zerkam na Elle, obserwuje mnie. Marszczy brew, kiedy patrzymy sobie prosto w oczy.

- Oszalał, prawda? - W jej spojrzeniu dostrzegam dziwne ożywienie, jakby ta wiadomość sprawiła jej przyjemność.

- Tak. - Składam gazetę, zamykam oczy i odchylam głowę. Czuję słońce na twarzy.

Nagle się niepokoję, czuję, że coś tu nie gra. Jednak nie będę teraz myśleć o Harrisonie, martwić się, że ma kłopoty.

- Oszalał.

Rozdział 43

Po tygodniu dociera do mnie, że nigdy nie jestem sama. Zawsze są ze mną Gray, Ella albo Brigid. Nie zostawiają mnie samej nawet z Victory, chyba że jedziemy rano do przedszkola. Nie krążą cały czas wokół mnie, ale zawsze ktoś jest w domu albo jedzie ze mną do miasta. Nie mam do nich pretensji, wiem, co o mnie myślą.

Pozwolę im na to przez chwilę, ale potem zacznie mnie to nużyć. Na razie zachowuję się bez zarzutu, zrobię wszystko, żeby być w domu z rodziną, a nie w domu bez klamek.

- Mamusiu - mówi do mnie Victory, kiedy jedziemy razem do przedszkola.

-Tak?

- Lepiej się czujesz? - Przygląda mi się w lusterku wstecznym, delikatnie marszcząc brew.

- Tak - odpowiadam. - O wiele lepiej.

Kiedy widzę, że się uśmiecha, znowu patrzę przed siebie. Wtedy mówi:

- Nie chcę już nigdzie więcej wyjeżdżać z babcią i dziadkiem. - Dziwi mnie to, co mówi, znowu patrzę w lusterko, widzę, że jest zachmurzona.

- Dlaczego, kochanie?

- Nie chcę i już. Chcę być z tobą i tatusiem. Nie powinnaś wyjeżdżać, a oni nie powinni mnie zabierać.

Czuję, że wszystko sobie przemyślała. Serce mi się ściska. Uśmiecham się do niej i nie zmuszam do zwierzeń.

- Nigdzie się nie wybieram. Ty też nie musisz wyjeżdżać, jeśli nie masz na to ochoty.

Zgoda?

- Tak - odpowiada, ale nie odwzajemnia uśmiechu. Przez resztę drogi obserwuję ją i zastanawiam się, czy zmusić ją, żeby mi powiedziała coś więcej. Kiedy dojeżdżamy, zachowuje się normalnie, szczebiocze wesoło o dzisiejszych zajęciach. Wzięła do przedszkola Claudea i Isabel.

Jestem przekonana, że się wszystkim spodobają.

Nie wracam od razu do domu. Nie mogę znieść myśli, że Brigid znowu będzie chodzić na paluszkach wokół mnie, nawiasem mówiąc, jest jeszcze gorszą kucharką i gospodynią ode mnie. Zaczynam podejrzewać, że nasłała ją na mnie firma Graya, żeby mnie szpiegować.

Zatrzymuję samochód przed kafejką internetową na plaży. Zamawiam cafe latte, siadam z tyłu i serfuję po Internecie. Chciałam znaleźć dowód na to, co mi się wydarzyło. Ale tak naprawdę wcale go nie potrzebuję. Wiem, że nie oszalałam.

Wiem, że zmierzyłam się z Marlowe'em, że go wyeliminowałam z tego świata. Ta wiedza mnie uzdrowiła. Powinna wystarczyć. Nie obchodzi mnie, co zrobił Parker i Grief Intervention Services, żeby zatuszować sprawę. Próbowałam skontaktować się z ojcem, porozmawiać z nim o tamtej nocy, ale nie udało mi się. Zaczynam się o niego martwić.

Moje palce zawisły nad klawiaturą. Zastanawiam się, jak szukać Parkera, ludzi, którzy kontaktowali się z GIS, jak dotrzeć do ojca, żeby Gray się nie dowiedział.

Obok toalet jest budka telefoniczna. W końcu rezygnuję. Czuję, że ktoś mnie obserwuje. Wszyscy są „zadowoleni”, ponieważ czynię postępy. Nie chcę ich niepokoić. Muszę być w domu dla Victory.

- Nie pozwalają pani być samej, prawda? - Odwracam się i widzę przy stoliku za mną młodą kobietę. Jej dziecko błogo śpi w wózeczku. Ma popielatoblond włosy ściągnięte w kucyk, bladą, szarą twarz,

podkrążone ze zmęczenia oczy. Nie znam jej.

- Słucham? - Chciałam porozmawiać z panią w cztery oczy.

- Czy my się znamy? - Nie. Jestem Sara Harrison. Ray jest moim mężem.

Zastanawiam się, o co może jej chodzić. Kolejna próba szantażu? Zrozpaczona kobieta chce pieniędzy? Nie, dostrzegam coś w jej twarzy. Ma szeroko otwarte, szczere oczy. Jest w niej siła i godność. Nie wygląda na przestępczynię. Wystraszona zerka na drzwi i na dziecko. Dziecko jest kopią Raya; wiem, że to dziewczynka, bo ma różowe ubranko.

Pamiętam Victory, kiedy była taka mała i krucha. Nie mogę się powstrzymać, wyciągam rękę i dotykam pokrytej meksykańską skórą główki. Wzdycha, ale się nie budzi.

- Musimy porozmawiać - mówi Sara.

Odwracam się od niej. Jeżeli ktoś nas obserwuje, to chcę, żeby pomyślał, że podziwiam dziecko. Patrzę na ekran.

- Co mogę dla pani zrobić?

- Słyszała pani o moim mężu? Kiwam głową.

- Przykro mi - mówię i współczuję im wszystkim, a zwłaszcza ich córeczce.

- To dlatego, że chciał pani pomóc.

- Nie rozumiem - odpowiadam.

Wiem, że jestem chłodna i wyniosła, jednak nie potrafię inaczej. Niezrażona opowiada mi, co się z nim stało, co pisały gazety i czego się dowiedział podczas śledztwa.

- Myślą, że się załamał, ponieważ był uzależniony od hazardu, nie uwierzyli mu w istnienie GIS ani że został zaatakowany paralizatorem, myśleli, że zwariował.

- Jeśli to prawda, to musiał mieć na ciele ślady.

- Były, ale nikt mu nie uwierzył, skąd się wzięły. Przesłuchali pani

przyjaciółkę Ellę Singer, żeby odfajkować sprawę. -Przerywa na chwilę i śmieje się gorzko. - Ona i jej mąż byli oburzeni. Podczas śledztwa współpracowała z policją i tak jej się za to odwdzięczają, mówiła. Jej mąż podobno grywa w golfa z burmistrzem. - Jej słowa są pełne goryczy.

Przypominam sobie błysk w oczach Elli, kiedy podawała mi gazetę. Oczywiście nie wspomniała o zarzutach, o których opowiada Sara. Gazety o tym nie pisały. Gdybym jej o tym powiedziała, na pewno by odparła, że chciała mi oszczędzić dodatkowych nieprzyjemności, że mam swoje problemy. I może mówiłaby prawdę. Trudno mi sobie wyobrazić Ellę wymachującą gliniarzowi przed nosem paralizatorem, ale z drugiej strony, dlaczego nie.

- Powiedzmy, że pani wierzę - odpowiadam. - Co mam w takim razie zrobić?

- Pani nie rozumie. O nic nie proszę. To ja chcę pani pomóc. Chcą zrobić z pani wariatkę. A pani nią nie jest. Mój mąż wyrządził pani krzywdę, teraz to wie. Chce ją naprawić, tak jak ja.

- Jeśli to prawda, co może pani dla mnie zrobić? Dziecko cichutko wzdycha. Kątem oka widzę różowe zawiniątko.

- Może nic. Pomyślałam, że musi się pani dowiedzieć, że żyje w gnieździe żmij. Pani mąż, przyjaciółka i rodzina męża panią okłamują. Właściwie jest pani ich więźniem, który mieszka w ślicznej klatce.

Nie odpowiadam, piję łyk kawy, z nadzieją, że nie zauważy, jak mi drży ręka.

- Mąż odkrył coś interesującego, dlatego pojechał do pani. Dowiedział się, że GIS jest klientem Powers and Powers Inc.

Kiedy nie odpowiadam, mówi dalej.

- Jego kolega z FBI przesłał mu listę klientów. Z oczywistych powodów rząd federalny prowadzi bardzo ścisły nadzór prywatnych

firm militarnych. Jakie usługi, pani zdaniem, może świadczyć firma militarna dla organizacji, która niesie pomoc ludziom pogrążonym w żalu?

Dobre pytanie. Tak dobre, że nie wiem, czy chcę poznać odpowiedź. Dopijam kawę.

- Jeśli to prawda, to dużo pani ryzykuje, przychodząc tutaj - mówię.

- Niech pani pomyśli o córce.

- Właśnie to robię - odpowiada ostro. - Chcę, żeby wiedziała, że w życiu chodzi o coś więcej. Że kiedy popełnimy błąd, to żeby zamknąć rozdział, musimy go najpierw naprawić, jak dalece to możliwe. Mój mąż popełnił masę błędów, niektóre z nich dotyczyły pani. Ale chciał je naprawić i teraz płaci za to bardzo wysoką cenę swoją karierą i reputacją.

Niewiele da się z tym zrobić. Lecz oboje czujemy, że jesteśmy pani winni prawdę. Oto moja rada: niech pani weźmie córkę i ucieka jak najdalej od swojej rodziny. I niech pani biegnie, a nie idzie.

Wtedy wstaję. Nie chcę jej więcej słuchać. Sięgam po torebkę i zakładam ją na ramię.

- Ma pani w domu dostęp do komputera Graya, prawda? Znajdzie tam pani listę klientów Powers and Powers Inc. Przekona się pani, że mówię prawdę.

Kładę na stole pieniądze, napiwek za usługę, której nie otrzymałam. Idę w kierunku drzwi.

- Jeśli nie chce pani zrobić tego dla siebie, niech to pani zrobi dla córki.

Zostawiam ją. Nie odwracam się.

W topografii istnieje coś takiego jak znikający strumień. W którymś punkcie woda wpada w otwory w skale wapiennej i wije się pod ziemią przez skomplikowaną, zawiłą formację jaskiń, pieczar i grot. Płyńie jak każda woda, może łączyć się z innymi strumieniami,

płynąć szybko i pewnie, ale wszystko to w ciemności, głęboko pod światem.

I nagle, jakby znikąd, strumień się pojawia ponownie, sączy, przenika, czasami setki kilometrów od źródła.

W podziemnym środowisku mnożą się stworzenia, które nazywamy stygobiontami, doskonale przystosowane do życia w wilgotnej ciemności: pajęczaki, muchy, stonogi i jaszczurki. Ewolucja pozbawiła ich oczu, ich skóra stała się przezroczysta. Nawet minimalne wystawienie na słońce byłoby dla nich śmiertelne.

Ofelia zapadła się pod ziemię i pojawiła się jako Annie. Strumienie ich życia połączyły się, płynęły razem, aby potem zanurzyć się w ciemności. Myślałam, że wyjdę na światło dzienne do końca i ostatecznie. Ale może to prawda, że już nie odróżniam światła od ciemności. Może się przystosowałam do mojego życia, takiego, jakie jest.

Przez jakiś czas jeżdżę bez celu, serce mi wali, mam suche i obolałe gardło. Moje płuca jeszcze się nie zregenerowały, z trudnością oddycham. Podjeżdżam na plażę, odwracam się i krążę po uliczkach tego ładnego nadmorskiego miasteczka, patrzę na poparzonych słońcem turystów, na zgrabne, idealne ciała nastolatek, paradujących na bosaka w kostiumach, na emerytów o srebrzystych włosach, którzy spacerują o lasce.

Po chwili uspokajam się, ale słowa Sary nadal rozbrzmiewają w mojej głowie. Chcę wrócić do domu i udawać, że nigdy się z nią nie spotkałam. Chcę wierzyć, że jest wytworem mojej chorej wyobraźni, kolejnym złudzeniem. Ale nie mogę, bo ciągle sobie przypominam, co powiedziała o córce, o tym, że chce, aby w przyszłości wiedziała, że w życiu chodzi o coś więcej niż o unikanie ryzyka. Że kiedy popełnimy błąd, to możemy pójść naprzód po części dlatego, że go naprawimy. Boli mnie, że to takie proste. Uświadamiam sobie, że znowu siebie

zdradzam, tym razem dla córki.

Rozdział 44

Wieczorem idziemy do Drew i Vivian na kolację. Jestem niespokojna. Od kiedy wróciłam, czuję się skrępowana w obecności Vivian. Nie rozmawiam z Drew.

Kompletnie nie mam ochoty na tę wizytę. Jednak Gray mnie przekonuje, że rodzina musi wrócić do normalności, do punktu, z którego może ruszyć do przodu.

Mogłabym go za to znienawidzić.

Kiedy szykujemy się do wyjścia, dwa razy mówię coś do niego podniesionym głosem, więc mnie unika. Victory jest rozdrażniona i marudna, może z powodu mojego nastroju, zawsze umie go wyczuć. A może chodzi o coś innego. Nie chce do nich iść, tyle nam powiedziała, kombinuje, jak nas namówić na pizzę albo kino.

Próbuję ją wypytać, kiedy wkładam jej nowe ubranko, które kupiłam po dzisiejszym spotkaniu z Sarą. To mnie usprawiedliwiło przed Brigid, dlaczego nie wróciłam od razu do domu po zawiezieniu Victory do szkoły.

- Przecież lubisz jeździć do babci - mówię, zapinając guziczki w kształcie serduszek z tyłu różowej sukienki w drobną kratkę, do której włożyła różowe legginsy. Kiedy proszę, unosi do góry włosy.

- Nieprawda - odpowiada z uporem. - Wolę pizzę i film.

Widzę w lustrze, jak robi podkówkę. Odwracam ją delikatnie w swoją stronę. Nie ma w niej nic z Marlowe'a, jest kopia mnie.

- Co się stało, Victory? - prawie szepczę. Wbija wzrok w podłogę.

- Nic - odpowiada, pochyla się w moją stronę i obejmuje mnie za szyję małymi rączkami.

Przytulam ją i chcę ją znowu zapytać, kiedy nagle w drzwiach pojawia się Gray.

- Mnie też przytulisz? - pyta.

Victory biegnie w jego stronę z rozjaśnioną twarzą, bez śladu smutku, który widziałam sekundę wcześniej. Gray podrzuca ją do góry i mocno ściska.

Uśmiechamy się do siebie nad jej głową, kiedy mała chichocze z zachwytu. Stawia ją na ziemi.

- Gotowe? Dzwonił ojciec. Vivian zaczyna smażyć steki na grillu.

Nie daje po sobie poznać, jeżeli zauważył, że przestajemy się uśmiechać. Mdli mnie od tej farsy, równie dobrze to Sara Harrison mogłaby siedzieć naprzeciwko mnie przy długim szklanym stole, przy którym się zgromadziliśmy.

Nad zatoką wielkie pomarańczowe słońce chyli się ku niebiesko-różowej linii horyzontu. Jemy filet mignon, pieczone ziemniaczki i wielkie kolby kukurydzy. Drew i Gray piją coronę, Vivian i ja sącymy chardonnay. Victory pije mleko z plastikowego kubka ozdobionego rysunkami Hello Kitty. Ktoś mógłby poczuć zazdrość na widok bogatej i szczęśliwej rodziny zasiadającej do kolacji w luksusowym domu z widokiem na ocean.

- Annie. - Drew przerywa niezręczną ciszę, która zapanowała przy stole po wymianie grzeczności i po pytaniach rozgadanej Victory. - Dobrze wyglądasz.

Nigdy się tak do mnie nie uśmiechał. Jest zadowolony z siebie i wielkoduszny, wspaniałomyślny, jak król dla swoich poddanych. Dziękuję mu, tak się chyba powinnam zachować.

- Cieszy mnie to - ciągnie. - To wielki dar niebios, że spotykamy się tu w rodzinnym gronie. Długa była nasza droga do szczęścia, dla nas wszystkich.

- Tak. - Vivian wpatruje się w swój talerz. - To dar. - Podnosi wzrok i bierze mnie za rękę. Mam ochotę się jej wyrwać, ale nie robię tego. Uśmiecham się do niej, potem do Victory, która siedzi obok i bacznie

mi się przygląda.

Drew mówi za głośno, jest zbyt ożywiony.

- Kiedy się pojawiłaś, uważałem, że ty i Gray nie pasujecie do siebie. Byłaś w złym stanie i bałem się, że mój syn będzie próbował cię uratować, co mu się nie udało z matką.

Jego słowa są jak nagłe walnięcie pięścią w stół. Zamieramy, Vivian z kieliszkiem przy ustach, ja z widelcem nad pomidorem, i wpatrujemy się w niego. Pierwszy raz powiedział coś takiego, czuję, jak płoną mi policzki, jestem porażona jego otwartością.

- Tato.

Zachmurzony Gray pochyla się do przodu w krześle. Rzuca znaczące spojrzenie na Victory, widzę, jak tężeją mu ramiona i mięśnie.

- Pozwól mi skończyć - odpowiada ostro Drew, unosząc dłoń.

Widzę, że jest pijany. Od kiedy usiedliśmy przy stole, wypił ze cztery piwa, i pewnie pił przed naszym przyjściem. Jest swobodny, rozmowny, zupełnie jak nie on.

Gray patrzy na mnie strapiiony, ale siada prosto i czeka w napięciu na rozwój wypadków. Nie boi się stawić czoła ojcu, ale tego, że najmniejsze nieporozumienie może się przerodzić w bitwę. Woli poczekać na właściwy moment.

- Jednak nie jesteś do niej podobna - ciągnie Drew. - Zaskoczyłaś mnie, masz charakter, determinację, o które cię nie podejrzewałem. Dzięki tobie jest szczęśliwy, a ty jesteś dobrą matką.

Rok temu zalałaby mnie fala wdzięczności za takie słowa. Teraz mam ochotę uderzyć go w te jego idealne białe zęby. Rozmowa z Sarą kołacze mi się w głowie, serce wali jak oszalałe. Staram się nie okazać emocji, które we mnie wzbierają.

Vivian wstaje nagle od stołu, odsuwa krzesło, prawie je przewraca. Czuję, że coś się za chwilę stanie.

- Victory, chodźmy na górę zobaczyć twój domek dla lalek. - Idzie do drzwi prowadzących na górę. Myślałam, że Victory wystrzeli za nią jak z procy, tymczasem mała nie rusza się z miejsca.

- Nie - odpowiada zachmurzona. Bierze mnie za rękę. -Chcę zostać.

- Victory. - Zaskakuje mnie surowy ton Vivian. - Idziemy.

Coś we mnie pęka.

- Nie mów tak do niej. - Słyszę swoje słowa. - Nigdy. Wszyscy odwracają się w moją stronę, jakbym była marionetką, która nagle wykonała samodzielny ruch.

- Nie chcę się z tobą bawić - mówi Victory. - Nie lubię tej zabawy.

Odwracam się do niej i myślę sobie, że jest o wiele twardsza i silniejsza, niż ja kiedykolwiek byłam.

- Jakiej zabawy? - pytam ją.

Milczy, lecz ona i Vivian mierzą się wzrokiem. Na twarzy Vivian maluje się ostrzeżenie, na twarzy Victory lęk. Przepętniona złością, staje między nimi.

- Jakiej zabawy? - powtarzam.

Po południu zalogowałam się do komputera Graya. Okazało się, że Sara mówiła prawdę o związkach Powers and Powers i Grief Intervention Services. Od tej pory mój skołowany mózg stara się ułożyć kawałki układanki z moich wydarzeń. Patrząc na Victory i Vivian, doznałam olśnienia, nagle wszystko stało się jasne.

- Co tu się dzieje? O co chodzi? - Gray znowu pochylił się do przodu, jakby miał zaraz wstać z krzesła.

Victory kręci głową i z uporem wpatruje się w swoje kolanka. Jest sztywna, jej ciało stężało, puściła moją dłoń i złapała się obu poręczami krzesła. Położyłam dłoń na jej ramieniu, pochyliłam w jej stronę i wyszeptałam:

- Nie musisz nigdzie iść, jeśli nie chcesz. - Widzę, jak napięcie opuszcza jej ciało.

Przez chwilę nikt się nie odzywa, jest cicho.

- To zdjęcie - mówię. Wszystko już rozumiem. Czuję, jak ogarnia mnie furia niczym dudniący wulkan, ale właściwie szepcę: - Związałaście ją i zrobiliście jej zdjęcie.

Powiedzieliście, że to zabawa.

Victory patrzy na mnie ze zdumieniem i zaczyna płakać.

- Nie zrób nic mojej mamie - krzyczy z całych sił, patrząc na Drew. Na jej buzi maluje się taki lęk, że serce skacze mi do gardła. Chwyta mnie za rękę i wdrapuje się na moje kolana. - Nic jej nie powiedziałam. Nic jej nie powiedziałam.

Siada na moich kolanach, trzyma się mnie kurczowo i szlocha, ostatni raz tak szlochała, kiedy była małym brzdącem. Obejmuję ją z całych sił, chowam twarz w jej włosach.

- Nikt mi nie zrobi krzywdy - szepcę jej do ucha.

Gray patrzy na ojca, na jego twarzy maluje się konsternacja, zmieszanie i rozczarowanie.

- Tato - mówi. - Co ty zrobiłeś?

Drew oddycha głęboko, jakby za chwilę miał się zmierzyć z czymś bardzo trudnym.

- Musiałem to zrobić dla dobra rodziny, żebyśmy mogli być znowu razem, tak jak dzisiaj.

Gray wstaje tak gwałtownie, że wszystko się trzęsie. Coś spada ze stołu i rozbija w drobny mak, wino się rozlewa. Siedzimy nieruchomo, jak porażeni. Gray czerwienieje, żyła pulsuje mu na szyi. Nigdy go nie widziałam tak rozjuszonego.

- Co ty mówisz, tato? - ryczy.

Drew czerwienieje tak jak Gray, ale nie odpowiada.

- Odpowiedz, do kurwy nędzy!

Drew sięga po piwo i upija duży łyk. Wyraźnie widać, że nie zamierza odpowiedzieć synowi.

- GIS jest klientem Powers and Powers Inc. - mówię Grayowi. Chcę się wkurzyć tak jak on, ściągnąć porcelanę i kieliszki ze stołu i rzucać nimi po to tylko, żeby wszystko się rozpadło i rozbiło, ale Victory trzyma się mnie kurczowo. To dla niej nie mogę się teraz załamać. - Po południu przejrzałam listę klientów na naszym komputerze. Jest na niej.

Gray patrzy przez chwilę na mnie, a potem kieruje wzrok na ojca. Widzę, że nie chce mi wierzyć. Patrzymy na milczącego Drew, który siedzi wyprostowany, ze ściągniętymi ramionami. Jest zadowolony z siebie, arogancki, przekonany o swojej słuszności.

- I co z tego - mówi jak gdyby nigdy nic. - Czego to dowodzi?

Twarz Graya nagle się zapada, znika z niej złość. Pamiętam, jak wyglądał, kiedy leżałam wiele lat temu w psychiatryku, a on opowiadał mi o ojcu, o swojej bezradności w obliczu jego woli i pragnień. Jak żył, starając się go zadowolić, choć to było niemożliwe.

Dawno o tym nie rozmawialiśmy, zajęci tragicznymi wydarzeniami w moim życiu. Okazuje się, że nic się nie zmieniło. Być może Gray zdradził samego siebie, tak jak ja zdradziłam samą siebie, prowadząc fałszywe życie w imię, jak się wydawało, większego dobra. Może nigdy nie chciał współpracować z ojcem, może myślał, że inaczej nie zarobi na dobre życie dla nas.

- Poświęciłeś dzieciństwo, żeby ratować matkę. - Drew podnosi nóż i widelec, żeby pokroić stek. - Nie chciałem, żebyś jako dorosły poświęcił się dla ratowania kogoś, kogo się nie da uratować. Nie chciałem, żeby kolejne dziecko, którym się zajmowałem, dorastało przy niezrównoważonej matce. Zrobiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne.

Pomogliśmy Annie, choć i tak tylko ona sama mogła siebie uratować. Nasze metody nie są standardowe, to prawda, ale tak się musiało stać, Annie to rozumie.

Jest odprężony, rzeczowy, jakby opowiadał o ryzykownym przedsięwzięciu biznesowym lub o niepewnej inwestycji, która mimo wszystko się opłacała. A przecież on mówi o mnie, o moim życiu, o Victory! Gray i ja patrzymy na niego, kiedy je. Victory popłakuje w moich ramionach. Vivian staje u góry stołu, opiera dłonie na krześle. Słońce zeszło poniżej linii horyzontu, nad oceanem unosi się pomarańczowo-błękitna poświata.

Piękne miejsce, brzydkie życie.

- Dręczył cię - mówi Vivian delikatnie i poważnie. - Zawsze by cię dręczył.

Nie zwracamy na nią uwagi.

Widzę, że Gray próbuje rozwikłać zagadkę, przeanalizować wszystko, co mu powiedziałam, przypomina sobie oskarżenia, jakie rzucałam pod ich adresem, wydarzenia, które, jego zdaniem, mi się przyśniły.

- Alan Parker. GIS, wszystko, co jej powiedział. - Gray nie krzyczy, nie jest wściekły.

Jest tylko... smutny. - Mówiła prawdę? Drew uważnie odkrawa kawałek mięsa, wkłada do ust, przeżuwa. Nie możemy oderwać od niego wzroku, porażeni jego obojętnością. Szok i złość mijają, znikają za gałęziami starego dębu.

- Posłuchaj - mówi wreszcie, odkładając z brzękiem srebrne sztucce na talerz. - Alan Parker zabrał Annie tam, dokąd musiała się udać, i zrobiła, co do niej należało.

Zgadza się?

Gray patrzy to na mnie, to na ojca.

- Chcesz powiedzieć, że on tam był? Marlowe? Że go zabiła? - Jest wzburzony, ma zaciśnięte pięści. - Nie. Nie, do cholery!

Szeroki uśmiech powoli wypełza na twarz Drew. Uśmiech jest miły, chociaż nie dochodzi do oczu. W godzinie zmierzchu Drew wydaje się

potworem. Cofam się przed nim.

- A ty co o tym sądzisz, Annie? - pyta i robi do mnie oko, co jest ohydne, bo to tak, jakbyśmy oboje sobie zakpili, zażartowali. - Czy Marlowe nie żyje? Wreszcie?

I nagle dociera do mnie, że rzeczywiście oboje sobie zażartowaliśmy. Ponieważ tylko Drew i ja rozumiemy, że to ja musiałam go zabić. Żadne opowieści, że zginął, żadna perswazja i artykuły w Internecie nie mogły mnie przekonać, że nie żyje. Musiałam go zabić, patrzeć, jak umiera. Tylko w taki sposób mogłam się naprawdę od niego uwolnić.

Cała moja chęć, żeby krzyczeć na Drew znika i ogarnia mnie znane mi odrętwienie, które pomogło mi przetrwać tyle okrucieństw, okropieństw, strasznych historii.

Opada ze mnie złość, lęk i, na szczęście, ogarnia mnie pustka. Ale już na pewno nie chcę być dłużej w ich towarzystwie. Wstaję i z Victory w ramionach ruszam do drzwi. Mam wiele pytań, ale nie chcę znać odpowiedzi. Na pewno nie od nich.

- Annie, postaraj się zrozumieć - mówi Vivian.

Widzę lęk na jej twarzy, ale już wychodzę, już mnie tu nie ma.

- Chcę zrozumieć, co ty zrobiłaś. - Słyszę głos Graya za moimi plecami. Próbuje się opanować. - Powiedz prawdę.

- Daj już spokój - odpowiada Drew, jego ton jest tak twardy jak cegła. Czekam w przedpokoju, nasłuchując, kołysząc Victory w ramionach.

- Nie mogę.

- Możesz. Jeśli wiesz, co jest dobre dla twojej rodziny, to możesz. Twoja żona nie czuje się dobrze. Moim zdaniem, na tyle niedobrze, że może nie powinna opiekować się Victory.

I wszyscy wiemy, że nie jesteś jej biologicznym ojcem. Co by się z nią stało, gdyby jej matka wylądowała w domu bez klamek?

- Co to jest? - pyta Gray. - Grozisz mi?

Nikt nie wiedział, że Victory była dzieckiem Marlowea. Tylko Gray i ja. I mój ojciec.

Robi mi się słabo. Stawiam Victory na podłodze i klękam obok niej na zimnej marmurowej podłodze. Patrzę na nią. Jeśli coś usłyszała, to nie daje po sobie poznać, przytula się do mnie i trze oczy.

- Możemy już jechać do domu? - pyta mnie.

- Za chwilę. Czekamy na tatusia.

- Dobrze. Pospieszmy się. Nie chcę tu być.

- Ani ja.

Drew podnosi głos.

- Nie muszę ci przypominać, jakie mam znajomości. Twoja praca, twój dom, żona, nawet twoje dziecko należą do ciebie, bo ja na to pozwoliłem. Wystarczy, że zadzwonię w kilka miejsc i wszystko zniknie.

- Drew.

Słyszę błagalny głos Vivian.

- Coś ty zrobił?

Rozlega się huk i coś roztrzaskuje się o podłogę. Przytulam do siebie Victory. Poszłabym już do samochodu, ale nie mogę zostawić Graya samego. Kulimy się jak przed burzą.

- Zrobiłem to po to, żebyśmy znowu stali się rodziną, żeby Victory miała zdrową matkę, żebyś nie spędził reszty życia, ratując kogoś, kogo nie da się uratować. Nie rozumiesz?

Nie słyszę odpowiedzi Graya. Ale przedziwne jest to, że rozumiem Drew. Chyba jestem tak samo psychicznie chora jak on.

- Znowu się zaczęło - ciągnie. - Ataki paniki, które miała, zanim urodziła Victory.

Zawsze tak było. Potem nagle zniknęła, jechała autobusem, Bóg wie dokąd. A gdyby tak wzięła ze sobą małą? Albo, co gorsza, gdzieś ją

zostawiła?

- Jesteś chory - przerywa mu Gray głosem pełnym pogardy. - Nie możesz wykorzystywać ludzi, manipulować nimi, kontrolować ich, żeby stali się takimi, jak ty byś chciał. Nie udało ci się z mamą, nie uda ci się ze mną ani z moją rodziną. Wróciłem, bo miałem nadzieję, że możemy stworzyć rodzinę, nauczyć się kochać siebie i akceptować nasze różnice. Ale to się nigdy nie stanie, prawda?

- Przecież cię kocham. - Drew słabnie i smutnieje.

- Nawet nie wiesz, co to jest miłość, tato. Nigdy nie wiedziałeś.

Słyszę ciężkie i szybkie kroki Graya. Klęka obok mnie i bierze Victory w ramiona.

Mała opiera się o niego jak szmaciana lalka, jest wyczerpana.

- Możemy jechać? - Gray patrzy na mnie tymi swoimi szarymi oczyma.

- Przepraszam cię, Annie. Tak bardzo mi przykro.

- Chodźmy już. - Kładę dłoń na jego ramieniu. - Nie mówmy o tym. Chcę stąd wyjść, na zawsze.

- Powinienem był ci uwierzyć.

- Nie miałeś powodu. - Ciągnę go w stronę drzwi.

- Nieprawda. Nie chciałem.

- Gray - mówię, kiedy wychodzimy i idziemy do samochodu. - Już wszystko w porządku. Zaczynaj mi wierzyć od teraz.

Rozdział 45

Chodzę po pokojach naszego domu, wsłuchując się w odgłosy naszego w nim życia. Okna są otwarte, powietrze wilgotne. Słyszę szum oceanu, wdycham zapach soli. Tego będę najbardziej żałować, bliskości morza, piasku pod stopami, rozkrzyczanych ptaków, wiatru uderzającego w dzwoneczki na ganku. Ale Nowy Jork jest też piękny na swój sposób. I w pewnym sensie jest bardziej moim domem, niż to miejsce kiedykolwiek było, choć jest takie piękne.

Kilka mebli, które za sobą zabieramy, jest już w drodze, postawimy je w niedorzecznie drogim domu z czerwono-brązowego piaskowca po wschodniej stronie Tompkins Square.

Nie umywa się do wytwornego domu, który zostawiamy, ale będzie nasz, nasz wybór, nasze warunki, nasz dom. Wszystko inne zostawimy za sobą.

Upewniam się, że pokoje są wysprzątane, że nie zapomnimy o niczym, co nam będzie potrzebne. Ogarnia mnie nostalgia, której nie potrafię wytłumaczyć. Gray i Victory wyszli, załatwiają sprawy, zamykają rachunek w banku i kupują dla niej walizkę na jutrzejszą podróż. Po obejściu domu stoję na dole przed szklanymi drzwiami i spoglądam na zatokę. Nagle czuję czyjąś obecność. Odwracam się i widzę w pokoju gościnnym Harrisona.

- Było otwarte - tłumaczy się.

Jest wychudzony i blady, ale mimo to wygląda dobrze, jest pogodzony z samym sobą. Czuję wdzięczność dla niego i jego żony i cieszę się, że go widzę. Uściskałabym go, ale nie robię tego. Uśmiecham się z nadzieją, że nie wydam mu się zimna i odpychająca.

- Kawy? - pytam.

- Poproszę - odpowiada.

Nalewam mu filiżankę kawy, sama nie piję. Jestem już po porannej dawce kofeiny, zaraz rozboli mnie głowa. Siadam na kanapie, on woli stać.

- Jak się ma pańska rodzina? - pytam.

- Mamy się dobrze, da pani wiarę? - odpowiada. - Chyba wyjdziemy z tego.

Powiesiłem na drzwiach tabliczkę: Ray Harrison, prywatny detektyw. Nawet znalazło się kilka osób, którym nie przeszkadza fakt, że współpracują z ćpunem o kryminalnej przeszłości. - Zaśmiał się, dzięki czemu jego słowa straciły trochę goryczy.

- Przyniosłem pani coś. - Podaje mi zwinięty kawałek papieru. Jest to czek na sumę, którą od nas dostał.

Nie chcę go przyjąć.

- Niech pan go zatrzyma. Odda nam pan, kiedy pan stanie na nogi. Podnosi rękę.

- Nie. Tak jest dobrze. Muszę wszystko naprawić. Obiecałem żonie.

Kiwam ze zrozumieniem głową i kładę czek obok siebie. Zapada krępująca cisza, nie wiemy, co powiedzieć. Nasza znajomość jest dziwna, nie umiemy towarzysko gawędzić.

- Mam ci dużo do powiedzenia. - Wpycha rękę do kieszeni. - Ale może wcale nie chcesz wiedzieć. Może chcesz zamknąć rozdział i zacząć wszystko od nowa.

Nie rozmawiałam z Vivian i Drew od tamtego wieczoru, kiedy opuściliśmy ich dom.

Gray poprosił ojca, żeby kupił jego udziały i Drew się zgodził. Nie chciał rozmawiać o związkach z GIS, od kogo się dowiedział, kto jest ojcem Victory, nie zamierzał się tłumaczyć ze spraw, które mi się przydarzyły. Gray próbował się czegoś dowiedzieć własnymi kanałami, ale ciągle natrafiał na ścianę. Zdecydowaliśmy, że dla dobra rodziny, dla bezpieczeństwa Victory, przestaniemy drażnić

temat.

- Myślałem, że nigdy się już nie dowiem. - Harrison przechadza się po pokoju. - Ale niedawno ktoś mnie odwiedził w moim biurze.

- Kto?

- Dawna znajoma - mówi z krzywym uśmiechem. - Oczywiście nie jest moją znajomą.

Ale przyniosła mi coś.

- Ella? - pytam skwapliwie. - Gdzie jest? Zasunęła okiennice w obawie przed huraganem. - Nie ma jej od wielu tygodni. Nie dzwoni, nie pisze. Wyjedziemy bez pożegnania.

Tajemniczo kiwa głową.

- Nie wiem, jakie ma plany. Ale na pewno wkrótce się z tobą skontaktuje.

W najbliższych dniach.

Wyciąga z kieszeni kolejną kartkę papieru i podaje mi ją, a mnie coraz bardziej boli głowa. Tym razem jest to zdjęcie, niewyraźna czarno-biała fotografia dwóch chłopców w mundurach, stoją objęci, jeden uśmiechnięty, drugi ponury. Po chwili ich rozpoznaję. Przez chwilę miałam wrażenie, że jeden to Gray, ale po chwili już wiem.

Drew Powers i Alan Parker, młodszy, szczuplejszy, prawie nie przypominają mężczyzn, którymi się stali. Ktoś napisał w rogu: rzeka Bassac, 1967, Wietnam.

Nic nie rozumiem, czuję, jakby ziemia usunęła mi się spod stóp.

- Co to znaczy?

- Razem służyli w Wietnamie w oddziałach specjalnych. Można powiedzieć, że znają się całe życie.

Próbuję przyswoić sobie tę informację, zrozumieć łamigłówkę. Ale tak mnie boli głowa, że nie mogę się skupić.

- Mam teorię - mówi. - Chcesz usłyszeć?

Tak naprawdę nie chcę, ale daję znak, żeby mówił.

- Myślę, że wiele lat temu, kiedy Parker chciał pomścić śmierć córki, poszedł z tym do Drew, kumpla z Wietnamu. W tamtym czasie Drew założył Powers and Powers, świetnie prosperującą prywatną firmę militarną. Powęszyłem trochę i odkryłem, że Drew, aby pomóc Parkerowi, wynajął Simona Briggsa, człowieka, który miał odnaleźć Marlowe'a.

Kiedy później Parker utworzył Grief Intervention Services, Powers and Powers skoncentrowało się na tym, żeby pomóc ludziom zmierzyć się z oprawcami, którzy skrzywdzili ich albo ich bliskich. W zasadzie byli samozwańczymi obrońcami.

Zastanawiam się. Rzeczywiście, mogli się znać, historia się klei. Wyobrażam ich sobie razem. Obaj lubią mieć nad innymi kontrolę, są arogancy, uważają, że ich działania wynikają z miłości do dzieci, nie pojmują, że miłość i kontrola to dwie różne sprawy.

- A więc to był tylko zbieg okoliczności, że mój ojciec spotkał się z Grayem i poprosił go o pomoc? - Kręcę przecząco głową. - Nie.

Harrison na chwilę milknie. Pewnie się zastanawia, czy powiedzieć mi więcej.

Wreszcie się decyduje.

- Twój ojciec, Teddy March, znany jako „Niedźwiedź”, był z nimi w Wietnamie.

Roześmiałam się.

- Nie, nie on.

I wtedy przypominam sobie, ile razy opowiadał mi o oddziałach specjalnych i o Wietnamie. Myślałam, że kłamie. Ani razu mu nie uwierzyłam.

Harrison wyciąga jeszcze jedno zdjęcie. Widzę na nim ojca, Drew i kilku innych mężczyzn, których nie rozpoznaję, jak płyną łodzią po szarej rzece w dżungli. Mają ponure miny, są zawzięci, uważni, skupieni, skrepowani. Mój ojciec jest ledwie chłopcem, ma niewielki

zarost, papieros w kącikach ust. Szczupły, umięśniony, ma ciemne oczy i kwadratową szczękę. Drew jest cięższą, mniej atrakcyjną wersją mojego męża, młodym buldogiem z surowo zmarszczonymi brwiami i nikczemnym, złośliwym spojrzeniem.

- Wszyscy ci mężczyźni, ojcowie, szukają swoich dzieci. - Harrison idzie w kierunku szklanych drzwi, prowadzących do basenu. - Córka Parkera została zamordowana przez Franka, córka Teddyego Marcha była trzymana w niewoli przez Marlowe'a, syn Powersa opuścił na wiele lat dom rodzinny i zerwał z ojcem kontakt. Wszyscy trzech mieli wspólny cel, pomścić, jak umieli najlepiej, krzywdy wyrządzone ich dzieciom.

Zastanawiam się, ile trzeba było sztuczek, planów, podstępów, oszustw, kłamstw, żeby to się wydarzyło.

- Jak do tego doszło, że ty i Melissa stałyście się ofiarami ojca i syna? Może to był zbieg okoliczności? A może to była ich karma, ich więź. Nie wiem, ale to jest na swój sposób poetyckie, prawda?

„To nasza karma, nasza więź”. W głowie dudnią mi słowa i Marlowea.

- Jednego tylko nie przewidzieli, tego, że Gray się w tobie zakocha.

- To bez sensu - odpowiadam, choć zaczynam dostrzegać sens. Jest zbyt dużo zmiennych, zbyt wiele zbiegów okoliczności, czy ojciec też prosił Drew o pomoc?

Czy tak się poznał z Grayem? Czy wykorzystali mnie, żeby wciągnąć w to Graya, bo wiedzieli, że się nie oprze zbłąkanej dziewczynie?

- Paul Broward, którego poznałaś jako doktora Browna, miał duże doświadczenie w manipulowaniu ludzką psychiką. Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

Emocje, diabelska alchemia bezsilnej złości, niedowierzania i lęku musiały pojawić się na mojej twarzy, bo wygląda na to, że Harrison

żałuje, że w ogóle tu przyszedł.

Patrzy na drzwi, na mnie i podnosi rękę.

- Przepraszam cię. To tylko teoria. To wszystko może być dalekie od prawdy.

- A Briggs? - rzucam. Analizuję jego słowa i próbuję obalić jego teorię, szukając w niej dziur.

- Był wieloletnim pracownikiem Powers and Powers, to wiem na pewno. Być może Gray nie wiedział o tym, a kiedy nie zdołał się dowiedzieć, dla kogo pracuje, zabił go, bojąc się o ciebie.

Jestem wykończona, dudni mi w głowie, towarzyszy temu okropne dzwonięcie w uszach. Staram się pojąć, jakie to ma znaczenie, że byliśmy pod kontrolą tych mężczyzn i mojego ojca, zanim poznałam Graya. Strasznie mnie to boli i czuję, że wyłączam się emocjonalnie.

- Jeśli chodzi o mnie, to nieźle im podpadłem - powiedział Harrison. - I zniszczyli mi życie.

Przypominam sobie, jak Sara mi mówiła, że Ella zaatakowała go paralizatorem. Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, chciałam Ellę o to zapytać, ale wyjechała. Kim była kobieta, którą uważałam za przyjaciółkę? Czuję skurcz w klatce piersiowej. Od kiedy nawdychałam się dymu, czuję ból w płucach, kiedy się denerwuję. Staram się wolniej oddychać. Harrison wyczuwa mój ból.

- Posłuchaj. - Rusza w stronę wyjścia. - Pomyśl, że miałaś dużo szczęścia. Zapomnij o przeszłości. Jestem rozbitkiem życiowym, ale ty przepędziłaś swoje demony, zwyciężyłaś.

Wyjeżdżasz z rodziną i zaczynasz od nowa.

Wybucham ostrym, pełnym gorzki śmiechem.

- Sądzisz, że mogę o tym zapomnieć? Dobrze wiem, jak to się kończy.

- Nie chodzi mi o wyparcie. Mówię o narodzinach. Wstaję i podchodzę do szklanych drzwi, patrzę, jak fale liżą brzeg. Wdycham

słone powietrze w płuca i przyznaję mu rację.

- Czy to możliwe? - pytam go. - Czy mogę wszystko porzucić i zacząć od nowa, jako nowy i ulepszony model Annie? A może będzie się to za mną wlokło i chwyci mnie w najmniej spodziewanej chwili.

Odpowiada mi echo w pustym pokoju. Harrison milczy. Patrzę na brzeg morza. Pograżona w myślach uświadamiam sobie, że przestaje mnie boleć głowa.

- Może to jednak możliwe - odpowiadam sobie na pytanie.

- Annie?

Odwracam się i widzę, że Gray ma dziwny wyraz twarzy, jest rozbawiony i zatroskany jednocześnie. Jesteśmy sami.

- Z kim rozmawiasz?

Ból głowy ustępuje miejsca panice. Kiedy przechodzę obok, wyciąga do mnie rękę, ale wyślizguję mu się. Podnoszę trzy świstki z kanapy, dwa paragony ze sklepu spożywczego i zdjęcie Victory, kiedy była niemowlęciem. Zniknął czek i stare zdjęcia z Wietnamu.

Omiotam pokój spojrzeniem i zastanawiam się, czy detektyw wyjdzie z kuchni z kubkiem świeżej kawy. Ale nie. Mną świstki i wpycham je do kieszeni. Podchodzę do okna i widzę, że samochód Graya zablokował wjazd. Boję się go zapytać, czy widział tam jakiś samochód, kiedy podjechał pod dom.

- Annie. - Gray podchodzi do mnie. Pyta z naciskiem: -Z kim rozmawiałaś?

Jest mi strasznie trudno odpowiedzieć, słowa więzną mi w gardle. Właśnie dopadło mnie lodowate zrozumienie mojej pokręconej psychiki. Dociera do mnie, że Harrison był dokładnie tym kimś, kim chciałam, żeby był.

- Pamiętasz Harrisona? - Staram się mówić spokojnie. Boję się patrzeć mu w oczy.

Opieram się o okno.

Zmieszany, szuka przez chwilę w pamięci. Przypomina sobie.

- Ten glina? Ten, który odpowiedział na 911 i zadawał masę pytań?

Kiwam powoli głową.

- Czy widziałeś go rano, kiedy do nas przyszedł? Gray poważnieje.

- Nie. Dlaczego miałbym widzieć? W uszach pulsuje mi krew.

- Czy dawałeś mu kiedyś pieniądze? Zaśmiał się.

- Nie. - Jest zdumiony. - Skąd.

Idę na tył domu, patrzę na ocean i na biały piasek. Ziemia pod mną jest miękka i ruchoma.

- O co ci chodzi?

- Tej nocy... - zaczynam i przerywam. Zamierzałam powiedzieć: Tej nocy, kiedy zabiłeś Briggsa, ale nie chcę mówić tego głośno - ...kiedy mówiłeś, że zneutralizowałeś zagrożenie, czy miałeś na myśli Briggsa?

Gray stanął za mną i położył mi ręce na ramionach.

- Dlaczego o tym rozmawiamy?

- Odpowiedz - mówię szybko. Wzdycha.

- Tak, chodziło mi o niego. Opieram się o niego plecami.

- Co się stało? - szepce.

Nie mam siły mu powiedzieć. Nie mam siły opowiedzieć mu o Harrisonie, którego znałam. Nie teraz, kiedy po raz pierwszy uwierzył, że jestem psychicznie zdrowa.

- Annie - mówi z determinacją, obracając mnie w swoją stronę i unosząc moją twarz.

Jest przestraszony, nie znam go takiego. - Co się dzieje? Z kim rozmawiałaś, zanim przyszedłem?

Zmuszam się do uśmiechu, jasnego i radosnego i widzę, że jego lęk topnieje, a oczy mu jaśnieją.

- Nie wiem - odpowiadam lekko. - Pewnie mówiłam do siebie.

Epilog

Wychodzę z Victory z naszego domu na Tompkins Square i Jedenastą ulicą idziemy do szkoły. Jest rześki, jesienny poranek w Nowym Jorku, niebo to obrazek błękitnego powietrza i puchatych białych chmur. Taksówkarze trąbią jak szaleni, ptaki śpiewają w drzewach, dzieci krzyczą na placach zabaw, kiedy dochodzimy do szkoły. Moja gadułka mówi, jak bardzo się jej podobają nowe buciki i torba na książki. Zastanawia się, czy ja też jem i śpię w swojej nowej szkole. Odpowiadam jej, że nie, ale ona niech się cieszy tym, póki czas. Drzemka jest jedną z wielu ofiar dorosłości.

Żegnam się z nią przy jasnych zielonych drzwiach i patrzę, jak biegnie przy ścianie, pomalowanej w wesołe obrazki, do swojej nauczycielki, cudownej starszej kobiety o siwiejących włosach, o skórze koloru kawy z mlekiem, mówiącej z delikatnym jamajskim akcentem. Posyła Victory swój najcieplejszy uśmiech.

- Victory - wykrzykuje - masz cudowne buciki.

- Dziękuję - odpowiada Victory zerkając na mnie z zadowoleniem. Nie czuję już ucisku w żołądku, kiedy ją zostawiam w szkole. W niecały rok od wyjazdu z Florydy czujemy się w Nowym Jorku jak u siebie, nie mam już ochoty umierać, chyba że przyjdzie na to pora.

Mam jednak dużą nadzieję, że nie nastąpi to prędko.

Idę dalej Jedenastą, skręcam na University Place, mam zajęcia na Uniwersytecie. Z łatwością mieszam się z tłumem turystów, przechodniów i studentów, nowojorczyków każdej wielkości i koloru. Czuję, że jestem w domu, nigdy się tak dobrze nie czułam na Florydzie. Kocham zimne powietrze, liście zmieniające kolor, zapach sprzedawanych na ulicy prażonych orzechów z miodem, dudnienie metra pod stopami.

Gray został w naszym domu, pieśczośliwie nazywamy go dziurą bez dna. Kupiliśmy go tanio jak na Nowy Jork, ale będziemy tak długo remontować, burzyć ściany i stawiać nowe, aż stanie się zupełnie nasz. Burzenie nie jest mi obce. Na górnym piętrze Gray urządził sobie prywatne biuro detektywistyczne. Ma już kilku klientów.

Będę szczęśliwa, jeśli jego biurko nie wpadnie nam do łóżka.

Wchodzę do białego budynku na University Place i czekam na windę. Musiałam się bardzo postarać, żeby się tu dostać, ale dobre wyniki testu, wzruszający esej i błaganie zrekompensowały poplamiony wypis, maturę i świadectwo z collegeu na Florydzie. Jestem na wydziale psychologii na studiach magisterskich. Odbynam praktykę w Fundacji Ofelii (możecie mi wierzyć albo nie), niosącej pomoc młodym dziewczętom, które były maltretowane, porzucone, które przeszły traumę. Brakuje mi słów, żeby powiedzieć, jak bardzo mi ta działalność pomaga. Mam tak wielkie doświadczenie, że uważam siebie za osobę o szczególnych kwalifikacjach w tej dziedzinie.

Wpływam z tłumem do dużej sali i siadam z tyłu. Wyjmuję z torby zeszyt i nowe pióro, prezent od Graya. Dzisiaj będziemy omawiać traumę i różne techniki, dzięki którym osobowość próbuje się bronić i uleczyć. Parę dni temu profesor zwrócił uwagę na interesującą rzecz, mianowicie na to, że wszyscy mówią o zaburzeniu dysocjacyjnym, fudze, pauzie psychotycznej wyłącznie w negatywnym świetle. Nie mówią natomiast o tym, jak się osobowość przed tym broni, jak się ratuje, ani jaka potrafi być silna i skuteczna.

Muszę mu przyznać rację. Z moim obecnym terapeutą jestem szczerą, wiele razy omawialiśmy zajścia w moim życiu, nie oceniając tego, co zrobiłam, co zrobiono mnie i jak na koniec uratowałam samą siebie. Rozmawialiśmy o wszystkich graczach, archetypach rzeczywistych i zmyślonych i o rolach, jakie odegrali w mojej

chorobie i ozdrowieniu.

Okropna Matka. Nieobecny Ojciec. Wybawca. Niszczyciel.

Zagubiona Dziewczynka.

Możliwe, że już nigdy nie zdołam rozróżnić całkowicie zdarzeń albo ludzi, którzy byli w moim niedawnym życiu, od snów i koszmarów sennych stworzonych przez moją psychikę, żebym wyzdrowiała. Ella, na przykład, poza Grayem, jest moim jedynym prawdziwym przyjacielem. Chociaż, naturalnie, jej nagłe i całkowite zniknięcie z mojego życia czyni ją podejrzaną. Możliwe, że jak Harrison, była osobą, którą znałam przelotnie i pełniejszy związek z nią zrodził się w mojej głowie, wymyśliłam, iluzję, żeby wypełnić głęboką potrzebę w swojej psychice. Możliwe jest też, że pracowała dla Drew, że miała na mnie donosić. 'Gray tak uważa, chociaż nie ma na tę teorię żadnych dowodów. Czasami przeszukuję pamięć w poszukiwaniu wskazówek, które by świadczyły, że nasza przyjaźń była fantazją, jak siwe włoski wyrastające nad uchem urojonego Raya Harrisona albo przeraźliwe bóle głowy, które nieuchronnie towarzyszyły naszym spotkaniom. Ale nic takiego nie pamiętam. Bez względu na wszystko, Ella była na tyle moją przyjaciółką, że bardzo mi jej brakuje. A to coś znaczy w tym świecie. Dużo znaczy.

Mniej wymagam od siebie. Próbuję traktować siebie tak, jak traktuję córkę, z cierpliwością i zrozumieniem. Taki sam stosunek usiłuję mieć do wspomnień dziewczyny, którą byłam. Ofe-lia była młodą zaburzoną kobietą, która zrobiła to, co zrobiła, żeby przeżyć. Codziennie w klinice widzę jakąś jej odmianę: zwieszona głowa, ręce obejmujące talie, pusty wzrok. Widzę, jak się tnie, głodzi, podcina sobie żyły, łyka truciznę albo zatruwa alkoholem. Wiem, że nie ma niebezpieczeństwa, żeby Victory stała się jedną z tych zagubionych dziewcząt. Nauczyliśmy ją, żeby poznała samą siebie, ceniła, szanowała i chroniła. Mam ,(nadzieję, że jako nauczyciel innych będę

lepsza.'

Rozglądam się po sali, widzę, jak niektórzy piszą gorączkowo na swoich laptopach albo gawędzą z kolegami przed rozpoczęciem wykładu. Jakaś dziewczyna flirtuje z chłopakiem, który siedzi za nią, inna przygląda się im z nieskrywaną zazdrością.) Dwóch młodych mężczyzn gorąco o czymś rozprawia, jeden zawzięcie gestykułuje, drugi słucha go, podtrzymując dłonią podbródek. Wydają się na swoim miejscu, są dobrze ubrani i zdrowi. Wyobrażam sobie ich sielskie dzieciństwo, bliskie relacje z rodzicami i rodzeństwem. Uświadamiam sobie, że to złudzenie. Nie znamy mrocznych miejsc w innych, nie wiemy, ile bólu doznali.

Miesiąc temu poprosiłam o prochy matki. Była skremowana i jej prochy wraz z jej osobistymi rzeczami znajdowały się w kostnicy hrabstwa. Zabraliśmy je w zeszłą niedzielę do Rockway Beach i rozrzuciliśmy o wschodzie słońca. Wybrałam to miejsce, bo tylko tu czułam się szczęśliwa z moimi rodzicami. Mam nadzieję, że ona też wspominała tamte chwile, że czasami, kiedy leżała samotnie w łóżku, tęskniła za mną. Ja na pewno za nią tęskniłam. Kochałam ją. I na swój sposób wiem, że ona kochała mnie.

Jeszcze nie rozmawiałam z ojcem. Kiedy się tu przeprowadziliśmy, poszłam się z nim zobaczyć, dowiedzieć się od niego, co wiedział, jaką rolę odegrał w zdarzeniach z mojego życia. Ale sklep jest zamknięty na cztery spusty. Właścicielka mieszkania mówi mi, że co miesiąc dostaje od niego czek z banku. Wpuściła mnie do jego mieszkania, stała przy drzwiach. Obeszłam je, szukając wskazówek, gdzie ojciec może być. Ale nic nie znalazłam, jest tu dokładnie tak samo jak było tamtej nocy, tyle że zniknęły ubrania. Raz czy dwa razy w tygodniu idę się dowiedzieć, czy się z nią kontaktował. Mam dziurę w sercu, tam gdzie powinnam mieć ojca. Całe życie go ścigam, więc nie przestanę. Gray mówi, że jest naszym ostatnim łącznikiem z prawdą.

Ale wiem, że kiedy wróci, zrobi to, co zawsze.

Skłamię.

Wiem, że chciał mi pomóc, uratować przed Marlowe'em, przed samą sobą. Zrobił tyle, ile umiał. Jakoś wrócił po mnie. Ale potem znowu mnie zostawił. Może tylko tyle umie.

Wykładowca wchodzi na środek sali. Sala jest ogromna, prawie taka jak w teatrze, jest tu podium, mikrofon i rzędy krzeseł wznoszące się ku górze.

Wykładowca jest wysokim, szczupłym mężczyzną, z szopą kruczoczarnych włosów i lodowato niebieskimi oczyma. Ma głęboki, dudniący głos, właściwie nie potrzebuje mikrofonu. Tematem zajęć jest Sekretne Życie Traumaty, sala jest pełna, większość krzeseł zajętych. Uczy nas o rzeczach, które są mi aż za dobrze znane. Sama dla siebie jestem najlepszym studium przypadku.

Dzisiaj prezentuje slajdy, artystyczne prace pacjentów po traumie. Prosi jednego ze studentów o zgaszenie światła. Zanim się ściemni, dostrzegam ją kątem oka. Poniżej siedzi dziewczyna, która czekała na ratunek, ale nie nadszedł, która w końcu zdobyła się na to, żeby się uratować. Wreszcie widzę ją taką, jaką ją ujrzała Janet, młodą i piękną kobietę, przed którą świat stoi otworem. Ma w sobie światło, siła emanuje z jej wnętrza, okropieństwa jej życia nie potrafiły w niej tego zabić. Zanim zniknie w gasnącym świetle, patrzy na mnie i uśmiecha się, spokojna. Wreszcie.

OD AUTORKI

Pisarze czują się najlepiej, kiedy mieszkają w krainie wyobraźni. Jednak często muszą ją opuścić, żeby dowiedzieć się paru rzeczy o prawdziwym świecie. Miałam wielkie szczęście, że poznałam wspaniałych ludzi o wielkiej wiedzy, którzy poświęcili mi czas mimo licznych obowiązków i sprawili, że mój fikcyjny świat stał się bardziej wiarygodny.

Doktor Raoul Berke był łaskaw wytknąć mi błąd, który znalazł się w mojej poprzedniej powieści, a ja odpłacałam mu się za to, zasypując go pytaniami o różne postacie choroby psychicznej. Jestem mu wdzięczna za jego interesujące obserwacje na temat stanów fugi, dysocjacyjnego zaburzenia tożsamości i pauzy psychotycznej.

Dyrektor generalny K.C. Poulin i Craig Dundry, zastępca prezesa do spraw specjalnych projektów w Critical Intervention Services w Clearwater na Florydzie, spędzili ze mną popołudnie, dzieląc się ogromną wiedzą na temat prywatnych firm militarnych. Chcę im bardzo podziękować za ich wspaniałomyślność, otwartość, poczucie humoru i nadzwyczajne doświadczenie. Mieście się panowie na baczności: na pewno jeszcze porozmawiamy!

Mikę Emanuel, znany i uznany nurek jaskiniowy na Florydzie, poświęcił mi czas, odpowiadając na wiele pytań dotyczących podwodnych jaskiń na Florydzie i nurkowania jaskiniowego. Na jego stronie internetowej (www.mejeme.com) zobaczyłam wspaniałe zdjęcia, które wiele mnie nauczyły i zainspirowały. Dobrze się stało, bo za żadne pieniądze nie zeszłabym do tych jaskiń.

Marion Chartoff i jej mąż Kevin Butler, oboje fantastyczni adwokaci i drodzy przyjaciele, podzielili się ze mną ekspercką wiedzą na temat apelacji w sprawie kary śmierci.

Tak jak za każdym razem, mój przyjaciel, agent specjalny Paul Bouffard, pracujący dla Agencji Ochrony Środowiska, był moim źródłem wiedzy w kwestii tego, co legalne i nielegalne. Zawsze chętnie odpowiada na moje pytania - a jeśli nawet czuje się nimi zmęczony, to bardzo dobrze ten fakt przede mną ukrywa.

Niżej wymienione pozycje bardzo mi pomogły w napisaniu powieści: *The Inner World of Trauma: Archetypal Defenses of the Persona!* Spirit (Routledge, 1996) Donalda Kalscheda jest książką, która jednocześnie porusza, niepokoi i uczy.

Corporate Warriors: The Rise of the Privatized Military Industry (Cornell University Press, 2004) napisana przez P.W. Singera jest najlepszą pozycją, jaką znalazłam na temat prywatnych militarnych firm i ich roli we współczesnych działaniach wojennych.

Jest oczywiste, że biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie błędy, jakie mogłam popełnić i za zbyt swobodne traktowanie faktów na potrzeby powieści.

PODZIĘKOWANIA

Są ludzie, bez których nie mogłabym robić tego, co robię. Czuję się wyróżniona przez los faktem, że są obecni w moim życiu i pragnę skorzystać z okazji, żeby im podziękować za to, że na tysiące sposobów motywują i wspierają mnie.

Dziękuję mojej szczęśliwej gwiazdzie za mojego męża Jef-freya. Bez jego miłości i wsparcia nie byłabym ani tu gdzie teraz jestem, ani osobą, którą jestem. Ponadto z czasem umarłabym z głodu, ponieważ w którymś momencie po urodzeniu naszej córki, straciłam zdolność przyrządzania potraw. Moja córka, Ocean Rae wprowadziła do mojego życia światło i oświetliła te miejsca, o których nawet nie wiedziałam, że są mroczne. Jestem lepszą pisarką i lepszą osobą odkąd się pojawiła. Oboje, Jeffrey , and Ocean są moją opoką.

Byłabym zupełnie zgubiona, gdyby nie moja agentka Elanie I Markson. Każdego roku próbuję powiedzieć jej na nowo, ile dla mnie znaczy osobiście i zawodowo.

Pomogła mi spełnić jedyne marzenie jakie miałam w życiu, wydobyła mnie z płonącego budynku (w przenośni), doradzała, robiła redakcje, wspierała, zachęcała, jednym słowem była najlepszą agentką i przyjaciółką, jaką można sobie wyobrazić.

Jej asystent, Gary Johnson, jest dla mnie liną bezpieczeństwa każdego dnia. Nie uda mi się wyliczyć wszystkich rzeczy, które dla mnie zrobił. Dziękuję Ci, G.

Moja wspaniała i genialna wydawczyni, Sally Kim z pewnością odnalazła w swoim życiu powołanie i dar. Przy każdej mojej kolejnej powieści doceniam coraz bardziej jej fantastyczny talent i ogromny entuzjazm. Jest faktycznie nadzwyczajną osobą i wydawczynią - mądrą, spostrzegawczą, delikatną, która zamienia się w lwicę, kiedy

ma promować swoich autorów. Jestem lepszą pisarką dzięki temu, że to właśnie ona jest moją wydawczynią.

Już o tym mówiłam, ale muszę to powtórzyć: wydawnictwo takie jak Crown Shaye Areheart Books jest marzeniem każdego pisarza. Nie wyobrażam sobie cudowniejszego, bardziej wspierającego i kochającego wydawnictwa. Jestem szczególnie wdzięczna Jenny Frost, Shaye Areheart, Philipowi Patrickowi Jill Flaxman, Whitney Cookman, David Tran, Jacąi leBow Andiemu Augusto, Kirze Walton, Donnie Passanante, Shawn Nicholas, Christie Aronson, Katie Wainwright, Lindzie Kapłan, Karin Schulze i Annę Berry... zdołam tu wymienić zaledwie kilka nazwisk. Oczywiście pragnę ogromnie podziękować handlowcom, którzy bez wytchnienia sprzedają egzemplarze moich powieści w całym kraju. Słyszę o nich i o ich wielkich wysiłkach zawsze, kiedy odwiedzam księgarzy. Każdy z nich ma wyjątkowe umiejętności i talent do tego, żeby sprzedawać moje książki i jeszcze raz bardzo wam za to dziękuję.

Moja rodzina i przyjaciele weselą się razem ze mną podczas dobrych dni i pomagają mi przejść przez te złe. Moi rodzice, Wirginia i Joseph Miecione, mój brat Joe i jego żona Tara są moimi niestrudżonymi promotorami i cheerleaderami. Moja przyjaciółka Heathem Mikesell przeczytała każde słowo, które napisałam, odkąd się poznałyśmy. Wiem, że mogę liczyć na jej trafne spostrzeżenia i uważne redakcje.

Moi najdawniejsi przyjaciele Marion Chartoff i Tara Popick dają mi specjalną mieszankę mądrości, wsparcia i humoru. Jestem im wdzięczna bardziej niż mogę to na tych stronach wyrazić.

Copyright © 2008 by A Room of My Own, LLC